



Demony przeszłości odzywają, gdy spokojnym
miasteczkiem wstrząsa brutalna zbrodnia

SIEROCINIEC JANCZARÓW

PIOTR
GAJDZIŃSKI

PIOTR
GAJDZIŃSKI

**SIEROCINIEC
JANCZARÓW**



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Projekt okładki: *Mariusz Banachowicz*
Redakcja: *Małgorzata Burakiewicz*
Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*
Redakcja techniczna: *Grzegorz Włodek*
Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*
Korekta: *zespół*

© by Piotr Gajdziński

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2023

ISBN 978-83-287-2659-8

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2023

*Dziennikarzom śledczym, dzięki którym prawda wciąż się
w Polsce broni*

Spis treści

Osoby

Miejsca

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Podziękowania

Osoby

Rafał Terlecki – dziennikarz prywatnej stacji telewizyjnej, były mieszkaniec Wolsztyna, wielbiciel bourbona, papierosów, tenisa i seksu z byłą partnerką

Bartek Nowicki – przyjaciel Terleckiego od czasów wspólnej nauki w liceum. Z jakichś powodów whisky konsumuje wyłącznie z colą

Paweł Zdanowski – wolsztyński biznesmen, były znajomy Terleckiego z liceum, zapalony wędkarz

Zdzisław Skibniewski – drapieżca współczesny

Franciszek Janicki – ksiądz, patriota, endek i drapieżca

Wiesław Muszyński – właściciel prywatnej agencji detektywistycznej

Anastazja – córka Terleckiego, warszawska licealistka

Ewa Drągowska – bezpruderyjna pracownica banku, wielbicielka pończoch i czerwonych szpilek, była partnerka Terleckiego i matka jego córki

Hrabina Antonina Michałowska, de domo Mycielska – spadkobierczyni wolsztyńskiego majątku

Hrabia Stefan Michałowski – mąż Antoniny

Grzegorz Trąbski – uczeń Liceum Ogólnokształcącego w Wolsztynie

Patryk Sosnowski – kolega Trąbskiego, pracownik nastawni kolejowej

Julita – dziewczyna Sosnowskiego, amatorka volkswagenów golfów i głośnego rapu

Jolanta Guzikiewicz – ofiara brutalnego morderstwa

Zenon Olszański – policjant, emerytowany naczelnik Wydziału Kryminalnego Komendy Powiatowej Policji w Wolsztynie

Bogusław Świdorski – współpracownik księdza drapieżcy

Andrzej Zakrzewski – były oficer peerelowskiego wywiadu

Marian Zdanowski – mistrz cholewkarski

Edmund Terlecki – rzeźbiarz

Marcin Rożek – rzeźbiarz, autor między innymi pomnika Bolesława Chrobrego w Gnieźnie i figury kata na poznańskim przegierzu

Borsuk – były żołnierz GROM

Dawid Lewandowski – nauczyciel historii w Liceum Ogólnokształcącym w Wolsztynie

bracia Janoszowie – gangsterzy na usługach peerelowskiego wywiadu

Renata Artemska i Maria Krawczyk – szkolne koleżanki Terleckiego i Nowickiego

Miejsca

Wolsztyn – miasto położone w zachodniej Wielkopolsce. O jego tożsamości stanowią dwa jeziora, parowozownia, miejscowe liceum i sławni mieszkańcy: noblista Robert Koch, matematyk, fizyk i filozof Józef Maria Hoene-Wroński (twórca terminu mesjanizm) oraz rzeźbiarz Marcin Rożek. Przed drugą wojną światową Wolsztyn zamieszkiwała duża kolonia Niemców i Żydów. Nawet w Peerelu miasto endeckie

Boruja – wieś nad Jeziorem Kuźnickim. Dla mieszkańców Wolsztyna, a także pobliskiego Grodziska Wielkopolskiego i Nowego Tomyśla odpowiednik Santa Monica dla osób żyjących w Los Angeles

Okolice Szybeniku (Chorwacja) – poza wakacyjnymi miesiącami idealne miejsce na emeryturę nie tylko dla emerytowanych funkcjonariuszy wywiadu

Palermo i Castellammare del Golfo (Sycylia) – miejsca idealne nawet podczas wakacyjnych miesięcy

Rozdział 1

AUTOSTRADA WOLNOŚCI, 60 KM OD POZNANIA,
PIERWSZE DNI CZERWCA 2018

- Nie, przepraszam. Proszę podać tę większą, litrową. I dużą czarną kawę.
- Faktura na paliwo?
- Nie, dziękuję. Jeszcze dwie paczki marlboro gold.

Otworzył bagażnik, schował butelkę ballantine'sa do czarnej brezentowej torby i usiadł za kierownicą. Odruchowo sprawdził telefon, wypił łyk kawy, jak zwykle parząc sobie usta. Ruszył. Do celu zostało mu jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów i trzy autostradowe bramki. Albo jedna. Nie zdecydował jeszcze, czy pojedzie trasą A2, czy normalną drogą przez Stęszew i Grodzisk Wielkopolski.

Sięgnął po papierosy. Palenie przy uchylonym oknie i dużej prędkości nie należało do szczególnie przyjemnych, ale nawet w tych warunkach kawa najbardziej smakowała mu z papierosem. W TOK FM zaczynała się jakaś audycja motoryzacyjna, więc włączył płytę. *Baśka miała fajny biust* – popłynęło z głośnika. Uśmiechnął się. Z liceum pamiętał tylko jedną Baškę. Nawet mu się podobała, ale była sprinterką, więc raczej fajnego biustu nie miała. Fajny miała chyba Ania. Tak, na pewno, teraz sobie przypomniał.

Za Poznaniem zjechał na Stęszew na starą drogę prowadzącą do Wrocławia i Zielonej Góry. Sentyment zwyciężył. Zaskoczyło go, jak wiele się tu zmieniło.

Nad Jezioro Kuźnickie dojechał po jedenastej wieczorem, nadkładając drogi. Oparł się jednak pokusie podjechania pod liceum w Wolsztynie. Małe zwycięstwo.

Zaparkował nad jeziorem, wysiadł z samochodu, rozprostował swoje sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, podciągnął dżinsy i przyczesał ręką długie, zbyt długie, ciemne włosy. Przed nim był widok, który od zawsze miał pod powiekami. Teraz wydawało się, że wszystko stoi w miejscu. Jezioro było nienaturalnie gładkie, obrośnięty lasem cypel po drugiej stronie wody, z tyłu

prosta piaskowa droga wysadzana lipami. Sto metrów stąd, przy skrzyżowaniu, powinien być duży drewniany krzyż. Pamiętał, że zawsze stały tam w słoiku świeże polne kwiaty zmieniane niewidzialną ręką. Zastanawiał się, czy nadal tak jest.

Wyciągnął kupioną na stacji benzynowej butelkę whisky, chciał wypić z gwinta, ale jakoś nie potrafił. Sięgnął po papierowy kubek i nalał. Ballantine's przyjemnie zbulgotał. Lubił ten dźwięk.



Śnił mu się jakiś harcerz, ale nie potrafił sobie przypomnieć jego nazwiska. Miał wielkie, szeroko otwarte oczy i wykrzywioną strachem twarz. „Dziki, druhu, dziki” – wysapał. Zabawne, dokładnie pamiętał tę scenę, rozegrała się na cyplu po drugiej stronie jeziora podczas jednego z licznych biwaków jego drużyny harcerskiej, gdzieś w połowie lat osiemdziesiątych. Ale równie dokładnie pamiętał znacznie wcześniejsze wydarzenia. Na przykład lato tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku, gdy po raz pierwszy przyjechał nad to jezioro, z matką i młodszym bratem. Wysiedli z taksówki, czarnej wołgi, wprost w gorący, rozpalony słońcem dzień. Miał wtedy sześć lat. Zatrzymali się może dziesięć metrów od miejsca, w którym teraz stał.

Chciał pobiegać, zrobić przynajmniej jedno okrążenie wokół jeziora, ale zamiast tego zapalił papierosa. Spojrzał na leżącą na siedzeniu obok kierowcy, opróżnioną w połowie butelkę whisky i treść żołądka cofnęła mu się do gardła.



Wszystko zagrało, nawet wygłoszone na antenie pozdrowienia od najpopularniejszego prezentera Trójki.

– Marek, jestem ci winien dobrą kolację. Puścili to na głośniki, aula wiwatowała. Stałeś się bogiem, a ja przy tobie bożkiem. Zawsze coś. – Zadzwoił, nim audycja się skończyła, i nagrał podziękowania. Potrafił dziękować. Wiedział, że to się opłaca.

Wrócił na salę. Atmosfera była coraz bardziej gorąca. Ludziom zebrało się na wspominki.

– A pamiętacie, jak na francuskim Sum kazał Terleckiemu włączyć światło, a on otworzył okno!? Po trzech latach nauki! Do dzisiaj pamiętam wyraz jego

twary, to była chyba jego największa porażka pedagogiczna w życiu. Nie obraź się, Rafał, ale z francuskiego byłś tuman. – Jarek klepnął go mocno w plecy. – Nie garb się tak. W telewizji też to źle wygląda.

– Czy ja mam ci przypomnieć telegram od Justyny? I jak zapytałeś, czy chce z tobą chodzić? Zrobiłeś to w kiblu, podczas moczenia gąbki do wycierania tablicy. Romantycznie! – Odgryzł się.

Pili, rozmawiali i przerzucali się wspomnieniami. Właściwie krzyczeli, bo normalną rozmowę zagłuszała zbyt głośna muzyka. Alkohol lał się coraz szybciej, niektórzy gasili papierosy w talerzykach z sałatką. Klasyka.

– Chciałbym z tobą pogadać. Kiedy uciekasz? – Paweł Zdanowski był już nieźle pijany i zapewne dlatego niemal się na nim uwiesił.

– Nie wiem. Wziąłem kilka dni urlopu, muszę odpocząć. Zadzwoń – odpowiedział.

– Na pewno. Mam naprawdę ważną sprawę. Naprawdę. To duża afera, na pewno cię zainteresuje – podkreślił bełkotliwie.

– Jasne. Koniecznie zadzwoń. – Starał się, aby Zdanowski usłyszał w jego głosie zaintrygowanie. Miał nadzieję, że mu się udało. Nie chciał psuć atmosfery.

Rozdział 2

BORUJA NAD JEZIOREM KUŹNICKIM, CZERWIEC 2018

Dobrze się prezentował w wędkarskim stroju. Szczupły, z lekką siwizną, poruszał się sprężystym krokiem.

– Udany połów? – Rafał Terlecki z ociąganiem podniósł się z wiklinowego, niezbyt wygodnego fotela.

– Przywiozłem kilka ładnych płoci. Tylko czy telewizyjna gwiazda potrafi skrobać ryby? – Paweł Zdanowski autentycznie się zafrasował.

– Potrafi, potrafi. Wprawdzie dawno tego nie robiłem, ale chyba dam radę. Dziękuję. – Chwycił siatkę i aż gwizdnął z zachwytu. – Dobry jesteś. Czego się napijesz?

– Mam flaszkę. – Zdanowski wyciągnął z przewieszanej przez ramię torby czarnego johnniego walkera i pojemnik z lodem. – Nie wiedziałem, czy masz w tej głuszy zamrażalnik. A jak się jest człowiekiem lasu, to ma się w samochodzie lodówkę i inne przydatne utensylia.

Terlecki rozlał kolejkę. Stuknęli się szklankami i rozsiedli w fotelach. Gdy wypili, zapadła niezręczna cisza. Nic dziwnego, jeśli nie liczyć przedwczorajszego zjazdu z okazji rocznicy matury, nie widzieli się od trzydziestu sześciu lat, a i wcześniej ich kontakty były raczej sporadyczne. Chodzili do równoległych klas, czasem obaj występowali w szkolnym teatrze, mieli wspólny wuef. Rafał nie wiedział nawet, czym Zdanowski się zajmował. Coś mu świtało, że po studiach pracował w urzędzie miejskim, ale bmw 6, którym przyjechał do Borui, nie mogło pochodzić z samorządowej pensji.

– Powiodło ci się. To pewnie stresująca praca? – Paweł pociągnął kolejny łyk. – Widziałem ostatnio twój wywiad z premierem. Dobrze go przycisnąłeś. Te jego opowieści z tysiąca i jednej nocy... Jak myślisz, długo się na tym stanowisku utrzyma?

– Trudno powiedzieć, zobaczymy, jak to się potoczy. On to kocha i hołduje gomułkowskiej zasadzie „władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy”. A ty czym

się zajmujesz? Kiedyś pracowałeś chyba w wolsztyńskim urzędzie, dobrze pamiętam?

– W starostwie powiatowym, ale to stare dzieje. Ojciec przekazał mi swoją fabrykę mebli kuchennych i pcham ten wózek od ponad dwudziestu lat. Pracujemy dla IKE-i, sporo eksportujemy do Niemiec i Wielkiej Brytanii. Nie narzekam. – Zdanowski sięgnął po lód, napełnił szklanki. Wypili.

Gdy poziom alkoholu w butelce dawno już minął półmetek, Paweł sięgnął po leżące na stoliku papierosy.

– Mogę? Nie palę od sześciu lat, od zawału. Ale jeśli pozwolisz, to się poczęstuję. – Wyłuskał papierosa z leżącej na stoliku paczki. – Mam sprawę, która mogłaby cię zainteresować. Jest dziwna.

– Paweł, zajmuję się polityką. Jeśli to dotyczy prezydenta, premiera, ministrów, jakiegoś prominentnego posła, to tak, to może mnie zainteresować. Ale poziom gminy nie, to mnie nie interesuje. Wybacz, mówię szczerze, bo nie chcę cię rozczarować.

– Posłuchaj, Rafał. Siedzimy sobie, pijemy niezłą whisky, rozmawiamy. Co ci szkodzi posłuchać? To jest ciekawe. Mam pieniądze...

– Stary, jeśli sugerujesz, że... – Terlecki aż się zaczerwienił.

Przed laty, gdy pracował w jednym z czołowych tygodników politycznych, poznał trochę tych lokalnych bossów, którzy sądzili, że każdego dziennikarza można kupić, wręczając mu kopertę i zapraszając na dobrą kolację. Wystrzegał się tego jak diabeł święconej wody. W osiemdziesiątym ósmym, gdy stawiał w dziennikarstwie pierwsze kroki, jeden z takich zaprosił go do siebie, postawił poczęstunek – górę kiełbas i niebotyczne ilości wódki – a na koniec, gdy jego kontakt z rzeczywistością był już bardzo problematyczny, ubrał go w swoją skórzaną kurtkę i kazał kierowcy odwieźć do domu. A następnego dnia zjawił się w redakcji i zażądał, aby załatwił mu telefon w miejscowym urzędzie. „Tobie jako dziennikarzowi na pewno nie odmówię, a mnie telefon jest niezbędny do prowadzenia biznesu” – przekonywał. Terleckiego ta kurtka parzyła później przez rok, w końcu oddał ją znajomemu.

– Ja pierdołę, Rafał, nie. Niczego nie sugeruję. Ale jeśli ta sprawa cię zainteresuje, jeśli rzeczywiście się w nią wciągniesz, to jej rozwiązanie będzie się wiązało z pewnymi kosztami. Jestem gotowy to sfinansować. Tak zwyczajnie, pro publico bono. Bo chciałbym poznać rozwiązanie tej zagadki. Spójrz na to.

Sięgnął do leżącej obok fotela skórzanej eleganckiej teczki, z której poprzednio wyciągnął butelkę whisky. Rafał dopiero teraz uświadomił sobie, że na początku spotkania Zdanowski, moszcząc się w fotelu, starannie ułożył ją blisko siebie. Zastanowiła go wówczas ta staranność, pomyślał nawet, że być może gość przywiózł ze sobą więcej butelek.

– Zauważyłeś, że Wolsztyn to bogate miasto? Wyjątkowo bogate nawet jak na Wielkopolskę. Kiedyś nowe biznesy wyrastały tu jak grzyby po deszczu.

– W tym twój. Sądząc po samochodzie, wczasach, o których opowiadałeś na zjeździe, wędkarskich wyprawach na marliny na Florydę, nie możesz narzekać. O co właściwie chodzi? Wkurwiasz się, że ludzie się dorobili, że lepiej im się żyje? Bez tego nie sprzedawałbyś swoich mebli. W Wolsztynie ludek zawsze był zmyślny i pracowity, więc wykorzystuje koniunkturę. –

Terlecki patrzył na swojego rozmówcę ze zniecierpliwieniem. Kolejny wyznawca teorii, że „jak ktoś ma majątek, to skądś go ma”.

Zdanowski wyprostował się w fotelu. Chwycił szklanę i wlał w siebie potężny haust. Dziennikarz zaczął się zastanawiać, jak zamierza wrócić do domu. Droga z Kuźnicy do Wolsztyna była dość ruchliwa, jeździło tu sporo TIR-ów mknących do Nowego Tomysła i dalej na autostradę A2.

– Przyjedzie po mnie kierowca, nie martw się. – Paweł jakby czytał w jego myślach. – Należesz? Mam jeszcze jedną butelkę.

Zaczynało się ściemniać. Patrzyli na jezioro, w którym odbijało się zachodzące słońce. Brakuje tylko łabędzi i ryczącego jelenia. Niczym landszafty, które kiedyś widywało się w wielu wielkopolskich domach. Ciekawe, czy nadal wiszą, pomyślał z ironią Terlecki.

– Nie powiedziałem wczoraj wszystkiego, trochę się oczywiście popisywałem. Wiesz, jak to jest. Wszystko, co mówiłem, jest prawdą, ale ostatnio biznes idzie gorzej. Nie dlatego, że popełniłem jakieś rażące błędy, zapewniam cię. Planują mnie załatwić. Stałem się niewygodny, nie chcę wejść w pewien układ. – Zdanowski sięgnął po kolejnego papierosa. – Ale nie chodzi o pieniądze. Swoje zarobiłem, wystarczy mi do końca życia, dzieci nie mam. Po prostu mierzi mnie ten układ.

– Szlachetne. Jaki układ? Przy wieczornym pokerku proboszcz zmówił się z aptekarzem i dyrektorem szkoły, aby uwalić biznes Zdanowskiego?

Paweł spojrzał na niego nieco już zamglonym wzrokiem.

– Zepsuła cię ta Warszawa. Myślisz, że życie jest tam, a ono jest tutaj. Dużo bardziej tutaj. Śmierć też jest tutaj. I jeszcze gorsze rzeczy też są tutaj.

Rafałowi te słowa wydały się nad wyraz dramatyczne, więc dyskretnie się uśmiechnął.

– Zadzwoń po kierowcę, mam dość. Będzie tu za pół godziny. Ale chciałbym, abyś coś przeczytał. Jeśli cię to nie zainteresuje, w porządku, po prostu mi to oddasz. Mam jeden warunek. Nikomu tego nie pokazuj i dobrze to dzisiaj schowaj, bo jeśli ktoś to zobaczy, będziesz miał kłopoty. Ja też, i wiele innych osób. – Paweł sięgnął do teczki i podał Rafałowi niebieski segregator. – Nalej rozchodniaczka.

Terlecki wziął teczkę. Chciał ją otworzyć, ale Zdanowski go powstrzymał.
– Zostaw to na jutro. Ty właściwie jesteś żonaty?

– Nie złożyło się – odpowiedział machinalnie.

Wspominali stare czasy, gdy na drodze zamajaczyły światła samochodu. Zdanowski zaczął się zbierać. Opróżnił szklankę już na stojąco.

– Zadzwoń pod ten numer. – Podał mu wizytówkę. W bladym świetle Rafał dostrzegł, że jest na niej wydrukowany tylko numer telefonu. – Będę czekał.

Rozdział 3

POCZĄTEK KWIETNIA 1969

Czuł, że papierosowy dym zmieszany z odorem niedomytych ciał przenika każdy fragment jego ubrania, każdą nitkę białej kupionej w Salzburgu koszuli i uszytego w Linzu garnituru. Ludzie zerkali w kierunku jego stolika, na którym stała napoczęta butelka wódki, galart i do połowy opróżniona szklanka kawy. Nie znosił tutejszej kawy, a ta była na dodatek wybitnie lurowata.

Jakiś młodzieniec chwycił stojące przy jego stoliku krzesło, ale Zdzisław Skibniewski warknął, aby odstawił je z powrotem.

– Czekam na kogoś.

– Już nie przyjdzie. – Młodzieniec zarechotał, odsłaniając braki w uzębieniu.

– Zostaw, mówię.

Tamten wrócił do stolika, przy którym siedziało trzech podobnych mu drabów. Wychylili kieliszki, popijając piwem. Zerkali w jego stronę, dyskutując z ożywieniem, ale do Skibniewskiego docierały tylko pojedyncze słowa.

– Lepiej niech pan idzie. To bandziory, tylko czekają na okazję do bitki. To pana rachunek. – Kelnerka, pani Róża, jak ją wszyscy w Wielkopolsce tytułowali, nie wydawała się specjalnie załężniona.

– Pani się ich nie boi, dlaczego ja miałbym się bać?

– To niech pan się nie boi, ale niech pan już idzie. I tak nic więcej panu nie podam. – Wskazała wiszący na ścianie napis „Pijanych nie obsługujemy”.

Sięgnął po wypełniony setkami portfel. Wystudiowanym ruchem wyciągnął banknoty i podał kelnerce, dokładając suty napiwek.

– To za to, aby trzymała pani dla mnie ten stolik. Wyjdę, a później wrócę. Wszystko ma zostać na swoim miejscu.

– Jak długo?

– Kwadrans wystarczy.

Wystarczyło niewiele ponad dziesięć minut. Gdy wrócił na salę, papierosowy dym wydawał się jeszcze gęstszy, zapadła cisza. Wszyscy mężczyźni – na sali poza kelnerkami nie było żadnej kobiety – patrzyli w jego kierunku.

– Wróca. – Pani Róża, potężna tleniona blondynka, której wiek skrywała gruba warstwa makijażu, spojrzała na niego obojętnie.

– Nie dzisiaj. I nie w najbliższym tygodniu.

Do stolika podszedł niski krępy mężczyzna z napoczętą butelką wódki i dwoma kieliszkami.

– Pozwoli pan, że się razem napijemy? Jestem Marian Zdanowski, mistrz Zdanowski.

– Miejscowy szewc – wyjaśniła pani Róża.

– Mistrz cholewkarski – oświadczył Zdanowski z godnością, właściwą podpitym mężczyznom.

– Bardzo chętnie, zapraszam. Zdzisław Skibniewski. Ale napijemy się z mojej. Nalegam. A panią poproszę o kolejkę dla wszystkich gości. Na mój rachunek. Po pięćdziesiątce.



Pół godziny później stolik oblegało sześciu mężczyzn, którzy z uwagą, na jaką pozwalał im stan niemałego już upojenia alkoholowego, wsłuchiwali się w słowa Zdzisława Skibniewskiego. Pani Róża uwijała się jak w ukropie, donosząc kolejne butelki, flaczki i galart. Mając w pamięci napiwek wręczony jej przy regulowaniu pierwszego rachunku, stanowczo odrzuciła ofertę pomocy ze strony koleżanek. Zmęczenie zwalczała kolejnymi łykami dobrze zaprawionej wódką herbaty, której szklankę ukryła za barem.

– Co to za gość? – zapytała barmanka Gienia.

– Niewiele słyszałam. Wrócił z Zachodu, chyba z Anglii. Jego żona jest stąd, ale nie wiem, jak brzmi jej panięskie nazwisko. Mieszkają zaraz tu, za cmentarzem radzieckim. Ma bardzo wypchany portfel.

– Mam nadzieję, bo do zapłacenia jest duży rachunek. Trzeba dbać o takiego gościa.

– A co ja, Gienia, robię?

– Uważaj, Róża, rano Ucho weźmie cię na spytki.

– Wiem, skurwiel mało nie wypadnie z za tej swojej lady. – Obie spojrzały w kierunku szatni.

Dwie godziny później, kiedy zbliżała się już północ, Skibniewski chwiejnym krokiem w towarzystwie sześciu swoich kompanów wyszedł z Wielkopolanki. Dwóch z nich szło w tym samym kierunku, nie mógł więc sprawdzić, czy młodzi bandyci, którzy na początku tego upojnego wieczoru zamierzali go pozbawić portfela, nadal leżą przy kościele pod wezwaniem Wniebowstąpienia Pana Jezusa. Miał nadzieję, choć właściwie było mu obojętne, czy jakoś udało im się pozbierać. Z nowymi kumplami rozstali się bardzo wylewnie, jak to zwykle pijani, przy ulicy Rzecznej. Skibniewskiego trochę korciło, aby wrócić pod kościół, ale ostatecznie machnął ręką. Nie czuł urazy do młodych robotników, przeciwnie, ułatwili mu zadanie.

Uznał, że spośród jego nowych pierwszych w Wolsztynie znajomych najlepiej rokuje szewc, „mistrz cholewkarski”, poprawił się w myślach, kierowca ciężarówki oraz właściciel zakładu murarskiego. Wprawdzie żaden z nich nie porażał inteligencją, za to każdy z zazdrością wpatrywał się w jego wypchany czerwonymi setkami portfel. Zwrócił też uwagę na smukłego, lekko już siwiejącego mężczyznę, nauczyciela, który przedstawił się jako artysta plastyk Edmund Terlecki. Uznał, że pieniądze nie zrobiły na nim wielkiego wrażenia, ale z uwagą słuchał jego opowieści.

Inteligentny i cyniczny, będzie przydatny, pomyślał, zdejmując spodnie. Żona lekko pochrapywała. Spojrzał na jej rozłożone we śnie nogi i unoszące się pod wpływem oddechu rozlane piersi opięte koronkową koszulką. Też z Linzu. Uznał, że to będzie dobre zakończenie udanego wieczoru.

Rozdział 4

WOLSZTYN, POCZĄTEK CZERWCA 2018

Rafał Terlecki siedział na tarasie i przeglądał niebieski segregator z kopiami policyjnych akt, który dostał od Pawła. Starał się nie patrzeć na zdjęcia ofiary, zbyt drastyczne do oglądania nawet po sporej dawce alkoholu.

Odcięcie uszu, języka i wydłubanie oczu to chyba nie jest coś, co praktykuje się na lekcjach biologii, pomyślał. Nastolatek miałby to zrobić sam, a później jeszcze ukrzyżować ciało na ścianie? Przecież to niemożliwe.

Przekartkował akta i sprawdził, ile ważyła ofiara. Pięćdziesiąt sześć kilogramów. Niemożliwe, pomyślał po raz kolejny.

Spojrzał na jezioro. Powierzchnia lekko falowała, z oddali dobiegała muzyka i przytłumione śmiechy. Prawdopodobnie gdzieś w pobliżu imprezowała jakaś grupa młodych ludzi. Nic dziwnego, na razie Boruja była wolna od letników, ale zbliżał się koniec roku szkolnego i młodzież pewnie oblewała nadciągający finał całorocznych zmagania z nauczycielami. Przed laty robili to samo, choć z reguły w wąskim gronie. Już wtedy nad hałaśliwe imprezy przedkładał nocne dyskusje, podlewane winem lub wódką. Przyjeżdżali tu z Bartkiem Nowickim rowerami, zakopywali się w śpiworach na tarasie domku kempingowego rodziców i gadali w nieskończoność. O polityce, sporcie, historii. Oczywiście również o dziewczynach i nauczycielach.

Wstał z fotela i z butelką, w której poziom alkoholu niebezpiecznie się obniżył, wszedł na pobliski pomost. Zapalił i wziął łyk whisky. Co tym główniarzem kierowało? Skąd to okrucieństwo i furia? – zastanawiał się po raz kolejny.

Terleckiemu najbardziej jednak nie pasował w tej zbrodni brak konsekwencji. Odcięcie języka, uszu i przede wszystkim wyłupienie oczu wymagało zimnej krwi, spokoju i precyzji. Tymczasem dziewczyna zginęła od kilkunastu ciosów – kilkunastu! – dużym kamieniem. Śmierć została jej zadana z niebywałą gwałtownością, jakby sprawca wpadł w furję, a później

nagle się uspokoił i zaczął działać według przygotowanego wcześniej scenariusza.

Odwrócił się i spojrzał w kierunku swojego domku kempingowego, niskiego budynku ukrytego za sztachetami starego drewnianego płotu. Nagle przypomniała mu się wczorajsza wizyta nieznanego mężczyzny. Przyjechał wieczorem i początkowo był wręcz przymilny, aby na koniec spotkania wygłosić dość czytelną groźbę.

Terlecki sięgnął po spoczywający w kieszeni telefon. Zdanowski odebrał po drugim dzwonku.

– Przeczytałeś?

– Tak. Musimy się spotkać. Ale mam inne pytanie. Odwiedził mnie tutaj jakiś dziwny człowiek. Przyjechał czarnym amerykańskim SUV-em z przyciemnionymi szybami. Potężny gość, jasnowłosa, z kolczykiem w uchu. Mówi ci to coś?

– Jeśli w tylnej klapie miał naklejkę „I love Hollywood”, to aż za dużo. To były kajakarz, powinienes go pamiętać, Maciej Sworowski, kiedyś ocierał się nawet o kadrę narodową. Prowadzi dużą firmę logistyczną. Buc, ale bogaty buc. Chce uchodzić za szefa miejscowego biznesu. Ten jego SUV to dodge escalade, istny potwór. Czego chciał?

– Chyba próbował mnie nastraszyć. Kazał mi uważać na dawnych znajomych. Musiał wiedzieć, że się wczoraj spotkaliśmy. O co tu chodzi? I skąd masz policyjne akta? Przecież to kryminał. – Terlecki czuł się dezorientowany.

– Porozmawiamy jutro. Zadzwoń. Ale uważaj na siebie. I nie pij więcej.

Połączenie zostało przerwane.

Terlecki wrócił na taras, posprzątał, usunął piętrzące się w dużej popielniczce niedopałki i patrząc na jezioro, dopił whisky. Lekko objając się o ścianę, odstawił pustą już butelkę obok zlewu.

– Dupek – powiedział głośno, rozmyślając o właścicielu czarnego SUV-a. – Naoglądał się westernów.

Śniła mu się okaleczona ludzka głowa turlająca się między grządkami. Obudził się przed piątą. Próbował zasnąć, ale bez powodzenia. Pół godziny później ubrał się w sportowe ciuchy, mocno zawiązał sznurowadła i poszedł biegać. Pierwszych kilkaset metrów było trudne, żołądek co chwila

podchodził mu do gardła, ale w końcu złapał rytm. Obiegnięcie jeziora zajęło mu niemal godzinę. Kiepsko, ale był zadowolony, że zmusił się do wysiłku.

Wysłał esemes do Zdanowskiego i ponownie zagłębił się w lekturze akt. Wynotował sobie najważniejsze wątpliwości i ruszył do Wolsztyna. Żałował, że nie zabrał z Warszawy roweru.

Spotkali się w parku przy dawnej siedzibie hrabiów Mycielskich. Do niedawna znajdowała się tu restauracja i hotel, ale teraz budynek stał pusty. Paweł wyjaśnił, że najemca się wycofał, a poszukiwania nowego spełżyły na niczym. Wolsztyn nie leżał przy uczęszczanej trasie, a choć miasto rozłożyło się między dwoma dużymi jeziorami, to oba były zanieczyszczone i nie przyciągały zbyt wielu bogatych turystów, w każdym razie nie takich, którzy chcieliby tu spędzić kilka dni. Owszem, miejscowa parowozownia stanowiła sporą atrakcję, także międzynarodową, ale wielbiciele parowozów z reguły spędzali w mieście tylko jeden dzień. Jeśli więcej, to wybierali mniej okazałe i tańsze miejsca noclegowe.

– Sworowski nie mógł wiedzieć o naszym spotkaniu. Nikomu nie mówiłem, z całą pewnością nikt mnie nie śledził. Błefował. To nie są idioci, pewnie skojarzyli, że jeśli się znamy, jeśli byłeś na zjeździe, to poproszę cię o pomoc.

Szli w kierunku plaży i zabudowań, w których znajdowała się wypożyczalnia kajaków i łodzi.

– Jacy oni? Czy ta wizyta ma jakiś związek z zamordowaniem tej dziewczyny? I skąd masz te policyjne akta? – Terlecki nagle się zatrzymał.

– Mam i już. Mimo wszystko zostało mi tu jeszcze kilku przyjaciół. Nie wszyscy chcą się godzić na draństwo, które dzieje się w tym mieście. Nie pytaj, od kogo dostałem, bo i tak nie odpowiem. Byłeś tam kiedyś? – Zdanowski wskazał ręką sporą kępę zieleni rozłożoną na jeziorze.

Przed nimi rozciągała się oddalona o kilkaset metrów wyspa. Terlecki bywał tam przed wielu laty, zimą, jako mały dzieciak, gdy jezioro zamarzało, a on śmigał po nim na łyżwach. Ale to było dawno, pewnie na początku, a najdalej w połowie lat siedemdziesiątych. Zimą po jeziorze spacerowały wtedy całe rodziny, nikt jakoś nie był przejęty, że lód może się załamać. Inna rzecz, że mrozy bywały wówczas naprawdę srogie.

– Nazywają tę wyspę Tumidaj. – Zdanowski się roześmiał.

– Romantyzm tutejszych mieszkańców zawsze mnie zachwycał. Ale zostawmy to. Te akta mnie zmroziły. To nie mogło wyglądać w ten sposób. Może masz jakiś punkt zaczepienia? – Terlecki sięgnął po papierosy.

– Tutaj nic nie jest tym, na co wygląda. To morderstwo jest fragmentem większej całości. I mam wrażenie, że sięga głęboko w przeszłość, bardzo głęboko. Czasów tużpowojennych, a może jeszcze wcześniejszych. Nie odniosłeś wrażenia, że ono miało charakter rytualny? – Zdanowski spojrzał na niego uważnie.

Brakowało mu tego słowa. Od początku taka myśl kołatała mu się po głowie. Kto mordując dziewczynę, nawet niesiony wielkimi emocjami, wydłubuje oczy, obcina język, uszy i krzyżuje ciało na ścianie? Nie miał doświadczenia w takich sprawach, jako dziennikarz tylko raz zajmował się morderstwem.

– Masz na ten temat swoją teorię. Opowiedz. – Stali przy sporych rozmiarów dębie. Paweł patrzył w górę, więc Rafał podążył za jego wzrokiem.

– To być może najbardziej fascynujące miejsce w Wolsztynie. Widzisz? Trzy płaskorzeźby przedstawiające twarze. Robótka Marcina Rożka. Mieszkańcy nazywają je „diablami”, ale nie jestem pewien, czy to oddaje intencje Rożka. Zdaje się, że był człowiekiem bogobojnym, skoro większość jego rzeźb miała charakter religijny. Ale o tym pewnie wiesz więcej ode mnie.

Nie wiedział. Dopiero teraz uświadomił sobie, że właściwie nie zna historii rodzinnego miasta. Ukończył wprawdzie studia historyczne, ale dzieje własnego regionu nigdy go nie pociągały. Nie chciał się jednak do tego przyznać, więc zbył uwagę milczeniem.

Spojrzał na Zdanowskiego i pomyślał, że jego dawny szkolny kolega trochę odleciał. Co wykonane w latach trzydziestych rzeźby mogą mieć wspólnego z brutalnym morderstwem szesnastoletniej Jolanty Guzikiewicz?

– Macie tu jakąś bibliotekę? Muszę trochę poszperać.

– Boże, jaki ty się zrobiłeś warszawski. „Macie tu jakąś bibliotekę”?! Ty się czasem słyszysz? – Zdanowski mocno klepnął go w plecy. – Na Gajewskich, przy straży pożarnej. A muzeum Rożka jest pięćset metrów stąd.

Rozdział 5

WOLSZTYN, CZERWIEC 2018

Wizyta w miejskiej bibliotece mile go zaskoczyła. Okazało się, że lokalne pisma, a przynajmniej znaczna ich część – w tym wychodzący w Peerelu „Głos Wolsztyński” – są już zdigitalizowane i dostępne w internecie. Choć lubił przesiadywać w czytelnich i kartkować stare gazety, to jednak ucieszył się z tego udogodnienia.

Wsiadł do samochodu i pojechał do ogródków działkowych. Trochę kluczył, ale w końcu dotarł na miejsce. Więcej czasu strawił na odszukanie działki, na której znaleziono ciało dziewczyny. Zdanowski powiedział mu, że dawni właściciele, małżeństwo emerytowanych pracowników PKP, przez ponad rok, przerażeni wydarzeniami, które się tam rozegrały, za wszelką cenę chcieli sprzedać działkę. W końcu im się udało i teraz starannie utrzymane grządki oraz niewielki murowany budynek należały już do kogoś innego. Niestety, na działce nie było żywego ducha.

– Czego pan szuka? Nie wygląda mi pan na amatora darmowej kalarepy albo porzeczek. – Starsza tęga kobieta z torbą z Biedronki, tą dawną, kultową, wyrosła przed nim niespodziewanie. – Już prędzej jest pan amatorem mocnych wrażeń.

– Wie pani, kiedyś to się tutaj rzeczywiście kalarepę i rabarbar kradło, na czereśnie chodziło. Dzisiaj już nie, za stary jestem. Ale dobry rabarbar... – Rafał zawiesił głos i uśmiechnął się przymilnie.

Kobieta spojrzała na niego życzliwie.

– Rabarbar faktycznie udaje się tutaj nadzwyczajnie. A z czereśni to nic w tym roku nie będzie. Za sucho. Truskawki są, ale nie tyle co kiedyś. Marchew też zmarnowana, jakieś szkodniki się wdały. Do dupy to, panie. Więcej człowiek potu na tych grządkach zostawi, niż ma korzyści. A skąd ja pana znam? – Kobieta spojrzała na niego z zainteresowaniem.

– Ale miło mieć taką działkę. Roboty dużo, ale przynajmniej zielono, jest na czym oko zawiesić. No i człowieka cieszy, jak mu rośnie.

– Z wiekiem trudno już się schylać. Kiedyś to człowiek mógł robić, choćby i na kolanach. Teraz już nie, a młodzi się nie garną. Leniwe takie, wolą se kupić w warzywniaku albo na targu. Jeszcze jak dzieciaka małego mają, to owszem, bo że niepryskane. A potem to już za wygodne. Ja to, panie, mam synową z Kębłowa, ze wsi znaczy, ale to panusia, ona w ziemi robić nie będzie, bo niby już się narobiła. Gównu się tam narobiła. Więc sami tu z mężem robimy. – Kobieta coraz bardziej się rozkręcała. Nagle jednak przerwała i znowu spojrzała na Rafała. – Ale pana skądś znam. Czy pan nie jest czasem od Olejników, tych ze spółdzielni?

Zaprzeczył, ale miał wrażenie, że kobiety to nie przekonało. Nie bardzo wiedział, jak się od niej uwolnić, ale nagle sama zmieniła front.

– Tu się niedawno, dwa lata już będzie, straszna tragedia wydarzyła, słyszał pan? Mnie wtedy nie było, do sanatorium pojechałam, pierwszy raz w życiu, bo wcześniej nigdy nie dawali, a wtedy akurat dali. Miałam szczęście, bo może i mnie by wtedy zaszlachtował. – Ruszyli razem ku wyjściu. Powoli, bo ona najwyraźniej miała kłopoty z biodrem. Opierała się o laskę, w drugiej ręce zaś dźwigała torbę. Rafał chciał pomóc, ale bał się przerywać opowieść, która niespodziewanie wskoczyła na pożądane przez niego tory.

– Rzeź to była, panie, prawdziwa rzeź. To się u nas zdarza. Mój tatuś, świeć Panie nad jego duszą, opowiadał, że przed wojną też coś takiego się zdarzyło. W trzydziestym drugim lub trzydziestym trzecim, Piłsudski jeszcze żył. Wie pan, kto to Piłsudski? Pytam, bo wy, młodzi, teraz nic nie wiecie. Ino ta Europa i Europa. – Spojrzała na niego krytycznie.

Rafał słuchał uważnie. Gorliwie zapewnił, że nie tylko wie, kim był Marszałek, ale też bardzo go poważa. To wystarczyło.

– U hrabiny Mycielskiej to było, tak tatuś opowiadał. W parku u nich, przy jeziorze znaczy. Mówiłam to nawet jednemu milicjantowi, co u nas w bloku mieszka, ale zbył to machnięciem ręki. Że co, że stara jestem? Stara, ale wszystko pamiętam. Znaczą starsza siostra mi to teraz niedawno przypomniała. Ona krawcową jest. Była, znaczą się, teraz już nie szyje. Oczy sobie tym szyciem zmarnowała. – Przystanęli tuż przed pomalowaną na szaro przesuwaną bramą. Terlecki pamiętał, że kiedyś brama była zielona i widniały nad nią wycięte z blachy litery układające się w napis „Pracownicze Ogródki Działkowe”.

Wystraszył się, że wraz z jej przekroczeniem kobieta przestanie mówić. W panice zastanawiał się, czy zaproponować jej podwiezienie do domu, bał

się jednak, że w ten sposób zburzy nastrój. Na szczęście kobieta postanowiła kontynuować swoją opowieść.

– Mycielscy, Michałowscy raczej, bo córka hrabiny Mycielskiej wydała się za Michałowskiego, to prawdopodobnie dobrzy ludzie byli. Tak tu o nich mówią. Znaczą kiedyś mówili, bo dzisiaj już nikt ich nie pamięta, ludzie nic nie wiedzą. A ja pamiętam. Hitlera przeżyłam, Stalina przeżyłam, pamiętam. Tatuś dobrze o nich mówił, znaczą o Mycielskich i Michałowskich, nie o Hitlerze i Stalinie. Wrócili tu później, po wojnie, ale pałac im już wtedy komuniści odebrali. Potem gdzieś wyjechali, niektórzy mówili, że na te całe ziemie odzyskane, inni, że wywieźli ich do Rosji, na Sybir. Ja myślę, że ten Sybir jest bardziej prawdopodobny. Wie pan, jak wtedy było. Choć nie, pan za młody, żeby wiedzieć. A tatuś ostrzegwał przed komunistami. Wie pan... – Kobieta ściszyła głos. – Znał ich dobrze, w dwudziestym roku walczył pod Radzyminem. Później był kolejarem, parowozy prowadził. Rodzice tam wtedy mieszkali, ale po wojnie przenieśli się tutaj, aby dalej od Ruskich. Ale i tak przyszli. Ruskie znaczą.

Czuł, że kobieta coraz bardziej oddala się od interesującego go tematu. Postanowił zaryzykować.

– Co się tam wtedy u Michałowskich wydarzyło? – zapytał.

– To samo co tutaj. Mieli taką altanę, bogaci byli, gdzieś nad jeziorem, ale nie pamiętam już gdzie. Może siostra, Alina znaczą się, pamięta. Najprzód znaleźli ciało dziewczyny jakiejś. Miejscowej, tu z Wolsztyna. Ludzie mówili, że to podobnież ładacznicą była, ale kto ich tam wie. Podobnież to ciało było ukrzyżowane. Tak się wtedy mówiło, siostra mi opowiadała. Ona starsza jest. A później, tak już zaraz przed wojną, to samą hrabinę tak samo zamordowali. Też ją ukrzyżowali.

Rafał był podekscytowany. Zastanawiał się, jak potwierdzić opowieść kobiety. I czy – zakładając, że to prawda – ma to jakieś znaczenie. Obie zbrodnie, choć na pierwszy rzut oka zadziwiająco podobne, dzieliło przecież grubo ponad osiemdziesiąt lat. Z pewnością nie mógł jej dokonać ten sam człowiek. Zastanawiał się, czy znajdzie jakąś informację na ten temat w wydawanym na tym terenie przed wojną „Orędowniku na powiat wolsztyński”.

– A wiesz pan, że za komuny to się też zdarzyło? Podobno dwa albo trzy razy. Też chyba w parku u Michałowskich, który wtedy już nie był ich, tylko miejski. Komuniści im to odebrali i to nawet dobrze zrobili, bo człowiek miał

gdzie pójść, odpocząć, mężczyźni piwko mogli se wypić. – Marsowa mina kobiety wskazywała, że intensywnie stara się sobie przypomnieć. – Głośna sprawa to wtedy była.

– Złapali mordercę? – zapytał rozemocjonowanym głosem. Kobieta zaprzeczyła.

Zaproponował, że podwiezie ją do domu. Zawahała się, ale ostatecznie się zgodziła.

– Ładny samochód. Mój syn też ma ładny, ale nie aż tak. Czerwony. W Poznaniu mieszka – oświadczyła z dumą. – Dobrze mu się powodzi, ale zajęty jest, rzadko do nas zagłada.

Terleckiego kusiło, aby skierować rozmowę na poprzednie tory, ale obawiał się, że straci zaufanie kobiety. Podjechali na ulicę Żeromskiego, gawędząc o pogodzie i działkowych plonach. Kobieta z trudem wygramoliła się z samochodu. Chciał ją odprowadzić do drzwi, miał nadzieję, że zdoła z niej jeszcze coś wyciągnąć, ale z zadziwiającą stanowczością odmówiła.

– Nie chcę, żeby mnie sąsiedzi z obcym mężczyzną widzieli. Choć ja pana skądś znam. Na pewno nie jest pan od Olejników? – powtórzyła, przyglądając mu się podejrzliwie.

– Nie, ale kiedyś mieszkałem w Wolsztynie. Może mnie pani pamiętać. Choć to stare dzieje – odpowiedział. – Może się jeszcze spotkamy, to pani opowiem, bo teraz muszę już jechać. Ale dziękuję za rozmowę.

Zaczęło mu się spieszyć. Chciał jak najszybciej przejrzeć stare gazety, aby potwierdzić opowieść o dawnych zbrodniach.

– Czekaj no pan. Coś sobie przypomniałam, ale nie jestem pewna. Tak teraz myślę, że u Michałowskich to jednak nie było w altanie. To ciało znaczy się. No, pewna nie jestem, ale chyba tę ladacznice, tę, co ją ktoś zamordował, to jednak nie w altanie znaleźli. Chyba do drzewa ją przybili, do jakiegoś dębu. Tak mąż opowiadał, bo on kiedyś dużo z tatusiem rozmawiał, to pewnie pamięta. Nawet niedawno to mówił. Ale pewności nie mam. W latach już jestem, pamięć nie ta. – Ruszyła asfaltową ścieżką. Nagle zatrzymała się i przywołała go niecierpliwym ruchem ręki.

– Już wiem, przypomniałam sobie. To było w parku, przy dębie. Przecież później, w tym samym miejscu, znaleźli jeszcze trzy, tak, chyba trzy, trupy kobiet. Ale to pan pewnie wie, bo to przecież było za komuny, to jak pan jesteś od Olejników, to przecież musiałeś pan coś o tym słyszeć. Brat Olejnika

był przecie w milicji, tej dawnej, obywatelskiej. To było jakoś tak co dziesięć lat, pierwsze chyba jeszcze za Gomułki. Czy Olejnik nie był czasem komendantem? – Kobieta zamyśliła się i nieomal wypuściła z ręki torbę z Biedronki.

Nie chciało mu się po raz kolejny tłumaczyć, że nie ma nic wspólnego z żadnym Olejnikiem, więc tylko pokiwał głową i podziękował. Wrócił do samochodu i zapalił papierosa. Teraz sobie przypomniawszy. Rzeczywiście, mówiło się wówczas o jakimś brutalnym morderstwie w parku.

Już chciał odjechać, ale uświadomił sobie, że nie zna nawet nazwiska kobiety. Nie chciał za nią biec, więc tylko obserwował, do której klatki schodowej wchodzi. W razie czego ją znajdzie, pomyślał. Bo może warto byłoby z tym mężem i siostrą porozmawiać.

Rozdział 6

POCZĄTEK ZIMY 1912

Franciszek patrzył spod przymkniętych powiek na modlących się z pokorą chłopów. Zebrało ich się dzisiaj nawet więcej niż w Tłokach. Modlitwa rozbrzmiewała głośnym echem, ale panujący w izbie zaduch spowodował, że Franciszkowi zakręciło się w głowie i z trudem utrzymywał krucyfiks. Gdy skończyli, przedarł się do drzwi i wypadł na dwór, łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami.

– Wszystko dobrze, proszę księdza? – Głos był młody, ale słowa niezbyt wyraźne. – Może łyknie ksiądz wódki, to zaraz się poprawi.

– Wódka jest narzędziem szatana – warknął. – Nie tykam jej nigdy.

Ruszył w kierunku sań i zaległ na sianie, szczelnie okrywając się kożuchem.

– Ty mnie odwieziesz? – Dopiero teraz spojrzał na swojego rozmówcę. Przypomniał sobie, że był na spotkaniu w Tłokach, a później, zdawało mu się, że widział go również w Adamowie i Karpicku. Przeszył go strach. – Śledzisz mnie? Dla kogo pracujesz? Dla Prusaków czy Żydów?

W oczach chłopaka dostrzegł zdumienie, jego usta wykrzywiły się w nienaturalnym grymasie. Zdjął czapkę, odsłaniając czarne, kręcone włosy, i miętosił ją w rękach.

– Nie, nie, nie. Ja... – Chłopak padł na kolana. Jego słowa docierały teraz do Franciszka nieco przytłumione. – Ja tylko słucham księdza dobrodzieja. To, co ksiądz mówi, co ksiądz powiedział... To mnie uderzyło, słowa księdza znaczy. Ja to czuję, widzę wokół siebie to zło. I chciałbym, pragnę tego z całego serca, być takim rycerzem, o jakim ksiądz opowiada. Te chwasty, to ja chciałbym je wyrwać, bo dużo ich widzę wokół siebie.

Franciszek z trudem uniósł się na saniach. Ciężki kożuch zsunął się na siano i tęgi mróz wdarł się przez liches płaszcz, chłodząc jego spocone ciało. Chłopi stojący przed chatą spoglądali w ich stronę, paląc papierosy. Wściekłość przysłoniła mu oczy, o tym przecież im cały czas prawił,

tłumaczył, że tytoń jest jednym z narzędzi ich zniewolenia. Zacisnął powieki i głęboko wciągnął powietrze.

– Wstań. Opowiesz mi po drodze. Mamy dużo czasu. Ruszaj już! – krzyknął, zniecierpliwiony.

Jechali w milczeniu. Franciszek, wyczerpany ostatnimi wydarzeniami – od kilku tygodni, po wykonaniu normalnych, duszpasterskich obowiązków, wyrwał się z parafii i krążył po okolicznych wioskach – zapadł w drzemkę. W jego serce powoli wsączało się zniechęcenie, bo choć wkładał w swoje dzieło wszystkie siły, cały trawiący go żar, to jednak nie widział efektów. Choć teraz, zimą, chłopci rzadziej zjeżdżali do Wolsztyna, furmanek stojących przy Poznańskiej było znacznie mniej, to jednak nie miał złudzeń, że to efekt jego działalności. W izbach, w których się z nimi spotykał, wyraźnie czuł odór wódki i skwaśniałego piwa, a parafianki w trakcie spowiedzi cały czas opowiadały, jak gziły się z parobkami i obcymi mężczyznami. Wieczorami powtarzał sobie, że sieje ziarno, że nim ono wszędzie, trzeba czasu, ale jego nadzieja z wolna gasła.

Przebudził się przed skrzyżowaniem prowadzącym do Chorzemina i gwałtownie usiadł. Kozuch znowu zsunął się na siano i Franciszek poczuł uderzenie mrozu.

– Zmęczony ksiądz – stwierdził chłopak i spojrzał na niego z troską.

– Dlaczego mówisz tak niewyraźnie?

– Taki się urodziłem, z tą rozpękniętą wargą. Doktor nie pomógł, a i Henryk z Karpicka, który przecież wyleczył wielu ludzi, też nie dał rady. I tak zostało. Przez to rozpęknięcie ludzie mnie nienawidzą, a niektórzy się mnie boją. Zwłaszcza dziewczyny. Po kątach szepczą, że syn szatana, dobrze wiem, że tak mówią. Ale to nieprawda! – krzyknął.

– Jesteś parobkiem?

– Nie, synem gospodarza. Świderskiego z Tłok. Ale ojciec mnie nie chce. Tyle co do roboty. A tak to mam mu z oczu spierdalać, zejść znaczy się. Nawet w chacie nie ma dla mnie miejsca, mieszkam w stajni. Więc pewnie, właściwie, gorszym od parobka – dodał refleksyjnie.

Franciszek pomyślał, że los tego chłopaka, Bogusław mu było, niewiele różnił się od tego, czego sam zaznał w dzieciństwie.

Kazał chłopcu skręcić na Chorzemin. Droga do Niałka, gdzie znajdował się dom parafialny, była nieco dłuższa, ale nie chciał znowu przejeżdżać obok

dworu Mycielskich. Widok pałacu rozdrapywał ranę w jego sercu, a pragnął się skupić na rozmowie z Bogusławem. Czuł, że zesłała mu go, teraz gdy zaczął już powątpiewać w swoje plany, Matka Boża, ale wiedział, że musi działać roztropnie.

– Masz ty jakichś przyjaciół, którym możesz zaufać? – zapytał, gdy wreszcie udało mu się przedrzeć na kozioł. Po wyjściu z siana czuł, jakby temperatura spadła o kilka stopni, wiatr wiał mu teraz prosto w twarz, ale nie chciał uronić nawet słowa.

– Nie. Na zabawy przestałem chodzić, bo żadna dziewczucha i tak tańczyć ze mną nie chciała. Ot, czasem tylko kwaterkę gorzałki z chłopakami z Tłok wypijemy... Ale ja już, proszę księdza, teraz pić nie będę – zreflektował się poniewczasie.

Sanie sunęły po zmarzniętym śniegu. W Chorzeminie pogoniły ich psy, a później przez drogę przebiegło kilka saren. Bogusław Świdorski coraz odważniej, coraz pewniejszym głosem odpowiadał na pytania Franciszka, relacjonując stosunki w okolicznych wsiach. Jego słowa utwierdziły księdza w przekonaniu, że postępuje słusznie.

– A o tych Żydach to prawda? Bo wcześniej ksiądz o tym nie mówił.

Rzeczywiście, wcześniej nie wspominał, że jeszcze podczas nauki w poznańskim seminarium wraz z dwoma innymi alumnami wyprawił się do położonego w sąsiedztwie rynku kościoła Najświętszej Krwi Pana Jezusa. To tam w XVII wieku – gdzie wtedy stała kamienica, a na jej miejscu wybudowano później kościół – odnaleziono stół, na którym trzy stulecia wcześniej Żydzi sprofanowali wykradzione z jakiejś świątyni hostie. A później, aby sprawdzić, czy hostia jest rzeczywiście ciałem Jezusa Chrystusa, kłuli je nożami. Trysnęła krew, która przywróciła wzrok towarzyszącej im kobiecie. Przerażeni oprawcy próbowali utopić hostie najpierw w studni, a później na pobliskich, nadwarciańskich bagnach. Na próżno jednak.

– Prawda, sam możesz sprawdzić. Pielgrzymuje tam wielu Polaków, dobrych katolików. Dasz radę wyrwać chwast? Jesteś gotów, aby stać się rycerzem Maryi?

– Na pewno, proszę księdza. Ale czy to... Czy to nie będzie grzechem? Nie spłonę od tego w ogniu piekielnym? – zapytał drżącym głosem.

– Jak może być grzechem coś, co każe ci zrobić ksiądz? Jestem wysłannikiem Boga na ziemi. A wiesz ty, kto poświęcił ten krucyfiks, który zawsze wożę ze sobą i pod którym modlimy się po każdym spotkaniu? Sam papież, Bogusławie, sam papież Pius Dziesiąty go poświęcił. Bo on wie o całej sprawie, on mnie tutaj przysłał, abym działał na chwałę Kościoła i ku odrodzeniu Polski, naszej umiłowanej ojczyzny.

Chłopak się przeżegnał. Ksiądz Franciszek spojrzał na jego wykrzywione usta z czeluścią ciągnącą się aż do nosa i ten widok napełnił go wstrętem. Dopiero teraz zauważył, że lewa powieka chłopaka jest mocno obniżona, przez co wydawało się, że oko ma niemal całkowicie zamknięte. Franciszek z trudem powstrzymał się przed odwróceniem wzroku.

– I sam święty papież się o mnie dowie?

– Dowie się, Bogusławie, dowie się, gdy tylko wykonasz mój pierwszy rozkaz. Zgadzasz się?



Dochodziła północ, gdy sanie zatrzymały się przed budynkiem parafii Najświętszej Maryi Panny. Franciszek umówił się z Bogusławem za cztery dni, mieli się spotkać po drugiej stronie jeziora, naprzeciw pałacu Mycielskich.

W budynku było ciemno i ksiądz po cichu wszedł do swojego pokoju. Proboszcz spał, jego chrapanie wstrząsało całym budynkiem. Franciszek zrzucił ubranie, również koszulę, po czym zapalił świecę, ustawił krucyfiks i padł na kolana. Chciał prosić Boga i Najświętszą Panienkę o przebaczenie. Skłamał dzisiaj dwa razy i świadomość tego bardzo mu doskwierała. Cichym szeptem modlił się blisko godzinę, po czym sięgnął po rzemienie starannie ułożone w dużej, zbyt dużej jak na jego potrzeby, szafie. Miał je od lat, ale nieczęsto po nie sięgał, tylko wtedy, gdy dopadały go nieczyste myśli. Teraz jednak miał wrażenie, że powinien ukarać się za dzisiejsze kłamstwa. Uderzał w swoje plecy metodycznie, powoli, z coraz większą siłą. Wiedział, że spłyną krwią, że gosposia rozpozna juchę, ale nie dbał o to.

Gdy skończył, wyczerpany doczołgał się do łóżka, z trudem wdział nocną koszulę i zaległ w pościeli. W izbie było zimno, ale leżał nieokryty, czuł, że trawi go gorączka.

Cieszył się, oczywiście, że się cieszył, z deklaracji Bogusława, ale nie wszystko szło po jego myśli. Plan, który wiele miesięcy temu ułożył sobie w głowie, zakładał, że znajdzie grupę trzech, może czterech młodych mężczyzn, oddanych katolików, którzy metodycznie zajmą się oczyszczaniem tego terenu z plugastwa i grzechu, że przygotują go na przyjęcie umiłowanej ojczyzny, że to tutaj zacznie się ona kształtować. Nowa i czysta. Wierzył, że później znajdzie kolejnych, z innych już regionów Wielkopolski, i jego dzieło zacznie się rozprzestrzeniać, będzie jak pożar, którego nic nie będzie w stanie powstrzymać. Tymczasem trafił się tylko jeden, na dodatek ułomny, którego twarz nawet w nim, księdzu, budziła wstręt.

Może to i dobrze? Może wygląd Bogusława będzie dodatkowym atutem? – zastanawiał się. Cóż, wcześniej wyobrażał sobie, że anioł, nawet anioł zemsty, musi być piękny, ale może myśląc tak, popełniał grzech naiwności?

Zgasił świecę i leżał w ciemności. Mimo zmęczenia nie potrafił zasnąć. Zastanawiał się, czy jeszcze poczekać, czy od razu przystąpić do działania. Każde rozwiązanie wydawało się dobre, ale czuł, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu. Chciał działać! Potrzebował do tego narzędzi i oto takie narzędzie, za sprawą Najświętszej Panienki, mu się trafiło.

Po co zwlekać?



Następnego dnia, gdy tylko znalazł trochę czasu, zajrzał do swojego kuferka. Trzymał w nim część skromnego dobytku, w tym regulamin armii napoleońskiej, w którym znajdował się instruktarz walki wręcz. Dostał go od ojca Zbysława, który twierdził, że posługiwali się nim zarówno powstańcy listopadowi, jak i on sam, w tysiąc osiemset sześćdziesiątym trzecim roku. Umyślił sobie, że w ten sposób nauczy Bogusława, jak rozprawiać się z ładacznicami.

Wiedział jednak, że samo zadanie śmierci to za mało, że trzeba demonstracji, bo tylko w ten sposób przesłanie śmierci trafi do szerokiej publiczności.

Trzeba rytuału. Żydzi to wiedzą, dlatego zabijają polskie dzieci rytualnie, pomyślał.

Znał wiele tego świadectw. Jeszcze podczas pobytu w klasztorze mnisi opowiadali mu, że Żydzi porywają chrześcijańskie dzieci, ukrywają je

w synagodze, a którejś nocy zbierają się w niej, wydają wyrok, wkładają na głowę nieszczęśnika cierniową koronę i przybijają go do krzyża. A później zbierają wyciekającą z ciała krew i ostatecznie przebijają serce dziecka sztyletem lub włócznią.

– Tak powinno się to dokonać, właśnie tak. Na razie to niemożliwe, za mało nas, wciąż za mało. Ale trzeba te ladacznice ukarać, wykarczować, pozbawić zmysłów. Tak, aby na Sądzie Ostatecznym, gdy staną przed Bogiem, nie mogły Go zobaczyć, usłyszeć i przemówić, prosząc o przebaczenie swoich plugawych czynów. Nie można na to pozwolić, bo Bóg jest za dobry, za bardzo miłosierny.

Ciało Franciszka drżało. Podniósł się znad kuferka i padł przed krucyfiksem. Usłyszał głos gosposi wołającej na obiad, ale zignorował to i pogrążył się w modlitwie. Modlitwa wzmacniała go dużo bardziej niż posiłek. Gdy wstał, poczuł się silniejszy niż kiedykolwiek. Wiedział już, że natychmiast musi przystąpić do działania.

Rozdział 7

OKOLICE WOLSZTYNA, CZERWIEC 2018

Przez Barłożnę i Błońsko przemknął z dużą prędkością, ochłonał dopiero przed Kuźnicą Zbąską. Zwolnił.

Osiemdziesiąt, może dziewięćdziesiąt lat i trzy niemal identyczne morderstwa? Naśladownictwo, przypadek? Nie wierzył w takie przypadki, ale w naśladownictwo tym bardziej. Bo jak? Rytualne morderstwo przekazywane z pokolenia na pokolenie? Przecież to bzdura, myślał.

Był na tym tak skoncentrowany, że gdy dostrzegł skręt w piaskową drogę prowadzącą przy plaży, było już za późno. Zjechał z asfaltu kilkadziesiąt metrów dalej, w kolejną leśną drogę, okrążającą jezioro od wschodu. Przypomniawszy sobie, że kiedyś toczył ze swoją kuzynką trwający latami spór, która z tych dróg jest lepsza. Małgorzata wołała właśnie tę, on wcześniejszą, bo wędrowało się ścieżką przy samym jeziorze.

Pamięć go zawiodła, a może wzrok. Powinien skręcić w lewo, nad jezioro, ale zamiast tego nagle znalazł się na asfalcie i wjechał do wsi. Przed laty w każdą niedzielę, jak większość letników, chodzili tu do kościoła. Rodzice nie byli zbyt bogobojni, ale czasem matka i ciotka, jakby wiedzione poczuciem winy, gnały ich trzy kilometry w skwarze, ubranych w białe koszule, do tego niewielkiego, pozbawionego stylu wiejskiego kościoła. Zazwyczaj z bratem wymykali się później na dwór i przy płocie niecierpliwie czekali na koniec mszy, pilnie wsłuchując się w toczony szeptem rozmowy miejscowych młodzieńców. Gorzej, gdy do Borui ściągająca babcia z Poznania. Ta nie uznawała kompromisów, musieli więc stać przy samym ołtarzu, zaświadczać tym sposobem o swojej i jej wierze. Pamiętał ucisk kołnierzyka zbyt małej koszuli i wypachnionych Przemysławką miejscowych rolników z sękatymi dłońmi, ubranych w białe koszule i czarne garnitury, w skupieniu wpatrujących się w księdza.

Próba wejścia do kościoła skończyła się niepowodzeniem, świątynia była zamknięta. Rozejrzał się i wydało mu się, że otoczenie jest bardziej

zaniedbane niż przed laty. Zniknęła też sąsiadująca z kościołem miejscowa zlewnia mleka, gdzie gospodarze zjawiali się ciągnikami, charakterystycznymi konnymi wozami lub rozklekotanymi rowerami z dużymi kankami mleka. Pozostało tylko ogrodzenie, zniszczony parterowy budynek i kruszejąca betonowa rampa.

Naprzeciw kościoła znajdował się sklep. Kiedyś należał do Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”, dzisiaj był chyba prywatny, ale wnętrze nie bardzo się zmieniło. Rafał poczuł, jakby wehikuł czasu przeniósł go w późne lata siedemdziesiąte. Towaru było oczywiście znacznie więcej, ale na tym różnice się kończyły. Kupił butelkę wyborowej i dwa piwa.

To nie kościół, mleczarnia i dawny GS-owski sklep stanowiły jednak o atrakcyjności tego miejsca. Kiedyś dokładnie naprzeciw świątyni znajdowała się piekarnia, wówczas najbardziej kultowe wakacyjne miejsce. Zdawało mu się, że smak szneci z glancem i tutejszych bułek czuje do dzisiaj. Piekarnia mieściła się w bielonym wapnem starym budynku, zbudowanym chyba z gliny, więc zapewne już wówczas ponadstuletnim. Ustawiała się przed nim długa kolejka miejscowych i wczasowiczów. Pamiętał, że aby kupić bułki i szneci, trzeba było być tu wczesnym rankiem, około siódmej. Co drugi dzień, na zmianę z kuzynkami, gnał tu więc rowerem, aby później, przysiadając w rowie, zjeść jedną sznekę. Boże, jak to smakowało, rozmarzył się. Do dzisiaj pamiętał odgłos siatki z pieczywem obijającej się o kółko jego niebieskiego składaka. I miejsce, zaraz za wsią, gdzie zawsze zjadał przynajmniej jeszcze jedną.

Zatrzymał się w tym samym miejscu, tak mu się przynajmniej wydawało. Lipowa aleja, pusta o tej porze, spowodowała, że zagłębił się we wspomnieniach, ale po chwili wrócił myślami do niedawnej rozmowy z kobietą z działki. Otworzył piwo, było niestety ciepłe, i zapalił papierosa.

Resztę dnia planował spędzić przy komputerze, szukając informacji o zbrodniach. Zastanawiał się, czy gazety mogły o nich pisać. Ta z lat trzydziestych miała miejsce na posesji hrabiego, niewykluczone więc, że dziennikarze wstrzymali pióro, aby nie wywoływać skandalu i nie rzucać cienia na nieskałaną reputację Mycielskich. A informacje o późniejszych zbrodniach mogła zatrzymać cenzura. Peerel miał uchodzić nie tylko za krainę mlekiem i miodem płynącą, ale też sielską, gdzie przestępczość niemal nie istnieje. Morderstwa, zwłaszcza brutalne zbrodnie, to była rzeczywistość zgniłego Zachodu, a nie miłujących pokój krajów obozu socjalistycznego.

Owszem, czasem takie informacje przebijały się do mediów, ale niemal wyłącznie wtedy, gdy milicja była zmuszona prosić o pomoc społeczeństwo. Tak było na przykład w sprawie Marchwickiego, seryjnego mordercy ze Śląska, i porwania płockiej lekarki Stefanii Kamińskiej. Znał obie te sprawy, bo łączyła je osoba prokuratora Józefa Gurgula. W osiemdziesiątym dziewiątym chciał zrobić z nim wywiad, więc przygotowywał się rzetelnie, wertując roczniki starych gazet. Gurgul pracował wówczas w Prokuraturze Generalnej, ale ostatecznie odmówił i cała robota poszła na marne.

Już z daleka dostrzegł, że tym razem droga przed jego kempingiem jest wolna, że nie parkuje tam czarny SUV, choć podświadomie spodziewał się, że dawny kajakarz znowu zechce go odwiedzić. Nie miał ochoty na kolejne spotkanie. Ulżyło mu.

Piętnaście minut później usiadł przy komputerze. Postanowił, że najpierw zabierze się za powojenne roczniki gazet. Ze słów kobiety wynikało, że do pierwszej zbrodni doszło „za Gomułki”, co nie było zbyt precyzyjnym określeniem. Przez chwilę zastanawiał się, czy działkowiczka miała na myśli drugą połowę lat czterdziestych, gdy towarzysz „Wiesław” był wicepremierem, czy raczej okres po pięćdziesiątym szóstym roku. Szybko wykluczył pierwszą możliwość, doszedł do wniosku, że chodzi o czas, gdy Gomułka szefował PZPR i był niepodzielnym władcą Polski.

Minęły trzy godziny, nim wreszcie oderwał się od komputera. Naczytał się o „historii najdonioślejszych przemian”, o tych, którzy „pierwsi stanęli pod czerwonym sztandarem”, o młodzieży masowo wstępującej w szeregi partii, bohaterskich żołnierzach Armii Czerwonej, którzy dwudziestego szóstego stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku wyzwolili Wolsztyn. Wreszcie o towarzyszu Józefie Grzelaku, który kierował partią w powiecie wolsztyńskim, a jego zdjęcia publikowane były niemal w każdym numerze „Głosu Wolsztyńskiego”. Co gorsza, miesięcznik często drukował też jego wyrażane w partyjnej nowomowie rozważania o nieustannym postępie dokonującym się i w Polsce, i w powiecie. Niektóre publikacje go wciągały, jak choćby sprawozdanie z „montażu poetyckiego” uczniów jego liceum pod tytułem „Chwała partii” czy zdjęcie z kwietnia sześćdziesiątego trzeciego, na którym zobaczył tramwaj stojący przed budynkiem poczty. Zdziwił się, że kiedyś po Wolsztynie jeździł tramwaj. Z podpisu wynikało, że łączył Niałek Wielki z Komorowem. Dopiero po chwili zauważył, że informacja została podana w kwietniowym numerze, co zapewne oznaczało, że to primaaprilisowy żart.

Wrzucił do szklanki kilka kostek lodu, zalał wódką i wcisnął cytrynę. Spojrzał na leżące obok komputera notatki. Nie było tego wiele. Niestety, nie znalazł niczego, co potwierdziłoby słowa kobiety, którą spotkał na działkach. Owszem, dowiedział się, że na początku lat sześćdziesiątych w jednej z podwolsztyńskich wsi jakiś pracownik poczty metalowym prętem ogłuszył śpiącą żonę, polał ją benzyną i podpalił, bo zamierzał ożenić się z jej siostrą, z którą – jak napisano – „utrzymywał bliskie stosunki”, ale to wszystko. Inne kryminalne historie z tych lat odnotowane w lokalnej prasie to napad na „szanowaną w Wolsztynie obywatelkę B.”, którą trójka gówniarzy co prawda przewróciła, ale spłoszona przez rowerzystę nawet nie zdołała złupić, oraz kradzież motocykla, którym złodziej rozbił się później na drzewie. „Uwaga na gołowąsów” – tytuł jednej z kryminalnych notatek dobrze oddawał klimat tych historii.

Anioły, same anioły, pomyślał. Tak anielscy, że nawet nie kradli w sklepach. Znalazł kuriozalny tekst z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego, który nawiązywał do głośnego wówczas reportażu Wandy Falkowskiej opisującego kradzieże w warszawskich samach. Lokalny dziennikarz sprawdził, czy podobne rzeczy dzieją się również w Wolsztynie, ale z publikacji wynikało, że jedynie dzieci ściągają czasem z półek cukierki, aby je naprędce spałaszować. Na koniec nie omieszkał pouczyć czytelników, że powinni zwracać baczniejszą uwagę na swoje pociechy.

Miasto aniołów.

Zaczął się zastanawiać, czy informacje, które tak go podnieciły, były prawdziwe. Znał mechanizm plotki, wiedział, że ludzie potrafią dopisywać niezwykle historie do zupełnie zwyczajnych spraw. Ale kobieta z działek nie wydała mu się plotkarą, raczej rzetelną mieszkanką. Zganił się za tę myśl, bo czy liczni posłowie, z którymi się nieraz spotykał, wyglądali na plotkarzy? Żaden. Ale każdy lubił się z nim dzielić różnymi informacjami, z których większość miała charakter obyczajowy. Spotykał się z nimi w hotelu Sheraton, czasem w bardziej dyskretnych miejscach i wysłuchiwał tyrad, które miały zdyskredytować innych polityków, najczęściej zresztą kolegów z tej samej partii, a ich samych przedstawić jako nieskazitelných szermierzy prawdy i sprawiedliwości.

Dopił wódkę i nalał sobie jeszcze jedną, tym razem nieco mniejszą, porcję. Zadzwoił do Pawła Zdanowskiego. Po trzecim dzwonku chciał się rozłączyć, ale ten w końcu odebrał.

– Przepraszam, mam dzisiaj młyn w firmie. Mieliśmy wypadek na linii produkcyjnej. Jestem trochę zajęty. Coś ważnego czy możemy to odłożyć na później? – W głosie kolegi wyczuł zdenerwowanie.

– Zajmę tylko chwilę. Dowiedziałem się, że podobne morderstwa już się w Wolsztynie zdarzały. Wiele wskazuje, że wszystkie ofiary znajdowano później w parku, dokładnie przy tym dębie, który mi pokazywałeś, wiesz, tym z „diabłami”. I zawsze były to kobiety.

– Niemożliwe, musiałbym coś o tym słyszeć. – Wbrew wypowiedzianym słowom w głosie Zdanowskiego dało się wyczuć wahanie.

– Dwa takie morderstwa miały miejsce w latach trzydziestych, jedno przed samym wybuchem wojny. Dwa albo trzy już za komuny. Opowiedziała mi o tym starsza kobieta, którą spotkałem na działkach. Przejrzałem miejscową gazetę, ale nic nie znalazłem – oznajmił.

– Sam widzisz. To bzdura, ludzie opowiadają niestworzone rzeczy. Muszę lecieć. Zdzwonimy się jutro, dobrze? – Zdanowski się rozłączył.

Nie chciało mu się spać, więc znowu usiadł przy komputerze. Z rozbawieniem przeczytał informację zatytułowaną „Co ma wspólnego z Wolsztynem cesarz Hajle Sellasje?”. Zdaniem dziennikarza wiele. „To pytanie nie jest bynajmniej tylko abstraktem. Ten legendarny brodacz sprawuje niemal absolutną władzę w Abisynii, czyli Etiopii. W tejże Etiopii kilkaset dzieci nosi ubranka uszyte w Wolsztynie. W naszym Bojowniku. Poddani afrykańskiego cesarza żądają dalszych wzorów ubranek dziecięcych, których chcieliby mieć w Abisynii jak najwięcej”. Zastanowił się, czy Kapuściński, pisząc swojego *Cesarza*, wiedział, że etiopskie dzieci brykają po Addis Abebie w wolsztyńskich ubrankach. I czy w socjalizmie nawet odzieżowa firma musiała się nazywać Bojownik.

Cofnął się do roku pięćdziesiątego szóstego. Listopadowy numer zaczynał się wielkim, ciągnącym się przez niemal trzy strony artykułem pod tytułem „Bankructwo stalinizmu”, rozpoczynający się, jakżeby inaczej, od cytatu z Lenina. W tym samym numerze znalazł informację, że mieszkańcy powiatu zebrali trzynaście tysięcy złotych dla Węgrów toczących właśnie walki z sowieckimi interwentami, a trzydzieści osób oddało dla nich krew. Niestety, poza zdjęciami trzech młodzieńców, którzy na jakiejś wiejskiej zabawie pobili milicyjny patrol, nie znalazł żadnych informacji kryminalnych.

Dochodziła pierwsza w nocy, od jeziora czuć było chłodny wiaterek. Wyłączył komputer i potarł zmęczone oczy. Przejrzał czternastoletnią historię

Wolsztyna i poza krewkim pocztowcem rozkochanym w swojej szwagierce – to ona, jak wynikało z informacji prasowej, zaopatrzyła kochanka w kanister benzyny, którą ten oblał jej siostrę – nie znalazł informacji o żadnym zabójstwie. Trudno było w to uwierzyć. To było przecież społeczeństwo skażone nie tak dawną wojną, z jej okrucieństwem i brutalnością, społeczeństwo wielkich powojennych przemian. To może świadczyć, że cenzura wycinała informacje o morderstwach. Ale w coś, co przypominało rytualny, regularnie powtarzany mord, też trudno uwierzyć. I co on właściwie miał symbolizować? Może powinienem się skupić na zbrodni sprzed dwóch lat? Tutaj rzeczywiście coś śmierdzi, pomyślał, kładąc się do łóżka.

Nim zasnął, przypomniał sobie ostatnie słowa kobiety z działek. „Pewna nie jestem, ale chyba tę latawicę, tę, co ją ktoś zamordował, to jednak nie w altanie znaleźli. Chyba do drzewa ją przybili, do jakiegoś dębu”.

Coś zaczął kojarzyć, ale myśl szybko uciekła. Zasnął.

Rozdział 8

OKOLICE WOLSZTYNA, CZERWIEC 2018

Dzwonek telefonu świdrował mu mózg, więc w końcu sięgnął po aparat i odebrał.

– Mam nadzieję, że nie obudziłem. Chciałem przeprosić za wczoraj. Gość wsadził dłoń nie tam, gdzie powinien, i maszyna ucięła mu palce. Od dawna czegoś takiego nie miałem, byłem wytrącony z równowagi. Właściwie nadal jestem. – W głosie Pawła Zdanowskiego nietrudno było wyczuć zmęczenie.

– I co z nim? – Rafał z trudem usiadł na łóżku.

– Zawieźli go do Poznania. Już jest dobrze, ale stracił trzy palce i sporo krwi. Pracował u mnie dziesięć lat, nie rozumiem, co mu odbiło. Chciałeś pogadać.

– Koniecznie. Znajdziesz czas? – Szedł już do kuchni, aby włączyć czajnik i zrobić sobie kawę. – Na razie jestem nieprzytomny, pracowałem do pierwszej w nocy, ale za dwie godziny możemy się spotkać. Przyjedziesz czy ja mam podjechać?

Umówili się na wczesny lunch w Nowym Tomyślu, gdzie Zdanowski miał coś do załatwienia w firmie logistycznej. Do spotkania zostało mu sporo czasu, więc odpalił internet, ale nic go nie zainteresowało. Sieczka. Powinien usiąść nad tekstem do miesięcznika „Odra”, ale uznał, że robi to wieczorem, na razie musi się skupić na rozmowie z Pawłem.

Muszę go przycisnąć. Niech wreszcie wyjawi swoją teorię, pomyślał.

Co właściwie dotychczas wiedział? Policyjne akta wskazywały, że śledztwo w sprawie okrutnej zbrodni dokonanej na szesnastoletniej dziewczynie zostało przeprowadzone nieudolnie. Tak mu się przynajmniej wydawało, bo akurat w sprawach kryminalnych nie miał wielkiego doświadczenia. Osiemnastolatek trafił za kratki. Tyle fakty. Reszta to domysły, plotki i interpretacje. Ale teoria, że to tylko jedna z całej serii zbrodni, jakoś intuicyjnie wydawała mu się prawdziwa. Po raz kolejny pożałował, że nie

wyciągnął więcej od kobiety, którą spotkał na działkach. Czuł, że ten trop wiedzie w przeszłość.

Zniechęcony, włożył sprane dżinsy i koszulkę z charakterystycznym logo zespołu Dżem – dostał ją przed laty na koncercie w Tychach od prezesa jednego z banków – zamknął dom i wszedł do samochodu. „Whisky moja żono” będzie w sam raz, pomyślał i odpalił płytę. Nim ruszył, sprawdził ukryty dyktafon. Chciał nagrać zbliżającą się rozmowę, tak na wszelki wypadek.

Paweł Zdanowski był punktualny, a knajpa przy rynku prowincjonalnie wymyślna. Lustra, białe stoliki ze szklanymi blatami, podłoga z lśniących czarnych kafelków, serwetki ułożone w łabędzie i stojące na stoliku kieliszki do wina z wygiętą nóżką. Skrzywił się, ale Paweł zapewnił, że kuchnia jest lepsza niż *entourage*.

– Dla mnie flaczki i strogonow. I wodę, z lodem i cytryną – zamówił.

– Pewnie w Warszawie jadasz w lepszych restauracjach. Ta ma tę zaletę, że goście zjawiają się tu dopiero wieczorem, więc w porze obiadowej można spokojnie porozmawiać. No i nikt nas tu nie znajdzie. – Paweł sięgnął po szklanekę coli.

– Dlaczego tak ci na tym zależy?

– Mam powody. Zainteresowała cię ta sprawa, zajmiesz się nią?

Terlecki patrzył na dawnego kolegę uważnie. Wyczuwał, że Zdanowski jest spięty, jakby naprawdę zależało mu na jasnej deklaracji. Ale sam nie był jeszcze pewien odpowiedzi.

– Nie wiem. Na razie wygląda na to, że policja i prokuratura po prostu spieszyły śledztwo. To się często w takich miasteczkach zdarza, nie mają wielkiego doświadczenia, a chcą się popisać sukcesem, więc szybko zamykają sprawę. Co nie znaczy, że ten gówniarz nie jest winien. W końcu został skazany. Ale oficjalnie nigdy się do tej zbrodni nie przyznał.

– Na procesie nie, ale policjantom się przyznał. Nie do protokołu, ale się przyznał. A później obstawili go adwokaci i wszystkiego się wyparł. – Zdanowski zamilkł, bo akurat podeszła do nich kelnerka. Gdy zostali sami, obiecał, że umówi go z policjantem, który pracował przy tej sprawie. – Do kamery nic nie powie, ale nieoficjalnie tak.

Flaki rzeczywiście były smaczne, przyrządzone tak, jak lubił, tradycyjnie, na ostro, bez warszawskich uduwnień.

– To chyba źle zabrzmiało, ale powiem zupełnie szczerze. To nie jest moja działka. Rozmawiałem ze znajomym dziennikarzem z „Gazety Wyborczej”. Jest gotów to opisać, jeśli naturalnie zgodzisz się, abym przekazał mu akta. – Rafał spojrział na Pawła. Nie patrzył mu w oczy, ale odniósł wrażenie, że jest rozczarowany.

– Chyba że...

– Chyba że co? – Zdanowski natychmiast się ożywił.

Dziennikarz jeszcze raz, tym razem bardzo dokładnie, opowiedział o wczorajszym spotkaniu z kobietą na działkach. Paweł słuchał uważnie.

– Wczoraj przejrzałem „Głos Wolsztyński”, od pięćdziesiątego szóstego do końca siedemdziesiątego roku. Nic nie znalazłem, ale to niewiele znaczy. Cenzura mogła zablokować taką publikację. Władza mogła się obawiać, że wywoła niepotrzebną panikę. Wieczorem wezmę się za pierwszą połowę lat siedemdziesiątych. Cenzura była wtedy jednak nieco łżejsza niż za Gomułki, więc może coś znajdę. – Rafał odsunął talerz. – Jeśli da się zbrodnię sprzed dwóch lat jakoś powiązać z tymi dawnymi, to tak, zajmę się tą sprawą. Bo to już będzie inny kaliber.

Zdanowski wytarł usta chusteczką, którą wrzucił do pustego talerza. Skinął na kelnerkę i zamówił cztery pięćdziesiątki wódki.

– Dlaczego tak cię ta sprawa interesuje? Znałeś ofiarę? A może sprawcę? – Rafał uważnie przyglądał się swojemu rozmówcy. Paweł zaprzeczył. Sięgnął po drugi kieliszek.

– Zaczekaj. Z naszej pierwszej rozmowy wynikało, że wiążesz to morderstwo z własnymi problemami. W jaki sposób? O co chodzi? Jeśli mam się zająć tą sprawą, a widzę, że ci na tym zależy, to musisz być ze mną szczerzy. Od początku do końca.

Zdanowski się zamyślił. Odstawił kieliszek i spojrział w okno. W końcu ponownie sięgnął po wódkę, wyglądał, jakby podjął decyzję.

– Nie mam żadnych dowodów. Jestem jednak pewien, że w Wolsztynie istnieje jakaś grupa ludzi, mafia, klan, sekta, jak zwał, tak zwał, która praktycznie opanowała miasto. Rządzą wszystkim, ich ludzie obsadzają wszystkie stanowiska w mieście. To nie jest coś, co powstało teraz, dwa, pięć, dziesięć lat temu. Chyba znacznie wcześniej – tłumaczył Rafałowi, coraz bardziej podnosząc głos. Był zdenerwowany, wyraźnie nakręcał się własnymi słowami.

Terlecki uciszył go, bo zauważył, że stojąca za barem kelnerka z ciekawością zerka w kierunku ich stolika. Paweł zamierzał zamówić jeszcze jedną kolejkę, ale go powstrzymał i podsunął mu swoją, nieruszoną jeszcze pięćdziesiątkę. Zdanowski spojrzał z wdzięcznością i zaczął bawić się kieliszkiem, roniąc krople alkoholu, które spływały po ściankach naczynia i lądowały na szklanym blacie.

– Duże wałki. Ci, którzy należą do tego kręgu, mają się świetnie. Ci, którzy są spoza ferajny, prędzej czy później wpadają w kłopoty.

– Tak jak ty? – Rafał zastanawiał się, czy dyktafon rejestruje rozmowę. Już wielokrotnie wykorzystywał go w podobnych sytuacjach i dotąd nigdy się nie zawiódł.

– Tak jak ja. Ale już ci mówiłem, nie chodzi o mnie. Swoje zarobiłem, jestem zmęczony i od pewnego czasu rozmyślam o sprzedaży firmy. W końcu to zrobię, złożę pieniądze w zamkniętym funduszu inwestycyjnym, będę żył z odsetek i łowił ryby. – Paweł podniósł kieliszek do ust, ale tym razem ograniczył się do wypicia tylko małej porcji wódki.

– Musisz mieć pewnie z pięćdziesiąt milionów. Na zamknięty fundusz. Żywej gotówki.

– Widzę, że nieźle się w tym świecie orientujesz. Ale dam radę. Tylko że w tej sprawie nie biznes jest najważniejszy. Gdyby chodziło o pieniądze, machnąłbym ręką. Widzisz...

Przerwał i wlał do gardła zawartość kieliszka, popił colą i pochylił się w kierunku Terleckiego. Zaczął opowiadać ściszym głosem. Jego monolog, przerywany tylko zebraniem naczyń przez kelnerkę i podaniem kawy, trwał niemal kwadrans.

Rafał słuchał z zainteresowaniem, ale nie bardzo potrafił uwierzyć w rewelacje Pawła. W jego pamięci Wolsztyn zapisał się jako sielskie wielkopolskie miasteczko, spokojne i trochę nudne. Wydawało mu się, że zna wszystkie jego tajemnice – starannie ukrywane pijaństwo mężczyzn, czasem ocierające się o alkoholizm, zdrady znudzonych żon, które kierowane nagłym impulsem oddawały się mężczyznom w dyrektorskich gabinetach, na parkowych ławkach i leśnych polanach, kradzieże z reguły państwowego wówczas mienia, sfingowany napad na miejscowego jubilera – o tym, jak pamiętał, mówiło się przez całe lata – aby wyłudzić ubezpieczenie. Nazbyt bliskie, jak mu się teraz wydawało, związki jednego z miejscowych księży z ministrantami, jego wiecznie trzęsące się ręce i niezdrowo czerwona twarz.

Wszystko to ukrywane, chowane za firankami, niedopowiedziane... Przypomniał sobie lipiec osiemdziesiątego drugiego, gdy na dwa miesiące zatrudnił się w zakładzie lakierniczym. Więcej tam wtedy pił z właścicielem, niż pracował. Pewnego razu, gdy zabrakło wódki, szef dał mu pieniądze i kazał przywieźć dwie flaszki. Przywiózł, jadąc na rowerze, i trzymał butelki w ręce. Szef wpadł w szal, krzyczał, że wszyscy widzieli ten alkohol, że będą o tym gadać, pomyślał, że jest alkoholikiem, że Rafał ma wypierdalać, że z roboty i zarobku nici. Uspokoił się dopiero po pierwszej setce. Po latach przeczytał książkę Marcina Kąckiego *Poznań. Miasto grzechu* i wtedy lepiej zrozumiał tę wielkopolską mentalność, która nakazywała zasłanianie firanek, aby najcięższe nawet grzechy ukrywać przed sąsiadami. I lepiej zrozumiał swojego ówczesnego szefa.

– Była taka sprawa, musiałeś coś o niej słyszeć. Zaraz powiem dlaczego. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku, wczesnym latem, zginęła dziewiętnastoletnia dziewczyna, Dorota Kwiatkowska. – Paweł spojrzął na dziennikarza. – Widzę, że kojarzysz.

– Tak, moi rodzice przyjaźnili się z Kwiatkowskimi. Znałem ją, kiedyś nawet, kilka lat wcześniej, byliśmy razem na wakacjach. Jeśli dobrze pamiętam, w Chłopach, to chyba gdzieś w okolicy Kołobrzegu. Pojechaliśmy ich syrenką, tym tak zwanym łapaczem gęsi. I później pewnego dnia, na początku lat siedemdziesiątych, Dorota po prostu zniknęła. Mówiło się, że uciekła z domu z jakimiś hippisami, a później nad morzem znaleziono jej rzeczy.

– I uznano, że się utopiła. Ale to nieprawda. Jej ciuchy podrzucono na plażę w Kołobrzegu, razem z torebką i dowodem osobistym. Tyle tylko, że Kwiatkowska nigdy nad morze nie dotarła. Po kilku dniach „wyeksportowali” ją na Zachód.

– Dlaczego?

– *For money*. Takim biznesem się wtedy zajęli i zajmowali się długo, może nawet robią to do dzisiaj. Ale oczywiście są ostrożniejsi, nie porywają już miejscowych dziewczyn. Wtedy podobno byli o krok od wpadki, ale jakoś się wywinęli. Później wyspecjalizowali się w znacznie młodszych dziewczynach. Granicą było dwanaście lat. To łatwiejsze i bardziej intratne. Większy popyt.

– Skąd o tym wiesz? – zapytał zdziwiony i uważnie przyjrzał się koledze.

Paweł nie odpowiedział. Wstał i wyszedł, zostawiając Rafała z rachunkiem.

Rozdział 9

WOLSZTYN, CZERWIEC 2018

Terlecki zaparkował na stacji Orłenu i wszedł do toalety. Dopiero tutaj zerwał przyklejony wysoko na ramieniu plaster przytrzymujący dyktafon i z ulgą zauważył świecący ekran. Olympus nadal nagrywał. Mimo to ręce lekko mu drżały, gdy włączał odtwarzanie. Usłyszał trzask zamykanych drzwi samochodu, a po chwili słowa Pawła Zdanowskiego. Odsłuchiwał kilka pierwszych minut.

Odetchnął. W pamięci miał sytuację z dziewięćdziesiątego pierwszego roku, gdy po wyjściu z ponurego gmachu przy ulicy Rakowieckiej próbował odtworzyć właśnie zakończony wywiad z Henrykiem Majewskim, ministrem spraw wewnętrznych w rządzie Jana Krzysztofa Bieleckiego. Okazało się, że na taśmie zapisały się tylko pierwsze słowa. Spocił się wówczas jak mysz. Jadąc pociągiem do Poznania, mozolnie odtwarzał przebieg rozmowy. Udało się, minister autoryzował wywiad bez większych poprawek.

Zaraz za rogatekami miasta wybrał numer Wiesława Muszyńskiego, byłego funkcjonariusza policji, który po wielu latach pracy w pionie kryminalnym i kilku spektakularnych sukcesach miał teraz prywatną firmę detektywistyczną. Dużą i świetnie prosperującą. Zatrudniał wielu byłych funkcjonariuszy policji, ale również żołnierzy legendarnego GROM-u, komandosów z 1. Pułku w Lublińcu i Formozy. Umówili się na piątek, na lunch w St Antonio przy Senatorskiej w Warszawie. Wiesław miał zarezerwować stolik, ten co zawsze, na podwyższeniu, z dala od innych gości.

– Niestety, nie dam ci zarobić, chodzi tylko o konsultacje. Ale bardzo mi zależy na twojej opinii – zastrzegł Rafał na koniec rozmowy.

Gdy dojechał do Borui, słońce było jeszcze wysoko. Szybko przerzucił plik dźwiękowy na swój laptop, przesłuchał kilka fragmentów, aby się upewnić, że nagranie jest kompletne, i wysłał na swoją skrzynkę na Gmailu, którą traktował jak prywatne archiwum.

Kajak był zamocowany przy pomoście. Delikatnie wrzucił do niego torbę z wypełnioną do połowy butelką whisky, szklanką, woreczkiem z kostkami lodu, notatnikiem i długopisem, odblokował kłódkę i wypłynął na jezioro. Kilkanaście mocnych pchnięć wiosłami spowodowało, że znalazł się mniej więcej na środku akwenu. Rozejrzał się, a potem napełnił szklankę alkoholem. Zapalił papierosa i wrócił myślami do rozmowy ze Zdanowskim.

Jego opowieść brzmiała zbyt sensacyjnie. Miasto opanowane przez grupę kilku biznesmenów, którzy ustalają ceny usług dla gminy oraz powiatu i mają w kieszeni miejscowych urzędników, to mogła być prawda. Słyszał już takie opowieści. Ale już to, że ten układ – Paweł nie użył tego słowa, ale Terlecki świadomie nawiązał w swoich zapiskach do terminologii Jarosława Kaczyńskiego – trwał od kilku dziesięcioleci, brzmiało niewiarygodnie. Układ przeniesiony z Peerelu, a nawet głębokiego Peerelu, w dzisiejsze czasy był dla Terleckiego najczystsza teorią spiskową, która mogła się zrodzić tylko w głowie Antoniego Macierewicza lub jego mocodawcy.

Upił kolejny łyk, odstawił opróżnioną szklankę na dno kajaka i powiosłował w kierunku niewielkiej zatoczki. Przed laty wypływał tutaj z ciotką lub starszą o kilka lat kuzynką, aby oglądać nenufary. W dzieciństwie kwiaty nie bardzo go interesowały, ale szuranie dna kajaka o wodne pnącza wywoływało dreszcz emocji, a zarośnięte i niedostępne brzegi jeziora przywoływały myśli o ukrytych skarbach i dzikich zwierzętach.

Kajak wolno sunął po jeziorze, delikatnie rozsuwając duże liście. Zatoka wydawała mu się mniejsza i już nie tak tajemnicza jak przed laty, ale nadal było tu pięknie i cicho, a woda była krystalicznie czysta. Przypomnił sobie dawne opowieści o gigantycznych sumach, które miały tu żerować. Jego kuzynka Małgorzata bała się ich tak bardzo, że któregoś roku przez tydzień mimo skwaru nie wchodziła do jeziora.

Odłożył wiosło i nalał sobie jeszcze trochę whisky. Sięgnął po notatnik, ale nie potrafił się skoncentrować, myśli nieustannie uciekały w przeszłość. Zapalił kolejnego papierosa, ale w tych okolicznościach strzepywany do wody popiół wydał mu się barbarzyństwem. Nagle dostrzegł wyłaniającego się z lasu czarnego dodge'a escalate, wolno sunącego w kierunku jego domu kempingowego. Chwycił wiosło i ustawił kajak tak, aby mieć nieco szersze pole obserwacji. Zastanawiał się, czy wrócić i skonfrontować się z biznesmenem, czy raczej poczekać, aż ten się znudzi i odjedzie. Bmw Rafała stało przed domkiem, więc facet szybko dojdzie do wniosku, że on sam jest

gdzieś niedaleko. A jeśli zauważy brak kajaka, to będzie wiedział, gdzie go szukać.

Odstawił szklanę i szybko ustawił kajak za cyplem. Z miejsca, w którym się teraz znajdował, nie mógł widzieć swojego domu, ale sam także znajdował się poza polem widzenia intruza. Oczywiście, istniała szansa, że samochód należał do kogoś innego, ale ile w końcu w tej okolicy może być amerykańskich SUV-ów?

Dopił resztkę alkoholu, bo większość i tak się wylała, a później schował wszystko do torby. Powoli, niemal ocierając się o szuwary, wypłynął z zatoczki. Zdawał sobie sprawę, że to niewiele pomoże, ale przynajmniej próbował. Gdy w końcu miał już kemping w polu widzenia, nie dostrzegł ani samochodu, ani wysokiego jasnowłosego faceta. Pojazd mógł stać kilkaset metrów dalej, zaparkowany wśród drzew, ale liczył, że biznesmen zniechęcony jego nieobecnością jednak odjechał. Nie zamierzał zresztą spędzić nocy w kajaku, więc usiadł wygodnie i ruszył w drogę powrotną, cały czas obserwując drugą stronę jeziora.

Nagle zerwał się silny wiatr, a później zaczął padać deszcz. Zrobiło się ciemno i Terlecki z trudem przedzierał się przez fale, nasłuchując cichych jeszcze pomruków zbliżającej się burzy. Gdy spostrzegł, że jest na jeziorze zupełnie sam, poczuł się nieswojo, więc zaczął wiosłować ze zdwojoną siłą.

Postanowił, że musi się czegoś dowiedzieć o tym Sworowskim. Bał się go, a przecież nic o nim nie wiedział, tylko tyle, ile powiedział mu Paweł.

Właśnie. Co ja właściwie wiem o tym Zdanowskim? Tylko to, co sam mi powiedział i co pamiętam ze wspólnych lat w liceum, myślał i zawzięcie machał wiosłem. Muszę go sprawdzić, zasięgnąć języka.

Przypomniał sobie słowa Sworowskiego mówiącego z tajemniczym uśmiechem, że „ludzie się zmieniają”. Banalne, ale prawdziwe.

Niezgrabnie wygramolił się z kajaka, omal nie wpadając do wody, w ostatniej chwili przytrzymał się pomostu. Wyciągnął torbę i ruszył w stronę domku. W zasięgu wzroku nikogo nie było.

Godzinę później surfował już po internecie, szukając informacji o swoim koledze Pawle Zdanowskim. Niewiele się dowiedział, w każdym razie nie znalazł niczego, co mogło podać w wątpliwość jego uczciwość. Ponieważ jednak jego informatyczne umiejętności nie przekraczały średniej krajowej, to wysłał mail do studenta, który kilka miesięcy temu był na praktyce w redakcji

i z którego usług później czasem korzystał. Chłopak był w te klocki naprawdę dobry. „Przyślij mi wszystko, co znajdziesz. Zadzwoń w piątek, chciałbym to mieć na sobotę. Mam nadzieję, że Twoje stawki pozostają na niezmiennym poziomie” – zakończył swój mail.

Wszedł na stronę Biblioteki Publicznej w Wolsztynie i zaczął przeglądać informacje z pierwszej połowy lat siedemdziesiątych. Powoli i metodycznie. Wreszcie w październiku siedemdziesiątego pierwszego natrafił na coś, co go zainteresowało.

„Mieszkańców Wolsztyna i okolic kilka miesięcy temu zelektryzowała wieść o zaginięciu dziewiętnastoletniej mieszkanki naszego miasta. Funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej przekazali nam informację, że Dorota K. prawdopodobnie utonęła w Morzu Bałtyckim. Jak dotąd nie udało się odnaleźć jej ciała, ale na plaży w okolicach Kołobrzegu milicjanci znaleźli jej dokumenty i rzeczy osobiste. Milicja Obywatelska zwraca uwagę, że rodzice powinni przykładać większą wagę do pilnowania swoich nastoletnich pociech” – głosiła notatka. Terlecki pomyślał, że dziennikarz mógł sobie darować to ostatnie zdanie, które pogłębiło jeszcze rozpacz i poczucie winy rodziców.

Upił spory łyk alkoholu, usprawiedliwiając się, że po takim przemoknięciu musi się rozgrzać. Próbował przypomnieć sobie Dorotę, ale bez skutku. Pamiętał jakiś wieczór w jej mieszkaniu, gdy rodzice poszli na dancing do Wielkopolanki, a on, wraz z młodszym bratem, znalazł się pod jej opieką. Dość luźną. Zapamiętał, że przez uchylone drzwi widział, jak dziewczyna i jej koleżanka szaleją przy płynącej z telewizora piosence Czesława Niemena. Pieśniarz był ubrany w białą koszulę bez guzików, a one tańczyły, dziwnie się wyginając, jakby wpadły w jakiś trans. Jedna była ruda, a druga miała długie, czarne włosy. Nie pamiętał, która z nich to Dorota. Obie miały na sobie kwieciste, odsłaniające brzuchy bluzki i rozkloszowane u dołu dzinsy. Zdziwił się, że ten strój, przypisywany wówczas hippisom, mogły nosić dziewczyny z małego miasteczka zagubionego w zachodniej Wielkopolsce.

Musiła wpadać w oko, wyróżniać się w ówczesnej szarzyźnie. To mogła być przyczyna, dla której zwrócili na nią uwagę, pomyślał.

Wreszcie miał coś konkretnego, jakieś potwierdzenie słów Zdanowskiego. Na razie nie był to żaden dowód, dziewczyna mogła rzeczywiście utonąć lub gdzieś zniknąć, ale pamiętał, że kiedyś w rodzinie często do tej sprawy wracano. Nikt nie wierzył, że uciekła z domu, a tym bardziej że utopiła się

w Bałtyku. Jej matka zapewniała, że bała się wody, nigdy nie nauczyła się pływać, a szczytem jej wodnych osiągnięć było brodzenie przy brzegu jeziora.

Wpisał nazwisko dziewczyny w wyszukiwarce. Okazało się, że jej grób znajduje się na wolsztyńskim cmentarzu. Wydało mu się to dziwne, bo Zdanowski twierdził, że jej ciała nigdy nie odnaleziono, a on też tak to zapamiętał. Zastanawiał się, czy grób nie jest czasem pusty. Więcej informacji o dziewczynie nie znalazł. Postanowił, że zapyta Wiesława Muszyńskiego, gdzie można znaleźć akta tej sprawy, bo przecież gdzieś musiały być.

Zadzwoił do Zdanowskiego i poinformował go o wynikach swoich poszukiwań.

– Masz akta tej sprawy, to może uda ci się zdobyć również tamte. To ważne, bo to jedyny trop na poparcie twoich podejrzeń, nasz jedyny punkt zaczepienia – starał się, aby jego głos brzmiał stanowczo. – W piątek rano jadę do Warszawy, muszę się z kimś spotkać. Wrócę w nocy albo w sobotę przed południem.

Rozdział 10

KONIEC WRZEŚNIA 1971

Skibniewski zaparkował mercedesa przy Rynku Jeżyckim w Poznaniu. Zawsze tak robił, wolał nie rzucać się w oczy. Kilka miesięcy temu zerwał niemal wszystkie kontakty ze swoimi wolsztyńskimi współpracownikami, tylko czasem, pod pretekstem naprawy butów, odwiedzał „mistrza Zdanowskiego”. Jeśli musieli coś omówić, a musieli często, spotykali się na kawie w poznańskim hotelu Merkury. Tak było bezpieczniej.

Wyszedł na ulicę Słowackiego. Od Merkurego, najlepszego hotelu w mieście, dzielił go niespełna kilometr. Spojrzał na zegarek i uznał, że ma jeszcze dość czasu, więc przysiadł na ławce niewielkiego skwerku położonego między wysokimi przedwojennymi kamienicami. Właśnie zapalał papierosa, gdy obok niego usiadł jakiś mężczyzna w ciemnym prochowcu i kapeluszu.

– Dzień dobry, panie Zdzisławie.

Skibniewski spojrzał na niego, starając się zachować spokój i nie okazywać zdziwienia. Na powrót wyciągnął marlboro i poczęstował niespodziewanego rozmówcę. Mężczyzna skwapliwie wyłuskał papierosa z nieco już pomiętej paczki i pochylił się w kierunku zapalanej zapałki. Jego ręce, Zdzisław lubił zwracać uwagę na ręce, nie wskazywały, że ma do czynienia z robociarzem.

– Pan z Kochanowskiego – stwierdził bardziej, niż zapytał.

Na Kochanowskiego mieściła się Komenda Wojewódzka Milicji Obywatelskiej.

– Pracuję tu niedaleko.

Palili w milczeniu. Skibniewskiemu to milczenie coraz bardziej ciążyło, ale starał się tego nie okazywać.

– Pójdę już – oświadczył w końcu.

– Odprowadzę pana. Tylko nim pójdziemy do Merkurego, najpierw odwiedzimy zoo. Był pan tam kiedyś?

– Nigdy – odpowiedział zaskoczony.

Przeszli wzdłuż ceglanego muru zajezdni tramwajowej i skręcili w prawo. Musieli się zatrzymać przed bramą, do zajezdni zjeżdżała właśnie „dwójka”, blokując przejście, a potem przecięli wyłożoną nierównym brukiem ulicę Zwierzyniecką. Przy pomniku wilka, solidnego, wykonanego z metalu, tłoczyła się grupka dzieci wraz z rodzicami. Jakiś przedsiębiorczy fotograf z dużym kudłatym psem robił zdjęcia.

– Wilk jest ładny, ale tutaj prawdziwą atrakcją są niedźwiedzie. Zwłaszcza oglądane z góry. Niech pan koniecznie idzie zobaczyć. Naprawdę warto – wycodził mężczyzna i uchylił kapelusza. Nie odszedł daleko, zatrzymał się i oparł o filar bramy ogrodu zoologicznego.

Zdzisław minął wybieg dla żyraf i sąsiadującą z nim słoniarnię, a później wdrapał się na górę, szybko mijając małpiarnię. Nie znosił małp. Spojrzał z góry na dwie niewielkie klatki, z których jedną zajmował niedźwiedź brunatny, a w drugiej spał niedźwiedź polarny.

– Chodźmy do lwów, dzisiaj jest tu stanowczo zbyt dużo ludzi – usłyszał, patrząc z góry na klatkę, w której rozjuszony niedźwiedź brunatny chodził z miejsca na miejsce. Leżący w sąsiednim kojcu niedźwiedź polarny wydawał się oswiały.

– Udana akcja. Ale ostatnia. Wie pan, panie Zdzisławie, nie tolerujemy takiego zachowania. Obywatel jest największym dobrem Polski Ludowej, większym nawet niż węgiel.

– Nie rozumiem.

– Doskonale pan rozumie. Naraził pan naszą ludową ojczyznę na wielkie ryzyko. Powtórzę po raz ostatni: nie będziemy tego tolerować. Umawialiśmy się, żadnych działań na własną rękę.

Skibniewski uznał, że nie warto kluczyć. Spojrzał na klatkę z czarną panterą. Zatrzymali się przed nią, bo większość spacerowiczów wybierała lwy, znacznie piękniejsze i bardziej majestatyczne. Skibniewskiemu wydawało się jednak, że prawdziwa siła jest tutaj. Mniej majestatyczna, dyskretniejsza, ale ważniejsza. Jego rozmówca najwyraźniej podzielał ten pogląd.

– Wszyscy podziwiają lwa. Ale przecież pan, człowiek bywały w świecie, nie może nie wiedzieć, że rządzi lwica, a nie ten, przyznaję, piękny samiec. Tym pięknym lwem, z jego wspaniałą grzywą, rządzi lwica. Może niepiękna, ale ma inne zalety. Jednak prawdziwa władza jest tutaj. – Wskazał czarną

panterę nerwowo krążącą po klatce. – Prawdziwa władza jest zawsze pięterko niżej. Zawsze.

– Nawet jak się zmienia lew?

– Zwłaszcza jak się zmienia lew.

– Bo hieny się nie zmieniają?

– Czarne pantery się nie zmieniają. Hieny tak, ale one są tylko woźnymi świata zwierząt. Przydają się, to prawda, ale czarne pantery są niezbędne wszystkim, także lwom, im przede wszystkim. Widzi pan, panie Zdzisławie, hieny mają to do siebie, że zjadają tylko ofiary, które przestały interesować silniejsze osobniki. A pana nadal te silniejsze osobniki chcą chronić.

Skibniewski pomyślał, że w tych zwierzęcych dygresjach poszli już za daleko. Ale zrozumiał lekcję. Zrozumiał, że mimo niesubordynacji miał jeszcze szansę.

– Skąd wiecie?

– My wszystko wiemy. Teraz rzucę panu koło ratunkowe. Bo po prostu jestem, jesteśmy dobrymi ludźmi. Tylko proszę to koło chwycić, bo drugiej szansy nie będzie. Chodźmy nakarmić kaczki.

Stali oparci o balustradę mostku przerzuconego nad zwężeniem stawu, po którym pływały różnokolorowe kaczki. Jego rozmówca mówił stanowczym, niecierpiącym sprzeciwu głosem. Nie negocjował, przedstawiał warunki. Skibniewski tylko przytakiwał. Okazało się, że rzeczywiście wszystko wiedzieli.

– Dopóki wywoziliście obrączki, krugerrandy, a w końcu podróbki dzieł sztuki i pejzaże malowane przez tego Terleckiego, nawiasem mówiąc, całkiem udane, głównie nas to obchodziło. Ale porwanie i wywiezienie tej dziewczyny do burdelu to już była gruba sprawa.

– Więcej tego nie zrobimy. Gwarantuję.

Mężczyzna spojrzał na niego beznamiętnym wzrokiem. Skibniewski oceniał, że jego rozmówca zbliża się już do sześćdziesiątki i pomyślał, że musi być przynajmniej pułkownikiem, co mile połechtало jego próżność.

– Przeciwnie.

Zdzisław popatrzył na niego zdziwiony. Mężczyzna urwał kawałek chleba i rzucił w kierunku nadpływającej właśnie kaczki.

– Sytuacja się zmieniła. Nasza działalność zostanie rozszerzona o nową działkę. Wiecie, towarzysz Edward chce uczynić naszą gospodarkę bardziej wydajną. W teorii kapitalistycznej, która jest nam oczywiście zupełnie obca, nazywa się to większą efektywnością. Więc do tej pory nasz samochód woził do Niemiec Zachodnich tylko ubrania z tego...

– Bojownika.

– Właśnie, Bojownika. Zabawna nazwa. Chuja za to dostajemy. Więc teraz, w ramach większej wydajności, obok tych sukienek i kurtek z Bojownika będzie woził dziewczyny. Zdrowe, piękne, polskie dziewczyny.

– Towarzysz Gierek sobie tego życzy?

– Panie Zdzisławie, czy towarzysz pierwszy sekretarz ma głowę do takich spraw? Zwłaszcza teraz, zaledwie rok po Grudniu?

Ustalenie szczegółów, czy raczej przedstawienie wytycznych, trwało jeszcze niespełna trzydzieści minut. Zdzisław próbował negocjować, ale niczego nie wskórał.

– Popatrz pan na tę kaczkę. Piękna, choć nie nasza. Nasze też są piękne, ale nie tak kolorowe. I lepsze na talerzu niż w stawie. Ta kaczka mogłaby odfrunąć, a tego nie robi. Dlaczego? Bo wie, że gdzie indziej musiałyby szukać pożywienia, a tu sami przynosimy jej żarcie. Z panem jest podobnie. No i wie pan, że we Francji, konkretnie pewnie w Montpellier, czeka już na pana talerz i buraczki. Ale nim pan na ten talerz trafi, będzie pan musiał przejść przez piekarnik. Podobno Francuzi niezgorzej umieją przygotować kaczkę, a w razie czego my im w tym pomożemy. Austriacy nie są już w tej sztuce tak biegli, więc nasi kucharze bardzo chętnie pomogą kucharzom austriackim. Jak to proletariusze proletariuszom. A, i proszę pamiętać, że towarzysz Edward spędził we Francji wiele lat. Kocha ten kraj i chce z nim nawiązać bliższe kontakty. Dostarczenie im kaczki, na którą od dawna polują, zostałyby w Paryżu bardzo dobrze przyjęte...



Skibniewski opuścił ogród zoologiczny, z trudem przepychając się między małymi dziećmi i ich matkami. Mężczyzna w ciemnym prochowcu znowu uchylił kapelusza, ale nie ruszył się z miejsca.

Po dziesięciu minutach dotarł do Merkurego. Nim wszedł do środka, przystanął i zapalił papierosa. Musiał zebrać myśli.

Groźba była oczywista. Skibniewski spędził na Zachodzie sześć lat i nie był to spokojny pobyt. W knajpie w Hamburgu, gdzie pracował jako kelner, spotkał Kazimierza Janosza, który lubił tam zachodzić po robocie na kufelek piwa. Wkrótce okazało się, na czym ta jego robota polegała. Janosz był przywódcą bandy, której tron oparty był na jego dwóch braciach, Janie i Mieczysławie. Zajmowali się rabowaniem sklepów jubilerskich, futrzarskich, willi bogatych Niemców i Francuzów, kradzieżą luksusowych samochodów. Kazimierz zaproponował mu wejście do tego biznesu, bo akurat potrzebowali kierowcy, poprzedni, Marokańczyk, został poważnie ranny podczas napadu na sklep jubilerski we Frankfurcie. Wizja zarobków przedstawiona przez Janosza była oszałamiająca i Zdzisław, który ledwie wiązał koniec z końcem – marynarze stanowiący większość tutejszej klienteli nie byli skorzy do dawania napiwków – natychmiast się zgodził. Początkowo tylko na jeden skok, potem na jeszcze jeden, a w końcu na kolejne. Po kilku miesiącach rzucił robotę w knajpie i przeszedł do Janosza „na pełny etat”. Szybko zaczął się piąć w gangsterskiej hierarchii, Janosz doceniał jego umiejętność prowadzenia samochodu, ale z czasem również logistyczny spryt niezbędny przy planowaniu kolejnych napadów, a w końcu także brawurę i fantazję.

Mimo to Skibniewski długo nie znał zasad funkcjonowania całego tego biznesu. Od początku zastanawiało go przede wszystkim, w jaki sposób Janoszowie tak szybko upłynniali skradziony towar. Ta wiedza była zarezerwowana wyłącznie dla braci, ale musiał przyznać, że robili to bardzo sprawnie, bo dolę wypłacali mu nie dalej niż tydzień po skoku, a czasem nawet szybciej. Dopiero po dwóch latach, gdy zrobili sobie tygodniowy urlop w okolicach Wenecji – przed skokiem na duży sklep jubilerski we francuskim Antibes – poznał szczegóły. Nie wszystkie oczywiście, Kazimierz bardzo starannie dozował informacje.

Był czerwiec sześćdziesiątego szóstego roku i sezon w północnych Włoszech już się rozpoczął. Właśnie raczyli się winem w knajpie nad brzegiem morza w Bibione, gdy Janosz pochylił się w jego kierunku.

– Zdzisław, nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat, ale dlaczego ty właściwie zwiąłeś z Polski?

– Musiałem. Obrobiłem sąsiada. To była głupota, młody byłem i narwany. Co gorsza, zabawiałem się też z jego żoną, zresztą nie bez jej aktywnego udziału. Robiliśmy to od kilku miesięcy, ale gdy kradzież wyszła na jaw, powiedziała milicjantom, że ją zgwałciłem.

– Czyli nie polityka, tylko uczciwe złodziejstwo – zarechotał Janosz. – To dobrze, bo musisz coś wiedzieć. To oczywiście absolutna tajemnica. Jeśli ją komuś zdradzisz, długo nie pożyczysz. Wiesz, że nie rzucam słów na wiatr. Ale nim powiem, o co chodzi, odpowiedz mi na jedno pytanie. Chciałbyś wrócić do Polski? Nie mówię dzisiaj czy jutro, ale kiedyś. Wrócić bogaty.

– W Polsce szuka mnie milicja. Szybko trafiłbym za kraty. Tu jestem bezpieczny.

– Tym się nie martw. Nie będą cię szukać. To ci mogę zagwarantować.

– Ani za tamto, ani za to, że zwiąłem?

– Za nic. Jeszcze medal ci dadzą. Wiem, co mówię.

Podczas tej rozmowy Skibniewski dowiedział się, że bracia Janoszowie pracują na zlecenie i pod parasolem ludzi z polskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. To do nich trafiają wszystkie łupy i oni płacą za fanty. I często to oni, polski wywiad, nagrywają im robotę tutaj.

– Pięćdziesiąt procent jest nasze. Dostaniemy to po powrocie, plus dobrą emeryturę, taką, jaką mają generałowie MO. – Kazimierz zamówił jeszcze jedną butelkę wina. – No i wiesz, że z konieczności te rachunki nie są zbyt ścisłe.

Zaproponował Skibniewskiemu „nowy kontrakt”. Miał pojechać do Austrii i stworzyć podobną grupę. Dostanie jednego człowieka, a wywiad wskaże mu dwóch kolejnych, emigrantów z Jugosławii, którzy też nadadzą się do tej roboty.

– Szefem będziesz oczywiście ty. Wchodzisz w to?

– Chcesz się mnie pozbyć? Stałem się obciążeniem?

Janosz patrzył na morze. Milczał. W końcu przeniósł wzrok na Zdzisława.

– Nie, jesteś bardzo dobry i nie wiem, jak sobie bez ciebie poradzę. Ale zabójstwo dwóch francuskich policjantów w Montpellier nie pomaga. Swoją drogą, po co odcinałeś im głowy? Nie podejrzewałem cię o takie okrucieństwo. Panowie z Rakowieckiej zmyli mi za to głowę. Ich zabicie było konieczne, rozumiem to, uratowałeś nam dupy i nigdy ci tego nie zapomnę. Mimo to lepiej, żebyś poszedł na swoje. To dobry moment. Na Rakowieckiej chcą ten biznes rozbudować. Ja mam Francję i Niemcy, ty weźmiesz Austrię, a później może Szwajcarię i północne Włochy. Duży pieniądz.

Zgodził się, zresztą nie bardzo miał wyjście. Skok w Antibes miał być ich ostatnią wspólną robotą.

Rozdział 11

WARSZAWA, CZERWIEC 2018

Ta sama stacja benzynowa, ten sam zestaw: paliwo, kawa, butelka whisky, papierosy. Tym razem jednak, w przeciwieństwie do podróży sprzed tygodnia, postanowił pojechać autostradą aż do Nowego Tomysła i dopiero tam skrócić do Borui.

Za zjazdem na S5 w kierunku Bydgoszczy wybrał numer do Renaty Artemskiej. Zbliżała się dziesiąta wieczór, ale miał nadzieję, że dawna szkolna koleżanka odbierze telefon. Jeszcze na zjeździe umówili się na spotkanie, choć bez sprecyzowania terminu.

– Już myślałam, że nie zadzwonisz. – Renata odebrała po drugim dzwonku.

– Przecież się umówiliśmy. Powinienem był wcześniej, ale musiałem pojechać do Warszawy. Właśnie wracam. Znajdziesz jutro czas na lunch?

– Bardzo chętnie. Mogę przyjść z Marią, też chce się z tobą zobaczyć. Tak się zresztą umawialiśmy. Gdzie się spotkamy?

– Sama wybierz, nie znam wolsztyńskich knajp. Przypominam, że wyjechałem stąd prawie czterdzieści lat temu. Parkowej już nie ma, a do Kaukaskiej daleko. No i już pewnie nie podają tam wątróbki z nutrii.

Renata roześmiała się na to wspomnienie. Na początku lat osiemdziesiątych wątróbka z nutrii była podstawowym daniem, którym zajadali się podczas wagarów. Przede wszystkim dlatego, że nic innego nie było.

Uzgodnili, że Renata porozumie się z Marią Krawczyk i później, najdalej jutro rano, przyśle mu wiadomość, ale odezwała się już po kilku minutach. Mieli się spotkać w Prowansji, co kompletnie nic mu nie mówiło, więc w odpowiedzi poprosił o adres.

Gdy dotarł do domku nad jeziorem, czuł się zmęczony, ale wiedział, że i tak nie zaśnie. Jak zawsze po długim prowadzeniu samochodu był zbyt pobudzony, aby przywołać sen najnudniejszą nawet książką. Wyniósł na taras

wiklinowe fotele i stolik, a później nalał sobie solidną porcję alkoholu. Podłączył dyktafon do laptopa i zaczął odtwarzać nagranie spotkania z detektywem.

Kiedy siedzieli już w knajpie, Wiesław Muszyński tylko pobieżnie przejrzał akta morderstwa szesnastolatki, ale wstępnie potwierdził opinię Rafała. Obiecał, że odezwie się do środy. Nie umiał natomiast odpowiedzieć, czy uda mu się dostać do teczki ze sprawy Doroty Kwiatkowskiej.

– Prehistoria. Gdzieś to oczywiście musi być, ale czy uda się odnaleźć i wyciągnąć, nie jestem pewien. Kiedyś w archiwum pracowała taka mała, frenetyczna czarnulka. Czekał, jak jej było? Bożenka, tak, Bożenka. Przezywali ją Fotograf, nie wiem dlaczego. Ale jest już na emeryturze – powiedział autentycznie zmartwiony. – Kobieta wulkan. Pamiętam, jak kiedyś, to chyba było pod koniec Gierka, tak, jeszcze przed „Solidarnością”, dopiero co zacząłem pracę...

– Wiesław! Twoje erotyczne opowieści są bardzo interesujące, ale teraz nie mam czasu. Jeśli ta twoja Bożenka jest już na emeryturze, to może spróbujesz znaleźć kogoś innego? Może zostawiła w firmie jakiegoś swojego wychowanka albo pociotka? Za komuny pracowaliście tam przecież całymi rodzinami. – Rafał włożył do ust kolejną krewetkę, obserwując, z jaką wprawą Muszyński obiera homara.

– Był taki wiceminister... Dobra, zostawmy to. Coś zadziałam, ale to zajmie trochę czasu. Zadzwoń do Bożenki, ona pomoże. Ma wobec mnie dług wdzięczności. – Spojrzał na niego porozumiewawczo i Rafał pomyślał, że tym razem będzie już musiał wysłuchać opowieści o podciągniętej wysoko spódnicy, dużych piersiach i nadzwyczaj sprawnych ustach jednej z byłych funkcjonariuszek Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej. Wysłuchiwał ich przy wielu spotkaniach, ale tym razem Muszyński spasował. – Zresztą nieważne. W coś ty tym razem wdepnął? – zapytał Wiesław poważnie.

Nie umiał odpowiedzieć. Sam się zastanawiał, co nim kieruje. Czy ważniejsze było to, że sprawa działa się w jego rodzinnym mieście, czy to, że o zajęcie się nią poprosił jego dawny szkolny kolega? A może miał dosyć polityki, ze wszystkimi jej brudami, lewymi pieniędzmi, podłością, ukrytymi wojnami oraz, to przede wszystkim, małością, i chciał się zająć czymś konkretnym?

– Jak chcesz zrobić coś konkretnego, to przekop kilka grządek tej kobiecie z działek, o której opowiadałeś. Bo to i bardziej konkretne, i bardziej twórcze – usłyszał na odchodnym.

Po rozmowie z Muszyńskim pojechał na chwilę do swojego apartamentu przy Grzybowskiej, spakował do torby stertę rachunków i trochę T-shirtów, wziął długi prysznic i wsiadł do samochodu. W sobotnie, słoneczne popołudnie warszawskie ulice były opustoszałe, więc szybko dotarł do autostrady. Po drodze przeprowadził kilka rozmów telefonicznych, dwóch posłów z rządzącej partii od paru dni dobijało się do niego, a w końcu zadzwonił do Bartka Nowickiego, przyjaciela z liceum i studiów na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Miał nadzieję, że spotkają się na zjeździe, tak się nawet umawiali, ale Nowicki nie przyszedł.

– Tylko się nie awanturuj, naprawdę nie mogłem. Bardzo chciałem się z tobą zobaczyć i żałuję, że się nie udało. – Przyjaciel odebrał telefon zaraz po pierwszym dzwonku.

– Wciąż masz okazję. Cały czas jestem w Wolsztynie, a konkretnie w Borui. Coś się stało? – Rafała trochę zaniepokoiła i mocno zmartwiła nieobecność Bartka na spotkaniu absolwentów liceum.

– To długa historia, nie na telefon. Do kiedy będziesz tu siedział?

– Nie wiem, wykorzystuję zaległy urlop. Trochę tego mam. Udało mi się wynająć dom nad samym jeziorem. Planowałem się zresetować, odpocząć kilka dni, ale coś się stało i postanowiłem zostać dłużej. Chciałbym się spotkać, bo możesz mi pomóc. No i, stary, muszę cię zobaczyć, dawno się nie widzieliśmy. Przyjedź, siądziemy na tarasie, wypijemy co nieco, opowiesz, co u ciebie.

Miał wrażenie, że Nowicki przez chwilę się waha, ale ostatecznie potwierdził. Umówili się za dwa dni na męski wieczór.

– Możesz u mnie spać, miejsce jest. Powspominamy stare czasy.

– Przyjadę, ale później wrócę do domu, ktoś po mnie przyjedzie. Wódka, whisky czy San Marco? – Obaj się roześmiali. San Marco, ziołowe wino, które wypili podczas jednych z pierwszych, wspólnych wagarów, było dla nich synonimem błędów młodości i pierwszych, nie nazbyt udanych peregrynacji po świecie alkoholi. Rzygali po nim jak koty.

Kiedy Rafał dotarł na miejsce, od razu rozłożył się na tarasie, zapalił papierosa i zaczął przesłuchiwać nagranie z dawnym policjantem, a teraz

prywatnym detektywem, dokładnie wsłuchując się w jego słowa.

Muszyński, co go mocno zaskoczyło, nie widział niczego nadzwyczajnego w opowieści o zaginionej nastolatce.

– Zdanowski może mieć rację. Niewykluczone, że jej śmierć upozorowano, a tak naprawdę dziewczynę wywieziono na Zachód i sprzedano do jakiegoś burdelu. Sporo było takich przypadków. W firmie mówili, że to się zaczęło na początku lat siedemdziesiątych. Już wcześniej, za Gomułki, wywiadowi brakowało twardej waluty na prowadzenie działalności operacyjnej na Zachodzie. A potrzebował jej pilnie, bo nikt tam już nie chciał współpracować z wywiadami ze Wschodu z miłości do socjalizmu. „Kasa, misiu, kasa”. Więc wymyślili, że nasi agenci stworzą na Zachodzie grupy przestępcze, a zrabowane przez nich pieniądze sfinansują działalność wywiadu. Opornie to szło, rezultaty były mizerne, ale wreszcie, jeszcze pod koniec lat sześćdziesiątych, powstała ta słynna banda braci Janoszków. Byli bezwzględni, przywieźli do Polski wagony różnych kosztowności, ale to oczywiście nadal była kropla w morzu potrzeb. Może zresztą by nie była, gdyby towarzysze nie mieli tak lepkich rączek i nie rozkradli precjozów zrabowanych przez Janoszków. – Wiesław Muszyński upił trochę białego wina. – Znasz przecież aferę „Żelazo”?

Znał. Trzej bracia Janoszkowie, Kazimierz, Jan i Mieczysław, jeszcze w Polsce zajęli się bandyterką, a później udało im się uciec na Zachód. Tam rozwinęli skrzydła, wyspecjalizowali się zwłaszcza w napadach na sklepy jubilerskie. Po jakimś czasie zostali namierzeni przez polski wywiad – prawdopodobnie jeden z nich jeszcze w Polsce współpracował ze Służbą Bezpieczeństwa – który złożył im jedną ze swoich „propozycji nie do odrzucenia”. Zaszantażowani, za obietnicę spokoju i udziału w zyskach oraz logistyczne wsparcie, przystali na współpracę. Z czasem rozwinęli działalność, okradając nie tylko sklepy jubilerskie, ale również futrzarskie, kradli dywany, obrazy, sprzęt elektroniczny, drogie ubrania i samochody... Wszystko, co przedstawiało dużą wartość. Fanty ślali do Polski, korzystając często z poczty dyplomatycznej. Akcja rozwinęła się w latach siedemdziesiątych, ale była kontynuowana również w następnej dekadzie, do roku osiemdziesiątego czwartego, gdy Jaruzelski i Kiszczak użyli jej, aby pozbyć się generała Mieczysława Milewskiego.

– Milewski, człowiek nikczemnego wzrostu i wielkich ambicji, został oskarżony o zainspirowanie zabójstwa Popiełuszki – ciągnął Muszyński. –

Tyle że miał świetne kontakty w Moskwie, więc Jaruzelski bał się go jak diabeł święconej wody. Użył tej całej afery „Żelazo”, aby go skompromitować, choć nie mam wątpliwości, że i on, i Kiszczak od lat wiedzieli o działalności Janoszków. Przecież na Rakowieckiej funkcjonował nawet specjalny sklepik, w którym można było kupować skradzione w Niemczech i we Francji towary, a Jaroszewicz obdarowywał nimi zasłużonych towarzyszy i ich żony. Nie zapominaj, że od sześćdziesiątego siódmego Kiszczak był zastępcą szefa WSW, a w siedemdziesiątym drugim został szefem Zarządu Drugiego Sztabu Generalnego, czyli wywiadu wojskowego. „Zieloni”, którzy byli bardzo blisko z radzieckimi, mieli za zadanie pilnować wywiadu cywilnego, więc Kiszczak na pewno o Janoszkach wiedział. Nie ma innej opcji – stwierdził Wiesław i dopił wino.

Zamówili dwa podwójne espresso.

Rafał miał wielką ochotę zapalić, ale na razie musiał się powstrzymać.

– Dwa pytania. Z tego, co wiem, Janoszowie nie zajmowali się handlem żywym towarem. I jak w tym wszystkim mieści się porwanie nastolatki przez bandziorów w małym Wolsztynie, czterysta kilometrów od Warszawy? – zapytał.

– Nie rozpędzaj się, w tej sprawie masz tylko podejrzenia, żadnych dowodów, ani jednego konkretnego. Załóżmy jednak, że ta teoria jest prawdziwa. Może oni działali na własną rękę, choć instynkt podpowiada mi coś innego. Więc mogli działać na własną rękę, nakryto ich, ale wywiad skorzystał z ich pomysłu. – Wiesław upił łyk kawy. – Jak zawsze znakomita. Być może jednak porwanie było inspirowane przez Rakowiecką. Po prostu testowali nowy sposób zarabiania. I woleli to robić z dala od Warszawy. Tak było bezpieczniej, bo w ten sposób uciekali spod oka radzieckich i wrogich frakcji w MSW.

Terlecki uregulował rachunek. Wyszli na Senatorską, w wąskim przejściu mijając grupkę rozbawionych mężczyzn i kobiet. Pożegnali się na ulicy, przy bmw Muszyńskiego.

– Oczywiście istnieje niezliczona ilość pośrednich wariantów. I jeszcze jedno. Traktujesz tę sprawę jako zamierzczłą przeszłość. Tak może być, ale wcale nie musi. Ona cały czas może być gorąca. – Uścisnęli sobie dłonie. – Jutro dzwonię do Bożenki. Uważaj na siebie.

– Ty też – odpowiedział Rafał.

Detektyw odwrócił się, podszedł do dziennikarza i spojrział mu w oczy.

– Rafał, naprawdę na siebie uważaj. To nie jest polityka, tu nikt nie zakłada białych rękawiczek. Bądź ostrożny.

Teraz, kilka godzin po tej rozmowie – cały czas czuł w ustach smak znakomitych krewetek z Saint Antonio – dziennikarz spojrział w kierunku jeziora. Muszyński z pewnością byłby niezadowolony, gdyby wiedział, że siedzi sam nad jeziorem, z dala od ludzkich siedzib, na dodatek nie nazbyt trzeźwy.

Postanowił, że rano posurfuje po internecie, pamiętał, że wcześniej czytał coś o peerelowskim handlu żywym towarem. Zastanawiał się tylko, co to mogło mieć wspólnego z brutalnym morderstwem na działkach.

Rozdział 12

WOLSZTYN, CZERWIEC 2018

Terlecki patrzył na wyświetlacz telefonu i zastanawiał się, kiedy Paweł Zdanowski sypia. Była niedziela, zaledwie kilka minut po siódmej rano, dlatego postanowił zignorować jego telefon. Odłożył smartfon, ale sen już nie wrócił, choć przez kilka minut starał się go przywołać. Wstał z łóżka zły i powlókł się do łazienki. Po półgodzinie siedział już na tarasie, wykąpany i ogolony, z kubkiem kawy i papierosem. Dzień zapowiadał się słonecznie, więc wypił kawę, wysłał esemes do Pawła i wypłynął kajakiem na jezioro. Po wczorajszej podróży i solidnej porcji bourbona nie czuł się na siłach biegać, ale uznał, że stać go na kilkadziesiąt minut wiosłowania.

Po powrocie wziął kolejny prysznic. Kawa smakowała lepiej. Kiedyś mnie to zabije, pomyślał, zapalając papierosa.

Sięgnął po telefon, aby zadzwonić do Zdanowskiego, ale akurat w tym momencie dostał wiadomość na WhatsAppa. Od Muszyńskiego. „Z Bożenką jestem umówiony po jej powrocie do Warszawy, w przyszłą środę. Będzie się działo (może)! Musisz się spotkać z Zakrzewskim, pułkownik, był w wywiadzie. Zadzwon do niego jutro wieczorem, koniecznie z WhatsAppa. Czeka”. I numer telefonu. „Jesteś nieoceniony” – odpisał. Nim wybrał numer Pawła, detektyw napisał: „Nieprawda, mam swoją cenę. Ale cię nie stać”.

– Przepraszam, że nie odebrałem. Kajakowałem. – Terlecki postanowił nieco nagiąć rzeczywistość.

– To ja przepraszam za tak wczesny telefon. Wyjeżdżałem na ryby i bałem się, że nie będę miał zasięgu. Jak w Warszawie?

Głos Zdanowskiego był niewyraźny, co mogło oznaczać, że on akurat nie nagina rzeczywistości i zaszył się gdzieś nad wodą.

– Dobrze. Trochę to musi potrwać, ale dobrze. Złapałeś coś?

– Dwa ładne okonie. À propos, zjadłeś ryby, które przywiozłem ci tydzień temu?

Rafał potwierdził, nie chciał, aby kolega poczuł się rozczarowany. Choć wypatroszył ryby, to nie usmażył ich, tylko schował do zamrażalnika. Teraz przyrzekł sobie, że przygotowuje je na wieczorne spotkanie z Bartkiem Nowickim.

– Powiesz mi, co załatwiłeś w naszej kochanej stolicy? – Zdanowski chyba nie wyczuł kłamstwa.

– Nie przez telefon. Za kilka dni będę musiał znowu tam pojechać, jutro się umówię, dam ci znać.

– Pamiętaj, co mówiłem, zwrócę pieniądze za paliwo. Albo jeszcze inaczej, dam ci jedną z firmowych kart paliwowych BP.

– Daj spokój, stać mnie na paliwo. Odezwę się jutro lub pojutrze. Dobrego połowu – powiedział i się rozłączył.

Zagłębił się w internecie. Miał nadzieję, że znajdzie jakieś ciekawe, choćby szczątkowe informacje na temat handlu kobietami w okresie Peerelu, ale trafił tylko na kilka sensacyjnych dziennikarskich tekstów o znikomej wartości dowodowej. Mimo to zapisał sobie linki. Pomyślał, że podczas najbliższego pobytu w Warszawie zajrzy do Instytutu Pamięci Narodowej, ale z doświadczenia wiedział, że aby coś tam znaleźć, musi mieć jakiś punkt zaczepienia, najlepiej nazwisko. Na razie nie miał.

Kilka minut po dwunastej schował laptop, przez chwilę zastanawiał się, czy zabrać go ze sobą, przebrał się i wyjechał do Wolsztyna. Po drodze chciał się jeszcze zastanowić nad strategią rozmowy z Renatą i Marią. Uznał, że lepiej nie wtajemniczać ich w sprawę.

Padli sobie w ramiona. W liceum naprawdę się lubili. Co roku, razem z Bartkiem Nowickim, organizowali konkursy Miss Klasy, które zawsze, na zmianę, wygrywała Renata bądź Maria, a jednocześnie nie było między nimi tego charakterystycznego napięcia, które cechuje stosunki nastolatków. Po prostu się kolegowali, one interesowały się innymi chłopakami, oni innymi dziewczynami. Spotkali się później, kilka tygodni po rozpoczęciu studiów w Poznaniu, w wynajmowanym przez dziewczyny pokoju przy parku Sołackim. Zamiast jakichś umizgów, normalnych w tym wieku, po prostu gadali i solidarnie się upili. Bawili się świetnie.

Teraz plotkowali o niedawnym spotkaniu absolwentów liceum i ich obecnym życiu. Zjedli, a później zamówił dziewczynom jakieś wymyślne drinki i zapytał o Pawła Zdanowskiego. Mówiły o nim w samych

superlatywach, choć jak mu się wydawało, niewiele wiedziały. Podkreślały jednak, że według krążących po Wolsztynie opinii dbał o swoich pracowników i wspomagał tutejszy Caritas.

– Bardzo pomógł Ani Kaleckiej, gdy się okazało, że jej wnuk ma jakieś schorzenie nóg i nie może chodzić. Sfinansował operację, później jeszcze załatwił im wizytę u specjalisty w Szwajcarii, jeden z jego pracowników zawiózł ich tam jego samochodem. – Maria ewidentnie była pod wrażeniem. – Ma zajoba na punkcie ryb, jeździ łowić do Norwegii, Kanady, podobno nawet do Afryki. No, ale kto bogatemu zabroni?

Rafał skierował rozmowę na niedawne morderstwo na działkach. Opowiadały powściągliwie, choć bez wątpienia ten temat rozpałał wyobraźnię tutejszych mieszkańców. Przy drugim drinku, gdy wróciły do tematu, Maria, która pracowała w kancelarii adwokackiej, poradziła, żeby porozmawiał z mecenasem Turczyńskim, jeśli interesują go jakieś szczegóły.

– Od kilku lat jest już na emeryturze. Ma ponad osiemdziesiąt lat, ale jest w znakomitej formie. Nie prowadził tej sprawy, tego młodego broniło trzech adwokatów z Warszawy, ale wiem od mojego pryncypała, że bardzo się tym procesem interesował. I jakoś krytycznie się do całej tej sprawy odnosił, ale nie mam pojęcia, o co chodziło. A Ciebie, Rafałku, dlaczego to tak interesuje? – zapytała Maria i spojrzała na niego z uwagą.

– To dość niezwykłe wydarzenie jak na Wolsztyn. A słyszałem, że nie pierwsze tego typu, że już kiedyś jakieś dziewczyny w podobny sposób zamordowano. – Spojrzał na koleżanki uważnie. Wydawały się autentycznie zaskoczone.

Rafał przypomniał sobie, że ojciec Renaty był kiedyś zegarmistrzem, bardzo w Wolsztynie znanym i szanowanym. No i teraz już wiekowym, mógłby coś wiedzieć o morderstwach z lat siedemdziesiątych, a może nawet wcześniejszych.

– Tata niestety nie czuje się już najlepiej, ma siedemdziesiąt sześć lat. Ale myślę, że akurat z tobą chętnie się spotka. Często ogląda cię w telewizji i chwali się znajomym, że chodziliśmy razem do szkoły. – Renata spojrzała na niego lekko już zamglonym wzrokiem. – My z Maryską też się zresztą tym chwalimy. No, Rafał, naprawdę jesteśmy z Ciebie dumne.

Skończyli po szesnastej i trzech drinkach. Zaproponował im odwiezienie do domu, ale stwierdziły, że spacer dobrze im zrobi. Miał wątpliwości, ale nie

nalegał. Zrobił szybkie zakupy w Lidlu i popędził do Borui. Z Nowickim był umówiony o wpół do siódmej, a musiał jeszcze przygotować te cholerne ryby.

Niemal go nie poznał. Nie widzieli się od dziesięciu, może dwunastu lat, choć często rozmawiali przez telefon.

– Ależ schudłeś! Wszystko z tobą w porządku?

– Tak, nawet lepiej niż w porządku. Wziąłem się za siebie. Dieta, bieganie, rower, przestałem palić. Zrzuciłem ponad dwadzieścia kilogramów!

– Nowy ty! Ale mam nadzieję, że alkoholu nie rzuciłeś?

– Eee, to już nie to co kiedyś! Głowa już nie ta, wątroba też. Ale nie obawiaj się, nie stałem się abstynentem – odpowiedział, podając mu butelkę bushmillsa i colę. – Nadal wolę z colą. Stare przyzwyczajenia.

Rafał rozlał alkohol – dla Bartka z colą, dla siebie tylko z lodem.

– Wypijemy, a później przejdziemy do salonu...

– Na cygaro. – Bartek natychmiast wszedł mu w słowo. To był jeden z ich licealnych grepsów. W przeciwieństwie do kolegów z innych klas, oni często zamiast włóczyć się po mieście, spędzali wagary w mieszkaniu Terleckiego. Najpierw w kuchni zjadali bułczankę lub kielbasę – Bartek mieszkał wówczas na wsi i po świniobiciu przywoził znakomite wędliny, na początku lat osiemdziesiątych bezcenne – a później przechodzili do pokoju na wino lub częściej wódeczkę.

Minęła godzina, nim gospodarz przypomniał sobie o rybach. Przenieśli się do niewielkiej kuchni i Rafał zaczął przygotowywać kolację.

– Sprawnie ci to idzie. Nie mów, że sam złowiłeś.

– Nie, Paweł Zdanowski przywiózł. Odwiedził mnie tutaj któregoś dnia. Trochę wypiliśmy i pogadaliśmy.

– Co ty powiesz, nie wiedziałem, że on pije. W mieście ma opinię niemal świętego.

– Trudno, co robić... Zdaje się, że świetnie sobie radzi. Ta jego firma robi wielkie wrażenie, przynajmniej tak wynika z opowieści Pawła. – Terlecki ucieszył się, że rozmowa naturalnie zeszła na interesujący go temat. – Co o nim wiesz?

– Jest w porządku. Przejął firmę ojca, ale bardzo ją rozbudował. Od lat angażuje się w działania społeczne, pomaga ludziom. Ale słyszałem, że

miejscowi biznesmeni nie bardzo go lubią, mają z nim na pieńku. Albo on z nimi.

– Dlaczego?

Nowicki sięgnął po szklanekę i Rafał pomyślał, że przyjaciel nie bardzo chce o tym mówić. Ale naciskał.

– Przejdziemy się?

– Żarcie gotowe. Może najpierw zjedzmy – zaproponował Bartek.

Gdy ruszyli wzdłuż jeziora, zaczął opowiadać. Z jego słów wyłaniał się obraz niewiele różniący się od tego, który wcześniej przedstawił Zdanowski. To już było jakieś potwierdzenie.

– Dawno już chciałem ci o tym opowiedzieć, ale nieustannie się wahałem. Próbowałem inaczej, rozmawiałem z jednym z senatorów, ale nic z tego nie wyszło. – Bartek robił wrażenie przygnębionego. – Wiesz, jak to jest. Chciał, żebym to wszystko spisał, i nawet tak zrobiłem, ale nigdy nie wysłałem.

– Zajmę się tą sprawą. Właściwie, mówiąc szczerze, już się nią zajmuję. Opowiem ci, co ustaliłem, ale to oczywiście musi pozostać między nami.

Rafał miał do Bartka bezgraniczne zaufanie, mimo to uznał, że warto postawić sprawę jasno.

Gdy skończył opowiadać, było już ciemno, ale nie wrócili do domu. Ogrodowa lampa dawała wystarczająco dużo światła. Bez pośpiechu sączyli alkohol.

Nowicki głośno zastanawiał się nad słowami Muszyńskiego. Coś chodziło mu po głowie.

– Przed wojną, jak pamiętasz, granica z Niemcami przebiegała koło Kopanicy, czyli piętnaście kilometrów od Wolsztyna. Był tu komisariat Straży Granicznej, mieli siedzibę przy dzisiejszej ulicy Piątego Stycznia, wówczas Koenigstrasse. Ale co ważniejsze, i tego już pewnie nie wiesz, była tam też zajmująca się wywiadem tak zwana Placówka Drugiej Linii.

– Myślisz, że to może mieć jakieś znaczenie? – Rafał miał wątpliwości.

– Nie wiem, zastanawiam się. Ale może przy Rakowieckiej ten nasz mały Wolsztyn wcale nie był aż tak anonimowy, jak mogłoby się wydawać.

Nowicki dolał do swojego drinka trochę coli.

– No dobrze, to spójrzmy z drugiej strony. Pamiętasz tych milicjantów z początku lat osiemdziesiątych? Przecież to był kabaret, wiecznie pijani, nawet w stanie wojennym. Jeden taki zatrzymał mnie ostatniego dnia osiemdziesiątego pierwszego roku obok cmentarza, szliśmy akurat na sylwestra do Michała Lisiewicza. Był pijany w sztok, bałem się, że nas zastrzeli, bo mierzył z tego swojego kałacha. Czy tacy ludzie mogli mieć coś wspólnego z wywiadem?

– Nie wszystkich znaleźliśmy – zganił go Bartek.

Rafał przypomniał sobie Jurka, u którego zresztą bywał czasem w domu, był mężem jego starszej koleżanki. Przedstawiał się jako milicjant, ale nigdy, dosłownie nigdy, nie widział go w mundurze. Nie pamiętał też, aby kiedykolwiek mówił o swojej pracy. Był wówczas przekonany, że Jurek jest esbekiem, co nawet by się zgadzało. Pomyślał, że warto byłoby z nim porozmawiać.

– Tylko co to może mieć wspólnego z jakimiś rytualnymi morderstwami, które ciągną się od lat trzydziestych?

– Nie dostrzegam związku. Co nie znaczy, że go nie ma – odparł Bartek.

Zbliżała się północ, gdy na drodze, dokładnie przed ich kempingiem, zatrzymał się czarny SUV. Terlecki zeszywniał, ale okazało się, że po Bartka przyjechał jego syn. Umówili się na kolejne spotkanie.

Kiedy odjechali, Rafał wziął się za sprzątanie.

Rozdział 13

WOLSZTYN, CZERWIEC 2018

Rano okazało się, że efekty nocnych porządków są mizerne, więc zamiast cieszyć oczy widokiem jeziora i lasu, pilnie szorował patelnię, mył szklanki, kubki i talerze. Zatęsknił do zmywarki w swoim warszawskim apartamencie.

To nie był najlepszy poranek jego życia. Wywołany kacem ból istnienia przytłumiało nieco poczucie, że jednak nie traci czasu, a podejrzania, którymi zaraził go Zdanowski, wcale nie muszą się okazać wyimaginowane. Zapalając pierwszego tego dnia papierosa, zastanawiał się, czy ma do czynienia z dwoma sprawami – rytualnymi morderstwami i porwaniami kobiet – czy obie w jakiś niezrozumiały na razie i pokrętny sposób wiążą się ze sobą.

Zdecydował, że spędzi ten dzień w Borui. Choć powinien usiąść przed komputerem, najpierw postanowił popływać kajakiem, a później zmusić się choćby do pięciokilometrowego joggingu. Tylko w ten sposób mógł dojść do siebie.

Podczas biegu, wolniejszego niż zazwyczaj, bo nie potrafił zmusić organizmu do większego wysiłku, zwymiotował i choć z trudem doczłapał się później do domku, to teraz czuł się znacznie lepiej. Wszystko go bolało, ale umysł miał jasny. W kalendarzu zanotował plan działania na najbliższe dni, zjadł obfite śniadanie i zanurzył się w internecie.

Dzień okazał się lepszy, niż mógł sądzić. Współpracujący z nim student poinformował, że Maciej Sworowski figuruje na liście współpracowników Służby Bezpieczeństwa. „Może tam nic nie ma, bo wielu sportowców wyjeżdżających za granicę było rejestrowanych jako współpracownicy Służby Bezpieczeństwa, ale warto to sprawdzić” – przeczytał w mailu. Nie musiał tego pisać, Terlecki świetnie to wiedział, ale i tak był wdzięczny za pomoc. Do listy zadań na najbliższe dni dopisał wizytę w Instytucie Pamięci Narodowej. Zaraz też napisał podanie, IPN wymagał glejtu poświadczającego, że delikwent jest dziennikarzem i zbiera informacje do publikacji, i wysłał do sekretariatu redakcji z prośbą o podpis szefa i odesłanie skanu.

Znowu wszedł na stronę Biblioteki Publicznej w Wolsztynie. Zaczął przeglądać „Orędownika na powiat wolsztyński”. W numerze z marca tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku trafił wreszcie na tytuł, który natychmiast przykuł jego uwagę. „Tragiczna śmierć w posiadłości pp. Mycielskich”.

Z notatki, niezbyt obszernej i zamieszczonej dopiero na drugiej stronie periodyku, dowiedział się, że na początku lutego w parku – nie podano niestety dokładnej lokalizacji – znaleziono przywiązane do drzewa ciało dwudziestopięcioletniej kobiety. „Zostało bestialsko zbezczeszczone” – przeczytał. To ostatnie mogło oznaczać właściwie wszystko.

Bingo! – pomyślał i zaparzył sobie następną kawę. Niestety, w kolejnych numerach nie znalazł żadnych informacji na temat śledztwa w tej sprawie.

Renata Artemska zadzwoniła wczesnym wieczorem i poinformowała go, że ojciec chętnie z nim porozmawia. Zaprosiła go na następny dzień.

– Nie powiedziałam mu, dlaczego chcesz się z nim spotkać, tylko tyle, że grzebiez trochę w historii Wolsztyna. Zresztą właściwie sama nie wiem, o co chodzi. Ojciec bardzo interesuje się polityką, uważa się za wybitnego eksperta i pewnie sądzi, że chcesz się z nim skonsultować. – Zachichotała.

Godzinę później zadzwonił do pułkownika Andrzeja Zakrzewskiego. Były oficer peerelowskiego wywiadu mówił tak cicho, że Rafał niemal wcisnął sobie smartfon do ucha.

– To oczywiście nie jest rozmowa na telefon, więc musimy się spotkać. Nie robię tego chętnie, nigdy nie rozmawiam z dziennikarzami, ale mam dług wobec Wiesława, niedawno bardzo pomógł mojej córce. Wiem, że jest pan poza Warszawą, więc proszę powiedzieć, kiedy pan będzie w stolicy. Dostosuję się, mam ostatnio dużo wolnego czasu. – Terlecki ledwie go słyszał. – Może w hotelu Marriott, na dole w kawiarni.

– Świetnie, chciałbym tylko wstępnie zapytać...

– Nie, panie redaktorze, nie przez telefon. – Tym razem głos pułkownika brzmiał bardzo stanowczo.

Umówili się na spotkanie za dwa dni i pułkownik się rozłączył. Zastanawiał się, postanowił, że musi o to zapytać Muszyńskiego, dlaczego byli funkcjonariusze wywiadu tak chętnie spotykają się właśnie w tym hotelu. Zawsze, gdy z którymś się umawiał, wyznaczali mu spotkanie właśnie tam. Z reguły wychodził z tych spotkań rozczarowany, ponieważ nie dowiadywał

się niczego interesującego. Zasłaniaли się niepamięcią, zalewali potokiem pozbawionych treści słów albo mówili o sprawach, o których dawno już można było przeczytać w gazetach i książkach. Miał nadzieję, że tym razem będzie inaczej, że Muszyński odpowiednio go zarekomendował.

Zmierzchało, gdy ponownie usiadł przed komputerem. Jutro zamierzał odwiedzić Muzeum Marcina Rożka i dowiedzieć się czegoś o najsłynniejszym mieszkającym w Wolsztynie rzeźbiarzu. Nie wykluczał, że zamordowana w trzydziestym trzecim kobieta została przywiązana do dębu, który niedawno pokazał mu Zdanowski. Było to tylko założenie, ale jego zdaniem niepozbawione sensu.

Życiorys Rożka wydał mu się interesujący. Zaczynał jako kamieniarz, później kształcił się w Berlinie, Monachium i Paryżu, brał udział w Powstaniu Wielkopolskim, wykładał w poznańskiej Szkole Sztuk Zdobniczych, która była protoplastą Akademii Sztuk Pięknych. W czterdziestym trzecim roku za odmowę wykonania pomnika Hitlera trafił do Auschwitz i tam dokonał żywota. Wikipedia podawała listę najważniejszych prac Rożka. Okazało się, że Zdanowski miał sporo racji – rzeźbiarz był autorem reliefu Świętego Antoniego z Padwy i pomnika Matki Boskiej Królowej Korony Polskiej w Kartuzach oraz rzeźb świętych na ołtarzu Serca Jezusowego w jednym z kościołów w Ostrowie Wielkopolskim. Ale jednak, wbrew temu, co powiedział Zdanowski, nie był monotematyczny, był też autorem figury kata zdobiącej pręgierz na poznańskim Starym Rynku.

Kat, zbezczeszczone zwłoki z notatki w „Orędowniku”... Oczywiście skojarzenie. Może aż nadto, pomyślał.

Jego uwagę zwrócił opis pomnika Siewcy w Luboniu, który Rożek stworzył w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim roku, dziesięć lat przed osiedleniem się w Wolsztynie. Okazało się, że trzymetrowa rzeźba przedstawiała, jak napisano, „słowiańskiego rolnika siejącego zboże”. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby Rożek nie był też autorem stojącego przed katedrą w Gnieźnie pomnika Bolesława Chrobrego, tego symbolu potęgi piastowskiej Polski. Zaczął się zastanawiać, czy artysta nie był czasem panslawistą. Nie znalazł w internecie żadnych informacji o jego poglądach politycznych, ale uznał, że ten trop wart jest zbadania. Rożek był przecież Wielkopolaninem, a w tym regionie wpływy endecji – promotora panslawizmu na ziemiach polskich – były dominujące.

Postanowił odświeżyć swoją wiedzę o panslawizmie. Pamiętał, że ten ruch zrodził się na początku dziewiętnastego wieku i zasadzał się na idei zjednoczenia wszystkich Słowian. Szybko został przejęty przez Moskwę, która dostrzegła w tym doskonały instrument do podporządkowania sobie znacznej części Europy Środkowej. Notatka w Wikipedii na ten temat okazała się wyjątkowo zdawkowa i niechlujna, ale Rafał znalazł w internecie pracę profesora Piotra Eberhardta z Polskiej Akademii Nauk. Nim zaczął czytać, nalał sobie szklaneczkę whisky. Uznał, że na jedną, małą, może sobie dzisiaj pozwolić.

Zastanawiał się, czy Rożek mógł ulec tej idei. Cóż, w dziewiętnastym wieku ulegli jej znacznie bardziej wyrobieni politycznie przedstawiciele elit – Stanisław Staszic, książę Adam Czartoryski, Adam Mickiewicz, ksiądz Karol Mikoszewski. Poza tym Rożek całe życie spędził na ziemiach zachodnich dawnej Polski, gdzie musiał się zmagać z żywiołem niemieckim, rosyjskiego nie znał. To mogło mu ułatwić akceptację pomysłu jedności świata słowiańskiego. Mógł też, podobnie jak wielu innych patriotów, stracić wszystkie nadzieje na samodzielne odzyskanie przez Polskę niepodległości.

Siewca, Chrobry, kat. Zastanawiająca koincydencja, myślał, dopijając ze szklanki resztkę alkoholu. Nagle przypomniał sobie otoczony niskim drewnianym płotem dąb w północnej części wolsztyńskiego parku. Miejscowi nazywali umieszczone tam płaskorzeźby „wolsztyńskimi diabłami”, choć tak naprawdę przedstawiały Meduzę, Fauna i trzecie, niezidentyfikowane monstrum.

Dokładna data powstania tych rzeźb nie była znana. W internecie Rafał wyczytał, że Rożek wykonał je między tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim a tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym rokiem na prośbę hrabiny Michałowskiej *de domo* Mycielskiej. Doszedł do wniosku, że bardziej prawdopodobne są ostatnie przedwojenne lata, bo po Wielkim Kryzysie Michałowscy popadli w duże kłopoty finansowe. Naprawdę duże, skoro hrabina przyjmowała w swoim pałacu letników i wzięła się za uprawę warzyw, które eksportowała nawet do Rzeszy. Pod koniec lat trzydziestych, dzięki poprawie koniunktury gospodarczej i ostremu reżimowi oszczędnościowemu, majątek zaczął wychodzić na prostą, długi spłacono ostatecznie, jak na ironię, kilka tygodni przed wybuchem wojny. Terlecki sądził, że zlecenie wykonania rzeźb na drzewie w parku, do tego rosnącego w pewnym oddaleniu od pałacu, w okresie dużych oszczędności zostałyby uznane za zbytek. Później, gdy majątek był już w lepszej kondycji,

Michałowska mogła się na to zdecydować. To oznaczało, że „wolsztyńskie diabły” były jakoś powiązane ze zwłokami znalezionymi w parku w trzydziestym trzecim roku.

Mogły być, poprawił się w myślach.

Ich symbolika wydawała mu się dziwna. Meduza pochodziła z mitologii greckiej i była najbardziej przerażającą z trzech Gorgon. Przypisywano jej moc zamieniania żywych istot w kamienie. W starożytnej Grecji była synonimem dwulicowości, zła, zazdrości i podłości. „Symbolizuje poczucie zagrożenia” – przeczytał.

„Podobno była latawicą”, przypomniał sobie słowa kobiety z działki. A może najzwyczajniej prostytutką? Cóż, w latach trzydziestych kobiet uprawiających w Polsce nierząd była cała armia. I ta armia rekrutowała się nie tylko z kobiet żyjących w dużych miastach. Nierząd uprawiały również gnane biedą mieszkanki małych miejscowości, często zresztą za zgodą swoich mężów. Kobiety w Wolsztynie nie były wyjątkiem.

Dlaczego spośród trzech Gorgon Rożek wybrał Meduzę? Byłoby naturalne, gdyby obok niej umieścił rzeźby dwóch pozostałych – Steno i Euriale. Tymczasem druga rzeźba przedstawiała Fauna, zwanego też Faunusem, staroitalskiego boga płodności, lasów górskich, opiekuna pasterzy i nauczyciela uprawy roli. A więc, w przeciwieństwie do strasznej Meduzy, „dobrego boga”. A kogo przedstawiała trzecia głowa?

Może to jakaś postać z mitologii słowiańskiej? Bo skoro jedna głowa pochodziła z Grecji, druga z Italii, to ta trzecia mogła wziąć się z miejscowych wierzeń, pomyślał, wyłączając laptop.

Nie mógł zasnąć. Po godzinie przewracania się w łóżku postanowił wrócić do pracy. Zastanawiał się, czy z pościeli wygnała go chęć rozwiązania zagadki Marcina Rożka – a w każdym razie zbliżenia się do jej rozwiązania – czy jednak pragnienie napicia się whisky i zapalenia kolejnego papierosa. Tak czy inaczej, wyposażony w szklaneczkę z grzechoczącymi kostkami lodu usiadł na tarasie.

Czytał o Meduzie – zło jest zawsze bardziej fascynujące niż dobro – i w końcu trafił na rozdział „Śmiertelna głowa”. Poczul przyływ adrenaliny. Dowiedział się, że Gorgony zostały zabite przez Perseusza, syna Zeusa i Danae. „Perseusz zdążył zaczerpnąć krwi wypływającej z ran zamordowanej. Krew Meduzy była magiczna: płynąca z żył lewej strony ciała była śmiertelną trucizną, z prawej strony miała moc przywracania życia”. Ta krew, jak

opisywał w *Mitologii* Jan Parandowski, miała być później używana do wskrzeszania zmarłych, ale Perseusz częściej korzystał z niej dla osiągnięcia własnych celów, między innymi wyeliminowania rywala do ręki Andromedy, zemsty na Atlasie, który nie chciał dać mu złotego jabłka z ogrodu Hesperyd, i wreszcie zamienił w kamienny posąg Polidektesa, który podczas jego nieobecności smażył cholewki do matki Perseusza.

„Smalić cholewki”. Rafał głośno się roześmiał. Czy ktoś jeszcze używa tego zwrotu?

Z kolejnego artykułu dowiedział się, że w młodości Meduza była piękną kobietą, którą Posejdon zgwałcił w świątyni Ateny, a ta w zemście zamieniła ją w potwora.

Kara dosięgła więc ofiarę, a nie sprawcę. Dziwny jest ten świat, pomyślał i znowu przypomniał sobie słowo „ladacznica”. To ono wydawało się kluczem w tej sprawie.

Ze szklanką, teraz już w trzech czwartych pustą, wszedł na pomost. Jezioro przypominało tafłę lodu. Starał się sobie przypomnieć, czy w dzieciństwie, gdy spędzał tu niemal dwa miesiące wakacji, choć raz widział jezioro w nocy. Nie pamiętał. Później też chyba nie, wieczory zajmowały mu inne przyjemności.

To nie może być przypadek. Te brutalne morderstwa z bezczeszczeniem zwłok, powtarzany przez lata rytuał. Ale czy kluczem do rozwiązania zagadki może być miejscowy artysta, który zginął, bo nie chciał wyrzeźbić pomnika Hitlera?

Nagle zdał sobie sprawę, że to hrabina Antonina Michałowska mogła być pomysłodawczynią drzewnej kompozycji, a Rożek tylko wykonawcą jej woli. Ta hipoteza wydała mu się bardziej prawdopodobna, bo hrabina z pewnością była dobrze wykształcona, co w tamtych czasach oznaczało też znajomość starożytnej mitologii.

Tylko po co kazała wyrzeźbić te głowy? I kiedy? Czy morderca przywiązał zwłoki do drzewa zwabiony demoniczną wymową rzeźb, czy hrabina kazała je tam umieścić, aby wypędzić z parku złe duchy, rozmyślał, wracając do domku letniskowego. Zastanawiał się, gdzie mógłby znaleźć odpowiedzi na te pytania.

Rozdział 14

ROK 1971, KONIEC WRZEŚNIA

Zdzisław Skibniewski wszedł do hotelu Merkury, minął recepcję i kręconymi schodami wdrapał się na pierwsze piętro. Marian Zdanowski rozparty w niezbyt wygodnym fotelu siedział przy tym samym stoliku, przy którym zasiadali podczas wszystkich spotkań w tej kawiarni, z widokiem na budynek uniwersytetu i trwającą cały czas budowę ronda Kopernika. Zdzisław pomyślał, że od czasu ich pierwszej wizyty w tym miejscu cholewkarz nabrał wielkiej pewności siebie.

Ale czy mogło być inaczej? Czasy, gdy jeździł rowerem do swojego warsztatu na ulicy Roberta Kocha, minęły. Teraz miał fiata 125p, nowy wytwór polskiej motoryzacji, w eleganckim wiśniowym kolorze. Z reguły ubierał się w jasne garnitury, które po wejściu do warsztatu starannie odwieszał w szafie, specjalnie zainstalowanej w niewielkim kantorku. Wyremontował mieszkanie w kamienicy przy rynku, nosił się też z zamiarem kupna ziemi i budowy nowego domu. Wszystko za sprawą zamówień z wojska i MSW, które Skibniewski załatwił mu swoimi sposobami w Warszawie. Jego oficerki nosili teraz najważniejsi generałowie milicji i wojska – cholewkarz upierał się, że na niedawnych obchodach Dnia Wojska Polskiego w rocznicę bitwy pod Lenino wystąpił w nich nawet minister obrony narodowej, choć Skibniewski nie bardzo w to wierzył – a także żołnierze trzymający wartę honorową przy Grobie Nieznanego Żołnierza. Jego kieszeń wypychały też pieniądze, z których część natychmiast wymieniał na twardą walutę, pochodzące z ich nielegalnego procederu. Panisko!

– Spóźniłeś się. Zmień tego swojego mercedesa na fiata, jest szybszy – powitał go złośliwie Zdanowski.

– Miałem niespodziewane spotkanie.

Widać jego mina mówiła wszystko, bo twarz Mariana natychmiast stężała.

– Ja pierdołę, dowiedzieli się o dziewczynie?!

– Ciszej! Dowiedzieli się, ale wyjdzie nam to na dobre. Poprosimy dwie kawki i po koniaczku – powiedział do przechodzącej właśnie kelnerki.

– Może być gruziński?

– Gdyby miała pani coś lepszego, to poprosimy. Mamy co świętować, więc nie będziemy oszczędzali.

Kelnerka odwróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku baru. Zdzisław popatrzył na jej zgrabną pupę i długie, może nieco nazbyt szczupłe nogi.

– Co Poznań, to Poznań, no nie? Dobra, zostawmy to, mamy ważniejsze rzeczy do omówienia. Ale poczekajmy na koniak i kawę. – Skibniewski rozsiadł się wygodnie.

Kelnerka obracała trzy razy, bo koniak smakował im wybornie – „mistrz Zdanowski” pił go pierwszy raz w życiu – a z każdym kieliszkiem groza sytuacji bladła, zastępowana wizją rosnących zysków. Żaden z nich nie miał moralnych oporów, a jeśli nawet, to zostały utopione już w pierwszym kieliszku i uspokajającym stwierdzeniu Zdzisława.

– Tam i tak będą miały lepiej niż tutaj. Bo jaka przyszłość czeka młodą dziewczynę w Polsce? Spójrz na tę smarkulę, cośmy ją sprzedali. Przez kilka lat będzie dawała dupy bogatym Niemcom, a później jeden z nich weźmie ją sobie za żonę i zostanie bogatą *frau*. A potem bogatą, szanowaną niemiecką wdową.

– Wiesz, mógłbym je wszystkie wyposażyć w moje oficerki. Tych potomków Göringa na pewno by to podniecało.

– Przestań świntuszyć. Musimy wszystko zaplanować. Nie mogę trzymać ich już w mojej piwnicy, za duże ryzyko. Trzeba znaleźć coś nowego.

Zamówili po jeszcze jednej kawie, która miała ich otrzeźwić przed wyjazdem do Wolsztyna. Mieli do przejechania dziewięćdziesiąt kilometrów. Nie spodziewali się problemów, ale jednak musieli zachować przytomność umysłu.

– Posłuchaj, Zdzisław. To może jest szalony pomysł, a może wcale nie. Edmund Terlecki, no wiesz, ten artycha, opowiadał mi kiedyś, że ma taką idealną kryjówkę. Dużą salę pod ziemią bez okien. W doskonałym miejscu na dodatek. – Zdanowski był tak podniecony, że mówił coraz głośniej. Skibniewski natychmiast go ofuknął.

Pomysł był rzeczywiście szalony, a mimo to niepozbawiony sensu. Jeśli tylko to, co przy wódce mówił Terlecki, było prawdą. A tego nie mogli być

pewni.

Skibniewski uregulował rachunek, dodając spory napiwek. Kiedyś sam był kelnerem, więc dobrze wiedział, jak ważną częścią wynagrodzenia są te pieniądze. A do tego obsługująca ich dziewczyna naprawdę mu się podobała.

Gdy wychodzili z hotelu, jakaś młoda kobieta poprosiła go o ogień i zapytała po niemiecku, czy się gdzieś spieszą, bo ona może im pokazać wiele – tu znacząco dotknęła wydatnego biustu – atrakcji Poznania. Uśmiechnął się i też po niemiecku podziękował.

– Ale innym razem bardzo chętnie – dodał już po polsku, a ona prychnęła lekceważąco.

Skibniewski wyciągnął papierosy. Zatrzymali się przy samochodzie Zdanowskiego i zaczęli rozważać jego pomysł. Skibniewskiemu się podobał, bo oznaczał, że nie trzeba będzie wciągać nikogo nowego. Terlecki od dawna z nimi współpracował. Nie znał żadnych szczegółów, zbyt dużo pił, aby wciągać go w konspirację, ale wykonywał kopie znanych obrazów i pejzaże, które wywozili i sprzedawali pewnemu „marszandowi” w Berlinie Zachodnim. Były całkiem niezłe, co prawda upłyniali je za grosze, ale każda dodatkowa marka była na wagę złota. Zwłaszcza że sam artysta dostawał najmniejszą część zysku, a i tak pracował z zapałem. Bardzo mu imponowało, że jego obrazy wiszą w domach na Zachodzie.

– Edmund Terlecki twierdzi, że pod pomnikiem na cmentarzu żołnierzy radzieckich jest jakaś spora sala. To może być prawda, bo to on ten pomnik stawiał, co zresztą jest zapisane na tabliczce z tyłu monumentu. Nie wie, po co tę salkę zbudowano, ale tak było w projekcie, a całość nadzorował jakiś radziecki oficer. Byłeś tam kiedyś?

– Nigdy. Widzę go za to z okien swojego domu.

– To idź. Kup kwiaty i złóż pod pomnikiem naszych wyzwolicieli – odpowiedział z sarkazmem Zdanowski. – Od razu zauważysz, że ta część cmentarza jest znacznie powyżej poziomu ulicy.

– Pójdę. Spotkamy się za kilka dni. Muszę to wszystko przemyśleć.

Rozdział 15

WOLSZTYN, CZERWIEC 2018

Nie sądził, aby wcześniej ktokolwiek poświęcił rzeźbom Marcina Rożka więcej uwagi niż on. Piąty raz obchodził dąb, jakby wierzył, że nagle dozna iluminacji.

Prędzej Meduza zamieni mnie w kamień, pomyślał w końcu.

Ruszył w kierunku Muzeum Marcina Rożka, ale zatrzymał się po kilku krokach. Przyjrzał się otoczeniu „wolsztyńskich diabłów”, choć zdawał sobie sprawę, że osiemdziesiąt lat temu musiało ono wyglądać inaczej. W oddali, między drzewami, dostrzegł wyspę. Z tej perspektywy robiła upiorne wrażenie, skojarzyła mu się z *Parkiem Jurajskim* i latającymi dinozaurami.

Telefon zawibrował, oznajmiając przyjście esemesa, a zaraz potem usłyszał sygnał wiadomości przesłanej na WhatsAppa. Pierwsza nie była dobra. Okazało się, że dyrektor muzeum, z którym był umówiony, musiał odwołać spotkanie – miało się zacząć za kwadrans – bo w budynku pękła rura i konieczna była ewakuacja zbiorów z jednej z sal.

„Ogromnie przepraszam. Zadzwoń, jak tylko się z tym uporamy”.

Druga pochodziła od córki i była, jak zwykle, lakoniczna – „Zadzwoń”. Rozkazujący ton nastolatki, do którego zdążył już przywyknąć. Wybrał numer.

– Cześć, tato. Znalazłbyś dla mnie czas? Mam pewną sprawę – usłyszał. „Pewna sprawa” z reguły oznaczała aferę.

– Jasne. Jestem teraz w Wolsztynie, ale za kilka godzin będę w Warszawie. Możemy zjeść razem kolację. Czy o „pewnej sprawie” możemy porozmawiać w restauracji, czy jest ona tak niecodzienna, że nie nadaje się do omawiania w miejscu publicznym?

– No coś ty. To mały problem. Problemik. Gdzie i o której?

– Powinienem być w Warszawie między dwudziestą a dwudziestą pierwszą. Spotkajmy się na Twardej, tam gdzie zawsze. Zadzwoń, gdy będę wjeżdżał do miasta. Anastazja, czy coś się stało? Uspokój starego ojca.

– Nic. I nie jesteś jeszcze taki stary.

Rozłączyła się. Spojrzał na rozświetlony nadal ekran. Każdy telefon od córki budził jego niepokój, choć właściwie nie było ku temu powodów. Dziewczyna kończyła drugą klasę liceum, miała świetne oceny – w tym roku znowu zapowiadało się świadectwo z paskiem – i znakomite perspektywy. Dobrze się rozumieli, choć miał wrażenie, że już nieco gorzej niż dwa, trzy lata temu. Była jednak w tak zwanym trudnym wieku i bał się, że wkrótce mogą się zacząć kłopoty. Uważał, że Warszawa nie jest najlepszym miejscem dla dorastającej panienki. Aż za dobrze znał – to uboczny efekt jego profesji – pokusy, które czyhały na nią w stolicy. Jej matka, dyrektorka departamentu PR w jednym z największych polskich banków, twierdziła – w duchu przyznawał, że nie bez racji – że ten jego wieczny niepokój wynika z małomiasteczkowej mentalności.

– Zapewniam cię, że nie wszystkie młode warszawianki wyrastają na ćpające kurwy, nawet jeśli są długonogimi blondynkami. Większość zostaje naukowczyniami, menadżerkami, prawniczkami.

Ewa Drągowska, matka Anastazji i jego dawna partnerka, mówiła z takim przekonaniem, że musiał jej wierzyć. W każdym razie powinien. Ale wewnętrzny strach był silniejszy. Kiedyś, nieco ponad trzy lata temu, zaproponował, żeby Anastazja przeniosła się do Wolsztyna i skończyła jego liceum, ale obie go wyśmiały.

Usiadł teraz w Café de Paris i otworzył notes. Dwie godziny, dwie kawy i jeden kawałek sernika z wiśniami później zadzwonił do mieszkania przy ulicy Roberta Kocha. Był umówiony z ojcem Renaty Artemskiej, emerytowanym zegarmistrzem.

Natychmiast pożałował i kaw, i sernika. Na stole czekało domowe ciasto i roznosił się aromat kawy. Próbował się wymówić od ciasta, ale jego wysiłki okazały się nieskuteczne. Gdy zostali sami – tak, jak się umówili, Renata wyciągnęła swoją matkę na zakupy – Terlecki zadał wreszcie pytanie o morderstwa kobiet.

Stary, elegancko ubrany zegarmistrz – był w białej koszuli i krawacie, więc Rafał w swoim spłóviałym T-shircie czuł się trochę skrępowany – nieco się zmieszał.

– A więc to pana interesuje, panie redaktorze. Zachodziłem w głowę, po co chciał się pan ze mną spotkać. To stare dzieje, czy naprawdę jest sens to

wyciągać?

Terlecki zaczął go przekonywać. Trochę to trwało. Staruszek słuchał, a w końcu podszedł do kredensu i wyciągnął karafkę.

– To moja nalewka, z wiśni. Na emeryturze musiałem się czymś zająć, a wędkowanie źle służy moim korzonkom. Nie piję już alkoholu, ale nalewki lubię. Napijmy się po kieliszeczku.

Chciał odmówić, czekało go blisko czterysta kilometrów za kierownicą, ale uznał, że lepiej się nie sprzeciwiać.

– Jestem już stary, może za stary, aby się bać. I ta sprawa mi ciąży. Dlatego, i tylko dlatego, powiem panu, co wiem.

Zegarmistrz opróżnił kieliszek i nalał sobie kolejną porcję, nie zwracając uwagi na dziennikarza, który ledwie zamoczył usta. Nalewka była słodka jak ulepek, a on nie znosił słodkich alkoholi.

– Dużo o tej sprawie słyszałem. Wie pan, jak to jest, Wolsztyn niewielkie miasto, ludzie gadają, choć nie powinni. A wtedy dużo ludzi przychodziło do mojego zakładu. Zegary się psuły, a nikt ich nie wyrzucał jak teraz. Ja naprawiałem, a oni czekali. Jak czekali, to gadali. I każdy dodawał coś od siebie, więc nie wszystko, co wiem, musi być prawdą. Pewne szczegóły mogły mi już umknąć, jak wspominałem, minęło sporo czasu. Ale powiem jak na spowiedzi. Zresztą Renatka prosiła, a jak ona ma do pana zaufanie, to ja też.

Rozmawiali ponad godzinę. Staruszek potwierdził, że w Wolsztynie w ciągu wielu lat rzeczywiście doszło do serii brutalnych morderstw. Wszystkie ofiary były kobietami, wszystkie pozbawiono uszu, oczu i języka.

– To się zaczęło w latach trzydziestych, były wtedy dwa morderstwa. O pierwszym nic nie wiem, ale drugie było głośne. Wydarzyło się tuż przed wojną. A było głośne, bo zamordowaną była hrabina Mycielska z pałacu. Tyle wiem, opowiadała mi to babcia, świeć Panie nad jej duszą, była dobrą kobietą. Następne już pamiętam. Jedno było zaraz po wojnie. Potem po pięćdziesiątym szóstym roku, pamiętam dokładnie, latem. Przy władzy był już Gomułka, a Bierut nie żył. Bardzośmy go tu radośnie z kolegami żegnali. – Mrugnął do niego.

Jeśli starego zegarmistrza nie zawodziła pamięć, morderstwo musiało mieć miejsce nie wcześniej niż latem pięćdziesiątego siódmego roku, bo „Wiesław” wrócił do władzy dopiero w październiku pięćdziesiątego szóstego.

– Na pewno za Gomułki? To może być ważne.

– Na pewno. Po Bierucie był przecież Ochab, Edward, to nie za jego czasów. To było kilka miesięcy po tym, jak w Warszawie porwali syna Bolcia Piaseckiego, a to było zimą, chyba w styczniu lub lutym. Jak później u nas znaleźli tę dziewczynę, to ludzie gadali, że to ci sami. Bzdury. – Machnął ręką.

Terlecki popatrzył na zegarmistrza z uznaniem. Niewielu pamiętało Ochaba, przemknął przez stołek pierwszego sekretarza KC PZPR niczym wschodni wiatr, a o porwaniu syna przywódcy przedwojennej Falangi i powojennego Stowarzyszenia PAX dzisiaj pamiętali już tylko historycy.

– Znalaziono sprawców?

– Nie, nigdy. W latach trzydziestych w Wolsztynie było ledwie kilku policjantów. Po wojnie też nic nie udało się ustalić. To były złe czasy, bardzo brutalne, dużo ludzi wówczas zginęło. A później też nie. Wie pan, jaka była wtedy ta nasza milicja. Każdą ulotkę wywączali, ale na poważne sprawy to byli za głupi. Obchodzili to z daleka, jak pies wilka.

Pan Henryk kończył właśnie czwarty kieliszek nalewki. Nie potrafił sobie przypomnieć daty morderstwa w latach pięćdziesiątych. Szukał w pamięci, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Rafał starał się go jakoś naprowadzić, ale bez skutku.

– Za Gierka to było jakoś tak rok przed tym, jak Renatka poszła do liceum. Czyli...

– Siedemdziesiąty siódmy. Do liceum poszliśmy w siedemdziesiątym ósmym.

– Też latem, bo pamiętam, że z tego gorąca miałem otwarte drzwi do zakładu, gdy wpadł do mnie Holc, ten inżynier od budownictwa, Ryszard, może go pan znał? – Zegarmistrz się zaśmiał. – Bardzo był podekscytowany, bo wracał akurat przez park, jak zjechała tam cała chmara milicjantów. Twierdził, że nawet widział ciało przybite czy przywiązane do drzewa, ale w to już nie wierzę, on lubił sobie trochę dodać. Ludzie stawiali mu później wódkę, żeby opowiedział, więc mu się to opłaciło. Już nie żyje.

– Do którego drzewa? Pamięta pan może?

– No jak to, do którego?! Do tego z diabłami przecież. Każdą tam znalezione. To na pewno.

Rafał zeszywniał. Wszystko się zgadzało. Prawie. Zapytał o ostatnie morderstwo, sprzed dwóch lat.

– To nie, to było na działkach. Niewiele o nim wiem, dawno już nie pracuję, to mniej ludzi spotykam, zresztą wielu moich klientów już nie żyje. Wykruszają się. Zwłoki tej dziewczyny też były okaleczone, ale jednak w innym miejscu ciało znaleźli. Ale o tym już pewnie moja Renatka więcej panu powie.

– A w latach osiemdziesiątych? Też było takie morderstwo?

– Nie. Ludzie czekali, ale się nie doczekali. – Zachichotał, wlewając w siebie zawartość kieliszka. – Ale strach był. Od wiosny do jesieni osiemdziesiątego siódmego to kobiety same prawie nie wychodziły. W drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych tak samo. Tylko wie pan, nie wszyscy pamiętali. Miasto bardzo się zmieniło, dużo nowych ludzi przybyło, nie każdy znał tę historię. W latach dwutysięcznych też nic. Sprawa poszła w zapomnienie. Dopiero teraz. Ale mnie się wydaje, że to jednak było coś innego. Przecież ciało znaleziono na drugim końcu miasta.

Rafał zaczął się zbierać do wyjścia, gdy zegarmistrz nalewał sobie kolejny kieliszek nalewki. Może i nie pił już alkoholu, ale za nalewkami nadal przepadał.

Byli już przy drzwiach, gdy staruszek chwycił go za rękę.

– Głowy nie dam, ale tak mi się teraz umyśliło, że to drugie morderstwo za Gomułki to chyba było rok przed takimi wielkimi masówkami w sprawie Żydów. Były takie w Bojowniku – tym zakładzie odzieżowym, w fabryce mebli, POM-ie, budowlance i nawet w okolicznych pegeerach. Więc to musiał być jakoś tak sześćdziesiąty siódmy lub ósmy rok.

– Na prowincji komuchy robiły masówki po marcu sześćdziesiątego ósmego – przyznał Rafał.

– No, to pamiętam. Chyba więc w sześćdziesiątym ósmym albo dziewiątym. Ale głowy nie dam.

Rozdział 16

WOLSZTYN, CZERWIEC 2018

Kilka minut po ósmej kawiarnia w hotelu Marriott była jeszcze pusta, ale jego rozmówca, umówiony przez Wiesława Muszyńskiego oficer peerelowskiego wywiadu, już na Terleckiego czekał.

– Wróciłem w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku, pod koniec. Wysłano mnie do Kiejkut na Mazurach, tam była... – Pułkownik Andrzej Zakrzewski, starszy szpakowaty mężczyzna w jasnej koszuli, kremowych spodniach i granatowej marynarce z wiśniową poszetką, pił zieloną herbatę. Musiał już dobiegać osiemdziesiątki, ale upływ czasu zdawał się go omijać.

– Tak, wiem, szkoła wywiadu.

– Właśnie. Uczyłem następców. Wiosną, w kwietniu albo na początku maja, Kiszczak wezwał mnie do Warszawy. Odbyliśmy długą rozmowę. Nie, nie na Rakowieckiej, tylko w pewnej willi pod Warszawą. Był z nim pułkownik Kołodziejczak, nie znałem go.

– Adiutant Jaruzelskiego.

– Dużo pan wie. Tak, on. Kazali mi się zająć Mirosławem Milewskim. To nazwisko z pewnością też pan kojarzy.

Kojarzył. Inżynier rolnik, ale Terlecki wątpił, aby w dorosłym życiu spędził w oborze choćby minutę. W tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku, mając szesnaście lat, wstąpił do Armii Czerwonej i zaraz później podjął współpracę ze Smierszem, okrytym ponurą sławą sowieckim kontrwywiadem wojskowym. Potem piął się w górę. W sześćdziesiątym drugim awansował z zapyziałego wówczas Białegostoku na wicedyrektora Departamentu I MSW, czyli wywiadu, a wkrótce został jego szefem. Ogromny skok, jak po wybiciu z trampoliny. Delikatnie mówiąc. Później był ministrem spraw wewnętrznych, członkiem Biura Politycznego PZPR, jednym z najważniejszych ludzi w Polsce. Aż do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego.

– I jak się pan nim zajmował?

– Grzebałem w papierach, rozmawiałem z różnymi ludźmi, przesiadywałem w zachodnich archiwach, czytałem stare gazety. Zachodnie naturalnie. Takie tam, nie ma co się wdawać w szczegóły. Rok później złożyłem Kiszczakowi raport. Długo to trwało, ale musiałem być dyskretny. Po pierwsze, Milewski wszędzie miał swoich ludzi, po drugie był „człowiekiem moskiewskim”. A Moskwa nie mogła się dowiedzieć, że kopię. Kiszczak bał się, że gdy radzieccy będą mieli wybierać między Jaruzelskim a Milewskim, postawią na tego drugiego. Nie były to obawy tak całkowicie pozbawione podstaw. Kiedyś, chyba w osiemdziesiątym trzecim, Kiszczak w rozmowie z Władimirem Kriuczkowem, wtedy szefem wywiadu zagranicznego, a później całego KGB, powiedział, że w Polsce nie ma innego lidera niż Jaruzelski. Kriuczkow go osadził. Przywołał kasus Janosa Kadara: „Brzydki i niepozorny, bez osobowości. No i proszę, co z niego wyrosło, prawdziwy ojciec narodu, ceniony mąż stanu. I towarzysz Milewski też może zostać mężem stanu. Widzicie, generale, najważniejsze jest bowiem serce prawdziwego komunisty”.

– Gdy prowadził pan swoje śledztwo, to były jeszcze czasy Andropowa czy już Czernienki?

– Tego drugiego. Andropow „odmeldował” się w lutym tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego i nastał Czernienko. Zaraz potem dostałem rozkaz rozpracowania Milewskiego. To nie przypadek. Andropow, kiedyś szef KGB, zawsze chronił ludzi sowieckich służb, a Czernienko był partyjnym biurokratą, takim radzieckim Babiuchem. – Terlecki wyczuł w tych słowach pogardę.

– Czego się pan dokopał?

– Och, wielu rzeczy. Także takich, które nigdy nie ujrzały światła dziennego. I zapewne nie ujrzą, bo dotyczą wywiadu. Niewygodnych. Nie tylko dla Milewskiego, także dla naszych sojuszników, tych dzisiejszych. Cokolwiek by o Milewskim powiedzieć, szefem był sprawnym.

– Ale tego, że przygotowywał uprowadzenie księdza Popiełuszki, pan się nie dokopał?

– Tego nie. Moim zadaniem nie było śledzenie Milewskiego, na to Kiszczak by się nie powążył, chciał tylko przekopania jego przeszłości. I to się udało. Gdy Jaruzelski ostatecznie zdecydował się na rozgrywkę z Milewskim, miał gotową teczkę dokumentów.

– Kompromatów.

Pułkownik uśmiechnął się na to stwierdzenie.

– Wtedy już nie używaliśmy takiego języka, ale tak, materiały były kompromitujące, ateczka opasła. Zje pan coś? Mają tu naprawdę dobre śniadania.

Dziennikarz zadowolił się kolejną kawą, a pułkownik zamówił sałatkę. Kawiarnia w hotelu Marriott powoli zapełniała się biznesmenami, którzy po lurze podawanej w pociągach Intercity chcieli napić się mocnej kawy i posilić przed wyruszeniem na biznesowe wojny. Większość otwierała laptopy, niektórzy przeglądali dokumenty. Stolik wybrany przez Zakrzewskiego, jakżeby inaczej, stał w kącie sali, nieco oddalony od innych. Mogli swobodnie rozmawiać.

Opowieść Zakrzewskiego przeniosła ich w przeszłość, do października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku. Zdaniem pułkownika, Kiszczak bardzo szybko doszedł do wniosku, że zamordowanie księdza Jerzego Popiełuszki było inspirowane przez Milewskiego. To miała być prowokacja, kapelan „Solidarności” cieszył się dużą popularnością i jego morderstwo miało wyprowadzić ludzi na ulice, a w konsekwencji obalić dotychczasową ekipę i oddać władzę „prawdziwym komunistom”. Jaruzelski się z nim zgodził, ale nie podjął żadnych decyzji. Kiszczak, zniecierpliwiony jego postępowaniem, wtajemniczył w sprawę generała Michała Janiszewskiego, najbliższego współpracownika Wodza, i kilka innych osób. Koniecznie chciał się z „Małym” rozprawić, panowie generałowie od wielu lat szczerze się nienawidzili.

– I wtedy pan wkroczył na scenę.

– Nie byłem od wkraczania na scenę. Ale Jaruzelski sięgnął po moją teczkę. Uznał, że to najlepszy sposób pozbycia się Milewskiego. Tego się nie docenia, ale generał był naprawdę dobry w personalnych rozgrywkach. Do skompromitowania Milewskiego użył ludzi z jego własnej partyjnej frakcji.

Rafał zapytał pułkownika, czy to on odkrył aferę „Żelazo”, największą kompromitację polskiego wywiadu, jedną z najgłośniejszych afer, w które zamieszane były władze Peerelu.

– Panie redaktorze, odkryć to można nowy ład, a nie ład, o którego istnieniu wszyscy świetnie wiedzą, tylko o tym nie mówią. Ja im zaledwie tę wiedzę uporządkowałem, wzbogacając ją kilkoma informacjami z kuchni, których oni wcześniej nie chcieli znać. Ale, choć to zabrzmia nieskromnie, istotnymi informacjami. To, co później poszło w przestrzeń publiczną, to był

wierzchołek góry lodowej. A góra lodowa, jak pan zapewne wie, tylko w niewielkiej części wystaje nad powierzchnię wody.

– Co zostało pod powierzchnią?

Zakrzewski roześmiał się i rozłożył ręce z udawaną bezradnością. Zamówili po kieliszku koniaku. Gdy kelnerka podała alkohol i oddaliła się od stolika, wzniesli toast.

– Załatwili Milewskiego koncertowo. Czas im sprzyjał. Zmarł Czernienko, przyszedł Gorbaczow. Kreml, który doświadczał właśnie „wyścigu katafalków”, towarzysze sekretarze generalni marli jak muchy, był zajęty sobą. W maju osiemdziesiątego piątego Milewskiego odwołano. Jak to teraz mówi młodzież, „zniknęli go”. Kiszczak zadbał, aby wyrzucono go nawet z funkcji wiceprezesa ZBoWiD-u. Przestał istnieć.

Terlecki chłonał słowa pułkownika, ale miał świadomość, że w żaden sposób nie przybliżają go do wyjaśnienia wolsztyńskiej łamigłówni. Znowu, jak wielokrotnie wcześniej podczas rozmów z oficerami byłych służb specjalnych, został zalany potokiem słów, ale nie uzyskał tego, na czym naprawdę mu zależało.

– Opowiem panu pewną historyjkę – zaczął Rafał. – Niewielka miejscina w Wielkopolsce, początek lat siedemdziesiątych. Ginie dziewczyna. Ładna dziewiętnastoletnia dziewczyna. Po jakimś czasie znajdują jej ubrania i dowód osobisty na plaży nad Bałtykiem, trzysta kilometrów od miejsca zamieszkania. Rodziców powiadamia o tym miejscowa komenda Milicji Obywatelskiej. Ich córka się utopiła. Weszła w nocy do morza i utonęła. Nigdy w to nie uwierzyli. Ale dostali akt zgonu, najzupełniej oficjalny, odbył się pogrzeb. Tyle że wszyscy są przekonani, że w trumnie, cynkowej i zaspawanej, ciała dziewczyny nie było. – Rafał mówił to, patrząc swojemu rozmówcy prosto w oczy. – Ktoś twierdzi, że takich dziewczyn było więcej. Takich, które ginęły, ale ich ciał nigdy nie odnaleziono. Tonęły, były uprowadzane przez nieznanymi sprawców, znikwały. Coraz młodsze i młodsze.

– No wie pan, ludzie tonęli, toną i będą tonąć. Teraz też tak się dzieje. Nie ogląda pan telewizji? – Pułkownik wytrzymał jego spojrzenie.

– Jasne. Tylko że akurat ta dziewczyna panicznie bała się wody. Wchodziła co najwyżej do wanny. Dzisiaj powiedzielibyśmy, że miała hydrofobię, ale wtedy nikt tego nie diagnozował.

– Kiedyś nikt nie diagnozował też dysgrafii. Robiłeś błędy, znaczy byłeś tumanem. Może się potknęła na piasku i wpadła do wody. Fala wyniosła ją na pełne morze i utonęła. Wypadek, to się zdarza.

– Nie sposób potknąć się na bałtyckiej plaży, wpaść do morza i utonąć. Nie sposób. Rzadko też przed potknięciem kobiety odkładają torbę z dokumentami.

– Panie redaktorze, w ostatnich latach służby były oskarżane o różne sprawy, o każdą zbrodnię, która wydarzyła się w Peerelu, o każdy wypadek. Jak komuś dachówka spadła na głowę, to ludzie się zastanawiali, czy my za tym nie stoimy. Jak ktoś pijany zasypiał na ławce w parku albo zasiedział się u kochanki, to tłumaczył się żonie, że spolił go esbecy. Litości!

– Proszę posłuchać, bo to nie koniec. Nagle, w tej miejscinie, ludzie zaczęli się bardzo bogacić. Nie wszyscy, naturalnie. Mała grupka. Ale za to bardzo. Sprowadzane z Berlina Zachodniego mercedesy, wille, wyjazdy, wczasy w Jugosławii, Lazurowe Wybrzeże, Turcja. Te klimaty. I biznesy. Wie pan, co jest w tym wszystkim najciekawsze?

– Że nikt im w tym nie przeszkadzał.

– Właśnie. Żadnych domiarów, nalotów milicji. Nic. Szczęśliwa wyspa na morzu autorytarne państwo.

Pułkownik patrzył przez szybę na Dworzec Centralny. Machinalnie, wyrobionym i starannie odmierzanym ruchem mieszał i ogrzewał w dłoni kieliszek koniaku. Rafałowi przyszło do głowy, że musiał spędzić wiele lat we Francji. Już chciał o to zapytać, ale w porę się powstrzymał. Miał ważniejsze sprawy na głowie.

– Muszę już iść. Bardzo panu dziękuję za spotkanie, ale nie mam nic więcej do powiedzenia. – Z głosu pułkownika zniknęła dotychczasowa sympatia. – Zapłacę przy barze.

Rozczarowany Terlecki wstał od stolika. Pułkownik sięgnął po serwetkę i coś na niej napisał, po czym przesunął kartkę po blacie stołu.

„Wolsztyn?” – przeczytał Rafał i kiwnął głową. Pułkownik schował serwetkę do kieszeni spodni.

– Bardzo miło było pana poznać, panie redaktorze. Musimy się jeszcze kiedyś spotkać. Rozmowa z panem to prawdziwa przyjemność. Do zobaczenia.

Rafał wyszedł z hotelu oszołomiony. Skierował się do tunelu, zapominając, że na skrzyżowaniu alei Jerozolimskich i Emilii Plater uruchomiono niedawno przejście dla pieszych. Przy Hard Rock Cafe przystanął i zapalił papierosa.

– O kurwa! Więc jednak! – Musiał powiedzieć to na głos, bo mijające go właśnie dwie kobiety ciągnące za sobą eleganckie walizki spojrzały na niego zdziwione. Wydukał przeprosiny, ale jego słowa utonęły w miejskim gwarze. Miał ochotę opić sukces kieliszkiem whisky, ale planował jeszcze dzisiaj wrócić do Borui. Następnego ranka był umówiony w muzeum, które najwidoczniej już uporało się z awarią.

Po drodze do apartamentu, na rogu placu Grzybowskiego i ulicy Grzybowskiej, wstąpił do sklepu z alkoholami. Od ponad dziesięciu lat regularnie zaopatrywał się tutaj w wino, ale tym razem kupił butelkę taliskera. Uznał, że reklamowe hasło *made by the sea*, stworzona przez morze, będzie na ten wieczór idealne.

Rozdział 17

POCZĄTEK GRUDNIA 1971

Zdzisław Skibniewski w czwartek drugiego grudnia wrócił do Wolsztyna po kilkudniowym pobycie w Warszawie i zaraz następnego dnia rano zaniósł buty do szewca. Zdanowski przyjął go w czarnym kitlu, stojąc za kontuarem.

– Mistrzu, chciałbym, aby zajął się pan moimi butami osobiście. Kupione jeszcze w Londynie, sam pan rozumie.

Szewc uważnie obejrzał obuwie i nieznacznym kiwnięciem głowy wskazał na pracowników – teraz miał już trzech – siedzących w głębi zakładu.

– Może pójdziemy zjeść śniadanie?

– Niech pan chwilę poczeka.

Skibniewski wyszedł na zaśnieżoną ulicę, ostrożnie stąpając po oblodzonym chodniku. Z rozrzewnieniem wspominał austriackie miasteczka – zadbane, eleganckie, aż do późnej jesieni ukwiecone, gdzie nawet podczas najbardziej śnieżnych zim chodniki były wyczyszczone, a drogi czarne. Coś było nie tak z tym socjalizmem, skoro od dwudziestu siedmiu lat, rok w rok, przegrywał walkę ze śniegiem i mrozem. Podzielił się tą myślą z szewcem.

– Idź mi w chuj z tą komuną.

– O Austriakach mówi się, że myją wodę.

Wreszcie, stąpając ostrożnie, dotarli do Wielkopolanki. Z przyjemnością weszli do ciepłego wnętrza – na dworze było piętnaście stopni mrozu – i zajęli stolik w rogu sali. Zamówili kiełbasę z musztardą i bułką, kawę i po setce czystej na rozgrzewkę.

– O tej porze alkoholu nie podajemy – oświadczyła stanowczym głosem pani Róża, a potem, znacznie już ciszej dodała, że lepiej, aby zamiast kawy wzięli herbatę. Mrugnęła do Skibniewskiego. Ten spojrzał na nią zdziwiony, ale Zdanowski przejął inicjatywę.

– Tylko mocne te herbatki poprosimy. Takie naprawdę tęgie – odpowiedział głośno.

Gdy kelnerka odeszła, wytłumaczył Zdzisławowi, że w lokalach alkohol jest podawany później, ale dla zaufanych klientów kelnerki zawsze mają herbatę z wódką.

Skibniewski, zwrócony plecami do ściany, uważnie lustrował wnętrze lokalu. Zapalili papierosy. Budowlaniec – na polecenie z Warszawy Zdzisław niedawno otworzył firmę budowlaną, która miała tłumaczyć jego wysoką stopę życiową – zapytał, czy sala pod pomnikiem sowieckiego żołnierza jest przygotowana. Zdanowski potwierdził. Właśnie tej nocy wstawili tam łóżko, krzesło i wiadro, które miało pełnić funkcję wychodka.

– Jest prąd, a nawet bieżąca woda i lustro – oświadczył z dumą. – Hotel Merkury to nie jest, ale wystarczy.

– Z chujem na głowy się zamieniliście?! Lustro? Jeszcze nam się potnie. Trzeba je stamtąd natychmiast zabrać.

– Kurwa, masz rację. Głupi pomysł.

Pani Róża podała kielbasę, a zaraz potem przyniosła herbatę. Zdanowski wypił i lekko się zakrztusił.

– Uczciwie polane – powiedział i dosypał do szklanki łyżkę cukru. Zamieszał głośno, polskim zwyczajem uderzając o ścianki.

Gdy zjedli kielbasę, bez większej przyjemności, bo była pozbawiona smaku, Zdzisław oświadczył, że transport ma wyjechać zaraz po świętach.

– W Bojowniku załatwią oni, będzie na czas. Pogadaj z Kaziem, aby w czasie świąt nie pił za dużo, bo w drugie święto rusza do Hamburga. Rano. Niech przygotuje samochód. Musimy teraz poszukać dziewczyny.

– Jakiej? Zamówienie jest konkretne?

– „Słowiańska uroda”. Blondynka, dość wysoka. I nie za chuda, ma być lekko przy kości. Postaraj się.

– Z przyjemnością. Choć to trudny okres, na wsiach nie ma zabaw. Post. Nawet u Małowej w Rakoniewicach nic nie organizują, a tam jest zawsze najlepszy towar.

– Nie możemy dać dupy. To ważne, chyba to rozumiesz. Kobieta musi być naprawdę ekstra. Pamiętaj. I nie może być z Wolsztyna, byłoby za dużo dymu. Najlepiej z jakiejś wsi. Tylko daruj sobie jeżdżenie po wiochach swoim fiatem, zbytnio rzuca się w oczy. Weźcie żuka.

Ustalili, że spotkają się w sobotę u Skibniewskiego. Tego dnia przypadały imieniny Barbary, co oznaczało, że połowa miasta będzie pijana i nikt nie zwróci uwagi na trzech mężczyzn wchodzących do niskiego nierzuciącego się w oczy domu przy ulicy Słodowej.



Wielkopolankę opuścili osobno. Nadmiar ostrożności, oczywiście, ale Zdzisław Skibniewski musiał pilnować, aby miejscowi esbecy nic nie wiedzieli o działalności jego grupy. Takie polecenie dostał z Warszawy. To miała być najzupełniej tajna operacja, nawet jeśli – a może przede wszystkim dlatego – brali w niej udział ludzie niezwiązani ze służbami. Na Rakowieckiej zapewnili go, że Komenda Powiatowa MO dostała odpowiednie instrukcje dotyczące jego osoby i wskazanych przez niego ludzi, ale mimo to miał uważać. Odpowiadało mu to, zastanawiał się tylko, czy kiedyś przy Rakowieckiej nie wpadną na pomysł, aby sprzątnąć świadków. Od dawna rozmyślał, jak się zabezpieczyć.

Ruszył w kierunku Słodowej. Szedł bardzo ostrożnie. Intensywne słońce spowodowało, że zalegający na chodnikach lód zaczął się topić i było jeszcze bardziej ślisko niż wcześniej. Zdzisław obawiał się, że jeden nieostrożny ruch spowoduje piruet w stylu Ondreja Nepeli, czechosłowackiego łyżwiarza. Może dlatego nie zauważył, że tuż przed nim zatrzymała się czarna wołga.

– Niech pan wsiada. – Kierowca, który z pewnością nie miał więcej niż dwadzieścia lat, ale już zaczynał łysieć, starał się mówić stanowczo. Nie bardzo mu to wychodziło.

– Boję się czarnych wołg. Mówią, że ich kierowcy wypijają krew niewinnych przechodniów.

– Nie będę się powtarzał.

– Frajerze, jedź kawałek dalej, za torami jest liceum. Może jakaś niewydarzona panienka da się nabrać na twoje groźne spojrzenie. Albo lepiej zatrzymaj się nieco bliżej, pod szkołą podstawową. Tam jakieś dziewczę na pewno ulegnie twojemu urokowi.

Ledwie skończył, otworzyły się drzwi z drugiej strony samochodu i wysiadł z niego nieco starszy, lekko korpulentny mężczyzna. Był w ciemnym płaszczu i futrzanej czapce z nutrii.

– Jestem Grzelak, pierwszy sekretarz Komitetu Powiatowego PZPR. Niech towarzyszu wybaczy Stefankowi. Młodość... Czasem wydaje mu się, że jak wozi pierwszego sekretarza, to sam jest pierwszym sekretarzem. Ale to dobry chłopak, zawołany mechanik, nikt jak on nie potrafi naprawić samochodu. Zapraszam, podwiozę pana, trudno się dziś chodzi. A po drodze porozmawiamy.

Zdzisław zajął miejsce na tylnej, obszernej kanapie wołgi.

– Nie bardzo lubię rozmawiać w samochodzie. To mogłoby rozpraszać Stefanka. A zresztą kto lubi? Wiesz, gdzie jechać – zwrócił się do kierowcy.

Zaparkowali przy szpitalu, tarasując chodnik tuż za przystankiem autobusowym. Kierowca nie obawiał się kłopotów, z pewnością w mieście wszyscy milicjanci świetnie znali samochód szefa wolsztyńskiego Komitetu Powiatowego PZPR. Zresztą wszyscy milicjanci w całym kraju wiedzieli, że wołgami poruszają się tylko największe szychy, i woleli trzymać się od nich z daleka.

Portier podniósł szlaban i wyprężył się służbiście. Grzelak nawet na niego nie spojrzał.

– Widzicie, towarzyszu Skibniewski...

– Nie jestem członkiem partii.

– A szkoda, wielka szkoda. My, widzicie, mamy większe zaufanie do członków partii. Komuniści są solą tej ziemi. Dlatego zastanówcie się, zastanówcie. Teraz, przy nowym towarzyszu pierwszym sekretarzu, powinniście wstąpić, udzielić towarzyszowi Gierkowi poparcia, na które zasługuje.

– Pomyślę o tym.

– Bardzo dobrze, pomyślcie. My teraz wspieramy prywatną inicjatywę, chcemy ją, rozumiecie, wprząc w program rozwoju naszej ojczyzny. Ale wiem, przekazano mi to z Warszawy, że i tak jesteście zaufanym człowiekiem. Zaufanym, uczciwym i solidnym. Dlatego postanowiliśmy wam zaproponować, abyście wzięli udział, wasza firma znaczy, w rozbudowie szpitala. To będzie nasza największa inwestycja w powiecie. Zgadza się?

– Oczywiście, bardzo chętnie. Jak mam się towarzyszowi odwdziaczyć?

Grzelak machnął ręką.

– No i pięknie, bardzo dobrze. Zaraz po Nowym Roku zgłóście się do kierownika Komunalnego Przedsiębiorstwa Robót Budowlanych na ulicy Przemysłowej. Oni będą głównym wykonawcą, a wy podwykonawcą. Szczegóły to już omówicie z towarzyszem Bortniczukiem. Znacie towarzysza Bortniczuka, Kamil mu chyba jest? Bardzo dobry socjalistyczny menadżer, młody, dobrze wykształcony, dynamiczny.

Weszli do gabinetu dyrektora szpitala, który natychmiast wstał zza biurka. Wypili kawę i dla rozgrzewki po kieliszku gruzińskiego koniaku, omawiając plan rozbudowy szpitala. Gdy skończyli, dyrektor wyszedł wraz z nimi, ale przy drzwiach wyjściowych Grzelak go zatrzymał.

– Nie wychodźcie na ten ziąb, wracajcie do roboty, towarzyszu dyrektorze, pacjenci czekają. My tu sobie jeszcze z towarzyszem Zdzisławem obejrzymy przyszły plac budowy i będziemy uciekać. Dziękuję wam, towarzyszu.

W drodze powrotnej Grzelak złapał go pod ramię.

– Towarzyszu Zdzisławie, pytaliście, jak macie się odwdzięczyć. Otóż mam do was taką małą prośbę. Chciałbym, abyście w Warszawie szepnęli dobre słówko o mnie. Widzę, że macie w stolicy nie byle jakie kontakty. Cieszę się, bardzo się cieszę. Powinniśmy się wspierać, dla dobra naszej wolsztyńskiej ziemi, nie sądzicie? Towarzysz Gierek robi teraz porządek w terenie, i słusznie, w pełni popieram ten kierunek, ale mnie z nową ekipą jest bardzo po drodze. Ja zawsze popierałem nowoczesne myślenie i zawsze popierałem menadżerów. Zresztą sami widzicie... – Wskazał ręką ulicę Poznańską. Przerwał gwałtownie, gdy jego obleczonej w skórzaną rękawiczkę dłoń zatrzymała się na niedalekiej kaplicy i okazałym budynku zajmowanym przez siostry zakonne. – Jedźmy, podwiozę was do domu. I musimy się kiedyś spotkać, tak na stopie prywatnej. Wy, towarzyszu Zdzisławie, utrzymujecie kontakt z tym szewcem, a to nie jest towarzystwo dla was. Zasłużony dla naszej ojczyzny człowiek, tak słyszałem, powinien się obracać w lepszym towarzystwie. Czy wy, towarzyszu, jeździcie na łyżwach? Bardzo wam polecam tę rozrywkę, wielu towarzyszy radzieckich też jeździ. Jezioro już zamrożone, musimy się kiedyś wybrać, pojeździć, odpocząć. A nie tylko praca i praca.

Rozdział 18

AUTOSTRADA WOLNOŚCI, OKOLICE WARSZAWY

Zgodnie z poleceniem Muszyńskiego Rafał Terlecki zjechał na parking w Baranowie, ale tak jak mu polecił detektyw, szybko przemknął obok stacji benzynowej i wjechał na parking dla ciężarówek. Teraz jechał powoli, uważnie się rozglądając. Za scanią z napisem „Raben Logistics” dostrzegł czarne bmw z jasnymi skórzanymi siedzeniami.

- Nie przesadzasz z tą konspiracją?
- Nie. Wsiadaj, później zapalisz.

Ruszyli w kierunku Poznania, ale na węźle Wiskitki zjechali z autostrady. Rafał zorientował się, że jadą lokalną drogą w kierunku Warszawy.

- Chcę ci jeszcze coś powiedzieć.
- Zakrzewski?
- Kazał mi sprawdzić, czy masz przy sobie coś do nagrywania. Masz?
- Co on myśli, że ja jestem firma płytowa? Nawet telefon zostawiłem w samochodzie. Odwieszysz mnie później?
- Ciebie? Biegasz, to raz przelecisz się wzdłuż autostrady, co ci szkodzi? – Wiesław się roześmiał.

Zatrzymali się przy boisku w Wiskitkach. „Stadion” – jak dumnie obwieszczał napis. Chłopcy w piłkarskich strojach rozpoczynali właśnie rozgrzewkę ponaglani gwizdkiem trenera. Na parkingu stało kilka samochodów. Muszyński zatrzymał się i kazał dziennikarzowi podejść do srebrnej toyoty. Sam stanął przy bmw, rozglądając się po okolicy.

- Trochę filmowa ta konspiracja, panie pułkowniku.
- Trochę tak. I gdybyśmy rozmawiali o przeszłości, byłaby nawet śmieszna.
- A nie rozmawiamy o przeszłości? – zdziwił się.
- No właśnie nie mam pewności. Przejdźmy się kawałek.

Spacer zajął im prawie godzinę. Tym razem pułkownik nie zalał go potokiem słów, mówił bardzo konkretnie. Nie pamiętał nazwisk, po tylu latach uleciały mu z pamięci, ale pozostałe informacje były bardzo precyzyjne.

Rozmawiali długo, a na zakończenie pułkownik dodał:

– Nie muszę chyba mówić...

– Nie musi pan. Być może nasunie mi się jeszcze kilka pytań. Czy mogę się do pana odezwać?

– Wyłącznie przez Wiesława. Wyjeżdżam za granicę. Na długo. Numer telefonu, który pan ma, będzie w najbliższych miesiącach nieczynny. Żegnam, panie redaktorze. – Uścisnęli sobie dłonie. – Proszę uważać, to są cwane gapy.

Na parking odwiózł go Muszyński. Po drodze nie zamienili ani słowa, ale gdy dojeżdżali, zapytał, czy redakcja zapewni mu jakąś ochronę. Zaprzeczył. Zresztą nawet nie zgłosił jeszcze tego tematu.

– Przyślę do Wolsztyna jednego z moich chłopaków. Będzie miał na ciebie baczenie. Gromowiec, dwie tury w Afganistanie. Wynudził się ostatnio, chroniąc statki przed piratami na Morzu Czerwonym.

– Jak mam ci się odwdzieczyć?

– Zrób mi tę grzeczność i nie daj się zabić. I weź tę zapalniczkę. Masz ją mieć cały czas przy sobie.



Dojeżdżał do Konina, gdy telefon dał znać, że nadeszła nowa wiadomość. Chciał ją zignorować – był pochłonięty analizowaniem rozmowy z pułkownikiem Andrzejem Zakrzewskim – ale w końcu sięgnął po telefon. „Miałeś zadzwonić do mamy”. I trzy wykrzykniki. Rzeczywiście, zapomniał.

Wybrał numer Ewy, ale odrzuciła połączenie. Esemesem poinformowała go, że oddzwoni. Zrobiła to pół godziny później, gdy mijał Wrześnię.

– Przepraszam, byłam akurat u szefa.

– Najwyższego?

– A mam innych?

Rafał się uśmiechnął. Ewa traktowała swoją pracę bardzo poważnie. Mówiła o sobie, że jest „korporacyjną suką”, i miała rację. Szybko wspięła się

po szczeblach kariery i Terlecki zastanawiał się czasem, czy jednym z tych szczebli nie było łóżko. Ale wolał nie wiedzieć.

– Nie bardzo mi się to podoba. Jest za młoda na podróż autostopem do Chorwacji. Ja w jej wieku...

– Rafałku. Ty żyłeś w komunie, w zapyziałym miasteczku i autostopem to pewnie mogłeś pojechać co najwyżej do tej twojej Borui.

– Wiesz, co Gomułka mówił o autostopowiczach?

– Redaktorze, przestań pierdolić. Daj dziewczynie trochę pożycz.

Co miał zrobić? Skoro matka wyrażała zgodę na tę eskapadę, nie mógł się nie zgodzić.

– Jak wyjedzie, to się umówimy. Dam się przelecieć za dobrą kolację. Mój tyłek jest nadal niezły, a cycki tym bardziej. Nie pożałujesz... – Poczłł pożądanie, które stłumiło dalsze opory. – No wiesz, pończoszki i czerwone szpilki. Kupiłam nowe, spodobają ci się.

Czasem jeszcze ze sobą sypiali, rzadko co prawda, ale były to niezapomniane chwile. Była w tym naprawdę dobra, bardzo zaangażowana.

– Zadzwoń do Anastazji i poinformuj ją o naszej wspólnej decyzji. Ucieszy się, zdobędziesz u niej punkty. Biegnę, mam spotkanie.



Dotarł do kempingu kilka minut po ósmej wieczorem. Otworzył butelkę taliskera, a na małej dwupalnikowej kuchence gazowej ugotował sobie flaki. Składniki tego zestawu niezbyt do siebie pasowały, ale musiał coś szybko zjeść.

Wstawił pusty garnek i talerz do zlewu, po czym zszedł na pomost. Kończył pierwszą szklaneczkę, gdy usłyszał za sobą kroki.

– Pan redaktor to już do starych znajomych nawet nie zajrzy. Za niskie progi. A obornik czeka na wywiezienie. – Tadeusz Michalski, jeden z miejscowych gospodarzy, uśmiechał się szeroko. Przed laty Terlecki uwielbiał pomagać mu w gospodarstwie. Akurat wywożenie obornika nie było jego ulubionym zajęciem, ale skoro w zamian za sprzątnięcie świńskich kojców mógł pokierować traktorem...

Przywitali się mocnym uściskiem dłoni. Dziennikarz zaproponował gospodarzowi szklaneczkę whisky, ale ten odmówił.

– Nie, swoje już w życiu wypięłem. Masz tu kawałek placka od Grażyny. Zajrzyj kiedyś do nas, opowiesz, co tam słyhać w wielkim świecie. A, i ktoś cię wczoraj szukał. Z Wolsztyna. Dwa razy przyjeżdżał. Takim dużym czarnym autem. Powiedział, że jeszcze przyjedzie.

Rafał zaczął się nerwowo zastanawiać, kiedy w Borui pojawi się gromowiec od Wiesława.

Rozdział 19

DRUGA POŁOWA GRUDNIA 1971

Nieprzyjemny zapach wydobywający się ze słodowni uderzył Skibniewskiego w nozdrza. Powinien się już do tego przyzwyczaić, bo często czuł go w swoim domu, ale dzisiaj smród wydawał mu się szczególnie intensywny. Być może był to efekt mroźnej pogody. Szybko ruszył w kierunku dworca kolejowego, a później skierował się na pocztę. Budynek był imponujący, wybudowany jeszcze przez Niemców, i Zdzisławowi zdawało się, że widział podobny w którymś z niemieckich lub austriackich miasteczek. A może było to w Szwajcarii? Uświadomił sobie, że trochę tych miasteczek zjeździł, bo większości napadów dokonywali właśnie na prowincji, gdzie policja zawsze była mniej sprawna i bardziej gnuśna niż w dużych miastach, a zabezpieczenia łatwiejsze do pokonania. Zastanawiał się, ile właściwie napadów miał na koncie, ile złota, futer i zegarków zdołał w swoim życiu ukraść i przetransportować do Polski. Nie pamiętał. Pamiętał tylko, że udało mu się przetrzymać do kraju dziewięć mercedesów, dwa peugeoty i citroena DS, takiego, którym podobno podróżował Charles de Gaulle. Jakiś generał z MSW koniecznie chciał mieć właśnie ten model, a w Austrii niełatwo było go znaleźć. Trafili go dopiero pod Genewą.

Po napadzie w Antibes, gdzie obłowili się jak nigdy dotąd, pojechał do Paryża. Zamieszkał w małym hoteliku na Avenue d'Eylau – niedaleko wieży Eiffla – i gdy zaczęło się ściemniać, poszedł do pobliskiej Café du Trocadero, gdzie podawali niezłe owoce morza i jeszcze lepsze wino. Upił się. Najpierw opróżnił butelkę cabernet franc, a później poprawił wódką wyrabianą z gruszek Eau de vie do poire d'Alsace, za którą zawsze przepadał, ale nie zawsze było go na nią stać. Chciał w ten sposób przytłumić strach przed powrotem do kraju, bo następnego dnia był umówiony z oficerem polskiego wywiadu, a później miał zostać przetrzymany do Polski. Kazimierz Janosz powtórzył swoje zapewnienie, że w Warszawie zostanie przyjęty po królewsku, że nic mu nie grozi, że jedzie tylko na kilkutygodniowe szkolenie, ale wcale nie był pewien, czy może mu ufać. Tego wieczoru wahał się, czy nie

uciec, zostawiając za sobą i Janoszków, i agenta z Warszawy, ale wizja wielkich pieniędzy czekających na niego gdzieś w luksusowych sklepach i willach u podnóża Alp zwyciężyła. Poza tym czuł dziwne podniecenie przed powrotem do Polski. Zastanawiał się, czy pozwolą mu odwiedzić matkę i zobaczyć się z bratem. Miał nawet dla nich prezenty, zegarki skradzione w Antibes, które były nie dość cenne, aby dołączać je do łupu dla MSW, ale wystarczająco dobre, aby zrobić wrażenie na żyjącej skromnie pod Inowrocławiem rodzinie.

Nic z tego nie wyszło. Przez pięć tygodni siedział na Mazurach w Kiejkutach, w odciętych od świata tajnym ośrodku wywiadu, i nieustannie uczył się bić, strzelać, forsować zamki i kłódki, rozpoznawać, czy jest śledzony, i gubić ogon, naprawiać zachodnie samochody i jeździć nimi z zawrotną prędkością po wymalowanych na pobliskim nieużywanym już lotnisku ulicach. Do tego miał szczególny talent. Zdziwił się tylko, że ani minuty tego pięcioletniego pobytu w Kiejkutach nie poświęcono na szkolenie z marksizmu-leninizmu. Widać uznano, że w jego fachu nauki Lenina nie są zbyt przydatne. Później został przerzucony do Austrii.

Skibniewski wszedł na pocztę i przez wysokie okna popatrzył na znajdujący się niemal dokładnie naprzeciw cmentarz żołnierzy radzieckich. Nie dostrzegł żadnego ruchu, ewentualne ślady butów zostały przykryte gęsto padającym w nocy śniegiem. Ruch na ulicy był niewielki, od czasu do czasu przejechała z hałasem jakaś ciężarówka, czasem furmanka. Zdzisław miał nadzieję, że wszystko poszło zgodnie z planem, że dziewczyna jest już na miejscu i jest wystarczająco ładna, aby za kilka dni mogła dogadzać klientom któregoś z niemieckich, a może holenderskich lub francuskich burdeli.

Aby uzasadnić swoją wizytę na poczcie, kupił kilka kopert oraz dwie świąteczne karty i ruszył w kierunku centrum. Mijając Wielkopolankę, zawahał się, czy nie wstąpić na herbatę i trochę się rozgrzać, ale odłożył to na później. Chciał jak najszybciej dotrzeć do Zdanowskiego i upewnić się, że znaleźli odpowiednią dziewczynę.

– Buciki gotowe. Piękna robota. Nie wiedziałem, że Włosi robią takie piękne buty. Swoją drogą musiały kosztować fortunę. Wejdz, jestem dzisiaj sam, dałem chłopcom kilka przedświątecznych wolnych dni. Napijesz się?

– Masz na myśli herbatę?

– Zdzisiek, po jaki chuj miałbym ci proponować herbatę na taki ziąb? Naucz się wreszcie, że gdy Polak pyta, czy się napijesz, to ma na myśli pół litra czystej. A jak pyta po południu, to litr.

Usiedli na niskich taboretach na zapleczu. Zdanowski wyciągnął dwie szklanki, Skibniewskiemu wydawały się niezbyt czyste, ale zachował to dla siebie. Szewc rozlał wódkę.

– Za powodzenie! Panna paluszki lizać. Dorwaliśmy ją za Tuchorzą. Musiałem ją lekko uderzyć, bo trochę się rzucała, ale buziuni nie uszkodziłem, nie martw się. Mieszka w Zbąszyniu, szła do siostry w Kiełpinach. Blondynka, postawna.

Wypili, stukając się szklankami, gospodarz poczęstował ogórkiem.

– Zagryź. Dobry, Jadzia zrobiła. Robi najlepsze ogórki w Wolsztynie. I nie tylko ogórki – zarechotał. – Na cmentarzu nikt nas nie widział. Tak jak kazałeś, zadekowaliśmy się w lesie przed Powodowem i przyjechaliśmy dopiero po północy. Żywej duszy nie było, stróż w słodowni spał jak zabity. Kazik chciał tę Basię – mówiłem, że ma na imię Basia? – wyruchać, ale zabroniłem.

– Dobrze zrobiłeś. Co ten Kazik taki narwany?

– Miał trochę w czubie, bośmy w tym lesie zmarzli, więc dwie flaszki pękły. Sam zresztą miałem na nią ochotę, mówię ci, dziewczyna, że nie tylko paluszki lizać, nie tylko... A Kazik mówił, że może dziewica, a dziewice nie bardzo nadają się do burdelu. – Zdanowski uśmiechnął się lubieżnie.

– Ekspert się, kurwa mać, znalazł. Muszę z nim poważnie pogadać. – Skibniewski wyciągnął ze słoika drugiego ogórka. – Rzeczywiście dobre. Rozlej, muszę iść.

– Nic się nie martw, o wszystko zadbałem. Będziemy jej pilnowali na zmianę. Zresztą nie ucieknie, nie ma szans, ten bunkier zbudowali Ruskie, a oni się na tym znają. Mysz się nie przecisnie.

Ustalili, że Skibniewski przyjdzie zobaczyć dziewczynę dzisiejszej nocy, przed północą, ale wcześniej ją uspią. Nie chciał, żeby dziewczyna go zobaczyła, wolał być ostrożny.

Trzy dni później wstrzyknęli Barbarze środek, który Skibniewski przywiózł z Warszawy. Kobieta natychmiast straciła przytomność. Przed północą, nie bez trudu, zataaszczyli ją do samochodu i umieścili w specjalnej skrytce

zrobionej w skrzyni ciężarówki zapakowanej kartonami z uszitymi w Bojowniku płaszczami i kurtkami. Auto zostało przygotowane w Warszawie, skrytka była dźwiękoszczelna, a dziewczyna skrupowana skórzanymi pasami. Środek miał działać, jak zapewniono Zdzisława w Warszawie, dziesięć godzin. Wystarczająco długo, żeby ciężarówka przejechała granicę między NRD i Niemcami Zachodnimi. Zdanowski troskliwie przykrył kobietę pierzyną, bo było więcej niż dziesięć stopni mrozu.

– Ma być zdrowa. Chora zda się psu na budę – wytłumaczył, a Skibniewski poklepał go po ramieniu. Sięgnął do klamki, ale odwrócił się i podszedł do Zdanowskiego.

– Następną trzeba będzie ściągnąć z daleka, bo inaczej wzbudzimy podejrzenia. Jak wrócę, to pomyślimy. Na razie ważne, żeby szczęśliwie dotrzeć na miejsce i szybko wrócić z fantami – powiedział. – Widzimy się za kilka dni.

Wskoczył do fiata 170, ciężarówki dostarczonej przez MSW, i kazał Kaziowi ruszać. Był dobrej myśli. Wyprawa była ryzykowna, ale skoro poprzednim razem przetransportowali dziewczynę przez dwie granice bez niczyjego wsparcia, to teraz na pewno się uda. Trochę żałował, że będzie się musiał podzielić z Warszawą pieniędzmi za dziewczynę, ale wiedział też, że dzięki temu szybko rozkręci interes. Z pierwszą udało im się tylko dlatego, że znał właściciela domu publicznego pod Wiedniem, ale on chciał tylko jedną dziewczynę. A teraz mieli już zamówienie na cztery.

Silnik fiata głośno zaterkotał i ruszyli.

Rozdział 20

WOLSZTYN, CZERWIEC 2018

Przejechał wiadukt nad torami prowadzącymi do Zbąszynia i skręcił na stadion. Chodzili tu kiedyś na lekcje strzelania, czasem wpadali po piwo do mijanego po drodze sklepu. Odrobina alkoholu i tak nie była w stanie wypaczyć wyników strzelania, bo licealne karabiny były w tak dramatycznym stanie, że trafienie z pięciu metrów w tarczę graniczyło z cudem.

Bardziej niż ze strzelnicą stadion kojarzył mu się z jego występem na skoczni wzwyż podczas szkolnego Dnia Sportu. Przeleciał wówczas pod poprzeczką, ale nikt tego nie zauważył, bo wszyscy, na czele z sędziami, skupili się na rozpoczętym właśnie finale biegu na sto metrów. Zajął drugie miejsce, niebezpiecznie zbliżając się do rekordu szkoły. Musiał za to odpokutować kilkoma tygodniami treningu, zanim nauczyciel wuefu zrozumiał wreszcie, że nie jest talentem na miarę Jacka Wszoły.

Stadion został gruntownie przebudowany. Zastanawiał się, czy nadal jest tam strzelnica, ale nie chciało mu się tego sprawdzać, bo była na uboczu, przy torach kolejowych. Usiadł na ławce przy korcie tenisowym, aby popatrzeć na grę dwóch niemłodych już mężczyzn.

Gdy skończyli seta, jeden z nich podszedł do Rafała.

– Cóż to za wiatry zagnały do nas pana redaktora? Jakiegokolwiek by były, miło pana widzieć. Nieczęsto mamy tu publikę, a już nigdy w osobie tak znanej. Nazywam się Skibniewski, Zdzisław Skibniewski. Pewnie zanudziliśmy pana naszą grą?

– Nie, patrzyłem z podziwem. Rafał Terlecki – przedstawił się, chwytając spoconą rękę tenisisty.

– Wiem, znam, oglądam. Zresztą ktoś mi mówił, że jest pan w mieście. Ale z mojej gry proszę tak okrutnie nie żartować. Mam osiemdziesiąt cztery lata, nie dam się nabrać. Kiedyś grałem całkiem nieźle, dzisiaj to tylko tenis ambadorski. Sztuka polega na posłaniu piłki jak najbliżej rakiety przeciwnika. – Skibniewski się zaśmiał. – Nieco lepiej idzie nam w debla.

– Podziwiam technikę. I kondycję, niewielu ludzi w pańskim wieku uprawia sport.

– Niestety. A pan gra?

– Tak. Nawet dość regularnie. Niestety, nie wziąłem sprzętu. Nie spodziewałem się, że w Wolsztynie jest dobry kort. W latach osiemdziesiątych można było grać tylko na tym popękany asfaltowym przy ulicy Przemysłowej.

Skibniewski długo opowiadał o klubie tenisowym, który kilka lat temu powołali w Wolsztynie. Teraz zrzeszał sporą grupę zapaleńców, przede wszystkim prawników i biznesmenów.

– Najbliższy turniej będzie w sobotę. Miksty, bo gra też dużo pań. Proszę przyjść, może uda się trochę poodbijać? A nawet jeśli nie, to zapraszam na przyjęcie po turnieju. Tym razem to ja będę jego gospodarzem. Sprawi nam pan ogromną radość, jeśli zaszczyci nas swoją obecnością.

– Proszę nie żartować. Ale chętnie popatrzę.

– Jesteśmy umówieni. A teraz proszę wybaczyć, musimy się ruszać, aby nie zardzewieć. Proszę koniecznie przyjść. – Skibniewski ruszył na linię końcową kortu.

Terlecki odczekał do zakończenia drugiego gema, mecz zrobił się bardziej zacięty niż w poprzednim secie, a później pojechał do Muzeum Marcina Rożka. Liczył, że dyrektor przybliży mu polityczne poglądy rzeźbiarza i naprowadzi go to na jakiś ślad łączący „wolsztyńskie diabły” z brutalnymi morderstwami kobiet.

– Był oczywiście, co wówczas w Wielkopolsce stanowiło normę, endekiem. W wyborach w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku uzyskał nawet mandat radnego z ramienia Stronnictwa Narodowego, ale rada zebrała się tylko raz, dwa tygodnie przed wybuchem wojny. – Dyrektor, brodaty zwalisty mężczyzna, mówił to z pewnym zakłopotaniem. Wcześniej długo rozwodził się nad twórczością Rożka i kolejami jego losu, ale nic nie wspominał o poglądach politycznych rzeźbiarza.

– Jakież związki z tajnymi organizacjami?

– Nie ma po tym śladu. Trudno też dociec, skąd pomysł na rzeźbę w parku. W swojej twórczości, ani wcześniej, ani później, nie odwoływał się do mitologii greckiej, choć dostrzegam jej ślady w jednym z jego obrazów.

– A włoskiej?

– Wyrzeźbił głowę cesarza Trajana, moim zdaniem to jedno z jego najlepszych dzieł. Ale do mitologii nie, na pewno się nie odwoływał. Dlatego przypuszczam, że to hrabina Irena Ofelia Mycielska, de domo Łącka, herbu Korzbok, poddała mu pomysł, a może wręcz wymogła, aby wykonał wizerunki Meduzy i Fauna.

Terlecki spojrział na dyrektora zaskoczony. Irena Mycielska zmarła w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku. Teraz zaskoczony był dyrektor.

– Rzeźby Meduzy i Fauna Marcin Rożek wykonał w tysiąc dziewięćset dziesiątym, a nie w latach trzydziestych, jak pan twierdzi! Wszystko pan myli! Jakże tak można? Przejdźmy do pierwszej sali, mamy tam oryginały.

Mimo swojej tuszy dyrektor zerwał się z biurka i szybkim krokiem wspiął się po stromych schodach, oglądając się na Terleckiego z oburzeniem. Przeszli pod dużym obrazem zawieszonym pod powałą. W rogu pierwszej sali spoczywały konary drzewa z twarzami Meduzy i Fauna.

Dziennikarz patrzył na rzeźby oniemiały. Dopiero teraz dostrzegł kunszt Rożka. Obie były bez porównania lepsze niż ich kopie wykonane na parkowym dębie przez lokalnego artystę, zwłaszcza Meduza robiła piorunujące wrażenie. Terleckiemu zdawało się, że jej oczy przeszywają go na wylot.

– Znakomite! Wybacz pan, dyrektorze, ale są kiepsko wyeksponowane. Byłem tu, czekając na pana, ale nawet nie zwróciłem na nie uwagi.

– Może ma pan rację, może rzeczywiście. Brakuje nam pieniędzy, to małe muzeum, rozumie pan. Ale że tak pan pomylił daty! To niedopuszczalne!

Gdy zapytał o trzecią rzeźbę, z gardła dyrektora wydobył się jakby bulgot. Pytanie najwyraźniej go zdenerwowało. Ze słów, które wypowiedział z szybkością karabinu maszynowego, wynikało, że nigdy nie było trzeciej rzeźby.

– Marcin Rożek zrobił dwie: Meduzy i Fauna. Trzeciej nie było, rozumie pan, NIE BYŁO! To, że jest na drzewie w parku, nie znaczy, że tam była! Obecne rzeźby w parku to disneyland. To licentia poetica człowieka, który wykonał kopie, i mają one niewiele wspólnego z oryginałem. Niestety!

Terlecki zaczynał się obawiać, że jeszcze chwila i dyrektor Muzeum Marcina Rożka w Wolsztynie może doznać wylewu. Z trwogą spojrział na

wąską klatkę schodową, zastanawiając się, czy ratownicy zdołają znieść nią człowieka tak potężnej postury.

Chciał zapytać, dlaczego Rożek w swoich rzeźbach w parku pomieszał postaci z mitologii greckiej i rzymskiej, ale postanowił zamilczeć. Żegnał się właśnie z dyrektorem, gdy odezwał się telefon. Bartek Nowicki.

– Wysłałem. Może jest trochę nieskładny, ale myślę, że wyciągniesz z niego wszystko, co najważniejsze. Później zadzwoń, spotkamy się i odpowiem na ewentualne pytania. Tylko pamiętaj...

– Masz moje słowo, nikt się nie dowie. Ale mam dwa pytania. Znasz Sworowskiego? To właściciel jakiejś firmy logistycznej, jeździ czarnym dodge'em escalade z naklejką „I love Hollywood”. A Zdzisława Skibniewskiego, takiego starszego, ale jeszcze dziarskiego faceta? Spotkałem go dzisiaj na korcie, sprawia sympatyczne wrażenie.

– Przeczytaj to, co ci przysłałem. Wszystkiego się dowiesz. Potem zadzwoń.

Godzinę później rozsiadł się na tarasie z komputerem i wypełnioną po brzegi szklanką taliskera. Najpierw odpowiedział na kilka niewiele znaczących maili, a później otworzył dokument od Bartka. W oczy rzuciło mu się nazwisko Skibniewskiego. Zaciekawiony zaczął czytać.

Zdaniem Nowickiego, właśnie Zdzisław Skibniewski był kluczową postacią całego układu. Podobno pojawił się w Wolsztynie gdzieś na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, założył firmę budowlaną, która błyskawicznie zaczęła wykonywać niemal wszystkie lokalne inwestycje, później uczestniczyła nawet w budowie autostrady i modernizowała wiele lokalnych dróg.

„Był bogaty wówczas, gdy nikt jeszcze nie ośmielał się być bogaty. Jego biznesy pęczniały w miarę upływu lat. Podobno dzisiaj ma kilka knajp w całej Polsce, ośrodki wczasowe nad morzem i w Karkonoszach. Po drodze były kurze fermy, hodowla indyków. Pożyczał pieniądze na rozkręcenie wielu biznesów. Odsetki były drakońskie, wielu ludzi utopił, ale kilku się udało i ci są mu wdzięczni. Teraz siedzą mu w kieszeni i są jego najwierniejszymi druhami”.

Nowicki twierdził, że na początku lat dziewięćdziesiątych głośno było o przyjęciach, które Skibniewski organizował w Parkowej w dawnym pałacu

Mycielskich i Michałowskich. Bywali tam podobno najwięksi biznesmeni tego czasu, posłowie i senatorowie, kilku ministrów i generałów.

Rafał sięgnął po szklanę, ale była już niemal pusta. Dopił i wlał sobie następną porcję, teraz już mniejszą, z dużą ilością lodu. Zapalił papierosa i wpisał nazwisko Skibniewskiego w wyszukiwarce. Niewiele znalazł, tylko kilka informacji o tym, że jest właścicielem firmy budowlanej w Wolsztynie i posiadaczem większościowych pakietów akcji w kilku spółkach notowanych na Giełdzie Papierów Wartościowych. Ich nazwy nic mu nie mówiły, ale dzięki internetowi zorientował się, że zajmują się biotechnologią i tworzeniem gier komputerowych. Wszystkie są notowane na New Connect.

– Nowocześnie jak na osiemdziesiątka – mruknął pod nosem. Postanowił, że jutro zadzwoni do znajomego maklera i spróbuje się czegoś o tych spółkach dowiedzieć. Nie spodziewał się rewelacji, ale wolał się upewnić.

„Gdzieś tak od połowy lat osiemdziesiątych, niektórzy twierdzą, że nawet wcześniej, zaczął rządzić lokalną polityką. Od tego czasu żaden naczelnik gminy, a później burmistrz i starosta nie był wybrany bez poparcia Skibniewskiego. Był czas, że w jego kieszeni siedziała większość radnych, dyrektorzy kluczowych wydziałów w urzędzie miejskim, ale znajomych miał też wyżej i to nie tylko w Poznaniu” – przeczytał. Rafał był zaskoczony, ale wiedział, że Bartek jest solidnym człowiekiem i dobrze orientuje się w lokalnych układach.

Rozległ się sygnał WhatsAppa. „Sworowski to człowiek Skibniewskiego, jeden z najbliższych, pomagier” – przeczytał wiadomość od Bartka. Teraz wydało mu się oczywiste, że facet w czarnym SUV-ie przyjeżdżał tutaj na polecenie swojego bossa.

„Ktoś mi mówił, że jest pan w mieście”, przypomniał sobie słowa Skibniewskiego.

Zaczął się zastanawiać, co biznesmen może mieć wspólnego z mordowaniem kobiet i bezczeszczeniem zwłok. Uznał, że to niemożliwe. Tym bardziej że pojawił się w Wolsztynie dopiero na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, a więc, jeśli wierzyć staremu zegarmistrzowi, już po trzech powojennych morderstwach.

Ale do „Żelaza” pasuje fantastycznie. Idealna koincydencja czasowa. Pójdę na ten turniej, a później, jeśli się uda, na przyjęcie. To może być naprawdę ciekawe, postanowił.

Miał nadzieję, że następnego dnia spotka się z Bartkiem Nowickim i ponownie odwiedzi zegarmistrza, którego tym razem wypyta o Skibniewskiego. Liczył, że dowie się czegoś o jego wolsztyńskich początkach.

Przygotował sobie kolejną porcję whisky i zadzwonił do swojej dawnej partnerki. Odebrała natychmiast.

– Jestem w wannie, piję wino. I powiem ci, że mam na ciebie chcię. Przyjdiesz? Oddam ci się nawet bez kolacji.

– Chętnie, ale nie dzisiaj. Jestem w Borui i bardzo tego żałuję. Szpilki poczekają?

– Oczywiście. Po co dzwonisz?

– Anastazja już wyjechała? W ogóle nie mogę się do niej dodzwonić.

– Tak, dzisiaj rano. Planowała, że do wieczora dojedzie do Monachium i stamtąd zadzwoni. Jak tylko się odezwie, dam ci znać. Nie martw się, poradzi sobie. Ona jest najlepszą córką na świecie, a ty najlepszym tatusiem, więc na pewno się do ciebie odezwie. Co ty właściwie robisz w tej Borui?

– Odpoczywam. Biegam...

– Rafałku, nie pierdol. W tej chwili nie biegasz, tylko chlejesz. Wyczuwam to na kilometr, a właściwie na czterysta kilometrów. Język ci się płące. I pewnie pijesz sam, bo gdybyś pił z Bartkiem, to nie miałbyś czasu zadzwonić. Już lepiej przygruchaj sobie jakąś miejscową cizję.

– Pomyślę o tym. Daj znać, jeśli Anastazja się odezwie.

– Zrób, jak mówię. Opowiesz mi później, jak się pieprzą dziewczyny z małych miasteczek. Z detalami.

– Zdziwiłabyś się. Daj znać.

Chciał jeszcze zadzwonić do Muszyńskiego, aby poinformować go, że musi porozmawiać z pułkownikiem, ale postanowił odłożyć to do jutra. Jeśli Ewa wyczuła, że pił, to Wiesław też z pewnością się zorientuje.

Dopałał ostatniego papierosa, gdy dostrzegł, że ktoś przemknął tuż za ogrodzeniem. Zaniepokojony podszedł do płotu, ale nikogo nie zauważył. Mimo to poczuł niepokój. Instynkt podpowiadał mu, że nie była to zjawia ani omam wywołany zbyt dużą ilością whisky.

Jeszcze większym niepokojem napawał go milczący wciąż telefon. Postanowił jeszcze raz zadzwonić do Anastazji, choć wiedział, że córka będzie

się później wściekała.

Rozdział 21

ZIMA 1913

Jego oddech stał się krótki i urywany. Łapał powietrze z trudem, strużki potu spływały mu po plecach. Poczul, że powinien przerwać ten potok słów, otworzył nawet usta, ale zaraz zatkał je zaciśniętą pięścią, a dreszcz przebiegł całe jego ciało.

– Nie potrafiłam się powstrzymać. On był taki silny, wchodził we mnie z taką furją... To bolało, ale dawało mi ogromną rozkosz. Nie potrafiłam mu odmówić, nie mogłam.

Franciszek słyszał, że kobieta płakała, ale nie wyczuwał w tych łzach skruchy.

– Gdzie to robiliście? I jak?

Franciszek czuł, że ciało kobiety po drugiej stronie konfesjonu stężało. Przez głowę przebiegła mu myśl, że posunął się za daleko. Zadawał już takie pytania, ale wyłącznie wieśniaczkom. Teraz miał do czynienia z kimś innym, wyraźnie czuł zapach perfum rozchodzący się po zimnej świątyni, a określenia kobiety były dyskretniejsze, zdania ładniej zbudowane. To jeszcze bardziej go podniecało, wyobrażał ją sobie, jak zdejmuje gorset, jak stoi w samych majteczkach, jak jej nabrzmiałe piersi kierują się w stronę kochanka. Przez kilka sekund milczał, zastanawiając się, czy nie powinien się wycofać, ale ciekawość była silniejsza. W ustach czuł suchość, więc początkowo zamiast słów wydobywał z siebie tylko skrzek. Odchrząknął, choć gardło też miał suche.

– Przed Bogiem musisz wyznać wszystko. Tylko wtedy uzyskasz rozgrzeszenie – starał się mówić spokojnym, głębokim głosem, ale nie był pewien, czy mu się to udało.

Kobieta długo milczała i Franciszek był już przekonany, że nie uda mu się poznać szczegółów, choć bardzo tego pragnął.

– W naszym domu. Mój mąż często wyjeżdżał, prowadził rozległe interesy w Berlinie. – Franciszek starał się oddychać jak najciszej, aby nic nie

zakłóciło słów kobiety. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, z jakim napięciem czekał na słowa kobiety. – Natan... on wtedy przychodził, posyłałam po niego. A potem odprawiałam gosposię i...

– I?

– No i wtedy oddawałam mu się w salonie albo w sypialni. Najczęściej tam. Ale kiedyś... To już, proszę księdza, było dawno, kilka miesięcy temu... Wiosną. Mąż długo nie wyjeżdżał, był jakiś zastój w interesach. Szukałam wtedy Natana, nie mogłam wytrzymać, pragnęłam go. Wiedziałam, że chodzi do Fischera, tej żydowskiej knajpy przy rynku. I tam był, z przyjacielem. Powiedział, że pójdzie ze mną, jeśli zrobimy to w trójkę... I ja, proszę księdza, się zgodziłam. Musiałam... Tak bardzo go pragnęłam, ponad wszystko, nawet ponad wstyd, strach i może nawet wstręt. Poszliśmy do parku, nad jezioro. I... Czy ja naprawdę muszę to mówić?

– Bóg okazuje miłosierdzie tylko tym, którzy szczerze wyznają swoje grzechy.

Zapadła cisza. Franciszek czekał, był cały napięty, jego stopy wprost wbijały się w deski konfesjonału. Wyobrażał to sobie – dwóch mężczyzn i jedna kobieta uprawiający seks przy świetle księżycy. Kręciło mu się w głowie, jego podniecenie było tak silne, że z trudem nad sobą panował. Widział kiedyś rysunki przedstawiające podobną scenę. Pokazał mu to jeden z kolegów, to było jeszcze w seminarium. Dokładnie pamiętał, bo wywarło to na nim ogromne wrażenie.

– Tam jest taki dąb, rozłożysty, ze strasznymi rzeźbami. I tam właśnie... Oni tam chcieli. Nigdy czegoś takiego nie doświadczyłam. Śmierdzieli piwem i tytoniem, ale nie zważałam na to. Czulałam taką rozkosz, ona mnie całkowicie pochłonęła, nie umiałam się opanować, wyzwolić z tego. Oni robili ze mną wszystko... Wchodzili we mnie na zmianę, a ten drugi to się wtedy, no wie ksiądz... Jeden mnie ujeżdżał, a drugi się onanizował, na zmianę. I ja na to patrzyłam, to mnie jeszcze bardziej podniecało, bo nigdy wcześniej nie widziałam, jak mężczyzna sam się zaspokaja. Więc patrzyłam na to... Na szczęście, gdy wróciłam, męża nie było w domu, poszedł na karty. Ale to było plugawe, ja wiem, proszę księdza, ale...

– Powtórzyliście to później?

– Tak, dwa razy. Ale już u mnie w domu, interesy męża znów zaczęły iść lepiej, więc... Posłałam po nich, a później kazałam się im przede mną onanizować. Patrzyłam na ich... Na nich i zaspokajałam się moim dildem...

Franciszek nie mógł już wytrzymać. Opowieść kobiety była straszna. Ten wylewający się z jej ust brud napawał go wstrętem, ale jednocześnie fascynował i pochłaniał. W głowie dudniły mu słowa, które przed chwilą usłyszał. „Rozkosz”, „robili ze mną wszystko”, „pragnęłam go”, „nie mogłam wytrzymać”, „ujeżdżał mnie”, „zaspokajam się”... Nie wiedział, co to dildo, ale nie ono jest teraz najważniejsze.

Szybko, za szybko, udzielił kobiecie rozgrzeszenia i zadał stanowczo zbyt łagodną pokutę. Po chwili usłyszał stukot damskich bucików o kamienną posadzkę kościoła. Próbował wychylić się z konfesjonału, aby zobaczyć tę kobietę, ale znikła za jedną z kolumn, a po chwili usłyszał skrzypienie ciężkich drzwi. Szybko, niedbale zrobił znak krzyża i wyszedł z konfesjonału. Z trudem powstrzymywał się przed puszczeniem się biegiem do zakrystii, ale i tak otworzył drzwi z takim impetem, że kościelny spojrzał na niego zdziwiony.

Wzrok starego Macieja go otrzeźwił. Zawrócił i klęknął przed ołtarzem. Musiał się pomodlić, modlitwa była najlepszym lekarstwem.



Wieczorem spotkali się na Kaffenbergu, po drugiej stronie jeziora. Była tam plaża, z której latem chętnie korzystali mieszkańcy okolicznych wsi, ale o tej porze roku było oczywiście zupełnie pusto, a skute lodem jezioro pokrywała gruba warstwa śniegu. Franciszek patrzył na ledwo widoczną w poświacie księżyca wieżę kościoła Najświętszej Maryi Panny Niepokalanie Poczętej.

– Widzisz kościół, Bogusławie? Nasz święty kościół parafialny jest pod wezwaniem naszej matki, która została poczęta w sposób niepokalany i z niej w ten sam sposób zrodził się Pan Jezus. Niepokalany! Rozumiesz to słowo? Bo mam wrażenie, że nikt już go u nas nie rozumie i nawet nie chce zrozumieć. Kobiety dążą do przyjemności, nurzają się w brudzie i plugastwie, aby tylko zaspokoić swoje żądze – mówił ze złością.

Wspomnienie niedawnej spowiedzi spowodowało, że oczy zaszyły mu mgłą i wieża kościoła stała się coraz bardziej niewyraźna, a w końcu zniknęła. Złość była tym większa, że czuł smród bimbru. Powinien Bogusława zrugać, ale postanowił zmilczeć. Ten chłopak to tylko narzędzie, nieświadom roli, jaką ma odegrać.

Dał mu napoleoński podręcznik do walki wręcz i dopiero w tym momencie uświadomił sobie, że chłopak z pewnością nie umiał czytać. Ale rysunki były dokładne, wystarczy, że się z nimi zapozna. Jego celem będzie przecież tylko młoda, niczego nieprzeczuwająca dziewczyna.

– Poradzisz sobie?

Bogusław uśmiechnął się, pokazując mocno wyszczerbioną szczękę. Franciszkowi zdawało się, że usta chłopaka to niezgłębiona czeluść, z której dochodzi coś, co bardziej przypomina diabelski rechot niż śmiech.

– Miałbym sobie z dziewczyną nie poradzić? – zapytał lubieżnie, a ciało księdza przeszedł dreszcz.

Znowu spojrzął w kierunku kościoła, ale teraz wieży nie było już widać, księżyc zniknął za chmurami i gdyby nie śnieg, wokół panowałaby kompletna ciemność. Bogusław wyciągnął worek z machorką, skręcił papierosa i zapalił. Trzymał go w zgrabiałej od mrozu dłoni, zakrzywionej niczym szpony.

Franciszek dał mu dokładne instrukcje. Za dwa dni wieczorem miał się pojawić w Niałku Wielkim obok kapliczki przy drodze. Będzie tamtędy wracała do domu młoda dziewczyna, z pewnością okutana w kwiecistą chustę, którą dostała od jednego ze swoich kochanków. Franciszek to wiedział, bo usłyszał podczas jej spowiedzi. Bogusław miał ją ogłuszyć, zawlec na wóz i czekać na niego. Potem mieli pojechać do hrabiowskiego parku.

Wszystko zaplanował. Zna tę dziewczynę, Urszulę, bo nieraz przyszło mu wysłuchiwać jej grzechów. Uderzało go wówczas, że mówiła tak, jakby się chwaliła, jakby wcale nie czuła się winna i splugawiona. Nie miał wątpliwości, że zasługuje na karę. Tylko miejsca wymierzenia tej kary nie potrafił wcześniej wybrać. Myślał o rynku przed magistratem, ale uznał, że to zbyt ryzykowne. W końcu po dzisiejszej spowiedzi uznał, że najlepszym miejscem będzie dąb w parku Michałowskich, ten, pod którym ta straszna kobieta bez wstydu oddała się dwóm żydowskim pachołkom i gdzie wyrzeźbiono twarze dwóch pogańskich bóstw.

Tak, to idealne miejsce, pomyślał. W ten sposób ukarze grzeszną dziewczuchę, a przy okazji wymierzy cios pałacowi. Tym wszystkim wyfraczonym, bezczelnym mężczyznom bez opamiętania wlewającym do ust koniaki i szampany, patrzącym na niego z ironią i co chwilę wtrącającym niemieckie i francuskie słowa, jakby ojczysty język im nie wystarczał. W ten sposób ukarze również Michałowskich. Jest dumny z tego pomysłu i nieledwie wdzięczny zepsutej kobiecie, która mu go podsunęła.

Po raz kolejny kazał Bogusławowi powtórzyć plan, bo chciał się upewnić, że wszystko rozumiał. Wreszcie poczuł się usatysfakcjonowany.

Zaczęli się rozchodzić, gdy Bogusław nagle się odwrócił i spojrzał na niego uważnie.

– Proszę księdza, a Ojciec Święty się o mnie dowie? Na pewno?

– Dowie się, Bogusławie, dowie. Zaraz następnego dnia napiszę mu list, w którym wyłuszczę przebieg wypadków, podkreślając twoją rolę. Ojciec Święty na pewno będzie ukontentowany i udzieli ci błogosławieństwa, wszak rozpoczniesz, razem rozpocniemy, proces oczyszczania tej ziemi z grzechu. Czeką nas wiele pracy. Być może u jej kresu zostaniesz nawet wezwany do Rzymu, przed Jego oblicze. Kto wie? Ale do tego czasu morda w kubeł, nikt poza Ojcem Świętym nie może o naszej misji wiedzieć. Gęba na kłódkę, pamiętaj, Bogusławie.



Franciszek z ulgą zamknął drzwi swojej izby i osunął się na łóżko. Nie czuł się najlepiej, ale przepełniały go radość i duma. Wreszcie zaczął realizować swój plan, wreszcie ziemia będzie oczyszczana z grzechu i zła! Ojczyzna się odrodzi, czuje to, wie, że rozpoczął pochód, którego końcem będzie Polska wielka, silna i czysta. Teraz, po porannej mszy i śniadaniu, na które nic właściwie nie zjadł, czuł zmęczenie. Nic dziwnego, w nocy nie zmrużył oka, wrócił tuż przed mszą, ledwie zdołał się przebrać.

W nocy nie wszystko poszło tak, jak sobie zaplanował. Wprawdzie Bogusław łatwo złapał dziewczynę i bez problemu nieprzytomną zawlókł do sań, ale widocznie uderzył zbyt słabo, bo gdy Franciszek wyszedł wreszcie z krzaków, skąd obserwował całe zajście, dziewczyna się ocknęła i gdy zbliżył się do wozu, zaczęła go błagać o pomoc. Zdzielił ją pięścią w tę rozdziawioną, grzeszną gębę, ale z ust tylko popłynęła jucha, a dziewczyna zaczęła krzyczeć. Umilkła dopiero, gdy Bogusław uderzył ją trzonkiem wideł i zemdlona padła na wyłożone sianem sanie. Franciszek rozejrzał się strwożony, ale jeśli nie liczyć szczekających psów, w okolicy panował spokój.

W niespełną godzinę dotarli na miejsce. Bogusław położył dziewczynę na wznak i usiadł na niej okrakiem. Sięgnął po nóż, ale Franciszek go powstrzymał.

– Najpierw modlitwa! – odezwał się zbyt głośno, prawie krzyknął.

Znowu trwoźnie rozejrzeli się po okolicy, ale niczego nie dostrzegli. Chwilę nasłuchiwali, a później Franciszek zaczął się modlić. Zdawało mu się, że Bogusław wpatruje się w niego niecierpliwie, a potem, wystraszony, rozgląda się po okolicy.

– Wbij nóż w serce, a ja ci pobłogosławię – powiedział, patrząc mu prosto w oczy. Chłopak uniósł więc rękę, ale się zawahał i w tym momencie Urszula znowu odzyskała przytomność. Zaczęła krzyczeć piskliwym głosem i kopać śnieg nogami, więc Franciszek runął na kolana i rękoma zakrył jej usta. Kobieta wiała się z zadziwiającą siłą, zacisnęła zęby na jego małym palcu i omal mu go nie odgryzła. Jeszcze raz uderzył ją w twarz, ale pięść ześlizgnęła się po szyi i trafiła w ramię.

– Zabij ją wreszcie, zabij! – krzyknął. Był coraz bardziej zdesperowany.

Nie tak to miało wyglądać. Grzesznica miała zostać oddana Bogu z godnością i świadomością grzechów, które popełniła, a zamiast tego rozpaczliwie trzymała się życia.

W końcu Bogusław wbił jej nóż w serce i wszystko ucichło. Franciszek słyszał jego głośnie sapanie. Sam oddychał z trudem, oczy mu łzawiły.

– Dokonałeś tego, Bogusławie! Zabiłeś diabła przyobleczonego w grzeszne ciało. Wierz mi, to był diabeł w ludzkiej skórze. – Franciszek wreszcie ochłonął i położył rękę na ramieniu chłopaka. – A teraz odejmij jej uszy i język, a na końcu wydlub oczy.

Chłopak pokręcił głową, mamrocząc coś, czego Franciszek nie zrozumiał. Brutalnym, zdecydowanym pchnięciem zwałił go z martwej kobiety i sam zaczął okaleczać ciało. Trwało to długo, bo choć z uszami i językiem poradził sobie łatwo, to próby wyłupienia oczu spełzły na niczym. Nie miał w tym żadnej praktyki i teraz ubolewał, że nie poświęcił przygotowaniu więcej czasu, że nie zaopatrzył się w jakiś medyczny podręcznik.

Bogusław patrzył na niego z przerażeniem, a potem odbiegł gdzieś w ciemność. Franciszek słyszał targające nim torsje. Gdy się w końcu uspokoił i wrócił, spocony i zniechęcony ksiądz rękojeścią noża wbił oczy dziewczyny w czaszkę. Z trudem, bo kobieta kilka razy osuwała im się na ziemię, niezgrabnie przywiązali ją do drzewa.

Franciszek odszedł kilka kroków i kontentował się widokiem nagiego, ociekającego krwią kobiecego ciała. Spojrzał w jej puste teraz oczodoły

i zadrzał. Obejrzał swoje ręce, teraz niemal czarne od krwi, i poczuł, że ten ludzki płyn przesącza się przez koszulę, spływając na jego rozpalone ciało.

– Kresem jest Bóg. Bóg i Ojczyzna, która powstanie z niebytu. Ale musi powstać czysta. Oto nasze zadanie: oczyścić tę ziemię z grzechu! Bo tylko czysta znowu stanie się silna. Rozpoczęliśmy dzisiaj nasze Dzieło i nikt już nas nie powstrzyma! – rzekł i padł na kolana, a potem ukrył twarz w dłoniach i zaczął się modlić silnym, pewnym głosem. Czuł, że w tym momencie zbliżył się do Boga bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Żałował, że noc jest tak ciemna. Najchętniej zapaliłby lampy naftowe, a choćby i świece, aby nasycić oczy widokiem zamordowanej grzesznicy, ale obawiał się, że ich poświata mogłaby przedrzeć się między drzewami i ktoś z pałacu mógłby wszcząć alarm.

Ekstaza, w której dotąd się zatapiał, powoli ustępowała zmęczeniu, a mróz zaczął się przedzierać przez mokrą od krwi koszulę. Mimo to nadal klęczał. W końcu uniósł głowę i przywołał stojącego nieopodal Bogusława. Miał wrażenie, że chłopak boi się patrzeć na rozpostarte na drzewie obnażone kobiece ciało, ale uklęknął obok niego i zmówili modlitwę za zmarłych.

– Jednej grzesznicy na świecie mniej. Kościół ci tego nie zapomni i Bóg ci tego nie zapomni – powiedział teraz już spokojnym, pewnym głosem. Czuł w sobie niespotykaną siłę.

– Niech ksiądz napisze o mnie do Ojca Świętego – przypomniał mu Bogusław.

– Napiszę. A teraz jedź już. I pamiętaj, to nasza tajemnica. To nasze Dzieło czynione dla Boga i Ojczyzny. Nikt poza nami nie może poznać prawdy. Nikt, rozumiesz?

Rozdział 22

WOLSZTYN, KONIEC CZERWCA 2018

Rafał spodziewał się większego zadęcia, wyfraczonych kelnerów, ale na szczęście było dużo skromniej. Grill, dżinsy i koszulki polo. Niewymuszona, miła atmosfera, kilkoro ludzi, których pamiętał jeszcze z liceum. Zastanawiał się, czy pojawi się Sworowski, ale nie było go ani na turnieju, ani na przyjęciu.

– Piękny dom. Szkoda tylko, że wysoki mur zasłania widok na jezioro.

– Cóż, mam ten widok z górnego tarasu. W pewnym wieku człowiek chce się trochę odgrodzić od świata. – Zdzisław Skibniewski, ubrany w jasne lniane spodnie i granatowe polo ze znaczkiem Lacoste powoli sączył białe wino.

– Gratuluję zwycięstwa w turnieju.

– Och, to zasługa Elżbiety, jest naprawdę świetna, a dzisiaj wzniosła się na wyżyny swoich umiejętności. Na korce porusza się jak kocica, co z pewnością pan zauważył.

Siedzieli w eleganckich rattanowych fotelach, a inni uczestnicy przyjęcia dyskretnie się oddalili. To towarzystwo naprawdę znakomicie się rozumiało albo było nadzwyczaj karne. Bez trudu zorientował się, że jego rozmówca jest w tym gronie niekwestionowanym przewodnikiem, co do jakiegoś stopnia potwierdzało opowieści Bartka Nowickiego i Pawła Zdanowskiego.

Terlecki spodziewał się, że za chwilę ich rozmowa straci swój niezobowiązujący ton.

– Słyszałem, że zainteresował się pan wydarzeniami sprzed lat, tymi dziwnymi morderstwami kobiet. Zastanawia mnie to, bo sądziłem, że skupia się pan na tematyce politycznej, a w tym nie ma nawet grama polityki. – Biznesmen spojrzał na niego przenikliwie.

– Widzę, że w Wolsztynie nic się nie ukryje. To taka wakacyjna przygoda, chcę się trochę zresetować, oderwać od codzienności. Pan coś wie na temat tych morderstw?

Skibniewski się zaśmiał i upił mały łyk wina.

– Jestem stary, ale nie aż tak stary. Nie było mnie wówczas w Wolsztynie. Coś oczywiście słyszałem, ludzie plotkują, w takiej miejscinie ten temat jest cały czas żywy. Ale nie sądzę, żeby udało się wykryć sprawcę. Minęło wiele lat, z pewnością już dawno nie żyje.

– Ostatnie morderstwo miało miejsce dwa lata temu.

– Wiąże pan to z tamtymi sprawami? Ryzykowne. Ostatnie morderstwo było przecież wyczynem jakiegoś gówniarza, może lekko psychopatycznego. Moim zdaniem to coś innego. Tym bardziej że przecież ciało nie zostało znalezione przy „diabłach”.

– Być może ma pan rację. To tylko teoria, nie mam żadnych gotowych odpowiedzi. Ale jeszcze trochę wokół tej sprawy poszperam, może znajdę coś interesującego.

Zapadło milczenie. Rafałowi wydawało się, że Skibniewski jest spięty. Aby podtrzymać rozmowę, zapytał, czy biznesmen pochodzi z Wolsztyna.

– Nie, jestem synem podoficera Armii Andersa. Ojciec walczył pod Monte Cassino, potem przez wiele lat mieszkaliśmy w Anglii, następnie w Austrii. Przyjechałem do Polski pod koniec lat sześćdziesiątych.

– Niewielu wówczas wracało tutaj z Zachodu.

– Tak, ruch był raczej w drugą stronę. Ale ja nie jestem Żydem. Powód mojego przyjazdu był prozaiczny. Zakochałem się. Żona pochodziła stąd, więc naturalną kolejną rzeczą zamieszkałem w Wolsztynie. I wie pan co, panie redaktorze, nie żałuję. W Austrii czy w Anglii byłbym pewnie robotnikiem, biuralistą lub drobnym handlowcem. A tu... – Powiódł ręką po imponujących rozmiarów dziełce, a potem nagle wstał z fotela. Wrócił po kilku minutach z dwoma pękatymi kieliszkami i butelką hennessy richard.

– Dobry koniak to najlepsze podsumowanie udanego dnia. Moi koledzy, proszę wybaczyć szczerość, nie są w stanie tego docenić, ale pan redaktor z pewnością tak. – Rozlał alkohol i podał Terleckiemu imponującej wielkości kieliszek.

Koniak był rzeczywiście znakomity. Skibniewski zamyślony patrzył na swój dom. Nagle zapytał, czy dziennikarza interesują w Wolsztynie jeszcze inne sprawy z przeszłości. Dziennikarz zrozumiał, że przechodzą do sedna dzisiejszego spotkania.

– Będę z panem szczerzy. Tak, interesuje mnie jeszcze jedna sprawa. Ale nie chcę być niegrzeczny i nadużywać pańskiej gościnności, więc nie wypada mi teraz o tym rozmawiać. Czy możemy się umówić na spotkanie za kilka dni? Dzisiaj jestem tutaj gościem, a zależy mi na bardziej oficjalnym kontakcie.

Skibniewski spojrzał na niego przenikliwie, cały czas płynnym ruchem mieszając koniak.

– Mogę o coś zapytać? Proszę się zastanowić nad odpowiedzią, bo to będzie osobiste pytanie.

Terlecki skinął głową.

– Zarobił pan kiedyś milion złotych?

– Panie prezesie, proponuje mi pan łapówkę? Nie sądziłem, że się pan do tego posunie. Czyżby za tą całą fasadą nienagannych manier, świetnych alkoholi, klubem tenisowym, koszulką Lacoste'a, pięknie odrestaurowanym Citroënem DX i Porsche, krył się jednak... – Rafał na chwilę zawiesił głos, zastanawiając się, czy powinien odsłonić karty, ale w końcu podjął decyzję. – Kumpel Janosów?

Skibniewski wstał z fotela. Zrobił to tak gwałtownie, że uronił kilka kropel koniaku na swoje starannie skrojone spodnie. Rafałowi wydawało się, że zgromadzone przy drugim stoliku towarzystwo uważnie im się przygląda.

– Wie pan, że mógłby pan już nie opuścić tej posiadłości? Rano, a może dopiero za kilka dni, pańskie ciało zostałoby znalezione gdzieś po drugiej stronie jeziora, na brzegu wyspy lub przy śluzie na Dojcy, pod mostem przy Kaukaskiej?

– Po to mnie pan zaprosił? Odważyłby się pan zabić dziennikarza? Przecież musi pan znać historię zabójstwa Jarka Zientary, dziennikarza „Gazety Poznańskiej”. Media w takich sprawach nie odpuszczają. Po co to panu? I co z tymi wszystkimi ludźmi, którzy nas tutaj widzą? Aż tak jest pan pewien ich lojalności?

Skibniewski lekceważąco machnął ręką. Długo patrzył mu w oczy, a Terlecki z trudem wytrzymał jego wzrok. Nagle biznesmen się roześmiał, pochylił w jego stronę i stuknął kieliszkiem o kieliszek stojący na stoliku.

– Żartowałem. Ale chciałem o coś pana zapytać, bo zawsze mnie to frapowało. Zastanawiam się, czy człowiek, który grzebie się w historii innych ludzi, wcześniej dobrze poznał dzieje własnej rodziny? Czy pan zna historię

swojej, prześwietlił ją pan z dziennikarską wnikliwością? Bo może byłoby warto?

Rafał spojrzał na niego zaskoczony. Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy.

– Napijmy się, panie redaktorze – powiedział w końcu biznesmen. – Bardzo miło się z panem rozmawiało. Proszę wybaczyć staremu człowiekowi, muszę się położyć, dzisiejszy turniej był wyczerpujący. Moi goście też już się powoli rozchodzą. Wypijmy za Anastazję Burnett, tę niespełnioną włoską tenisistkę, której styl tak inspiruje moją Elżbietę. – Skibniewski wypił i odstawił kieliszek. – Żegnam pana.

Rafał patrzył na oddalającego się szybko biznesmena. Ten minął wysoki maszt, na którego szczycie powiewała biało-czerwona flaga, i nim wszedł do domu, pomachał gościom ręką.



Towarzystwo zaczęło się zbierać. Rafał czuł, że stracił całą ich sympatię, być może od początku udawaną, więc bez pożegnania wymknął się z posiadłości. Przeszedł wzdłuż zaparkowanych na poboczu samochodów i ruszył w kierunku stadionu.

Od ogrodzenia, za którym majaczył kort tenisowy, dzieliło go jeszcze kilkadziesiąt metrów, gdy usłyszał sygnał nadejścia wiadomości. Spojrzał na ekran smartfona. „Nie wracaj do Borui. Myszkują w twoim domu, ale nic nie znajdują. Wcześniej Borsuk wziął laptop i papiery” – przeczytał wiadomość od Wiesława Muszyńskiego.

Zastanawiał się, gdzie się ukryć. Pomyślał o Pawle, ale ostatecznie zadzwonił do Bartka. Czterdzieści minut później wsiadł do jego toyoty.

– Jeśli nie masz w domu alkoholu, to podjedź na stację – poprosił. – Muszę się napić.

– Coś tam się znajdzie.

Żona Bartka zaparzyła mocną kawę i zostawiła ich samych. Terlecki szybko opróżnił kieliszek.

– Twoje informacje się potwierdziły. Zrobiło się gorąco. Najpierw zaproponował mi milion złotych, a później kąpiel w jeziorze. W betonowych bucikach.

– Ostrzegałem.

– Ostrzegałeś. Pod maską kulturalnego, starszego pana kryje się bezwzględny zbir. Nie, to złe słowo. – Rafał rozlał wódkę. – To nie jest zwykły zbir. Nie wspiąłby się tak wysoko. Kluczem jest jego przeszłość.

– Nie robiłby takich interesów w Peerelu, gdyby nie był powiązany z władzą. I raczej nie tylko z lokalną.

Rafał zrelacjonował koledze swoje ustalenia, przede wszystkim rozmowę z pułkownikiem Andrzejem Zakrzewskim.

– Przeczytałem akta „Żelaza”. Skibniewski się w nich nie pojawia. Być może jakieś dokumenty są jeszcze w zbiorze zastrzeżonym IPN, ale nie mam do nich dostępu. I żadnych dowodów. Zastanawiam się też, jaki ta cała sprawa ma związek z morderstwami kobiet. Nie potrafię tu dostrzec żadnych powiązań, ale intuicja mówi mi, że to nie przypadek.

– Nie ma takiej możliwości, żeby w IPN-ie nie było teczki Skibniewskiego. Pomyśl. Facet przyjeżdża z Zachodu pod koniec lat sześćdziesiątych, na dodatek jest synem podoficera Armii Andersa. I co, esbecja nie zakłada mu teczki, zupełnie się nim nie interesuje? Przecież to niemożliwe.

Rafał przyznał mu rację i z szacunkiem popatrzył na kolegę. Znali się od pierwszej klasy liceum, ale Nowicki cały czas go zaskakiwał.

Jeszcze raz przedyskutowali wszystkie informacje, które dziennikarzowi udało się do tej pory zebrać.

– Tak naprawdę błędzisz we mgle. Wszystko to można by uznać za fantasmagorie, gdyby nie reakcja Skibniewskiego na nazwisko Janoszków. To oznacza, że jesteś na właściwym tropie.



Obudził się kilka minut po dziesiątej. W domu panowała cisza. Bartek wspominał, że rano pójdą z żoną na niedzielną mszę. Sięgnął po butelkę wody, którą wieczorem zapobiegliwie ustawił przy łóżku.

Wrócił myślami do wczorajszego wieczoru. Zastanawiał się, czy dobrze zrobił, prowokując biznesmena i odsłaniając karty. Nagle przypomniał sobie ostatni toast Skibniewskiego. Gwałtownie usiadł na łóżku. Anastazja Burnett. Kim ona, do kurwy nędzy, jest? Szybko, nie bez trudu, bo ręce mu drżały, wpisał nazwisko w wyszukiwarce smartfona. Sześć wygranych turniejów najniższej rangi, przegrana w kwalifikacjach Australian Open, French Open

i Wimbledonu. Teraz już był pewien. Skibniewski nie mógł znać tej tenisistki, a jego partnerka nie mogła się na Włoszce wzorować, bo z pewnością żadna telewizja nie transmituje turniejów ITF, a kwalifikacje do turnieju głównego Wielkiego Szlema są pokazywane bardzo rzadko. Skibniewski wspomniał o niej tylko ze względu na imię.

Wybrał numer Ewy, ale odezwała się poczta głosowa. Najwyraźniej jego dawna partnerka, jak to miała w zwyczaju, w niedzielę odsypiała pracowity tydzień. Anastazja również nie odebrała, więc starając się opanować drżenie głosu, nagrał się na pocztę głosową, prosząc córkę o pilny kontakt. Już po raz kolejny, bo dziewczyna od chwili wyjazdu nie odpowiadała ani na jego telefony, ani esemesy. Sięgnął po papierosy. Być może Skibniewski tylko blefował, chciał go nastraszyć, ale wiele wskazywało na to, że w przeszłości uprowadził kilka, a może nawet kilkanaście kobiet, które później, jak twierdził pułkownik Zakrzewski, sprzedał do domów publicznych na Zachodzie.

Niecierpliwie spoglądał w kierunku rynku, skąd powinien nadejść Bartek. Chciał jak najszybciej pojechać do Borui. Zapalił papierosa i zadzwonił do Muszyńskiego.

– Przeczesał twój dom. Zaraz podeślę ci numer Borsuka, bo wcześniej zabrał twoje dokumenty i komputer. Co się wczoraj stało? Musiałeś ich jakoś sprowokować.

Terlecki zrelacjonował mu wydarzenia ostatniego wieczoru. Detektyw słuchał, nie przerywając.

– Błagam, podjedź do Ewy i jakoś ją obudź. Może Anastazja się z nią kontaktowała i niepotrzebnie się denerwuję. Ale muszę to szybko wiedzieć. Kurwa, Wiesław, strasznie się boję.

– Uspokój się. Jestem poza Warszawą, ale zaraz kogoś wyślę. Napisz mi adres, bo jestem na żaglach i nie mam jak zanotować.

Czterdzieści minut później, gdy Bartek wiozł dziennikarza do Borui, Ewa wreszcie zadzwoniła.

– Co się stało?

– Co z Anastazją?! – krzyknął. Nie potrafił się opanować.

– Kurwa, Rafał, i po to w środku nocy przysyłasz do mnie jakiegoś karka? Co ma być? Wczoraj dotarła aż do Salzburga, a przed chwilą przysłała esemes, że udało jej się złapać okazję do Słowenii...

Rafał odetchnął z ulgą.

– Wiesz, z kim jedzie?

– Ja pierdołę! Czyś ty nigdy nie jeździł autostopem? Ma pytać ludzi o nazwisko? Może jeszcze o numer kołnierzyka, referencje i stan konta!? To jakaś niemiecka rodzina z dwójką małych dzieci, jadą na wakacje do Portoroża. Spali w tym samym hotelu i Nastka zabajerowała ich przy śniadaniu. Jest w tym prawie tak dobra, jak ja.

Terlecki trząsł się jak w gorączce. Poprosił Bartka, aby się zatrzymał. Stanęli kilkadziesiąt metrów za pierwszą plażą. Powoli zeszli do jeziora, dziennikarz obmył twarz zimną wodą.

– Byłem pewien, że ją porwał. Kompletnie mnie sparaliżowało. Wypierdalaj stąd, nie chcę cię narażać. I tak już za dużo dla mnie zrobiłeś, znikaj, zanim ktoś cię zobaczy.

– Jesteś pewien? Pamiętaj, że on cały czas może to zrobić. Czy ta sprawa jest tego warta?

– Jedź. Zadzwoń.



Biegł. Skręcił w ciągnącą się wzdłuż jeziora ścieżkę, którą w dzieciństwie i młodości tak często przemierzał. Zdawało mu się, że zna tu każdy korzeń, ale teraz potykał się, jakby przemierzał tę trasę pierwszy raz w życiu. Na szczęście po kilku minutach znalazł właściwy rytm. Minął wysoką skarpe, na której teraz znajdowało się pole namiotowe, niewielki cypel, jak zawsze zajęty przez wędkarzy, potem miejsce, gdzie przed laty obozowali harcerze z Rawicza. Zatrzymał się dopiero w małej brzozowej przecince. Chciało mu się wymiotować, z trudem łapał oddech. Gdy w końcu mu się to udało, wyciągnął smartfon i wybrał podany przez Wiesława numer.

– Borsuk? To ja. Gdzie cię znajdę?

Rozdział 23

WOLSZTYN, ZIMA 1933

Szedł wolnym krokiem w kierunku kościoła, ostrożnie stawiając stopy. Mróz był tęgi, ale śnieg po niedawnych roztopach mógł kryć pod powierzchnią zdradliwy lód. W lewej ręce trzymał brewiarz, z którym niemal się nie rozstawał, ale teraz nawet on nie potrafił ukoić podniecenia, które od przynajmniej tygodnia władało jego ciałem. Nadszedł ten dzień, dzień wykonania kolejnego wyroku! Ofiara – „grzesznica”, poprawił się w myślach – już czekała. Wierny Bogusław pochwyił ją dwa dni temu, gdy nad ranem wyszła z dawnego hotelu Kaiserhof przy budynku poczty, gdzie spotkała się z aptekarzem Alojzym Lewandowskim. Świetnie wiedział, co tam robili.

Franciszek uważał Alojzego za dobrego katolika i zdeklarowanego endeka. Aptekarz brał udział we wszystkich uroczystościach religijnych, od lat wspierał parafię hojnymi datkami, dobrze wychował swoje dwie córki, z których jedna wstąpiła do niedawno zatwierdzonego przez Watykan Zgromadzenia Sióstr Urszulanek Serca Jezusa Konającego w pobliskich Pniewach. Ale wiedział też, że po śmierci żony mężczyzna się pogubił. Coraz częściej zaglądał do kieliszka, wieczorami widywano go Pod Czarnym Orłem lub w restauracji Ignacego Bochińskiego, nawet w kręgielni nad rzeką Dojcą, a niedawno Franciszek odwiedził go w aptece i wyraźnie poczuł z ust aptekarza smród alkoholu. O jedenastej przed południem! Słyszał także, że Alojzy sprowadza sobie rozwiązłe kobiety z samego Poznania, ale nie dawał temu wiary.

Wiedział natomiast, że często spotyka się z Heleną, która kiedyś pracowała u Mycielskich i wychowywała niepełnosprawnego syna. Teraz, zwolniona z dworskiej służby za kradzież marchwi, żyła z nierządu. Podczas spowiedzi zaklinała się wprawdzie, że robi to ze wstrętem, tylko po to, aby mieć pieniądze na jedzenie dla syna, ale Franciszek był przekonany, że to wyłącznie wymówka. Tym bardziej że oddawała się nie tylko Alojzemu.

Franciszek widywał ją w kościele. Co niedziela siadała w bocznej nawie nieopodal ołtarza, nieustannie bacząc na syna i uspokajającym gestem gładząc

jego rękę. Miał wrażenie, że to demonstracja, wyzwanie rzucone nobliwym mieszkańcom miasta, Kościołowi, jemu i Bogu. Od dawna ta dwoistość jej natury go denerwowała i w jakiś dziwny sposób pociągała. Katoliczka nie powinna oddawać się obcym mężczyznom! Myśl o jej bezceństwach, o jej ciele wijącym się w pościeli pod kolejnymi mężczyznami rozpraszała go i budziła wstręt. I, przyznawał się do tego tylko przed Bogiem, pożądanie.

Gdy wszedł do kościoła, ministranci zerwali się z ławki i patrzyli na niego z powagą, a może ze strachem. W takich chwilach lubił myśleć, że widzi w ich oczach uwielbienie i podziw. Zastanawiał się, czy za kilka lat niektórzy z nich dołączą do jego organizacji. Zdjął płaszcz i zaczął się przebierać. Do wykonania wyroku zostało ledwie kilka godzin.

Gdy podążając za ministrantami, wkroczył do świątyni, zerknął w lewo. Kościół, jak zwykle podczas niedzielnej sumy, był wypełniony, ale dostrzegł, że miejsce Heleny i jej dziecka było puste. Wiedział, że tak będzie, ale wołał się upewnić. Wreszcie rozsiadł się na wygodnym krześle, nieomal tronie, dziele miejscowych rzemieślników, aby wysłuchać kazania proboszcza, który z trudem wdrapywał się na kazalnicę. Nie poświęcał uwagi słowom księdza Wacława Domińskiego, nowego proboszcza, nie uważał go za dobrego kaznodzieję. Pograżył się we własnych myślach. Zastanawiał się, czy dobrze wybrał, ale patrząc na pyszniące się na suficie freski przedstawiające biblijne sceny, pozbył się wszelkich wątpliwości. Był pewien, że Bóg tego chce, że tego właśnie od niego żąda.

Miał świadomość, że jego misja nie spełnia oczekiwań, które w niej pokładał. Zawiódł Boga. Polska odzyskała wprawdzie niepodległość, w grudniu 1918 roku aktywnie wraz z Bogusławem wspierali powstańców, ale nie była tą ojczyzną, którą sobie wymarzył i on, i Bóg. Ileż było w niej zła, ileż grzechu! Czasem, wieczorami, nawiedzała go straszna myśl, że Wolsztyn jest teraz nawet gorszy niż wówczas, gdy w 1913 roku rozpoczynał swoje Dzieło. Zewsząd wylewało się zepsucie i smród grzechu, nieustannie wysłuchiwał w konfesjonale opowieści o bezceństwach. Z niepokojem konstatował, że rośnie liczba kobiet trudniących się prostytutką. Gdzie sakramenty, gdzie Bóg?!

Zresztą nie tylko Wolsztyn był gorszy niż przed dwudziestu laty. Czasem czytywał warszawskie gazety, pełne opowieści o aktorkach, wodewilach i kabaretach z półnagimi tancerkami, romansach i obyczajowych skandalach. Choćby tym ostatnim, który dogłębnie nim wstrząsnął, gdy prezydent

Najjaśniejszej Rzeczypospolitej oświadczył się młodszej od siebie o dwadzieścia osiem lat byłej asystentce żony. Żony, która zmarła ledwie trzy miesiące wcześniej! Nowa narzeczona Ignacego Mościckiego, dawniej żona jego adiutanta, była w wieku jego dzieci. Franciszek czuł wstręt i do niej, i do prezydenta.

– Jeśli tak postępuje prezydent, to co się dziwić prostym ludziom? Jaki mają przykład? – mawiał podczas obiadów, które raz w tygodniu spożywał w gronie miejscowych przedsiębiorców. To było niezbyt liczne, ale wypróbowane grono przyjaciół, którzy podzielali jego krytycyzm wobec porządków panujących w ojczyźnie. W te sobotnie popołudnia wieszali psy na Piłsudskim i jego dyktatorskich zapędach, ale przede wszystkim krytykowali go za tolerowanie rozluźnienia obyczajów.

– Sam przecież zachowuje się jak jurny byk. Ileż to on miał już żon, a zapewne także tabuny kochanek. Przecież dla kobiety porzucił naszą wiarę i przeszedł na luteranizm. Czy taki człowiek ma moralne prawo, aby rządzić katolickim krajem? – pieklił się niedawno Józef Kościański, fabrykant cygar.

Franciszek skwapliwie tym opiniom przytakiwał i dyskretnie je podsycił. Cieszył się, że ma wokół siebie ludzi, którzy podzielają jego poglądy. Czasem zastanawiał się, bywało, że był od tego o krok, czy nie wyjawić im prawdy, nie wciągnąć do swojego Dzieła. Gdyby z nim poszli, organizacja dostałaby silny impuls. Ale bał się, że nie zrozumieją, wystraszą się, któryś powiadomi policję. Życie, które wiedli, było zbyt wygodne, aby im w pełni zaufać. Mieli dużo do stracenia. Choćby prowadzący handel przyprawami i wiktuałami Franciszek Matuszkiewicz lub Konstanty Pałkowski, którego konne siodła cieszyły się uznaniem daleko poza Wielkopolską. Co innego mleć ozorem przy kacze z pyzami, placku ze śliwkami, kawie i kieliszku nalewki lub koniaku – celował w tym zwłaszcza Tomasz Lewandowski, kupiec bławatny – a co innego wziąć na siebie odpowiedzialność za oczyszczenie Polski z brudu i grzechu. Dlatego wciąż się wstrzymywał.

Ale zdawał sobie sprawę, że czas odważnych decyzji się zbliża. Wierny Bogusław i kilku innych mężczyzn, którzy przystali do Voluntatem Dei – tak nazwał swoją organizację, która teraz obejmowała już Wolsztyn i kilka okolicznych wsi – to zbyt mało. Wolsztynem trzeba wstrząsnąć, zwłaszcza że ostatnio głowy zaczęły podnosić żywiol żydowski i niemiecki.

Franciszek z zainteresowaniem przyglądał się Hitlerowi. To był wróg, nie miał co do tego żadnych wątpliwości, ale przynajmniej miał dość siły

i rozumu, aby wskazać winnych upadku Europy – rozpleniających się po jej najdalszych zakątkach Żydów i ateistów. W niemieckich gazetach przeczytał, że Hitler jest dobrym katolikiem, absolwentem szkoły prowadzonej przez benedyktynów, że śpiewał nawet w kościelnym chórze. Ale nie wierzył w jego sukces. Przegrana w niedawnych wyborach prezydenckich świadczyła, że ma w Niemczech zbyt wielu wrogów. Mógł być kanclerzem, ale nie przywódcą państwa i narodu.

Po mszy Franciszek wrócił do domu parafialnego, po drodze rozmawiając z kilkoma zgromadzonymi przy świątyni rodzinami. Najwięcej czasu poświęcił familii Stroińskich, bo Józef był zawołanym fryzjerem i balwierzem, od lat strzygł się u niego w zakładzie przy dawnej ulicy Kirchstrasse, dzisiaj nazywanej Kościelną. Kilka zdań wymienił również z krawcem Żymierowskim, bo jego stary płaszcz wymagał pilnej naprawy. Cierpliwie głaskał głowy dzieci i uśmiechał się do okutanych w futra kobiet, ale myślami był daleko. Musiał się spieszyć, do przygotowania były jeszcze listy od papieża Piusa XI adresowane do Bogusława i jego pomocników.

Franciszek sam te listy spreparował. Dobrze wiedział, że grzeszy, ale odgrywały one ważną rolę. Przydawały mu autorytetu, nadawały Voluntatem Dei imprimatur i pozory legalności. Bo czyż mogło być coś bardziej legalnego niż działanie z polecenia Ojca Świętego? Listy na dzisiejszy wieczór, pisane rzecz jasna po łacinie, przygotowywał od kilku dni, dzisiaj musiał je jeszcze tylko opieczetować. Chciał to zrobić wczorajszego wieczoru, ale w domu parafialnym zjawił się niespodziewany gość, ksiądz Jerzy Wachowicz, proboszcz z niedalekich Rakoniewic, i kilka godzin zeszło im na rozmowie. Ale nie żałował. Okazało się, że duchowny w wielu sprawach podziela jego poglądy. Ciągłą się długo w noc dyskusję zakończyli konstatacją, że rozpleniający się wszędzie grzech doprowadzi Polaków do zguby.

– Ona przyjdzie, drogi Franciszku, przyjdzie, i to przyjdzie za niedługo. Czasem myślę, że wolałbym tego nie doczekać. Przyjdzie ze wschodu. Stalin to potwór, uwierz mi. Ale wielu ludziom podoba się, że w Sowietach można mieć kilka żon, że nie ma panów, a wszystko należy do wszystkich. Świat czeka apokalipsa – tłumaczył ksiądz Jerzy żarliwie, a Franciszek z aprobatą kiwał głową.

Po powrocie do swojego pokoju chciał jeszcze zasiąść do pracy, ale nie potrafił się skoncentrować, jego myśli krążyły wokół zakończonej właśnie rozmowy. Słyszał odgłosy wieczornych ablucji, którym w sąsiedniej izbie

oddawał się gość, i rozmyślał nad jego słowami. Może rakoniewicki proboszcz miał rację? Dotąd nie zaprzętał sobie głowy komunistami, ale słyszał, że w Wolsztynie kilku takich wyrzutków można znaleźć, zwłaszcza wśród kolejarzy zamieszkujących domy stojące zaraz za torami. Musiał się czegoś więcej na ich temat dowiedzieć.

Mnożą się wrogowie naszego najświętszego Kościoła. Trzeba więcej szabel. Trzeba czynu! Trzeba niszczyć już nie tylko kobiety rozkładające nogi przed każdym mężczyzną i Żydów prowadzących Polaków na zatracenie, myślał, układając się w pościeli i sięgając po różaniec. Czas skończyć z gnuśnością. Polska musi być wielka, inaczej Niemcy i Sowiety zgniotą umiłowaną ojczyznę niczym wysuszony orzech.

Z sympatią myślał o rakoniewickim proboszczu. Jego poglądy mu odpowiadały, podziwiał też jego przenikliwy umysł, jakże inny od skromnego intelektu proboszcza Waława Domińskiego, który objął parafię przed siedmiu laty. Ubolewał, że następca księdza Leopolda jest stary i zbyt pochłonięty swoim zdrowiem, aby tchnąć nowego ducha w wolsztyńskich parafian.

Wreszcie uwolnił się od ludzi zgromadzonych przed kościołem i wszedł do domu parafialnego. Przeprowadzili się tutaj kilka lat temu, opuszczając stary i nazbyt ciasny budynek na Niałku, daleko od centrum miasta. Teraz mieszkał wygodniej, ledwie kilka kroków od kościoła, przy dawnej Bergstrasse, obecnie zwanej Białą Górą. Miało to swoje dobre strony, ale Franciszek nie był zadowolony. Nowa lokalizacja pozwalała mu wprawdzie mieć lepsze baczenie na miasto, ale zdawał sobie sprawę, że sam jest teraz wystawiony na czujne spojrzenia mieszkańców. Raziło go też bliskie sąsiedztwo protestanckiego kościoła, do którego uczęszczali głównie niemieccy mieszkańcy Wolsztyna. Marzył, że kiedyś w końcu się ich pozbędą, i wiele w tym kierunku robił.

Voluntatem Dei liczyło już szesnastu ludzi, w większości młodych parobków z okolicznych wsi zwerbowanych przez Bogusława, ale wskazanych przez Franciszka. Biednych, lecz oddanych Bogu i Kościołowi, w których kapłan rozniecił zarówno miłość do ojczyzny, jak i nienawiść do pasożytujących na jej świętym organizmie wyrzutków – Żydów, Niemców i rozpustnych, zepsutych kobiet. Do nich przede wszystkim.

– Powinnością kobiet jest rodzenie i wychowywanie dzieci, jak największej liczby dzieci. Bośmy przecie podczas zaborów stracili całe zastępy Polaków, których nasi wrogowie siekli bez opamiętania. Najlepsi nasi przodkowie ginęli

przecie w powstaniach lub byli wywożeni na skuty wiecznym lodem Sybir i tam marli jak muchy. Jak nasza ukochana ojczyzna ma się odrodzić, na powrót stać się potężna jak za czasów króla Jana Sobieskiego, gdy Polaków jest ledwie garstka? Jak mamy stanąć naprzeciw Niemców i Sowietów, gdy nas mało – prawil swoim akolitom podczas specjalnych mszy, które kilka razy do roku odprawiał dla nich na Kaffenbergu. Lepszym miejscem byłby dąb w przypałacowym parku, gdzie przed dwudziestu laty i dziesięć lat później ukarał dwie rozpustnice i gdzie teraz, za kilka godzin, miało zawisnąć ciało trzeciej, ale to miejsce było zbyt blisko pałacu. Musiał być ostrożny. Zwłaszcza że nie wszyscy członkowie Voluntatem Dei znali już prawdę o egzekucjach. Dawkował tę wiedzę bardzo ostrożnie, była ona dostępna na razie tylko pierwszemu kręgowi organizacji, czterem najbardziej zaufanym członkom. Dzisiaj do pierwszego kręgu miał dołączyć piąty, Stefan, którego wypatrzył podczas swoich peregrynacji w Jabłonnie.

Na Kaffenbergu zbierali się wyłącznie nocą, pod stojącym nieopodal drewnianym krzyżem, nad samym brzegiem lśniącego zimną poświatą jeziora, zimą skutego lodem. Pierwszą taką mszę Franciszek odprawił tylko dla Bogusława, z czasem zbierało ich się coraz więcej. Marzył, że kiedyś, za kilka lat, będzie ich mrowie. Zapełnią całą plażę, a obok parobków będą też najznamienitsi mieszkańcy Wolsztyna. A później, gdy Wolsztyn i Polska zostaną oczyszczone z pasożytów, takie msze nie będą się już musiały odbywać w skrytości w lesie, ale na rynku przed ratuszem. Wierzył, że ta chwila nadchodzi.

Niedzielny obiad zjadł szybko, co lubujący się w celebrze proboszcz przyjął z niezadowoleniem i nie omieszkał tego okazać. Nie przejął się tym, ksiądz Domiński nie był dla niego autorytetem. Zresztą niebawem przejdzie na emeryturę. Nadal objadał się ponad miarę, czego ewidentnym dowodem był potężny brzuch ledwie dający się przykryć starą sfatygowaną sutanną, i nadal utrzymywał bliskie stosunki z niemiecką społecznością Wolsztyna. Często przyjmowano go również w pałacu, bo hrabina Michałowska miała do niego ewidentną słabość. Za to Franciszek nie bywał tam wcale, czasem tylko spotykał mieszkańców dworu w kaplicy, gdzie regularnie się modlili. Doceniał to, ale raziło go ich bogactwo i wielkopańskie maniery.

Starannie zamknął drzwi pokoju i zasiadł za stołem. Miał niewiele czasu, a praca wymagała precyzji. Rozstawił wszystkie niezbędne utensylia i zaczął przygotowywać lak do wykonania papieskiej pieczęci, której wzór dawno temu znalazł w starej księdze od lat ustawionej w bibliotece księdza Wacława.

Proboszcz nie dostrzegł jej braku, ostatnio zresztą rzadko zaglądał do książek, bo jego oczy coraz bardziej niedomagały.



Było po trzeciej w nocy, gdy cicho przemknął przez korytarz i zarygłował drzwi izby. Spojrzał na swoje unurzane we krwi ręce. Drżał z podniecenia, a serce mu waliło, jakby chciało wyrwać się z klatki piersiowej. Przemknęło mu nawet przez myśl, czy to rozszalałe serce i drgające ciało nie obudzą śpiącego w sąsiednim pokoju proboszcza. Z trudem rozpiął stary płaszcz, pokryty czarnymi plamami krwi, która tryskała z ciała rozpustnej Heleny. „Rozpustna Helena”, tak ją nazwał w kazaniu wygłoszonym nad jej dogorywającym ciałem. To była piękna mowa, był z siebie naprawdę dumny. Ubolewał tylko, że jego słów wysłuchało tak nieliczne grono.

Może kiedyś będę mógł je powtórzyć przed większym audytorium, pomyślał z nadzieją.

Tym razem sam osobiście wbił w serce grzesznicy długi nóż specjalnie przygotowany przez Bogusława. To był wspaniały moment, najwspanialszy w jego życiu. Gdy uniósł narzędzie nad omdlałym ciałem kobiety, doznał prawdziwej, nieporównywalnej z niczym ekstazy, a gdy z rany trysnęła krew, przeszył go dreszcz tak silny, że porażony, runął na Helenę, wykonując ruchy, które obserwującym go mężczyznom musiały się wydać jednoznaczne. W tym momencie z jego członka wydobyła się lepka maź. Miał wrażenie, że mimo bielizny wytrysk dotarł aż do klatki piersiowej. Dreszcze wstrząsnęły nim niezliczoną ilość razy i poczuł, że uchodzi z niego życie, a krew rozpustnej Heleny rozlewa się po całym jego ciele. Leżał na zwłokach tak długo, że w końcu Bogusław i Stefan musieli go unieść, zaniepokojeni, że zrobił sobie nożem krzywdę. Nie potrafił ustać na nogach, więc posadzili go na ziemi i oparli o drzewo i z tej perspektywy patrzył, jak oszpecają ciało, pozbawiając rozpustną Helenę języka, uszu i wbijając oczy w czaszkę. Wtedy doznał drugiego wytrysku i życie znów na chwilę z niego odpłynęło.

– Taka musi iść do Boga. Naznaczona – oświadczył, a później wygłosił kazanie, wielką, oskarżycielską mowę pod adresem zepsutych kobiet. Poczuł, że tymi słowami dołączył do najznamienitszych polskich kaznodziejów: jezuitę Józefa Katenbringa, autora słynnej mowy *Żal J. O. Księżny Jmci Anny z Mycielskich Radziwiłłówny, wojewodziny wileńskiej, najgodniejszemu książęciu mężowi, Panu swemu, na pogrzebie oświadczony*, Dzierśława

z Borzymowa, spowiednika Władysława Jagiełły, i Hieronima Kajsiewicza, autora *Kazań przygodnych*, które przed kilkoma miesiącami kupił w poznańskiej Księgarni Świętego Wojciecha i od paru tygodni pilnie studiował.

Rozebrał się do naga i wyciągnął z szafy swój pokutny rzemień. Jego ciało lśniło od potu, śmierdziało krwią i spermą. Runął na kolana przed krucyfiksem i modląc się, zaczął okładać plecy rzemieniem.

Rozdział 24

BORUJA – BERLIN,
OSTATNIE DNI CZERWCA 2018

Nie minął kwadrans, gdy znaleźli się w letniskowym domu wynajętym przez Borsuka, byłego żołnierza GROM-u, który teraz zajmował się ochroną statków przed piratami na Morzu Czerwonym i Oceanie Indyjskim.

– Brzmi groźnie, ale to nudy. Po Afganistanie wszystko jest nudne i niegroźne – oświadczył, stawiając przed Rafałem duży kubek herbaty.

Rafał Terlecki nie tak wyobrażał sobie żołnierza elitarniej jednostki. Borsuk naprawdę miał na imię Andrzej, był niezbyt wysoki, może wręcz niski, a jego obszerna bluza dobrze ukrywała muskulaturę. Robił wrażenie podtatusiałego mężczyzny na wędkarskich wakacjach. Ale krok miał sprężysty, oczy czujne, a włosy przycięte zbyt krótko, aby nie dostrzec w nim żołnierza.

– To nie są orły, pokonanie zamka do drzwi domku zajęło im cztery i pół minuty. Później nie zasłonili okien, więc dokładnie widziałem, co robią. Ale niedocenianie przeciwnika byłoby błędem – oświadczył.

– Andrzej...

– Wolę Borsuk – zastopował dziennikarza.

– Jasne. Jestem dziennikarzem, nie agentem służb specjalnych. Działam inaczej i obowiązują mnie inne procedury.

Borsuk bez przekonania pokiwał głową. Upił łyk herbaty i spojrzał na Rafała.

– Tyle że oni nie bardzo to uwzględniają. Pomyślałeś o tym? Wkroczyłeś na ich terytorium, muszą działać. Zastosują wszelkie środki, aby osiągnąć cel.

Dziennikarz sięgnął po kubek, gorąca herbata parzyła w usta. Wyjął papierosa i ruszył na taras, ale Borsuk go powstrzymał. Wyszedł na zewnątrz, uważnie rozejrzał się po okolicy, a potem obszedł nieduży drewniany domek. Rafał pamiętał, że w latach osiemdziesiątych rząd tych drewnianych domków

należał do milicji, ale nie był pewien, czy w nowej już Polsce nadal tak jest. Obchód zajął Borsukowi kilka minut, większość tego czasu lustrował okolicę.

– Nikogo nie ma. Chyba że zainstalowali się w Oazie. Wczoraj zaczął się tam jakiś ruch, pewnie szykują się do otwarcia, bo sezon zaraz się zacznie. Nie sądzę jednak, aby ktoś nas obserwował.

– Napiłbym się. Dasz?

– W pracy nie używam, przykro mi.

Rafał zaproponował, aby poszli do niego. Naprawdę musiał się napić. W lodówce miał butelkę jim beama i końcówkę taliskera. Borsuk wrócił się jeszcze i po chwili był na tarasie z założonym ciemnym plecakiem.

Po drodze dziennikarz zrelacjonował mu wydarzenia wczorajszego wieczoru i dzisiejszego przedpołudnia. Borsuk kazał mu zadzwonić do córki, ale także i tym razem telefon Anastazji był wyłączony. Wysłał esemes do byłej żony, a po chwili dowiedział się, że ona nadal nie ma kontaktu z ich córką.

Drzwi do domku były uchylone, a w środku panował bałagan.

– Skurwysyny nie udawały dyskretnych – zauważył ponuro Borsuk, podczas gdy Terlecki otworzył lodówkę i z ulgą dostrzegł, że alkohol stoi na miejscu. Sięgnął po flaszkę i wypił spory łyk prosto z butelki. Dopiero wtedy wziął szklanekę, napełnił ją lodem i nalał whisky.

– Naprawdę nie chcesz? Ani kropli?

Zamiast odpowiedzi Borsuk podał mu dużą szarą kopertę.

– Tego tu wcześniej nie było. Na pewno. To twoje?

Rafał niecierpliwie rozerwał papier. W środku były trzy napisane po łacinie i opatrzone papieskimi pieczęciami listy. Spojrzał na komandosa zdziwiony, ale nim ten zdążył coś powiedzieć, rozległ się dzwonek telefonu.

– Anastazja!!! Nic ci nie jest, wszystko w porządku, gdzie jesteś?

– Tato, nagrałeś mi się dwanaście razy i przysłałeś dziesięć esemesów... – Córka była wzburzona. – Umawialiśmy się, że dam znać, gdy dojadę do Zadaru.

– Posłuchaj, dziecko...

– Wiesz, że nie znoszę, gdy się tak do mnie zwracasz!

– Anastazja, posłuchaj mnie i rób, co ci każę. To nie są żarty. Jak tylko dojedziesz do miasta, w którym jest lotnisko, kup bilet na najbliższy lot do

Warszawy lub Berlina, jakiegokolwiek miasta w Europie Zachodniej. Byle dalej od Chorwacji. Na najbliższy lot, rozumiesz?

– Co się stało? Mam zabukowany bilet na za dwa tygodnie, tak jak się umawialiśmy. To moje pierwsze samodzielne wakacje!

– Anastazja! Grozi ci bardzo poważne niebezpieczeństwo. To w związku z moją pracą, dlatego proszę cię, zrób, jak mówię. Zaraz przeleję ci pieniądze.

W telefonie zapadła cisza. Rafał modlił się, aby córka się nie rozłączyła. Była nastolatką, kierowała się emocjami. Wyjechała na wymarzone wakacje, za chwilę miała się spotkać z przyjaciółmi, którzy tak samo jak ona docierali do Zadaru autostopem, a on teraz wszystko psuł.

– Co się stało?

Dziennikarz zaczął tłumaczyć, ale bez wdawania się w szczegóły. Trwało to kilkadziesiąt sekund. W końcu Borsuk pokazał mu, że chce przejąć telefon. Rafał patrzył na niego zdziwiony, ale oddał mu smartfon.

– Proszę mnie posłuchać, bo chodzi o pani bezpieczeństwo, a może nawet życie. Jestem, powiedzmy, z policji. Proszę posłuchać ojca. W Zadarze zaopiekuje się panią mój przyjaciel, ma na imię Ivo. Za chwilę ojciec wyśle pani jego zdjęcie. To jedyny człowiek, któremu może pani ufać. Jedyny. To po pierwsze. Po drugie, proszę być bardzo ostrożną. Proszę chodzić wyłącznie wewnętrzną stroną chodnika, jak najdalej od jezdni. W kawiarniach lub restauracjach może pani siedzieć wyłącznie w środku, najlepiej daleko od okien. Proszę znaleźć knajpę w sąsiedztwie komisariatu policji. Niech pani nigdy nie zostaje sama, nigdy. Proszę być cały czas w tłumie, nawet gdy pójdzie pani do toalety – mówił Borsuk spokojnym, stanowczym głosem. –

W drodze do Zadaru wolno pani korzystać tylko z ciężarówek lub samochodów, w których podróżuje rodzina z dziećmi. Z dziećmi! Rozumie pani?

Borsuk usłyszał wypowiedziane cichym głosem potwierdzenie i przekazał telefon dziennikarzowi. Rozmawiali jeszcze chwilę, po czym Rafał się rozłączył. Opadł na fotel i sięgnął po szklanekę.

– Rozumiem rodzinę z dziećmi, a dlaczego ciężarówki?

– Ciężarówki za nią przecież z Polski nie wysłali. Nie powinienesz teraz tyle pić.

– Muszę – odpowiedział. Dopił resztę bourbona i nalał kolejną porcję, nie zwracając sobie głowy lodem. – Ale gdy to się skończy, przestanę. Jest

prawie na miejscu, do Zadaru ma tylko osiemdziesiąt kilometrów. Kim jest Ivo?

Borsuk nie odpowiedział. Wybrał numer na swoim smartfonie i poszedł w kierunku jeziora, poza zasięg słuchu Rafała. Wrócił po kilku minutach.

– Załatwione. Rozmawiałem też z Wiesławem. Powiadom swoją żonę, aby odebrała córkę z lotniska w Warszawie. Będzie jej towarzyszyło dwóch ludzi od nas. Na kilka dni zadekujemy ich w bezpiecznym miejscu. A jeśli wyląduje w Berlinie lub w innym mieście w Europie Zachodniej, to my ją odbierzemy – poinformował dziennikarza.

Wyobraził sobie, jak Ewa na to zareaguje.

– To konieczne? – zapytał, choć znał odpowiedź.

Zadzwoił do byłej partnerki. Rozmowa trwała długo i była burzliwa. Gdy skończył, poszedł do kuchni nalać sobie kolejną porcję whisky. Tym razem jednak wypełnił szklanekę większą ilością lodu. Zaparzył herbatę dla Borsuka.

– Czekamy czy działamy? – zapytał, stawiając przed nim kubek.

Komandos milczał. Patrzył w kierunku jeziora, nad którym właśnie zachodziło słońce.

– Za kilka godzin możemy wparować do tej fortecy Skibniewskiego. Ale co to da? Nie wiemy, czy kazał porwać Anastazję, i jak wszystko pójdzie zgodnie z planem, nigdy się tego nie dowiemy, bo dobrze twoją córkę ukryjemy. Wróćmy do szarej koperty. Co to za pisma?

– Masz broń? – Rafał nagle zapragnął się tego dowiedzieć.

Nie przepadał za bronią, jeśli nie liczyć krótkiego epizodu służby wojskowej, nigdy nie miał z nią do czynienia, ale teraz pomyślał, że twierdząca odpowiedź go uspokoi.

Borsuk nie zareagował. Sięgnął po leżące na stoliku listy i podał Rafałowi.

– Coś z tego rozumiesz?

Dziennikarz popatrzył, ale niewiele widział, litery skakały mu przed oczami. Wypity alkohol robił swoje. Papieski herb wydał mu się nieautentyczny, ale nie znał się na tym. Brakowało w nim przepychu głowy Kościoła katolickiego, ale mógł się mylić, nigdy nie widział żadnego papieskiego dokumentu. Gdy w końcu udało mu się trochę zapanować nad wzrokiem, próbował odczytać treść listów, ale wiedział, że to daremny trud.

Choć sześć lat – w liceum i na studiach – uczył się łaciny, to teraz potrafił w tym języku wyklepać jedynie kilka przysłów.

– Nie, zupełnie nic. Ale pieczęcie wydają mi się dziwne, choć mogę się mylić, pochodzą przecież... Czekaj, to interesujące. Pierwsze pismo jest z tysiąc dziewięćset trzynastego roku, kolejne z dwudziestego trzeciego, a ostatnie z trzydziestego trzeciego. Dziwne. Adresatem jest Bogusław Świdorski z Tłok. – Terlecki zaczął się rozglądać, szukając swojego laptopa. – Gdzie jest komputer?

Borsuk sięgnął po leżący obok stolika plecak i podał mu della.

– Muszyński kazał mi go wziąć. Zdążyłem kilka minut przed ich przyjazdem. I chyba na szczęście, bo mam wrażenie, że tego właśnie szukali. Tu masz też swoje notatki. – Podał mu plik kartek spiętych biurowym klipssem. – Nie zostawiaj tego więcej w domu.

Terlecki odpalił komputer i wpisał w wyszukiwarkę nazwisko adresata listu. Na ekranie pojawiło się kilka facebookowych profili, co oczywiście nie mogło nic znaczyć. Bez większego przekonania wpisał nazwę wsi. Tym razem trafił. Wikipedia poinformowała go, że pierwsze wzmianki o Tłokach pochodzą z końca czternastego wieku, a na początku dwudziestego stulecia wieś należała do hrabiego Stefana Mycielskiego. O Bogusławie Świdorskim ani słowa. Postanowił, że rano zeskanuje listy i wyśle do redakcji. Ktoś się tym zajmie, choć z pewnością potrwa to kilka dni. Chyba że znajdzie jakiegoś specja od łaciny w Wolsztynie, ale szczerze w to wątpił.

Czuł, że alkohol coraz bardziej uderza mu do głowy, i żałował, że uległ pokusie, ale w tamtym momencie wydawał mu się nieodzowny.

Powłókł się do sąsiedniego pokoju. Tu też wszystko było przewrócone do góry nogami, ale nie zrobiło to na nim wrażenia. Z trudem ściągnął buty i zwałił się na posłanie. Czuł, że odpływa, gdy do pokoju wtargnął Borsuk.

– Czekaj, Rafał, nie zasypiaj. Na wszystkich listach jest jeszcze jedno nazwisko. Franciszek Janicki, ksiądz Franciszek Janicki. Coś ci to mówi?

Coś mu mówiło. Resztką świadomości podpowiadała mu, że gdzieś to nazwisko słyszał. Słyszał? Nie, raczej widział. Jakaś tablica, kościół...



Obudził go dzwonek telefonu. Anastazja.

– Tato, jestem na lotnisku w Zadarze. Twoje pieniądze jeszcze nie dotarły, ale wystarczyło moich. Lecę do Berlina o szóstej trzydzieści, za osiem godzin. Ivo leci ze mną, jest bardzo fajny. Powiesz mi, co się właściwie stało?

Terlecki usiadł na łóżku. Głowa mu pękała.

– Nie teraz. Przyjadę po ciebie i wtedy wszystko ci opowiem. Na jakim lotnisku lądujesz? Czy Ivo jest cały czas z tobą?

Rozmawiali jeszcze kilka minut. Rafał wyczuł, że córka jest zafascynowana swoim chorwackim opiekunem i nagły zwrot akcji traktuje jako nową wakacyjną przygodę. Obiecał jej zresztą, że gdy sprawa się wyjaśni, będzie mogła wrócić do Zadaru. Wprawdzie nie zamierzał dotrzymać tej obietnicy, ale cieszył się, że jego słowa uspokoiły dziewczynę.

Poszedł do kuchni, aby napić się wody. Zauważył, że pokój jest wysprzątnany, a gdy stanął na tarasie z butelką wody i papierosem, z cienia wyszedł Borsuk.

– Sprzątanie mogłeś sobie darować. Dzwoniła Anastazja. Ivo dobrze się nią zaopiekował, nawet leci z nią do Berlina. Startują za osiem godzin. Nie powiedziałaś mi, kim on jest.

– Kolega. Poznaliśmy się w Afganistanie, wyciągnąłem go z pewnej syfiastej sytuacji. Teraz czasem ze sobą pływamy. Wróćmy do tych listów, ale najpierw zaparz kawę.

Rafał zdziwił się, że Chorwaci też byli w Afganistanie.

– On był – uciął Borsuk.

– Rozumiem. Zostawmy to, teraz najważniejsza jest Anastazja. Muszę się przespać, bo przed szóstą powinienem wyjechać do Berlina.

– Pojedziemy razem, moim samochodem. Ja poprowadzę. Ale dobrze, pogadamy podczas jazdy. Idź spać.

Rafał wrócił do środka, ale cofnął się na taras.

– Pytałeś o tego księdza Franciszka. Coś mi to mówi. Teraz nie pamiętam, ale na pewno sobie przypomnę. Gdzieś widziałem to nazwisko. Właśnie tak: widziałem – powiedział i poszedł do łóżka. Miał nadzieję, że komandos będzie spał w sąsiednim pokoju, ale wstyd mu było go o to prosić.



Po dwóch godzinach jazdy znaleźli się na Ringu Berlińskim i dopiero w tym momencie Rafał przypomniał sobie tablicę wiszącą z boku kościoła farnego w Wolsztynie. Upamiętniała księdza Franciszka Janickiego. Nie potrafił przypomnieć sobie nic więcej. Próbował coś znaleźć w internecie, ale połączenie było niestabilne. Wysłał esemes do byłego praktykanta z prośbą, aby poszukał czegoś o Janickim.

– To ludzie Skibniewskiego zostawili tę kopertę. Próbuja cię tym zainteresować. Pytanie po co. Może spreparowali te listy? Trzeba to dać Muszyńskiemu, niech sprawdzi w jakimś laboratorium, czy rzeczywiście napisano je na początku dwudziestego wieku.

Borsuk prowadził uważnie. Do granicy jechali z dużą prędkością, ale po przekroczeniu Odry wyraźnie zwolnił, nie chciał podpaść niemieckiej policji. Zresztą mieli dużo czasu, samolot Anastazji miał wylądować dopiero o dziesiątej trzydzieści.

Dziennikarz zastanawiał się, w jaki sposób podrzucone przez ludzi Skibniewskiego listy miały go odwieść od spraw, którymi się zajmował. Listy napisane przez papieża, jeśli rzeczywiście papież był ich autorem, do anonimowego mieszkańca jakiejś wiochy zagubionej w Wielkopolsce, to rzeczywiście niezwykła historia, ale interesująca raczej dla jakiegoś tropiciela lokalnych ciekawostek, a nie dziennikarza ogólnopolskiej telewizji. Nagle coś sobie uświadomił. Jeszcze raz zajrzał do smartfona. Teraz połączenie z internetem było już znacznie lepsze. Po chwili sięgnął do leżącej z tyłu torby, wyjął szarą kopertę i zaczął dokładnie oglądać listy.

– Wcześniej nie zwróciłem na to uwagi, ale teraz widzę, że do tego Świderskiego pisało aż trzech papieży. Pod pierwszym, tym z trzynastego roku, podpisany jest Pius Dziesiąty, który rok później zmarł. Drugi i trzeci nosi podpis Piusa Jedenastego, który zasiadł w Watykanie w dwudziestym drugim roku, a zmarł na początku trzydziestego dziewiątego. Trzecim był Pius Dwunasty, to ten, który jakoś nie poważył się skrytykować faszyzmu. – Rafał był podniecony, ale nic z tego nie rozumiał. – Kim, do kurwy nędzy, był Bogusław Świderski, że korespondowało z nim trzech papieży?

– I we wszystkich listach wymieniali księdza Franciszka.

– Dziwne. Pytanie brzmi, kim był ksiądz Janicki, nim trafił na wolsztyńską parafię? Może pracował w kurii rzymskiej i znał tych papieży... – zastanawiał się Rafał. Patrzył na panoramę Berlina, ale myślami był gdzie indziej. – Znał trzech papieży, a później trafił do Wolsztyna? Nie wydaje mi się.

Rzeczywiście, to byłoby dziwne. Watykańscy kurialiści nie lądowali w prowincjonalnych parafiach, nawet gdy popełniali najcięższe grzechy. Nie tylko wtedy.

Zjechali na stację benzynową Shella, bo Borsuk chciał mieć pełen bak, nim wyruszą w drogę powrotną. Gdy komandos tankował, Rafał kupił po dwie parówki oraz kawę i usiadł przy ustawionym na dworze stoliku.

– Zabawni są ci Niemcy. Spójrz na te papierowe tacki, mają wyrysowane miejsca, gdzie powinna leżeć kiełbasa, gdzie masz wycisnąć musztardę i gdzie położyć bułkę.

– *Ordnung muss sein*, porządek musi być. – Borsuk się zaśmiał. – Nie możesz sobie kłaść parówki, gdzie ci się podoba, bo to początek anarchii.



Z lotniska Schönefeld, brzydkiego i нефunkcjonalnego, wyjechali dopiero po dwunastej, ale zamiast skierować się od razu na Ring, a później ruszyć na Warszawę, Borsuk skręcił do centrum.

– Zamierzasz nam pokazać Berlin?

– Ivo pojedzie za nami taksówką. Chcę sprawdzić, czy jesteśmy sami, więc pokręcimy się trochę po mieście – wyjaśnił lakonicznie. – Później go zabierzemy. Wsiądziemy w Nowym Tomyślu, a on odwiezie Anastazję do Warszawy.

Rafał zauważył, że na twarzy córki wykwitł szeroki uśmiech, i poczuł ukłucie zazdrości.

Po godzinie krążenia po Berlinie – oboje z Anastazją z zachwytem przyglądali się miastu, które wcześniej kilka razy odwiedzali – zaparkowali przy placu Poczdamskim. Po chwili do samochodu wślizgnął się ciemnowłosy młody mężczyzna. Musiał mieć nie więcej niż trzydzieści lat. Jego młody wiek zaskoczył Rafała, spodziewał się, że Chorwat, podobnie jak Borsuk, dobiega czterdziestki.

– Cisza – oświadczył i uśmiechnął się do Anastazji, po czym podał rękę jej ojcu.

Ruszyli. Nim opuścili miasto, Anastazja zasnęła. Nic dziwnego, całą noc spędziła na lotnisku, była wyczerpana. Rafał czuł ulgę, że miał córkę przy sobie. Pogładził ją lekko po policzku, a później chwycił za rękę. Po chwili, uspokojony, też zasnął, choć planował, że w drodze powrotnej jeszcze raz

przyjrzy się listom do Bogusława Świderskiego. Trapiący go cały czas kac zrobił jednak swoje.

Z autostrady zjechali w Nowym Tomysłu. Ivo zasiadł za kierownicą, a Terlecki wziął córkę w ramiona i mocno uścisnął.

– Mama będzie na ciebie czekała. Zamieszkacie gdzieś pod Warszawą, na kilka dni. Teraz wyłącz telefon i nie włączaj go, dopóki ci nie pozwolą. Na miejscu dostaniesz nowy.

– Będzie tam internet?

– Chyba tak, nie wiem. Bądź dobrą córką. Wynagrodzę ci te przerwane wakacje. Przepraszam, że musiałem ściągnąć cię z powrotem, ale to było naprawdę konieczne – powiedział i pocałował ją w policzek.

Anastazja usiadła na przednim siedzeniu i pomachała mu ręką, nagle ożywiona. Odjechali, a oni znaleźli punkt ksero i zrobili kilka kopii papieskich listów. W części z nich starannie zasłonili papieskie pieczęcie i podpis.

Rozdział 25

WOLSZTYN, OSTATNIE DNI CZERWCA 2018

Znalazł wolne miejsce parkingowe przy rynku, opłacił postój i poszedł w kierunku kościoła farnego. Nie lubił baroku, stanowczo przedkładał nad niego klasyczny gotyk, ale teraz nie miało to żadnego znaczenia. Tablicę upamiętniającą księdza Franciszka Janickiego umieszczono przy głównym wejściu. Informowała, że kapłan służył w Wolsztynie od 1911 roku, a w 1939 został wywieziony do obozu koncentracyjnego w Linzu i tam zmarł.

Przebiegł ulicę Roberta Kocho i wszedł do domu parafialnego. Niestety, starsza kobieta poinformowała go, że proboszcz jest nieobecny. Próbował wypytać ją o księdza Janickiego, ale albo nic na jego temat nie wiedziała, albo nie chciała z nim rozmawiać.

– Proszę przyjść o piętnastej trzydzieści. Ksiądz proboszcz na pewno chętnie z panem porozmawia. Będzie już po obiedzie, a wówczas ma najlepszy humor. Podam kawę i świeży placek z truskawkami. Lubi pan?

Do spotkania pozostały cztery godziny. Dużo czasu, więc postanowił skorzystać z siłowni w Fala Parku.

Zajął mu to, razem z długim prysznicem, niespełna dwie godziny. Czuł się przyjemnie zmęczony i odprężony. Zaprażył napić się piwa na tarasie z widokiem na jezioro, ale zrezygnował. Wolnym krokiem, ciesząc się bólem mięśni w nogach i ramionach, przeszedł przez park, jeszcze raz obejrzał pałac i dotarł do kaplicy Sióstr Miłosierdzia. Z zainteresowaniem przyglądał się wnętrzu świątyni. Miał wrażenie, że w ostatnich trzydziestu latach niewiele się tu zmieniło. Chciał zajrzeć do zakrystii, gdzie przed czterdziestu laty w niedzielne poranki zakładał białą komżę i potem z przejęciem służył do mszy. Niestety, drzwi były zamknięte na klucz. Ruszył do wyjścia. Nagle, na ławce zaraz przy drzwiach, zobaczył niewielką złotą tabliczkę. Kiedyś często widywał takie w kościołach, oznaczały miejsce zarezerwowane dla konkretnych osób, ale teraz już się ich nie spotykało i zdziwił się, że tutaj taka tabliczka się zachowała. Podszedł bliżej. „Hrabina Antonina Michałowska” –

przeczytał zdumiony. Rozejrzał się, ale to była jedyna tabliczka, którą dostrzegł.

Do spotkania z proboszczem została mu jeszcze ponad godzina, więc zjadł pyszne zrazy z pyzami w Bistro Europa. Pamiętał, że kiedyś była tu kawiarnia, a obok mieścił się sklep rowerowy, gdzie matka kupiła mu pierwszego składaka – niebieskiego karata. Kosztował tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt złotych, to też pamiętał, niemal całą nauczycielską pensję.

Usiadł w niewielkim ogródku przy ulicy Roberta Kocha i zagłębił się w myślach. Pomoc Wiesława Muszyńskiego okazała się bezcenna. Anastazja została odgradzona od świata, nic jej nie groziło. Wraz z matką zamieszkały, jak mu wczoraj wieczorem zrelacjonowała córka, w domu położonym w lesie niedaleko Warszawy. Rafał miał tylko nadzieję, że jego była partnerka nie pójdzie do łóżka z pilnującym ich Ivem, który wyraźnie wpadł w oko Anastazji.

Smartfon oznajmił mu, że do spotkania z proboszczem ma jeszcze trzydzieści minut. Zapalił papierosa i ponownie sięgnął do teczki. Nie chciał się pomylić.



Placek był bez zarzutu, kawa też. Ksiądz proboszcz robił wrażenie otwartego i zadowolonego z jego wizyty. Z dumą opowiadał o Franciszku.

– Wielki patriota. Oczywiście nie dane mi było poznać go osobiście, ale jego czyny najlepiej o nim świadczą. Podczas Powstania Wielkopolskiego pomagał polskim oddziałom, później zginął w obozie Mauthausen-Gusen koło Linzu w Austrii, gdzie Niemcy wywieźli go zaraz w trzydziestym dziewiątym roku. Przeżył w tym piekle dwa lata i jestem pewien, że były to jego najgorsze dni. To była jedna z najświetniejszych postaci naszej parafii – skonstatował.

Rozmawiali już dość długo, gdy dziennikarz sięgnął do teczki i wyciągnął kopie listów, które ktoś zostawił w jego domu. Zapytał, czy mówi mu coś nazwisko Bogusław Świdorski z Tłok, ale po dłuższym zastanowieniu proboszcz zaprzeczył.

– Potrafi ksiądz to przetłumaczyć? Chciałbym poznać treść tych listów, a moja łacina jest tak nędzna, że rozpoznaję tylko pojedyncze słowa. We wszystkich tych listach pada nazwisko księdza Franciszka, stąd moje zainteresowanie.

Proboszcz wziął kartki – podczas robienia tych kopii Rafał zasłonił papieskie insygnia oraz podpisy – i zaczął czytać, ale szybko się poddał.

– Kiedyś bym się z tym uporał, ale teraz nie dam rady. Myślę jednak, że będę mógł panu pomóc. Ksiądz Mariusz radzi sobie z łaciną bez problemu, kilka miesięcy temu wrócił ze studiów na Uniwersytecie Gregoriańskim. Długo pewnie u nas nie zabawi, praca z parafianami nie jest jego żywiołem. To raczej typ naukowca, ale dobry z niego chłopak. Poproszę go – oświadczył.

– Oczywiście zapłacę.

– Nie ma takiej potrzeby. Ksiądz Mariusz na pewno zrobi to z przyjemnością. Pojechał do Poznania, do biblioteki, pisze doktorat z teologii, ale wieczorem będzie. Niech pan zje jeszcze kawałek placka, bo pani Krystyna śmiertelnie się na pana obrazi, a i mnie się przez to dostanie.

Dziennikarz zaczął się zbierać do wyjścia, gdy nagle coś sobie przypomniał. Zapytał proboszcza, czy w parafii zostały jakieś rzeczy księdza Franciszka.

– Dokumenty, książki, może notatki? To był ciekawy człowiek, chciałbym go lepiej poznać, może zrobić o nim reportaż?

– Nigdy się tym nie interesowałem. A chyba powinienem, bo można byłoby to wyeksponować, pokazać młodym ludziom. Kościół jest dzisiaj oskarżany o takie bezceństwa, że warto byłoby uświadomić młodym, że księża walczyli o wolność Polski i za nią ginęli. – Proboszcz coraz bardziej zapalał się do swojego pomysłu.

Nie miał jednak pojęcia, czy coś zostało po Franciszku. Jesienią trzydziestego dziewiątego roku, zaraz po aresztowaniu wszystkich księży, do domu parafialnego wprowadzili się Niemcy, umieszczając w budynku policję i gestapo. Większość wyposażenia zaadaptowali do swoich potrzeb, część wyrzucili, ale coś zostało wyniesione do piwnicy.

– Jest dość rozległa. Wydaje mi się, że w części pomieszczeń były cele dla więźniów, tak mi przynajmniej opowiadano, ale w innych są zgromadzone jakieś kartony. Byłem tam kiedyś, na początku... – Proboszcz zamyślił się, ściągając brwi. – Tak, chyba coś tam nadal jest, ale czy to jakieś dokumenty po Franciszku, tego nie wiem. Musiałbym zapytać Józefa, kościelnego, jest tu dłużej ode mnie. Może sobie coś przypomni.

Umówili się na telefon następnego dnia. Rafał zadeklarował, że chętnie sam zajrzy do piwnicy, bardzo mu na tym zależało, ale proboszcz uznał, że

obecność kościelnego jest niezbędna.

– Będę księdzu bardzo wdzięczny – oświadczył Rafał, ściskając dłoń proboszcza.

– Tylko niech się pan odpowiednio ubierze. Tam straszny kurz, chyba od ponad pół wieku nikt tam nie zaglądał.



Żarówka dawała liche światło, ale kościelny miał ze sobą latarkę. Po godzinie spędzonej na przerzucaniu kartonów i starych mebli – znaleźli nawet emaliowany nocnik, co Józefa bardzo rozśmieszyło – postanowili zrobić sobie przerwę. Rafał miał nadzieję, że wyjdą na dwór, ale Józef się sprzeciwił. Wyciągnął papierosy i usiadł przy otwartym, piwnicznym oknie.

– Tu nam nikt nie będzie przeszkadzał – oświadczył i z wewnętrznej kieszeni roboczej kurtki wyciągnął małą butelkę wódki. – Dla dwóch nie wystarczy.

Terlecki z zazdrością patrzył, jak przechyla butelkę i wlewa płyn do gardła. Głośno przełknął ślinę, odwrócił wzrok i wydobył z torby dwie puszki piwa.

– Dobrze na przepłukanie gardła po tym kurzu. – Podał jedną kościelnemu.

Po dwudziestu minutach wrócili do pracy. Dziennikarz, który początkowo z entuzjazmem porządkował kościelną piwnicę, teraz był coraz bardziej zniechęcony. Owszem, znaleźli kilka kartonów, ale większość z nich była wypełniona książkami o tematyce religijnej i kościelnymi czasopismami. Na dodatek, jak wynikało z opisów, pochodziły z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Już mieli zrobić sobie kolejną przerwę, gdy Józef przywołał go do sąsiedniego pomieszczenia.

– Chodź no pan. Tu chyba pisze „Ksiądz Franciszek Janicki tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty rok”. Może to coś, czego szukamy? Przeniesiemy to do okna, tam sprawdzimy, lepsze światło. Masz pan jeszcze to piwo?

Józef rozsiadł się wygodnie przy oknie, zapalił papierosa i wyciągnął opróżnioną do połowy butelkę wódki. Popatrzył na nią krytycznie i wlał jej zawartość do gardła.

– No masz pan to piwo? – zapytał, wycierając usta wierzchem brudnej dłoni.

Rafał podał mu puszkę i rozciął sznurek, którym przewiązано karton. W środku znajdowały się książki, gazety, jakieś papiery i bicz z rzemienia. Widział już kiedyś coś podobnego, ojciec jego kolegi używał niemal identycznego przyrządu do dyscyplinowania swoich trzech synów. Pręgi na ich nogach, rękach i plecach robiły na nim wówczas wstrząsające wrażenie. Ten był nieco krótszy, ale i tak wyglądał groźnie.

– To do bicia, mój stary mnie takim tłukł. Nie myślałem, że jeszcze coś takiego zobaczę. – Józef wziął od niego rzemień. Patrzył na niego nieledwie z czułością. – Ojciec, świeć Panie nad jego duszą, był surowym człowiekiem. Ale na dobre mi to wyszło. Choć bolało jak cholera. Ten chyba służył do samobiczowania, bo krótki jest.

Podczas gdy kościelny uważnie przyglądał się rzemieniowi, dziennikarz oglądał zawartość kartonu. Wyciągnął skórzany duży notes i szybko schował go do swojej leżącej obok torby. Zauważył tylko, że kartki są zapisane starannym, równym pismem i opatrzone datami. Wyglądał jak pamiętnik i Terlecki poczuł przyływ adrenaliny.

– Ostry, cholernie ostry. Wezmę go, przyda się. – Józef trzymał w ręku znaleziony w kartonie nóż z drewnianą rękojeścią. Terlecki spojrział i dostrzegł, że ostrze jest upstrzone rdzawymi plamami.

Pozostałe papiery wydały mu się nieważne, większość książek dotyczyła religii, znalazł też kilka numerów „Orędownika na powiat wolsztyński” z połowy lat trzydziestych, „Przewodnika Katolickiego” oraz starannie opasane sznurkiem grube zestawy „Wszechpolaka” i „Zadruży”. Ostatni tytuł nic Rafałowi nie mówił, więc zaczął go uważnie przeglądać. Szybko zorientował się w jego nacjonalistycznym charakterze.



W drodze powrotnej do Borui zadzwonił do Borsuka, który zapewnił go, że w okolicy domku panuje spokój, choć nad jeziorem pojawiło się już wielu letników. Nic dziwnego, za dwa dni rozpoczynały się szkolne wakacje i kto mógł, przyjeżdżał, żeby skorzystać z dobrej pogody i pobyć nad jeziorem, gdy panuje nad nim jeszcze względny spokój.

Popatrzył na leżącą na siedzeniu pasażera butelkę jim beama i pogładził ją z czułością. To prawda, obiecał sobie, że nie będzie już pił, ale przecież sprawa jeszcze się nie skończyła, a on musiał skupić się na dopasowaniu wszystkich elementów łamigłówki. Bourbon znakomicie mu w tym pomagał.

Był podniecony, bo w jego teczce spoczywał notes księdza Franciszka i tłumaczenie łacińskich listów wykonane przez księdza Mariusza.

Wybrał na panelu numer Marka Lantmanna i nacisnął joystick. Po piątym sygnale rozłączył się, sięgnął po telefon i napisał esemes z prośbą o pilny kontakt. Lantmann od wielu lat był radiowym korespondentem w Rzymie i uchodził w Polsce za jednego z najlepszych specjalistów od Watykanu. Miał nadzieję, że wyjaśni przynajmniej część niewiadomych.

Poznali się kilka lat temu, gdy Rafał spędzał wakacje z Ewą Drągowską w tokańskim Barberino Val d'Elsa. Radiowiec podszedł do ich stolika w małej restauracji zawieszanej na tarasach nad drogą, słysząc, jak spierają się przy wyborze wina. Poradził, aby zamiast Don Giovanni Chianti Classico zdecydowali się na miejscowe chianti, gorsze, ale mające specyficzny posmak. Wypili wspólnie cztery butelki, a kilka dni później radiowiec okazał się znakomitym przewodnikiem po Florencji. Spędzili wówczas cudowny dzień, Marek pokazał im nieznanne oblicze miasta i świetne włoskie knajpki, do których nie zaglądali turyści. Terlecki nasłuchiwał się wówczas o zawłościach polityki watykańskiej i namiętnościach targających kościelnym imperium. Nawet Ewa słuchała z zainteresowaniem. Od tego czasu utrzymywali ze sobą sporadyczny, ale regularny kontakt.

Gdy minął plażę, teraz już dość gęsto obsadzoną przez turystów, na ekranie wyświetliło się nazwisko Lantmanna. Odebrał i zatrzymał samochód na poboczu. Bał się, że w lesie straci połączenie.

– Dziękuję, że oddzwoniasz. Mam pytanie, na które może odpowiedzieć tylko najwybitniejszy z wybitnych watykanistów. – Lantmann był łasy na pochlebstwa i Rafał nie omieszkał tego wykorzystać.

– Wystarczy najwybitniejszy polski watykanista – usłyszał.

Tylko się uśmiechnął. Nic się nie zmieniło, pomyślał.

Wyszedł z samochodu i opowiedział historię korespondencji Piusa X i jego następców, Piusa XI oraz Piusa XII, z wielkopolskim wieśniakiem. Lantmann od razu wykluczył, aby było to możliwe, choć zapytał o adresata listów. Niestety, Rafał niewiele mógł na jego temat powiedzieć.

– Musiałby być na przykład jakimś znanym stygmatykiem czy mistykiem. Tak znanym, że jego sława sięgałaby Rzymu, ale to byś wiedział. Ja też – nie omieszkał dodać.

– Wykluczone. Jego nazwisko nic nie mówi nawet miejscowemu proboszczowi, wczoraj z nim rozmawiałem.

– Trzy listy wysłane w ciągu trzydziestu lat przez trzech papieży do wielkopolskiego chłopa? Niemożliwe. Oczywiście przy dobrych kontaktach w Kurii Rzymskiej można sprawdzić, czy to nazwisko figuruje w watykańskich archiwach, ale skoro korespondencja miałyby się odbywać na początku ubiegłego wieku, potrwa to kilka miesięcy. – Lantmann powoli cedził słowa. – Mogę spróbować, wyślij mi skany tych listów. Może znajdziesz nazwisko tego Bogusława w archiwum kurii diecezjalnej? Sprawdzenie tego potrwa krócej, a jeśli wyskoczy tam, to będziemy mieli jakąś wskazówkę.

Rafałowi spodobało się to „nam”. Zrelacjonował treść listów, którą przetłumaczył ksiądz Mariusz. Była to zachęta do dalszej wytężonej pracy na rzecz Kościoła powszechnego i ojczyzny, uznanie dla Bogusława za jego wysiłek w walce z jego wrogami, pochwała posłuszeństwa wobec księdza Franciszka Janickiego i zalecenie dalszej wiernej służby pod jego rozkazami.

– „Aż do zbawienia”. Tak kończą się wszystkie listy. Wszystkie są niemal identyczne, różnice, na ile zdołałem się zorientować, są minimalne, choć przecież pierwszy i ostatni dzieli dwadzieścia lat.

– Niezwykłe. Ale raczej nieprawdziwe. Nie dlatego, że różnice między nimi są niewielkie, Watykan jest bardzo konserwatywny, tu czas płynie wolniej, ale delikatnie rzecz ujmując, Pius Dziesiąty nie był wielkim orędownikiem odrodzenia Polski. Przyślij skany, muszę to pokazać komuś w kurii. Odezwę się za kilka dni. – Marek Lantmann wydawał się naprawdę zainteresowany. Nim się rozłączył, zapytał jeszcze o księdza Janickiego, ale niewiele się dowiedział.

Gdy tylko Rafał wsiadł do samochodu, natychmiast sięgnął po bourbona. Ruszył i jeszcze nim zapiął pas bezpieczeństwa, odkręcił kapsel. Wlewał w siebie pierwszy łyk, gdy z lasu wyszły na drogę dwie kobiety zmagające się z wielkim psem. Dziennikarz rozpoznał w nim moskiewskiego stróżującego. Dostrzegł, a może tylko mu się wydawało, karcące spojrzenia obu.

Zapewne zauważyły, że pije alkohol, prowadząc samochód. Nie zrobiło to na nim wrażenia. Zapalił papierosa i wypił kolejny łyk.

Rozdział 26

BORUJA, OSTATNIE DNI CZERWCA 2018

Tym razem bourbon w niczym nie pomagał. Przy drugiej szklance, oszczędnie okraszonej lodem, Rafał Terlecki bezradnym wzrokiem spojrzął na notatki i nie znalazł w nich niczego, co zbliżyłoby go do rozwiązania zagadki. Łudził się, że jest ono w zasięgu wzroku, a nie dostrzega go tylko dlatego, że na przeszkodzie stoi wszechobecny hałas. Letnicy już się zjechali i zewsząd dochodziły śpiewy, łomot młodzieżowej muzyki i pohukiwania nie nazbyt trzeźwych młodzieńców popisujących się wulgaryzmami przed chichoczącymi dziewczynami.

Sięgnął po telefon i w tym momencie rozległ się sygnał wiadomości WhatsAppa. „Wstępnie: papier, na którym napisano listy, pochodzi z pierwszej połowy XX wieku. Mają sprawdzić dokładnie czy to wystarczy? Bo wygląda na to, że to autentyki. Dwa pierwsze listy zostały napisane na niemieckim papierze, ostatni na polskim” – poinformował go Wiesław Muszyński.

Rafał spojrzął na jezioro i zapalił papierosa. Badanie papieru, wykonane dzięki znajomościom Wiesława w Komendzie Głównej Policji, z dużą dozą prawdopodobieństwa wskazywało, że listy są stare, że Zdzisław Skibniewski nie stworzył ich teraz, aby wyprowadzić go w ślepią uliczkę, ale jednocześnie wykluczało, że ich autorami mogli być Pius X, Pius XI i Pius XII. Trudno było bowiem przypuszczać, że w tym czasie w Watykanie używano papieru wyprodukowanego w Niemczech, a już zwłaszcza w Polsce. Pożałował, że poprosił Marka Lantmanna o pomoc i postanowił, że rano – teraz jest już zbyt pijany – przeprosi go i odwoła poszukiwania w Kurii Rzymskiej. Myślał o tym bez większego żalu, bo choć sprawa go zainteresowała, to jednak stanowiła tylko poboczny wątek.

Mimo wszystko sięgnął do torby, wyciągając oprawiony w skórę notes, który znalazł w parafialnej piwnicy, i zaczął go przeglądać. Pismo było staranne, wszystkie zapiski opatrzone datami, ale ich treść nie bardzo go wciągnęła. Ot, pamiętnik człowieka, który modli się, odprawia msze,

wysłuchuje spowiedzi i dzieli się swoimi przemyśleniami na temat Boga i wiary.

Czytał, popijając whisky małymi łykami, gdy nagle uświadomił sobie, że charakter notatek się zmienił. Autor zaczął więcej uwagi poświęcać opisowi miasta i jego mieszkańców, więc w Rafale odezwała się dusza historyka. W nadziei uzyskania nieco lepszego kontaktu z rzeczywistością zaparzył sobie kawę i ponownie rozsiadł się na tarasie.

Opis Wolsztyna, datowany na grudzień tysiąc dziewięćset dwunastego roku, wydał mu się interesujący. „Tutejsze wieśniaczki, ale i mieszczyki oddają się uciechom cielesnym i to nie tylko z mężami. Co rusz słyszę, że parzą się z obcymi mężczyznami, a już celują w tym mieszkanki Tłok i Chorzemina, wsi leżących nieopodal Wolsztyna” – przeczytał.

Zaskoczyły go te słowa. Uśmiechnął się. Cóż, zdawał sobie sprawę, że życie codzienne w zaborze pruskim nie wyglądało tak, jak przedstawiano to w podręcznikach historii i na akademickich wykładach, z których wynikało, że w tym czasie wszyscy Polacy przygotowywali się do zrzucenia obcego jarzma, trenując strzelanie i fechtunek, ale nie podejrzewał, że na początku wieku oddawano się cielesnym uciechom aż z takim zapamiętaniem.

Odstawił pusty już kubek po kawie, zapalił papierosa i sięgnął po szklaneczkę bourbona. Kolejny wpis nosił datę z połowy stycznia trzynastego roku i tym razem był wylewną krytyką społeczności żydowskiej zamieszkującej Wolsztyn. „Żydzi tutejsi są dokładnie tacy, jak przedstawiano mi to w seminarium: brudni, zarośnięci i fałszywie usłudni. Handlują wszystkim, ale szczególnie chętnie trudnią się sprzedażą alkoholu, który zniewala Polaków, zwłaszcza chłopów, niepotrafiących zrozumieć, że jest to wyrafinowana żydowska działalność, której celem jest zniszczenie tkanki Narodu Polskiego. Przez to chłopci polscy nie mają narodowego ducha, są ubezwłasnowolnieni, piją ponad wszelką miarę zwłaszcza w miesiącach zimowych, gdy roboty w polu niewiele. Mogliby ten czas poświęcić samokształceniu, tak w czasach dzisiejszych pożądanemu, a zamiast tego przesiadują po miejscowych knajpach” – przeczytał i przypomniał sobie bogaty zbiór nacjonalistycznych czasopism znalezionych w parafialnej piwnicy. „Najgorsi są jednak mieszkańcy miast, którzy wchodzą w interesy z Żydami, zaciągają u nich pożyczki na lichwiarski procent, a choćby tylko kupują w żydowskich sklepikach, nabijając im kabzę i skazując się na wieczne potępienie. Są nawet tacy, co rozczytują się w żydowskich pismach

i przyjaźnią z Żydami. Niepokojem napawa mnie fakt, że żydowskie rodziny są bardzo liczne, przez co w następnych latach będą wypierali Polaków i być może już wkrótce Wolsztyn stanie się miastem żydowskim”.

Westchnął ciężko, bo z niedawnej lektury książki Marcina Adamczaka o Wolsztynie zapamiętał, że w latach trzydziestych Żydzi stanowili ledwie pięć procent mieszkańców miasta. Już chciał pociągnąć kolejny łyk, gdy usłyszał skrzywienie otwieranej furtki. Spojrzał w tym kierunku i zobaczył młodą dziewczynę. Zbliżała się powoli, ostrożnie stawiając stopy, pochyłona do przodu, jakby lekko wystraszona lub zawstydzona. Miała na sobie krótkie, stanowczo zbyt krótkie džinsowe szorty i białą, niesięgającą nawet pępka bluzkę z głębokim dekoltem.

– Przepraszam, czy mogę prosić o ogień? – zapytała, a jej głos wydał mu się bardzo zmysłowy. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale zgubiłam zapalniczkę, a chce mi się palić. Widziałam, że pan pali, więc...

Poczuł, że krew uderza mu do głowy. Dziewczyna przypominała mu, to było jak *déjà vu*, jego pierwszą „prawdziwą” dziewczynę. Niewymuszone, płynne ruchy, burza – szybko zganił się za tę „burzę” – jasnych loków, płaski do nieprzytomności brzuch. Poderwał się na nogi, choć miał świadomość, że z racji wypitego alkoholu nie wypadło to zbyt zgrabnie.

– Jasne, zapraszam. Napijesz się ze mną whisky? – zapytał i miał wrażenie, że w tych słowach więcej jest błagania niż zaproszenia.

– Chyba nie. Chciałabym tylko zapalić. Chociaż... Właściwie chętnie. To mi chyba dobrze zrobi.

– Z lodem czy z lodem i colą?

– Nie wiem, nigdy jeszcze nie piłam whisky, jak będzie lepiej? Na filmach piją z lodem, więc może z lodem.

Rafał podał dziewczynie ogień. Zrobił to, tak mu się wydawało, niezgrabnie, więc szybko wyszedł do kuchni. Przygotowując drinka, miał przed oczami długie nogi dziewczyny.

Podał jej szklanekę, starając się nie patrzeć na dobrze widoczny biust i czarny stanik i opadł na fotel.

– Co tu robisz? Tu, to znaczy w Borui – zapytał i też zapalił papierosa.

– Przyjechałam z chłopakiem, ale zaliczył zgon, reszta towarzystwa też jest pijana, więc się urwałam. Powinnam wrócić do domu, nie mam ochoty tam spać, ale jak się stąd wydostanę? Pomyślałam, że znajdę kogoś, kto będzie

jechał do Wolsztyna i poproszę o podwózkę, ale tu chyba wszyscy są już pijani.

Rafał zauważył, że ledwo umoczyła usta w alkoholu, a mimo to się skrzywiła.

Rozmawiali kilka minut. Ania opowiadała o swoich studiach na drugim roku filologii polskiej i marzeniach, aby zostać dziennikarką, a najlepiej pisarką, trochę wspominali wolsztyńskie liceum, które ukończyła zaledwie dwa lata temu.

– Możesz prznocować u mnie, rano odwiozę cię do Wolsztyna – zaproponował.

Pomyślał, że jest szansa zastosować się do polecenia Ewy, która namawiała go, aby poderwał jakąś miejscową cizię. Chciała wiedzieć, jak różnią się dziewczyny na prowincji. Lubiła takie opowieści, wyraźnie ją to podniecało. Jego zresztą też, więc czasem w trakcie seksu wymieniali się opowieściami o swoich przygodach.

Nim dziewczyna zdążyła odpowiedzieć, przed furką zaparkował samochód. Trzasnęły drzwi i pojawił się Paweł Zdanowski.

– Przeszkadzam? Ale zajmę ci tylko chwilę. – Na twarzy kolegi nie było nawet cienia uśmiechu.

Terlecki wstał i ruszył w jego kierunku. Był zły.

– Po co przyjechałeś?

– Jak powiem, że chcę ci wyjawić całą prawdę, to zabrzmiałoby melodramatycznie, ale właśnie dlatego tu jestem. Tylko wydaje mi się, że nie masz teraz do tego głowy. Przepraszam, powinienem być wcześniej zadzwonić. – Zdanowski już ruszył w kierunku samochodu.

– Czekaaj. Wracasz do Wolsztyna? To podrzuć Anię do domu.

Paweł spojrzał na niego zdziwiony, a później przeniósł wzrok na dziewczynę, która przypatrywała im się, popijając whisky.

– Jesteś pewien?

– Nie, kurwa, nie jestem. Więc zrób to, byle szybko – odpowiedział i wrócił na taras.

Rozdział 27

BORUJA, PIERWSZY DZIEŃ LIPCA 2018

Obudził się przed siódmą i zamiast jak zawsze sięgnąć po smartfon, aby poznać najnowsze informacje ze świata, wrócił myślami do wczorajszego wieczoru. Zastanawiał się – zresztą dokładnie z tą myślą kładł się do łóżka – jak potoczyłby się wczorajszy wieczór, gdyby nagle nie zjawił się Zdanowski. Teraz, przypominając sobie młode, buzujące energią ciało dziewczyny, przeklinał kolegę i swoją reakcję.

Dzentelmen, kurwa mać, mistrz straconych szans, pomyślał, idąc pod prysznic. Nie był pewien, co nim wczoraj powodowało. Strach przed konfrontacją z młodością, tym większy, że był pijany, czy poczucie, że robi coś niewłaściwego.

Wziął długi prysznic, a potem usiadł z kawą i papierosem na tarasie. Wokół panowała cisza, której tak bardzo wczoraj pragnął. Imprezowicze uciekali przed kacem w sen, ale spodziewał się, że niebawem okoliczne domki znów ożyją, ich lokatorzy zaczną się leczyć piwem, a później nastąpi dalszy ciąg wczorajszych brewerii.

Sięgnął po notes z zapiskami księdza Franciszka Janickiego. Po wczorajszej lekturze miał wrażenie, że być może znajdzie w nich jednak coś ciekawego. Nie pamiętał, w którym miejscu skończył, więc zaczął przeglądać notes od początku, wolno przekładając kartki. W marcu 1913 roku znalazł kolejny długi wpis o Żydach, agentach syjonizmu, którzy chcą zawładnąć Polską, siejąc zepsucie i zmuszając Polki do prostytucji. Westchnął przeciągle, bo choć od czasu, gdy Franciszek zapisał te słowa, minęło ponad sto lat, to wciąż spotykał takie treści w antysemitkich pisemkach, na które trafiał przy okazji swojej pracy.

Nihil novi sub sole, przypomniał sobie łacińskie powiedzenie, gdy jego myśli znowu powędrowały do wczorajszego wieczoru. Zaczął się zastanawiać, czy wizyta dziewczyny była na pewno przypadkowa. Może nasłał ją

Skibniewski? To by do niego pasowało. Dopiero teraz uświadomił sobie, że Ania nie miała żadnej torby czy plecaka, i jego podejrzenia się nasiliły.

Wybrał numer Pawła Zdanowskiego. Zapytał, czy odwiózł dziewczynę do Wolsztyna i gdzie ją wysadził.

– Prosiła, abym podrzucił ją na Słowackiego, weszła do tego niewielkiego bloku przy szkole. Ale że wygoniłeś z łóżka taką sztukę, no, no... Sam miałem na nią ochotę. – Zdanowski zaśmiał się lubieżnie.

– Daj spokój, mam wyrzuty sumienia. Wobec siebie. Ale bez przesady z tym łóżkiem, do tego było jeszcze daleko. Po co właściwie wczoraj przyjechałeś? Mówiłeś, że to ważne.

Paweł nie chciał opowiadać przez telefon. Umówili się na piwo za dwie godziny w barze w Borui, więc Rafał zaczął się powoli zbierać, ale chciał jeszcze trochę posprzątać, bo wieczorem nie miał już sił na zmywanie. Postanowił, że i tym razem nagra rozmowę. Uznał też, że piwo dobrze mu zrobi.

Był na miejscu czterdzieści minut przed czasem. Przywitał się ze stojącym za barem właścicielem, synem gospodarza, u którego jego rodzice wynajmowali kiedyś dom, i usiadł przy stoliku ustawionym pod wysokimi drzewami. Z przyjemnością opróżnił znaczną część kufła i wyciągnął znaleziony w parafialnej piwnicy notes. Trochę doskwierały mu wyrzuty sumienia, bo właściwie go ukradł, ale bał się, że proboszcz będzie chciał go przeczytać jako pierwszy, a później być może mu go nie udostępni.

W kolejnych notatkach, z kwietnia i maja tysiąc dziewięćset trzynastego roku, Franciszek znowu rozpisywał się o zepsuciu miejscowych kobiet.

Gość musiał być zdrowo szurnięty. Pisze wyłącznie o kobietach, ale przecież do łóżka lub na siano z kimś musiały chodzić. Jakoś zupełnie pomija w tej rozpuszcie mężczyzn, pomyślał i przed oczami znowu stanął mu biust studentki. Wrócił do lektury. Musiał być jednak rozkojarzony, bo po chwili uświadomił sobie, że nie zwrócił uwagi na coś ważnego, co przed chwilą przeczytał. Wrócił na poprzednią stronę.

„W styczniu, podczas wizyty w Tłokach, spotkałem Bogusława, syna jednego z tamtejszych gospodarzy. Człek to zmyślny, choć dotknięty przez los. Jego twarz robi okropne wrażenie, lewe oko ma jakby pokryte bielmem, a powiekę wespółzymkniętą. Co więcej, jego górna warga jest rozczapierzona pod wydatnym nosem, przez co mówi bardzo niewyraźnie, z jego ust

wydobywa się jakby świst”. Rafał sięgnął po kufel, szybko go opróżnił i zapalił papierosa. Miał nadzieję, że Paweł trochę się spóźni, ten fragment zapisków był bardzo interesujący. Przecież wszystkie listy sygnowane jakoby przez trzech papieży były adresowane do Bogusława Świderskiego z Tłok.

Łapczywie pochłaniał dalsze fragmenty notatek. Wynikało z nich, że Franciszek coraz częściej spotykał się z Bogusławem, zrobił z niego kogoś w rodzaju swojego sługi lub asystenta, a ten był mu całkowicie powolny. „W nocy odprawiłem specjalną mszę dla Bogusława, na Kaffenbergu. Było to dla niego, takie mam wrażenie, mistyczne przeżycie. Jakby przeszedł przez pierwszy krąg wtajemniczenia. Tych kręgów jest jeszcze wiele, ale Bogusław wydaje się idealnym narzędziem do realizacji moich planów. A to nadchodzi, nadchodzi! Czuję wielką siłę, która najpewniej pochodzi od samego Boga. Planuję, że Dzieło zmaterializuje się w ciągu najbliższych dni”.

– Wziąć ci jeszcze jedno piwo? – usłyszał głos Zdanowskiego i szybko zamknął notes.

Zadeklarował, że to on stawia, i wszedł do baru, a później do ubikacji. Śmierdziało uryną i ten smród pozwolił mu wrócić do rzeczywistości. Przed lustrem, tak mocno zaśniebiałem, że niewiele widział, włączył przyklejony z boku klatki piersiowej dyktafon i wrócił do stolika, po drodze zabierając z baru dwa kufle.

– Dziewczyna była trochę smutna. Tak mi się przynajmniej wydawało. – Zdanowski mrugnął do niego porozumiewawczo. – Pewnie miała na ciebie ochotę, a ja wszedłem między wódkę i zakąskę.

– Dobrze, że szybko odjechałeś, bo byłem na ciebie wściekły. I na siebie oczywiście. Ale dzisiaj przyszło mi do głowy, że mogło być inaczej, że powinienem być ci wdzięczny. Sądzę, choć nie jestem tego pewien, że nie była to zła na swojego pijanego chłopaka panienka, która z zemsty postanawia pójść do łóżka choćby i z podtatusiałym facetem...

– No, no, nie bądź wobec siebie aż tak krytyczny. W końcu jesteś telewizyjną gwiazdą.

– Wątpię, aby kojarzyła mnie z telewizji. Mam inną koncepcję. Nie było pijanego chłopaka, może wcale nie ma żadnego chłopaka, i nie było pijanego, bełkoczącego towarzystwa. Podejrzewam, że została napuszczona przez Skibniewskiego. Myślisz, że on... – Rafał sięgnął po leżące na stoliku papierosy.

– Kurczę, tak mogło być. To w jego stylu. Może to jakaś wynajęta kurewka, która chciała nagrać, jak się migdalicie, a później Skibniewski miałby materiał do szantażu. – Zdanowski też wziął papierosa. Rafał przestał wierzyć, że jego kolega rzeczywiście po drugim zawale rzucił palenie.

Pili piwo w milczeniu. Do baru ściągało coraz więcej miejscowych mężczyzn. Było już po mszy, panował upał, więc chcieli ugasić pragnienie. Zaczynało się robić tłoczno.

– Po co właściwie wczoraj przyjechałeś? Wydawałeś się śmiertelnie poważny. Coś się stało?

Paweł zduśił papierosa i spojrzał na niego uważnie. Nagle wstał i poszedł do baru, aby wrócić z dwoma kolejnymi kuflami. Gdy stawiał piwo na stole, Rafał zauważył, że ręce lekko mu drżą.

– Nie powiedziałem ci prawdy, w każdym razie całej. Właściwie nie wiem dlaczego. Wstydzilem się? Tak, chyba się wstydzilem. Mogę jeszcze jednego? – zapytał i nim Rafał zdążył odpowiedzieć, sięgnął po leżącą na stoliku paczkę marlboro. – Jak może pamiętasz, mój stary był kiedyś cholewkarzem. Wiesz, kto to cholewkarz?

Rafał skinął głową. Zaczął się zastanawiać, czy cholewkarz zarabiał w Peerelu aż tak dobrze, aby później przejąć miejscową fabrykę mebli kuchennych, ale właściwie nie miał o tym pojęcia.

– Wstydzileś się, że twój stary był cholewkarzem? I dlatego postanowiłeś przyjechać do mnie w nocy i sprzątnąć mi panienkę z łóżka? – Uśmiechnął się drwiąco.

– Nie o to chodzi, że robił buty, choć podobno robił dobre. On był jednym z ludzi, może najbliższych, Zdzisława Skibniewskiego. Robili straszne rzeczy.

– Jakie? – Dziennikarz lekko pochylił się w stronę rozmówcy. Chciał zapytać, na kacu często bywał złośliwy, czy stary Pawła robił ludziom niewygodne buty, ale poważny wyraz twarzy Zdanowskiego kazał mu zamilczeć.

Paweł zaczął opowiadać. Okazało się, że umierający na raka Marian Zdanowski wypowiadał się synowi ze swoich grzechów. To była niepiękna historia. Poznał Skibniewskiego w 1969 roku, zaraz po jego przyjeździe do Wolsztyna. Zaprzyjaźnili się, często razem pili w Wielkopolicy.

– Skibniewski mu imponował. Był z innego świata, elegancki, nosił piękne buty, co dla mojego starego było ważne. Bogaty w sposób, który budził

zazdrość, a jednocześnie zdystansowany wobec komunizmu. Stary, tak przynajmniej twierdził, nie znosił tego całego Peerelu, i to akurat chyba jest prawdą, bo z takiego domu wyszedł. Kościół był dla niego naprawdę ważny. – Paweł Zdanowski co rusz nerwowo przestawiał teraz już niemal pusty kufel. – Co istotne, Skibniewski chciał mu pomóc i też uczynić go bogatym. Tak to mój naiwny stary widział, ale sądzę, że prawda była inna. Skibniewski go potrzebował. Załatwił mu kontrakt na oficerki dla wojska i tym go kupił. To były wówczas gigantyczne pieniądze.

– Skibniewski musiał mieć wielkie chody w Warszawie, skoro załatwił kontrakt z wojskiem.

– I MSW. Miał. A mój stary stał się, tak przynajmniej twierdził, jego prawą ręką. Dziwię się, że nie znalazłeś jego, właściwie naszego, nazwiska na liście w IPN. – Paweł spojrzał mu w oczy.

– Mówiłem ci, istnieje zbiór zastrzeżony. Nie wszystkie nazwiska są jawne, niektóre nadal są okryte tajemnicą – wyjaśnił i zaczął się zastanawiać, jak to się dzieje, że przez ostatnie dni wszystko było skryte w mroku, a teraz nagle, jednego dnia, na światło dzienne wychodzą aż dwie tajemnice: księdza Franciszka Janickiego i Mariana Zdanowskiego.

Chciał pójść po następną kolejkę piwa, ale bał się przerywać opowieść Pawła.

– Gdzieś tak na początku lat siedemdziesiątych zaczęli robić rzeczy wstrętne... – Paweł sięgnął po kolejnego papierosa.

– Porywać kobiety i wysyłać je do burdeli na Zachodzie – wpadł mu w słowo Rafał.

Kolega spojrzał na niego zaskoczony. Nie wiedział, że udało mu się to odkryć, a Rafał wyjaśnił, że takie informacje, na razie niepotwierdzone, zdobył od jednego z dawnych funkcjonariuszy wywiadu.

Przedstawił mu swoje dotychczasowe ustalenia, z których wynikało, że nim Skibniewski wrócił do kraju, był członkiem grupy braci Janoszków, później dowodził własną bandą, a w 1969 roku musiał się wycofać, bo austriacka policja deptała mu po piętach, i trafił do Wolsztyna.

– Przyniosę piwo – zadeklarował Paweł, którego kufel od dłuższego czasu był pusty. – Chociaż nie, napijesz się wódki? Mają tutaj wódkę?

Mieli. Przyniósł na niewielkiej tacy cztery pięćdziesiątki i dwie kawy. Spojrzał na to krytycznie i orzekł, że powinien wziąć całe pół litra.

Gdy opróżnili pierwszy kieliszek, Paweł spojrzał mu w oczy. Rafałowi się to nie spodobało, więc aby pokryć zmieszanie, sięgnął po kawę.

– Masz coś na potwierdzenie tych słów? Jakies dokumenty, choćby ten kontrakt z MON i MSW, zdjęcia ojca ze Skibniewskim? Coś materialnego – sprecyzował swoje pytanie.

– Nie szukałem. Ale jest coś jeszcze. Wypij. – Paweł chwycił drugi kieliszek i szybko wychylił. Skrzywił się i sięgnął po kawę. – To będzie trudne. I zaboli.

Zabolało.

Rozdział 28

BORUJA, PIERWSZE DNI LIPCA 2018

Zabolało mocno, więc Terlecki, jak zawsze, postanowił utopić ból w alkoholu. Szybko opróżnił kieliszek i zamówił butelkę wyborowej. Odrzucił połączenie Anastazji, nie miał teraz ani czasu, ani ochoty na rozmowę z córką.

Słowa Pawła Zdanowskiego zapiekły.

– Rafał, wiem, co czujesz, dobrze wiem. I wiem, że wolałbyś tego nie wiedzieć. Wiem, że pierdolenie w stylu „prawda cię wyzwoli” to tylko pierdolenie. – Zdanowski po raz kolejny napełnił kieliszki. – Ale uznałem, że powinienem ci o tym powiedzieć. A może przed tym ostrzec.

Dziennikarz spojrzał na Pawła Zdanowskiego uważnie. W jego głowie, teraz już nie najtrzeźwiejszej, zaczęła kiełkować jakaś myśl, ale nie potrafił jej uchwycić.

– Skąd mam wiedzieć, że teraz mówisz prawdę? Może znowu „nie mówisz całej prawdy”?

Zamilkł. Zaczął wracać pamięcią do ojca, przywoływać jego słowa, gesty, zachowania. Nie były to dobre wspomnienia i nie było ich zbyt wiele. Czuł wściekłość. Swoją złość skierował na Pawła, choć zdawał sobie sprawę, że chodziło o ojca.

– A może działasz na zlecenie Skibniewskiego? Może chcesz mnie zniechęcić do drążenia tej sprawy? Zjawileś się wczoraj w najmniej odpowiednim momencie, teraz sprzedajesz mi historyjkę o moim starym, który też był zaangażowany w ten proceder. – Rafał mówił coraz głośniej. Kątem oka widział, że miejscowi mężczyźni zerkają w ich stronę z rosnącym zainteresowaniem.

– Masz prawo tak myśleć. Rozumiem to. Ale pamiętaj, że to ja wciągnąłem cię w tę sprawę. To dowód, że chcę jej wyjaśnienia i ukarania winnych – mówił cicho, ze stanowczością, o którą nikt go nie podejrzewał.

Miał rację. Terlecki pomyślał, że musi to wszystko przemyśleć, dokładnie przeanalizować. Na razie trudno było mu uwierzyć, że jego ojciec – miejscowy artysta, niespokojna dusza, brat łąta i trochę safandula – mógł mieć coś wspólnego z porywaniem kobiet i wywożeniem ich do domów publicznych w Niemczech, Austrii, Francji, Holandii, we Włoszech. I że mógł współpracować z bezpieką. W to chyba najtrudniej było mu uwierzyć.

Jasne, ojciec zaprojektował pomnik sowieckiego żołnierza na miejscowym cmentarzu, ale zawsze twierdził, że choć to jego najlepsza praca, to żałuje, że się jej podjął. Pijany, a bywał pijany często, płakał nad swoją głupotą, czerwonym zac zadaniem, a może konformizmem, który kazał mu się w to zaangażować. „Chciałem żyć, chciałem tylko żyć” – powtarzał, a po policzkach spływały mu łzy. Po Październiku nigdy, jak twierdził, nie był na tym cmentarzu, nigdy nie przyjmował zaproszeń na „patriotyczne” uroczystości organizowane przez władze komunistyczne, nie brał odznaczeń. I pił. Kiedyś, zimą 1981 roku, kilka dni po wprowadzeniu stanu wojennego, po kilkudniowym alkoholowym ciągu, które w tym czasie nie należały do rzadkości, a raczej powtarzały się dość regularnie, błagał Rafała o przebaczenie. Nie rozumiał tego wówczas, sądził, że to spowiedź alkoholika, który nie potrafi sobie poradzić z własnymi demonami. Pamiętał, że siedział wtedy w małym pokoju w samej bieliźnie i patrzył na niego szklanym, nic niewidzącym wzrokiem. Wspominał to jak najgorzej, nigdy już do tego nie wracali, choć ojciec żył jeszcze długo, a ostatnie lata mieszkał z nim w Warszawie. Trochę się wówczas do siebie zbliżyli, ale tego tematu nie poruszali nigdy.

A teraz okazywało się, że porywał młode kobiety i wywoził je na Zachód. I robił to we współpracy z komunistyczną bezpieką, choć twierdził, do końca tak twierdził, że wydarzenia w Poznaniu, a był akurat w mieście i widział, co się działo na ulicach 29 czerwca 1956 roku, otworzyły mu oczy, a Październik i sowiecka interwencja na Węgrzech ostatecznie wyleczyły go z czerwonego zac zadania.

Rafał przypomniał sobie wydarzenie sprzed lat. W 1990 roku brał udział w studyjnym wyjeździe do Niemiec. Odwiedzili wówczas kilka redakcji niemieckich gazet, w tym „Sterna”, ale także jakiś dom kultury w niewielkim Bornheim. Gdy weszli, dostrzegł na ścianie obraz przedstawiający jezioro z górującą nad nim kościelną wieżą. Widok wydał się Rafałowi znajomy i gdy wreszcie przemówienia i występy miejscowego chóru się skończyły, podszedł do obrazu – płótno nie było duże, ale od początku w jakiś dziwny sposób

przyciągało jego uwagę – i z zaskoczeniem stwierdził, że ma przed sobą sygnowany podpisem ojca pejzaż jeziora wolsztyńskiego z widoczną w tle wieżą kościelną. Poczłł niezmięską dumę. Próbował poznać losy obrazu, dowiedzieć się, jak przez zasieki dzielące wschód i zachód Europy trafił na niemiecką prowincję, ale kierowniczką domu kultury wiedziała tylko, że to dar od żony nieżyjącego już Hansa Joachima Godaua, byłego burmistrza Bornheim. Chciał nawet z nią porozmawiać, ale nie było czasu, autobus już czekał, trzeba było wracać do Bonn na pożegnalną kolację z jakimiś oficjelami z Urzędu Kanclerskiego. Po drodze postanowił, że kiedyś jeszcze tam wróci, porozmawia z panią Godau, wyjaśni sprawę, ale nie dotrzymał słowa. Po powrocie do kraju zapytał ojca o obraz, ale ten tylko bezradnie rozłożył ręce i nie wydawał się szczególnie zadowolony, co go wówczas mocno zaskoczyło. Teraz zastanawiał się, czy płótno miało coś wspólnego z porwaniami kobiet.

– Na pocieszenie mogę ci powiedzieć, że początkowo nie robili nic zdrożnego. Skibniewski zorganizował po prostu kanał przerzutowy. Wozili na Zachód ubrania szyte w Bojowniku, a później na samochód ładowano zrabowane na Zachodzie precjoza – opowiadał Paweł.

– Czyli brali udział w kradzieży, a w każdym razie byli współnikami złodziei. Uważasz, że to nic zdrożnego? – Rafał znowu podniósł głos i znowu zauważył, że inni goście uważnie im się przyglądają. – Pojechało cię? Na dodatek robili to we współpracy z esbecją. To nic zdrożnego?

– No tak, ale potem było jeszcze gorzej. Pamiętasz, już o tym rozmawialiśmy. O Kwiatkowskiej, Dorocie Kwiatkowskiej...

Rafał wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami. Słyszał, że coś jeszcze mówi, ale treść tych słów do niego nie docierała. No jasne, przecież jego ojciec brał udział w uprowadzeniu córki swoich przyjaciół! Zrobiło mu się niedobrze.

– Co teraz zrobisz? – Paweł zadał pytanie, które od dłuższego czasu wisiało w powietrzu. Rafał tylko na niego spojrział i wyszedł.

Minął remizę strażacką i skręcił w stronę jeziora. Zastanawiał się, czy Paweł powiedział prawdę. Jakie miał dowody? Tylko słowa umierającego człowieka, pomyślał i uchwycił się tego jak tonący brzytwy. Rzeczywiście czuł, że tonie. Znowu wrócił myślami do przeszłości. W domu, dokładnie to pamiętał, zawsze brakowało pieniędzy. Matka była nauczycielką, ojciec też. Pracował w miejscowym domu kultury i często chałturzył, ale zarobione na obrazach i rzeźbach pieniądze z reguły przepijał. Skibniewski i Zdanowski

dorobili się fortun, zbudowali prawdziwe biznesowe imperia, a jego ojciec żył ze skromnej emerytury. Jak to możliwe, skoro byli współnikami?

Tylko po co stary Zdanowski miałby kłamać? – zastanawiał się i nie znajdował odpowiedzi.

Przypomniał sobie słowa Skibniewskiego, który popijając koniak, zapytał go, czy poznał dzieje własnej rodziny, choćby ojca. Nie zrozumiał wówczas tego, skupił się na groźbie, którą wcześniej usłyszał, a później jego myśli krążyły już wyłącznie wokół Anastazji. Teraz wszystko stało się jasne.

Przy domkach krzątali się ich właściciele, pracowicie grabiąc swoje posesje i malując nadwyrężone zimą płoty. „Płociki”, jak mawiano w Wielkopolsce, gdzie do sklepów wchodziło się „po schódkach”, w niedzielę chodziło się do „kościółka”, konie były „konikami”, a czasem nawet „koniczkami”.

Wreszcie dotarł do domu i od razu poszedł do kuchni zaparzyć sobie mocnej kawy. Szybko się jednak rozmyślił. Miał zadzwonić do Anastazji, ale nie zrobił tego. Powlókł się do sypialni i zwałił na łóżko.



Obudził się rano kilka minut po piątej, włożył sportowe, niepięknie pachnące ciuchy i poszedł pobiegać. Chciał się skatować, więc zwawo ruszył swoją stałą trasą, prowadzącą wokół jeziora. Nadłożył drogi i wrócił wyczerpany po ponad dwóch godzinach intensywnego biegu, a po zaledwie kilku minutach odpoczynku wskoczył do jeziora. Chłodna woda przywróciła go do życia, więc wypłynął daleko, dalej, niż początkowo zamierzał, i dalej, niż podpowiadał mu zdrowy rozsądek.

Skonany zaparzył kawę, którą wczoraj nasypał do kubka, i rozsiadł się na tarasie. Wokół panowała cisza, większość wczasowiczów utrudzonych całoroczną pracą i wczorajszym porządkowaniem posesji nadal spała.

Postanowił, że najpierw zajmie się sprawą księdza Janickiego. Wprawdzie rewelacje, które usłyszał od Pawła Zdanowskiego, pochłaniały wszystkie jego myśli, ale uznał, że potwierdzenia słów kolegi musi szukać w Warszawie, a na telefon do Wiesława Muszyńskiego było zbyt wcześnie. Pierwszym krokiem musiała być rozmowa z pułkownikiem Zakrzewskim.

Sięgnął po diariusz byłego proboszcza i odszukał miejsce, w którym skończył wczorajszą lekturę. Treść czytanej notatki spowodowała, że przeszedł go dreszcz.

„Stało się! Wczoraj wymierziliśmy kolejną karę. Bezpośrednim wykonawcą znowu był Bogusław. Chciałem to zrobić osobiście, ale Bóg mnie powstrzymał. Nie wszystko poszło tak, jak sobie wymarzyłem, jak wyobrażałem sobie Sąd Ostateczny dla tej grzesznicy, ale dokonało się! Ciało ukrzyżowane na wielkim dębie w parku Mycielskich zrobi wrażenie na mieszkańcach naszej najświętszej parafii, zmieni ich myślenie i spowoduje, że naród zamiast pławić się w cielesnych, grzesznych uciechach, skieruje swoje witalne siły w dobrym kierunku. Los tej biednej, opętanej przez diabła wieśniaczki niech będzie dla nich nauczką i drogowskazem. Tym razem kazałem Bogusławowi obciąć jej język i uszy, a później wydłubać oczy, aby gdy stanie przed Bogiem, wiedział On, że oto ma przed sobą ladacznicę. *Deus lo volt*, Bóg tak chce” – przeczytał słynne słowa papieża Urbana II, którymi w 1095 roku na synodzie w Clermont wezwał do zorganizowania pierwszej krucjaty do Ziemi Świętej.

A więc dla Franciszka była to krucjata, pomyślał.

Jeszcze raz przeczytał datowany na październik 1923 roku fragment i zaczął się zastanawiać, jak to się stało, że pamiętnik księdza, zapis jego szaleństwa, przetrwał w parafialnej piwnicy. Być może wskazówką były słowa obecnego proboszcza, który twierdził, że po wkroczeniu Niemców do Wolsztyna we wrześniu 1939 roku niespodziewanie wybrali oni dom parafialny na siedzibę policji i kazali usunąć wszystkie ślady polskiej bytności. Jacyś robotnicy, większość najpewniej niepiśmiennych, spakowała wszystko w pudła i zniosła do piwnicy.

Wrócił do lektury.

„Teraz muszę się skupić na zbudowaniu organizacji, która podźwignie naród z zapaści i zrzuci pruskie jarzmo. Muszę przy pomocy Bogusława znaleźć godnych zaufania zażartych katolików i patriotów. Zdaję sobie sprawę, że nie jest to łatwe zadanie, ale z Bożą pomocą ten cel osiągniemy. Czyż Gotfryd z Bouillon miał łatwo, zbierając rycerstwo na pierwszą wyprawę do Ziemi Świętej? *Voluntatem Dei*, Wola Boga”.

Rafał wyciągnął laptop i wszedł na stronę Biblioteki Publicznej w Wolsztynie. Uważnie zaczął przeglądać „Obserwatora na powiat wolsztyński” i wreszcie, w kwietniu 1923 roku, dwa miesiące po morderstwie, znalazł krótką notatkę informującą, że policja prowadzi śledztwo „w sprawie ohydneho mordu dokonanego na młodej kobiecie w parku Państwa Mycielskich”. Miał potwierdzenie. „Obserwator” nie opisał wprowadzie

żadnych szczegółów, które można byłoby porównać z zapisem księdza Franciszka, ale nie miał wątpliwości, że chodzi o tę samą sprawę.

Sięgnął po papierosa. A więc część zagadki została rozwiązana, bo z kolejnego wpisu w diariuszu dowiedział się, że Bogusław domagał się dowodu, że rzeczywiście działają na zlecenie papieża, więc ksiądz Franciszek Janicki sfabrykował specjalny list. „Niech Bóg i Jego Świątobliwość mi wybaczą, robię to dla dobra Stwórcy, Kościoła i Narodu” – napisał w kwietniu dwudziestego trzeciego roku i Rafał po raz wtóry doszedł do wniosku, że kolejne „papieskie” epistoły też wyszły spod jego pióra.

Ale tylko część zagadki została rozwiązana. Najmniej interesująca część, bo teraz ważniejsza była odpowiedź na pytanie, kto kontynuował dzieło księdza Franciszka i Bogusława, skoro ten pierwszy zginął w czterdziestym pierwszym.

Co stało się z Bogusławem? Muszę się więcej o nim dowiedzieć, to on jest rozwiązaniem zagadki. Czy po wojnie, gdy księdza Franciszka już nie było, kontynuował zbrodniczą działalność? Ile mógł mieć lat po zakończeniu niemieckiej okupacji? – zastanawiał się Rafał, zaparzając drugą kawę.

Założył, że kiedy Bogusław poznał księdza Franciszka, miał niespełna dwadzieścia lat. Tak wynikało z diariusza. Po zakończeniu wojny, jeśli ją przeżył, miałby więc około pięćdziesiątki. Jedenaście lat później, gdy jak twierdził zegarmistrz, znowu znaleziono przybite do tego samego dębu ciało kobiety, dawny pomocnik księdza Franciszka miałby około sześćdziesięciu lat. To nadal go nie wykluczało. Ale kolejna zbrodnia, dziennikarz sięgnął do notatek, miała miejsce w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym lub dziewiątym roku. Wówczas Bogusław musiałby się zbliżyć do osiemdziesiątki. A to już wykluczone, chyba że nie działał sam lub ktoś przejął po nim to chore dzieło.

Dopił kawę, wypalając trzeciego tego dnia papierosa, i poszedł pod prysznic. Stojąc pod gorącą wodą – bojler działał całkiem przyzwoicie – uświadomił sobie, że pilniejsza jest odpowiedź na pytanie, po co wysłannik Skibniewskiego zostawił mu „papieskie” listy. Dopiero w tym momencie uświadomił sobie, że właśnie wtedy, w ostatnich latach gomułkowskiej dekady, Skibniewski pojawił się w Wolsztynie.

Rozdział 29

WOLSZTYN, POŁOWA SIERPNIA 1938

Kolacja, którą jedli niemal w milczeniu, dobiegała końca, gdy proboszcz niespodziewanie się ożywił.

– Mam nadzieję, że ksiądz pamięta. W przyszłą sobotę przed pałacem odbywają się dożynki. Proszę niczego nie planować na wieczorne godziny, bo dzisiaj odwiedziła mnie hrabina Michałowska i nalegała, aby ksiądz wziął udział w wieczornym przyjęciu. Z jakichś powodów bardzo jej na tym zależy – powiedział proboszcz z naciskiem.

Franciszek spojrzał na księdza Wacława Łuczaka zaskoczony. W pałacu był tylko raz przed wielu laty i zdziwił się, że hrabina w ogóle wie o jego istnieniu. Bywała w parafii, oczywiście uczestniczyła w niedzielnych mszach, ale wyłącznie w sumach, które niezmiennie w Wolsztynie celebrowali proboszczowie. On sam nie czynił niczego, aby się do niej – i innych lokatorów pałacu – zbliżyć. Mierziło go to miejsce, kojarzyło mu się ze zbytkiem, zepsuciem i nieustanną zabawą, a na początku wydawało mu się, że będzie ostoją polskości promieniującą na miejscowe społeczeństwo. Szybko się rozczarował. Sytuacja pogorszyła się jeszcze po śmierci starej hrabiny Ireny Mycielskiej.

Okazało się, że młodzi państwo byli zapatrzeni w nowinki i „nowoczesność”. Hrabia Stefan Michałowski bardziej niż Polską interesował się samochodami, przed laty miał nawet w Poznaniu wielki i podobno przez jakiś czas świetnie prosperujący sklep z tymi maszynami, który na szczęście w końcu zbankrutował. Franciszkowi sprawiło to niekłamaną radość. Zdawał sobie sprawę, że to grzeszne uczucie, ale nienawidził samochodów. Były dla niego jeszcze jednym burzącym porządek świata żydowskim wynalazkiem, choć, co przyznawał tylko przed samym sobą i Bogiem, miały w sobie coś fascynującego.

Nie mniejszą niechęcią darzył hrabinę. Oczywiście, uznawał jej zasługi w postaci hojnych datków na szkołę i zakład dla ludzi starych prowadzony

przez Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia Świętego Wincentego à Paulo. Bywał tam niemal codziennie, aby modlitwą ulżyć zniedołężniałym, umierającym parafianom, ale nie potrafił przejść do porządku dziennego nad bratem hrabiny, absolwentem słynnej paryskiej École de Guerre, który później został adiutantem Józefa Piłsudskiego, a obecnie pracował w służbie dyplomatycznej. Raziły go też nazbyt jego zdaniem strojne suknie hrabiny i jej, jak słyszał od miejscowych kupców, niezależność. Nie dalej niż kilka dni temu dowiedział się, że hrabina urządziła na parterze pałacu specjalne pokoje, gdzie przyjmowała letników i to też mu się nie spodobało. Jeszcze bardziej nie spodobało mu się, że w lipcu wszyscy ci letnicy wzięli udział w kręceniu filmu – mówiono mu, że hrabia jest miłośnikiem tej formy sztuki – o wielkim wakacyjnym romansie, który przerwało dopiero przybycie żony kochanka z gromadą dzieci. Film kręcono w pałacu i w okalającym go parku, na wyspie, ale również na stacji kolejowej i w mieście, dając tym pożywkę gawiedzi.

Z niechęcią patrzył również na biznesowe zainteresowania hrabiny Antoniny Michałowskiej *de domo* Mycielskiej, która kazała się nazywać Tonią. Wiedział, że uprawia warzywa, które cieszą się dobrą renomą zarówno w Poznaniu, jak i w Berlinie, pobudowała oranżerie, hoduje ponad setkę szynszyli, rozwinęła uprawę szparagów, a niedawno otworzyła w swoim majątku hodowlę ślimaków, do której doglądania sprowadziła nawet młodego wieśniaka z Francji. Zdaniem Franciszka taka działalność nie licowała z godnością polskiej matrony.

– Muszę iść na to przyjęcie? Wieczorem tego dnia chciałem podziękować Bogu za dobre zbiory. – Spojrzał na księdza proboszcza spod wółprzymkniętych powiek, mając nadzieję, że ten odbierze to jako błaganie. Ksiądz Waław był jednak nieugięty.

– Jak już mówiłem, hrabina nalegała, aby ksiądz był obecny. Więc i ja nalegam. Warto zresztą, Michałowskim podobno lepiej się teraz powodzi, hrabia zmyślnie prowadzi interesy, w tym roku znowu mieli urodzaj. Bóg był dla nich łaskawy. Pewną rolę w tym sukcesie odegrała zapewne sprzedaż w Paryżu jeszcze przez starą hrabinę Irenę jej ogromnego diamentu, za który, jak się mówi, uzyskała bardzo dobrą cenę. Tego dnia do pałacu mają zjechać goście z Posadowa i Poznania. – Proboszcz chwycił kieliszek nalewki, jak codziennie zamierzał zwieńczyć nim wieczorny posiłek. – Nie pożałuje ksiądz, pałacowa kuchnia jest niedościgła, a holenderskie kurczaki hodowane przez hrabinę w Berzynie niezrównane.

Franciszek się poddał. Sięgnął po ostatni numer „Przewodnika Katolickiego”, który właśnie dostarczono na parafię prosto z poznańskiej Księgarni Świętego Wojciecha. Przeglądał go nieuważnie, jego myśli zaprzętało pytanie, dlaczego właściwie chcą go widzieć w pałacu. Myślał o tym nie bez przyjemności, schlebiało mu to bardziej, niż chciał się do tego przyznać, ale jednocześnie budziło niepokój.

Może ktoś zdradził? Może hrabina lub hrabia wiedzą już o Voluntatem Dei, o odprawianych przez niego mszach na Kaffenbergu, a może nawet wiedzą co nieco o karaniu wolsztyńskich grzesznic pod parkowym dębem? Słyszał wszak, że tutejsi chłopci kochają Michałowskich, odwzajemniając się tym za opiekę nad szkołą, za dobre traktowanie pracowników ich folwarków w Berzynie, Niałku i Komorowie, za codzienne obfite obiady serwowane pracownikom pałacu.

Szybko odgonił tę myśl. W takim wypadku z pewnością zawiadomiliby policję. Spojrzał na proboszcza, który właśnie w skupieniu wlewał w siebie alkohol, gdy nagle uderzyła go inna myśl.

A może hrabina w skrytości ducha podzielała jego poglądy? Była wszak, temu nie mógł zaprzeczyć, dobrą katoliczką. Może nie była winna, że jej brat stał się sługusem tego starego zbereźnika Piłsudskiego i jego nieudolnych, niczego nierozumiejących następców, pomyślał, dopijając wodę. Pił tylko wodę, herbatę uważał za zbytek.



Dożynki dobiegały końca. Furmanki niespiesznie opuszczały plac przed pałacem, aby udać się w drogę powrotną do okolicznych wsi, do Tłok, Chorzemina, Barłożny, Błońska, Widzimia, Kiełpin i gdzie tam jeszcze. Franciszek stał przy schodach, błogosławiąc odjeżdżających, aby choć trochę odwlec wejście do pałacu. Przyjęcie już się rozpoczęło, a on zastanawiał się, czy nie powinien jednak szybko przejść w prawo, przesmyknąć się obok kaplicy i przez łąki dostać na główną ulicę miasta, a stamtąd do domu parafialnego, wstępując po drodze do kościoła.

Kusiło go to rozwiązanie, choć ksiądz Łuczak, jakby wyczuwając jego nastrój, już dwa razy tego dnia napomknął, że hrabina Antonina Michałowska nalega na jego obecność na przyjęciu. Obserwował ją podczas dożynek. Chodziła między długimi drewnianymi stołami, zagadując do gości, chłopów z okolicznych wsi i pracowników hrabiowskiego majątku, którzy rozmawiali

z nią z pokorą, mnąc w rękach czapki, ale jak mu się wydawało, bez strachu i z sympatią. Głaskała dzieci po głowach, raz nawet wzięła na ręce małego, rozwrzeszczanego berbecia jakiejś włościanki, która aż się spłoniła ze szczęścia.

Franciszek uważnie obserwował hrabinę. Wysoka, z modnie przyciętymi ciemnymi włosami, w długiej jasnej sukni wydawała mu się nieskończenie piękna. Dekolt, jak na jego gust zbyt duży, odsłaniał ponętne piersi, ale podobały mu się jej płynne ruchy i niewymuszona troska, z jaką odnosiła się do tych prostych ludzi. W pewnym momencie podeszła do niego i przypomniała o swoim zaproszeniu.

– Dawno już chciałam księdza poznać. Wiele o nim słyszałam od sióstr miłosierdzia i mam dla księdza wiele podziwu za pracę, którą ksiądz wykonuje w szkole i sierocińcu. Powinien ksiądz częściej do nas zaglądać i mam nadzieję, że dzisiejsze przyjęcie będzie początkiem tych wizyt. – Głos miała głęboki, Franciszkowi wydał się on bardzo zmysłowy. Zadrżał i tylko się uśmiechnął, nie potrafił wydobyć z siebie odpowiedzi. Przeklinał się za to, bo wydało mu się, że hrabina odeszła nieco skonfundowana.

Teraz zastanawiał się, czy zamiast wybrać drogę obok kaplicy nie przekraść się tyłami pałacu na drugą stronę, ruszyć do miasta przez park i przejść obok dębu, pod którym doświadczył tych niepowtarzalnych doznań. Nigdy tam nie bywał, nie chcąc ściągnąć na siebie podejrzeń. Słyszał, że po każdym Dziele policja przez kilka dni dyskretnie obserwowała tę okolicę, licząc, że sprawca wróci na miejsce zbrodni. Za każdym razem zatrzymywali kilka osób – nie obywało się to bez komicznych czasem gonitw, które nierzadko kończyły się aż w mieście – ale za każdym razem okazywało się, że to tylko ciekawscy zwabieni mroczną sławą tego miejsca. Franciszek stanowczo zabronił Bogusławowi peregrynacji po pałacowym parku, a później nałożył ten zakaz także na pozostałych zaprzysiężonych już członków Voluntatem Dei.

Właśnie miał ruszyć na tyły pałacu, gdy na schodach pojawiła się hrabina w towarzystwie męża. Jego twarz przecinała wyraźnie widoczna blizna biegnąca od ucha i ginąca pod kołnierzykiem białej koszuli. Pamiątka po wypadku automobilem sprzed kilku lat, podczas którego hrabia doznał tak wielu obrażeń, że lekarze nie dawali żadnych nadziei. A jednak hrabia Stefan Michałowski przeżył, a dzisiaj jedynym znakiem tamtej kraksy była owa odpychająca szrama.

– Tu ksiądz jest! Czekamy – usłyszał i niezgrabnie odwrócił się w kierunku hrabiny, potykając się o pierwszy stopień schodów.

Weszli do pałacu. Franciszek rozglądał się z ciekawością, nie wiedząc, w które miejsce się skierować. Hrabia wskazał na schody, więc powoli wdrapywali się na pierwsze piętro, aby po chwili wejść do wypełnionego gośćmi salonu. Franciszek dostrzegł księdza Wacława z kieliszkiem szampana w ręce rozprawiającego w towarzystwie kilku osób oraz sędziwego burmistrza Klemensa Modlińskiego, którego starannie ufryzowane włosy i sumiasty wąs sprawiały wrażenie, że świat zatrzymał się trzydzieści lat temu. Dostrzegł ojca Jacka Łakomego, przeora klasztoru Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej w pobliskiej Obrze, uklonił się staroście Kaczorowskiemu, któremu brzuch wylewał się z kamizelki. Starosta natychmiast ruszył w ich stronę. Przywitał się z Franciszkiem skinieniem głowy i zaraz potem chwycił hrabiego pod łokieć i odciągnął na bok.

– Napije się ksiądz szampana? Specjalnie na dzisiejszy dzień sprowadziłam spory jego zapas z Francji. Jest wyborny. – Hrabina patrzyła na niego wyczekująco. Franciszek odmówił.

– Nie piję alkoholu. Nigdy – oświadczył stanowczo i spojrzał na wielki obraz wiszący tuż przy wejściu do salonu. Nie nawykł do takich miejsc, czuł się niespokojny, na czoło wystąpiły mu kropelki potu.

Hrabina podchwyciła jego wzrok. Podeszli nieco bliżej. Płótno przedstawiało mężczyznę opierającego się o szablę.

– To mój wuj, Ludwik Mycielski. Był rotmistrzem, zginął w Powstaniu Styczniowym, w listopadzie tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego roku w bitwie pod Mołodutynem. Człowiek wielkiej prawości, ale też nieprzeciętnej siły. Ponoć potrafił łamać podkowy. Ale przede wszystkim wielki patriota, który z ochotą oddał życie za wolność ojczyzny.

Hrabina rozglądała się po salonie, chcąc sprawdzić, czy wszyscy goście dobrze się bawią. On zaś z podziwem wodził wokół wzrokiem. Przyglądał się sztukaterii zdobiącej ściany i sufit, kolejnym obrazom wiszącym w salonie. Podziwiał imponujących rozmiarów lustro umocowane nad wykonanym z czarnego marmuru kominkiem i trzy żyrandole. Pomyślał o skromnej, skleconej własnym sumptem chacie Bogusława i dziesiątkach innych chłopskich chat, które odwiedził podczas duszpasterskiej posługi.

– Przy następnej okazji pokażę księdzu co cenniejsze obrazy z naszej kolekcji. Mamy kilka płócien Bacciarellego oraz olejny szkic do obrazu

Rembrandta. Mam nadzieję, że zachęci to księdza do częstszej u nas bytności – powiedziała hrabina i uśmiechnęła się, jak mu się zdawało, filuternie.

Zaczęli rozmawiać o sierocińcu. Hrabina opowiadała o swoich planach, które jak się okazało, obejmowały remont dachu i kilku sal będących już w opłakanym stanie.

– Na szczęście powoli wychodzimy z kłopotów, które, nie ukrywam, trapiły nas przez wiele lat. Majątek był mocno zadłużony, ale dzięki mężowi w przyszłym roku uda nam się spłacić wszystkie pożyczki. Chciałabym wtedy ufundować stypendia dla szczególnie uzdolnionych dziewcząt i wysłać je do szkół we Francji lub w Szwajcarii – oświadczyła.

Franciszek poczuł, jak wzbiera w nim fala złości. Próbował nad nią zapanować, ale bezskutecznie. Wściekłość rozlewała się po całym jego ciele i czuł, że na twarzy pojawiają mu się czerwone wykwity.

– Wysłać miejscowe dziewczęta do zagranicznych szkół?! A dlaczegoż to? Po co im to potrzebne? Czego one mają się tam nauczyć? To prosta droga do zepsucia tych niewinnych duszyczek – zorientował się, że mówi podniesionym głosem i wszyscy uczestnicy przyjęcia przyglądają mu się krytycznie. Ksiądz Łuczak szedł w jego stronę, najpewniej po to, aby go uciszyć, i już odstawiał kieliszek na stół. To wywołało u Franciszka kolejną falę wściekłości.

– Bóg nie stworzył kobiet dla nauki, Bóg powierzył im inne zadanie! Powinny rodzić dzieci, wychowywać te młode pisklęta, dbać o mężów. Oto, czego Bóg chce! Francja to zepsuty kraj, który znieprawia te dziewczęta. Tego hrabina chce, tego wy wszyscy chcecie? – teraz niemal już krzyczał. Wszystkie rozmowy ucichły, goście patrzyli na niego zdumieni. – Polska jest zagrożona! Od zachodu napierają Niemcy, od wschodu czerwona horda, w środku Żydzi, którzy nas tutaj, w naszym własnym kraju, okradają i rozpijają, czyniąc Polaków słabymi! A nas mało, bardzo mało. Jak mamy się obronić, gdy wy pozbawiacie naród najlepszych jego córek, wbijacie im do głowy zagraniczne nowinki, zamiast dbać o to, aby rodziły młodych, silnych Polaków?!

Zauważył, że kilku mężczyzn uśmiechnęło się dyskretnie. Dobrze wiedział, co te uśmiechy oznaczają. O tak, wiedział doskonale! Wymierzył w nich palec i już chciał podjąć swoją tyradę, gdy proboszcz mocno chwycił go za ramię i stanowczym pchnięciem skierował ku szeroko otwartym przeszklonym drzwiom. Coś do niego mamrotał, a później głośno oświadczył, że wikary źle

się poczuł. W salonie zapadła cisza, wszystkie oczy były skierowane na Franciszka. Dochodzili już do schodów, gdy ten chciał się odwrócić i jeszcze coś powiedzieć, ale kolejne zaskakująco mocne pchnięcie proboszcza spowodowało, że omal nie spadł ze schodów. Chwycił się szerokiej drewnianej poręczy i upokorzony zaczął schodzić, gdy nagle usłyszał głos starosty.

– Ma ksiądz rację! Nie gdy idzie o oskarżenie, nie w formie oczywiście, ale diagnoza jest w dużej części prawdziwa. Niemcy stają się coraz bardziej bezczelni. Z dojściem Hitlera do władzy odżyły u nich nadzieje odwetowe. W Wolsztynie zachowują się jeszcze dość powściągliwie, jednak na wioskach, gdzie tworzą większość, można usłyszeć zdania wyrażające nadzieję na rychłą rewizję traktatu wersalskiego, a tym samym rewizję granic. Doszło do mnie, że Niemcy zbierają się u tych osób, które posiadają aparaty radiowe, na przykład u pastora Engela, i słuchają audycji nadawanych z Niemiec, a szczególnie przemówień czołowych przywódców hitleryzmu – oświadczył Józef Kaczorowski.

Cała uwaga skierowała się teraz na najważniejszego wolsztyńskiego urzędnika. Dobry nastrój z początku przyjęcia gdzieś się ulotnił, wszyscy patrzyli na Kaczorowskiego, który z kieliszkiem wódki i cygarem w dłoni stał przy wielkim obrazie zmarłej trzy lata wcześniej Ireny Mycielskiej.

– Nie zapominajmy, że mamy w Wolsztynie komórkę NSDAP, partii hitlerowskiej. Kieruje nią, co mogę w tym gronie ujawnić, Maria Kruger. Z tego, co mi przekazano, komórka nie jest zbyt liczna, ale głośno już domaga się rewizji granic. Nie tak dawno, cztery miesiące temu, świętowali oni rocznicę urodzin Hitlera, przeprowadzają jakieś szkolenia, śpiewają *Deutschland, Deutschland über alles* i pieśń NSDAP. Są dobrze zorganizowani, a przecież niemieckich organizacji jest w Wolsztynie i jego okolicach więcej. Ma ksiądz rację, oni Polsce zagrażają. – Starosta opróżnił kieliszek i włożył do ust cygaro.

Franciszek widział tę scenę, stojąc już na schodach. Wyczuwał zmianę nastroju gości. Był wdzięczny Kaczorowskiemu za wsparcie i ciekaw dalszych głosów. Chciał zobaczyć, czy starosta znajdzie poparcie u uczestników spotkania. Pomyślał, że to ważny moment dla *Voluntatem Dei*, że może wreszcie jego organizacja uzyska wsparcie w wolsztyńskich elitach, że pchnie ją to na nowe tory. Zastanawiał się, czy nie wrócić.

– Panowie, panowie! Nie prawmy dzisiaj o polityce. Nie po to się tutaj zebraliśmy. Zaraz podadzą kurczaki i indyki, więc już ani słowa o polityce, ani słowa! – zawyrokowała stanowczo hrabina i nastrój znowu się zmienił.

Franciszek ruszył więc ku wyjściu.



Przebudził się o świcie i zaczął rozpamiętywać wczorajszy wieczór. Był na siebie zły, uznał swój wybuch za błąd. Nie dlatego, że powiedział tym wyfraczonym, pewnym siebie mężczyznom kilka gorzkich słów prawdy, ale dlatego, że publicznie ujawnił swoje poglądy. To mogło być niebezpieczne, to mogło zagrozić Voluntatem Dei.

Zjadł szybkie śniadanie zadowolony, że proboszcz jeszcze śpi. Wiedział, że czeka go z nim rozmowa i zastanawiał się, czy z pokorą przyjąć jego połażanki, czy hardo się postawić.

Ruszył do fary, aby się pomodlić i zastanowić nad dalszymi krokami. Legł krzyżem przed ołtarzem, zmówił Zdrowaś Maryjo i Ojcze nasz, a potem leżał w milczeniu. Jego ciało zdrętwiało, a myśli odpłynęły. Przed oczami miał niemal odsłonięte piersi hrabiny Michałowskiej, jej łabędzią szyję, zdawało mu się, że słyszy jej zmysłowy głos. Zganił się za to, ale nie potrafił się opanować. Widział jej kuszące kształty skrywane pod długą suknią, uśmiech, który uwydatniał wysokie kości policzkowe, ozdobione pierścionkiem długie palce podtrzymujące wysoki kieliszek z szampanem, i zgrabny, zmysłowy ruch głowy, gdy unosiła trunek do ust. Cały świat zamknął się w tych ustach, może nie nazbyt wydatnych, ale czerwonych niczym ogień piekielny, lekko spękanych, pożądliwych i nienasyconych. Jakże to wszystko było inne od tych wieśniaczek, z którymi dotąd się stykał! Pomyślał, że chętnie wysłuchałby jej spowiedzi, zagłębił się w opowieść o tym, jak parzy się ze swoim mężem – a może nawet z parobkami – wije się pod ich silnymi ciałami, dosiada ich jak na tych rysunkach oglądanych w poznańskim seminarium duchownym, widział jej kołyszące się nagie piersi. Jego ręka powędrowała w kierunku krocza, palce same zaczęły rozpinać guziki, oddech stał się nierówny, a z gardła wydobywał się cichy charkot. Kręciło mu się w głowie, coraz niecierpliwiej rozpinał sutannę, gdy usłyszał skrzypienie drzwi od zakrystii. Zerwał się na nogi tak gwałtownie, aż zakręciło mu się w głowie.

Zobaczył kościelnego, starego Macieja, który patrzył na niego poważnie spod na wpół przymkniętych powiek.

– Modliłem się – oświadczył, ale dźwięk, który wydobył się z jego ust, był tak cichy, że Franciszek nie był pewien, czy w ogóle dotarł do kościelnego. Ruszył w kierunku zakrystii ze wzrokiem utkwionym w posadzkę. Był zły, że się tłumaczy, zamiast spojrzeć groźnym wzrokiem na Macieja, za coś go zganić i tym odsunąć wszelkie podejrzenia, ale nie potrafił nad sobą zapanować. Drżał cały czas.

Obszedł kościół i ruszył w kierunku rynku. Nie chciał teraz spotkać proboszcza, który z pewnością szykował się już do porannej mszy. Ulica Kościelna była jeszcze pusta, słyszał tylko hałas otwieranych okiennic i myślał o tym, co w nocy za tymi okiennicami się działo. Już chciał splunąć ze wstrętem, ale jednak się powstrzymał.

Przecinał właśnie rynek, jak zawsze starając się nie patrzeć na sąsiadującą z nim synagogę, gdy usłyszał rechot dwóch młodzieńców siedzących na schodach ratusza. Jeden z nich wskazywał w jego kierunku, a drugi uśmiechał się do niego obleśnie. Byli pijani, najpewniej dopiero co wyszli z żydowskiej knajpy Fischera, więc zniesmaczony odwrócił wzrok, ale nagle przypomniał sobie o odpiętych guzikach sutanny i ta myśl uderzyła go niczym obuchem. Przyspieszył kroku, gwałtownie skręcił za róg ratusza, aby szybko, korzystając z cienia budynku, zapiąć guziki, gdy zobaczył młodą dziewczynę zamiatającą chodnik przed knajpą Fischera. Przeciął ulicę szybkim krokiem i wszedł w wąską drogę prowadzącą do parku. W uszach cały czas rozbrzmiewał mu ironiczny śmiech pijanych wyrostków.

Czuł się upokorzony. Gdy tylko dotarł do parku, wszedł między gęsto owinięte bluszczem drzewa i zaczął starannie zapinać sutannę. Dopiero teraz zauważył, że spod czarnego sukna wyziera mu biała bielizna. Fala upokorzenia uderzyła go ze zdwojoną siłą. Nagle poczuł, że woda wlewa mu się do butów i dopiero teraz zauważył, że stoi na podmokłym terenie i coraz bardziej zapada się w błocie. Z niemałym trudem wrócił na ścieżkę i spojrzał w dół. Sutanna była uwalana błotem, śmierdziała odchodami i zbutwiałymi liśćmi.

To ona. To ona mnie upokorzyła, to jej wina, myślał, patrząc w kierunku pałacu, którego ściany były ledwo widoczne między drzewami. Przed sobą miał niewielki kamienny most i aleję zwieńczoną przystanią, gdzie Michałowscy trzymali łodzie wiosłowe i dwie duże żaglówki. Ich maszty kołysały się na tle błękitniejącego nieba.

Franciszek ruszył w ich kierunku. Zastanawiał się, jak powinien ukarać hrabinę. Uprowadzić ją, zawlec pod dąb, poszarpać ubranie i zerwać z niej te wszystkie koronki i gorset, którym z pewnością okrywała swoje grzeszne ciało, a potem zalać spermą wymieszaną z jej własną krwią i wreszcie ukrzyżować, a później obciąć język, uszy i wydłubać oczy, aby naznaczona trafiła przed oblicze Boga?

Zaczął rozmyślać o jej nagim bezwstydnym ciele, o rozlanych na nim piersiach, strachu pomieszonym z pożądaniem malującym się na jej obliczu i jego oddech znów stał się krótki, urywany.

Usiadł na ławce.

Być może to wreszcie wstrząsnęłoby tym miastem. Tymi paniskami w pałacu, którzy zamiast troszczyć się o coraz bardziej upadającą ojczyznę, myślą tylko o swoich pieniądzech, samochodach, o sprowadzanych z Francji butelkach szampanów i koniaków, pomyślał. Owszem, słyszał, że Michałowscy wspomogli zbierany także w Wolsztynie Fundusz Obrony Narodowej oraz Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej, ale przecież wiedział, że mogli dać więcej, choćby ograniczając swoje pijaństwo i inne zbytki.

Czyż ojczyzna niewarta była poświęceń?

Przywołał w myślach obraz powstańca wiszący w pałacowym salonie. Biła z niego niezwykła siła i pewność swoich racji. Hrabina mówiła o tym swoim przodku z wielką atencją, a przecież nie potrafiła, a może nie chciała czerpać nawet z historii własnego rodu. „Ponoć potrafił łamać podkowy” – przypomniał sobie jej wczorajsze słowa i pomyślał, że męska siła jej imponuje. Jego pożądanie wzrosło, poczuł, jak jego członek na powrót twardnieje.

Wstał i niezgrabnie ruszył w kierunku przystani. Dzieliło go od niej może sto metrów, gdy usłyszał tętent koni. Usunął się na skraj alei i zobaczył dwóch zbliżających się jeźdźców. Jednym z nich był młodzieniec, którego wczoraj przedstawiono mu na dożynkach – zapamiętał, że to mieszkający w Posadowie młodszy brat Michałowskiej – a drugim hrabina. Aż jęknął z przestradchem. Podniósł rękę, aby unieść biret, i dopiero w tym momencie uświadomił sobie, że opuścił kościół tak wzburzony, że aż zapomniał nakrycia głowy. W panice zaczął się zastanawiać, czy na pewno zapiął sutannę, szybko przebiegł ręką po guzikach i ten gest wydał mu się nieprzyzwoity. Dostrzegł, że młodzieniec zauważył dziwne ruchy jego ręki i lekko się uśmiechnął. Hrabina zgrabnie osadziła swojego wierzchowca.

– Wybrał się ksiądz na poranną przechadzkę po parku? Bardzo dobry pomysł. Nic tak nie uspokaja jak spacer wśród tych majestatycznych drzew. –

Antonina sprytnie, a może tylko nieświadomie, nawiązała do wydarzeń wczorajszego wieczoru. Ubrana była w bryczesy i krótką kurtkę do jazdy konnej, co tylko podkreślało jej zgrabną figurę. Włosy upięła wysoko, więc widać było jej długą szyję, na głowie miała niewielki toczek ozdobiony małymi kwiatami. Franciszek opuścił wzrok.

– Chciałbym przeprosić za mój wczorajszy wybuch. Był nie na miejscu. Przepraszam, jeśli uraziłem panią hrabinę.

Michałowska nadal siedziała na koniu i najwyraźniej nie miała ochoty z niego zsiąść. Uznał to za impertynencję.

Widział ją niewyraźnie, promienie słońca coraz odważniej przebijały powłokę liści, tworząc wokół hrabiny słoneczną aureolę, przez co rysy jej twarzy były dla niego niewidoczne.

Hrabina machnęła ręką, a koń niecierpliwie uderzał kopytem w wybrukowaną ścieżkę.

– Proszę się tym nie zamartwiać. Ale chcę podkreślić, że nie podzielam poglądów księdza na rolę kobiet, uważam, że każdy ma prawo się kształcić, my także. Słyszał ksiądz o Marii Skłodowskiej, Polce, która uczyła się w Paryżu właśnie i tam pracowała? Dostała dwie Nagrody Nobla, była więc nie tylko równa mężczyznom, ale ich przewyższała – rzekła poważnie.

Franciszek wyczuł w tych słowach zaczepkę, milczał jednak.

– Ale proszę nie myśleć o mnie jak o jakiejś sufrażystce. Nie jestem nią – oznajmiła ze śmiechem. – A Polska? Cóż, siła Polski nie bierze się z naszych macic, ale z naszych głów. Powinien ksiądz pamiętać, że mamy dwudziesty wiek! – dodała z powagą, a później, nie dopuszczając Franciszka do głosu, pożegnała się, mówiąc, że wybiera się z Fredziem na wycieczkę wokół jeziora.

– Mam nadzieję, że moja klacz się księdzu podoba. Nazywa się Coeur de Jeannette i pochodzi ze słynnej stadniny w Posadowie. I jeszcze jedno. Proszę pójść na spacer w kierunku zachodnim, znajdzie tam ksiądz piękną figurkę Matki Boskiej z Lourdes, którą moi rodzice przywieźli z podróży poślubnej po Francji. – Uniosła szpicrutę i pognała w przód.

Franciszek widział już tylko zad gniadej klaczy.



Dwa dni później, we wtorkowy rano, dostrzegł z okna swojego pokoju Bogusława zwalającego drewno na tyłach parafii. Z kuchni wziął dzbanek z wodą i poszedł z nim do parobka.

– Masz, napij się. Gorąco dzisiaj. – Podał mu metalowe naczynie, a on chwycił je oburącz i zaczął łapczywie pić. Woda spływała mu po sumiastym, nieco już siwiejącym wąsie i Franciszek uznał, że to efekt jego rozszczepionej górnej wargi. Przez te wszystkie lata zdołał już się do tego przyzwyczaić, zresztą wąs niemal całkowicie zakrywał jamę nad ustami. Minęło już sporo lat od czasu, gdy się pierwszy raz spotkali i wiele razem przeszli. Franciszek spojrzał na wiernego druha nieomal z czułością.

– Papież wyznaczył nam nowe zadanie, być może najważniejsze z dotychczasowych – oznajmił cicho.

A potem odwrócił się tak, aby z okien parafii nie było widać jego ust. Przez te wszystkie lata starannie, z sukcesem, unikał podejrzeń o znajomość z Bogusławem, choć to on zlecał mu drobne prace na rzecz parafii i kościoła, zawsze dbając, aby był dobrze wynagradzany. I to on spowodował, że od kilku lat Bogusław otrzymywał zlecenia i od prowadzącego handel przyprawami oraz wiktuałami Franciszka Matuszkiewicza, i od Konstantego Pałkowskiego, i wreszcie od kupca bławatnego Tomasza Lewandowskiego. Podobnie zadbał o pozostałych, zaprzysiężonych już członków Voluntatem Dei, zapewniając tym sobie ich lojalność. Wiedzieli, ile mu zawdzięczają.

– Spotkamy się w niedzielę za trzy tygodnie o dziesiątej wieczór nad Dojcą, przy moście kolejowym. Niech przyjdą też Stefan i Józef. Nikomu ani słowa – przypomniał na wszelki wypadek.

– To nie jest dobre miejsce, proszę księdza. W niedzielne wieczory mogą tam być jacyś zbereźnicy wracający z kręgielni i obmacujący wiejskie dziewczuchy. – Bogusław zaśmiał się chrapliwie. – Może lepiej nad Jeziorem Berzyńskim, w stodole pod tą wielką lipą, już się tam kiedyś spotykaliśmy.

Franciszce nie bardzo spodobało się, że Bogusław kwestionuje jego polecenie, ale uznał, że jednak warto przyjąć jego propozycję. Głupio byłoby zostać podsłuchanym przez jakiegoś młodzieńca, który gzi się pod mostem z wiejską dziewczuchą, i wpaść z tego powodu.

– Dobrze – powiedział cicho i już znacznie głośniejszym głosem dodał: – Coś mokre to drewno w tym roku. Ułóżcie je, Bogusławie, starannie, aby dobrze się

wysuszyło, a później zajdźcie do kuchni, to gospodyni wam zapłaci i da jakąś strawę, bo już teraz wyglądacie na utrudzonego.

Gdy wszedł do budynku, gospodyni wychynęła z kuchni.

– Cieszę się, że ksiądz tak dba o naszych parafian, ale co ja niby mam mu dać do jedzenia? Kaczka na obiad jeszcze niegotowa – dodała ironicznie.

– Nakroicie mu kilka pająd chleba ze smalcem – odpowiedział machinalnie.

Myślami był już daleko. Zaczął planować porwanie hrabiny Antoniny Michałowskiej.

Rozdział 30

SRIMA (CHORWACJA), LIPIEC 2018

Wiesław Muszyński oddzwonił o wpół do jedenastej rano. Rozmawiali długo i w końcu dał się przekonać, ale ponownie odezwał się dopiero po osiemnastej, gdy Rafał już niemal stracił nadzieję.

– Zgodził się. Jutro w południe masz samolot z Poznania do Zadaru. Na lotnisku wynajmij samochód i jedź na południe, w kierunku Dubrownika. Ale nie korzystaj z autostrady, będziesz się musiał pomęczyć na tej ich Magistrali Jadrńskiej. Zadzwoń – oświadczył.

– Dziękuję, Wiesław. Jestem ci ogromnie wdzięczny. Uwierz mi, że nie angażowałbym go, gdybym naprawdę nie musiał. Jeśli kiedyś... – zaczął, ale detektyw mu przerwał.

– Rafałku, przestań pierdolić. Postawisz kolację i będziemy kwita. Weźmiesz komputer? Bo jeśli nie, to zostaw go u Borsuka. Zresztą wszystko, co tam masz cennego, zostaw u Borsuka. Pamiętaj, że już raz złożyli wizytę w tej twojej budce – powiedział i przerwał połączenie.

Terlecki wziął z lodówki butelkę piwa i rozsiadł się na wygodnym leżaku z laptopem na kolanach. Udało mu się zarezerwować miejsce samolocie, a później samochód w Avisie. Upał już zelżał, brzeg jeziora się wyludniał, na jezioro wypływali wędkarze. Znał już trochę ich zwyczaje, wiedział, że część z nich spędzi na wodzie wiele godzin i zaczną wracać dopiero nad ranem. Nie bardzo rozumiał tę namiętność, choć w młodości, jeszcze w szkole podstawowej, też lubił łowić. Przed przyjazdem nad jezioro kupowali z bratem żyłkę i spławik, szukali w lesie odpowiednio długich i giętkich kijów, które później przez niemal dwa miesiące odgrywały rolę wędek. Ale raz miał okazję łowić prawdziwą, bambusową, gdy u ich gospodarzy wakacje spędzał starszy mężczyzna. Pamiętał, że miał na imię Antoni, był bardzo chudy, łysą głowę krył przed słońcem słomkowym kapeluszem, a jego córka była aktorką. Próbował sobie przypomnieć, w jakim filmie grała. Nie pamiętał tytułu, ale było to coś o tatrzańskich kurierach. Zapomniał, kogo grała córka pana

Antoniego. Teraz z podziwem i zazdrością patrzył na sprzęt, którym dysponowali wędkarze.

Dopił piwo i zadzwonił do Borsuka. Ten wiedział już o wszystkim, więc poinformował go tylko, że wyjedzie wcześniej rano – chciał jeszcze spędzić kilka chwil w Poznaniu, w którym studiował i który darzył wielkim sentymentem – ale wszystko co cenne i tak bierze ze sobą.

Obudził się o piątej i po szybkiej kawie wsiadł do samochodu. Kilka minut przed siódmą był już w centrum Poznania – błogosławieństwo autostrad – i chwilę później jadł kanapkę z łososiem w niewielkiej knajpie na Ratajczaka, dokładnie naprzeciwko Biblioteki Uniwersyteckiej. Ponury gmach budził w nim miłe uczucia. Na studiach spędził w nim niewiele czasu, ale później zagnała go tam praca nad jego pierwszą książką. Po drodze na lotnisko podjechał jeszcze na Rynek Jeżycki, gdzie przy ulicy Kraszewskiego przez większość studiów wynajmował pokój u trzech starszych kobiet.

– Miłe czasy. *To se ne vrati*, ale nic już *se ne vrati*, pomyślał i ulicą Dąbrowskiego ruszył w kierunku Ławicy. Nieustannie myślał o udziale swego ojca w porywaniu kobiet, w tym córki swoich przyjaciół.

Wczoraj próbował dowiedzieć się czegoś o przeszłości ojca od mecenasa Jerzego Turczyńskiego. Sędziwy adwokat, legenda wolsztyńskiej palestry, przyjął go w swoim ogromnym mieszkaniu położonym w starej, starannie wyremontowanej kamienicy przy ulicy Kościelnej.

– Pański rodzic był człowiekiem bardzo inteligentnym i utalentowanym. Niestety, proszę wybaczyć szczerą, zadawał się z niewłaściwym towarzystwem. To go zgubiło. To i oczywiście alkohol – stwierdził adwokat, gdy usiedli w dużym salonie wypełnionym starymi meblami. Jednym z nich była wielka trzydrzwiowa szafa. Kiedyś podobno stała w sztabie marszałka Iwana Koniewa w Wiedniu, gdy ten dowodził Centralną Grupą Wojsk Radzieckich i był wysokim komisarzem w Austrii.

– Później, tak przynajmniej twierdził mój świętej pamięci ojciec, służyła byłemu dowódcy Pierwszego Frontu Ukraińskiego, gdy szefował on wojskom Układu Warszawskiego. Podobno trzymał w niej mapy i oczywiście spirytus, którym jak mówią historyczne przekazy, delectował się od wczesnego ranka.

Terlecki zapytał, czy mówiąc o złym towarzystwie, mecenas ma na myśli Zdzisława Skibniewskiego i Mariana Zdanowskiego.

– Pan Zdanowski nie żyje. Nie lubię źle mówić o zmarłych, wystrzegam się tego zwłaszcza teraz, gdy niebawem zapewne dołączę do tego grona. A pan Skibniewski... Cóż, nie jest to świetlana postać i raczej nie znajdzie się w panteonie zasłużonych mieszkańców naszego zacnego grodu.

– A ojciec? Znał go pan mecenas dobrze?

Adwokat, ubrany w białą koszulę, kolorowy krawat i granatową marynarkę, popatrzył na niego przenikliwym wzrokiem, a później przeciągnął ręką po nadal czarnych, lekko tylko przyprószonych siwizną włosach.

– Cóż znaczy dobrze znać człowieka, panie redaktorze? Tego nie mogę o nim powiedzieć. Ale dużo z Edmundem rozmawialiśmy. Nieczęsto, ale dużo i szczerze. Zawsze, gdy sobie wypił, wracał do tego pomnika sowieckiego żołnierza. Mówił, że popełnił straszny błąd, bywało, że płakał. Tłumaczył się z tego błędu przede mną i przed każdym, kto chciał, a nawet nie chciał słuchać. Widział pan ten pomnik. Uwidoczniony na nim żołdat przydeptuje swoim buciorom, jak kiedyś mawialiśmy, niemiecką glapę. Gdy czasem tamtędy przechodzę, to widzę nie glapę, ale pańskiego ojca. Ośmielę się stwierdzić, że ten pomnik go zabił.

Rafał Terlecki spojrzał na mecenasa Turczyńskiego z wdzięcznością. Spodobały mu się jego słowa, nawet ich patetyczność. Pomyślał, że adwokat wygłosił być może swoją ostatnią obrończą mowę. Może nie tyle w obronie jego ojca, co pewnego peerelowskiego pokolenia.

– To dla mnie miłe. Ale jednak mój ojciec współpracował ze Zdzisławem Skibniewskim. To może nawet gorsze niż stworzenie tego pomnika.

– Nic na ten temat nie wiem. Ale wątpię. Wiem, że uważał pana Skibniewskiego za podejrzanego i niebezpiecznego typu. Mówił mi to wielokrotnie. A że czasem z nim pił? To pana zaboli, ale powiem to szczerze, mam za mało czasu i za mało sił, aby chodzić opłotkami. W pewnym momencie swojego życia pański ojciec pił z każdym, kto stawiał mu wódkę.

Terlecki był wdzięczny za tę rozmowę. Niestety, mecenas nie chciał się podzielić swoimi wątpliwościami dotyczącymi sprawy Jolanty Guzikiewicz.



W Zadarze wylądowali o czasie – nie obyło się bez oklasków pasażerów wdzięcznych za bezpieczny lot – i zaraz potem wsiadł do wynajętej toyoty. Telefon milczał, ale jechał zgodnie z poleceniem Muszyńskiego i wskazaniem

nawigacji – najpierw wzdłuż wyglądającej na opuszczoną bazy chorwackich sił powietrznych i po chwili znalazł się na Magistrali Jadrańskiej. Kusilo go, aby odwiedzić Zadar, spędził tu kiedyś z Ewą upojny tydzień, wypić kawę przy kościele Świętego Donata, przejść się po śliskich, wytartych płytach starego miasta i zajrzeć na portowe nabrzeże, ale nie miał na to czasu.

Telefon zadzwonił po dwudziestu minutach, gdy mijał Sukošan. Głos należał bez wątpienia do Chorwata, któremu wydawało się, że opanował język polski. Rafał z trudem rozumiał jego słowa.

– Miejscowość Turanj, przed Svetim Filipem i Jakovem, cmentarz – powtórzył dla pewności. Gdy się rozłączył, zaczął się śmiać. – Spotkanie na cmentarzu! Kurwa, jak w kryminale klasy C.

Dojechał tam po piętnastu minutach i zaparkował na poboczu. Przez chwilę siedział w samochodzie, ale w końcu wyszedł i pomaszerował na cmentarz. Lubił cmentarze, były dla niego ważnym źródłem informacji o życiu lokalnej społeczności. Znalazł kilka grobów młodych chłopaków, którzy zginęli w nie tak dawnej wojnie z Serbią. Wkrótce podszedł do niego rosły, dobrze zbudowany mężczyzna.

– Jestem od pułkownika. Niech pan wsiądzie do samochodu, przejedzie osiemset metrów i zaparkuje przy pensjonacie U Nives. Kluczyk proszę zostawić w samochodzie. I telefon też, koniecznie proszę zostawić telefon. Później niech pan wróci ścieżką prowadzącą nad morzem. Będę na pana czekał. – Teraz już rozmawiali po angielsku.

Rafał wykonał polecenie. Gdy ponownie znalazł się na cmentarzu, był spocony i zdyszany. Wsiedli do czarnego SUV-a i ruszyli na południe. Zauważył, że brama pensjonatu U Nives jest zamknięta, a jego samochód zniknął.

– Jest w garażu – mruknął Srećko.

Po czterdziestu minutach byli w Szybeniku i od razu zjechali do podziemnego parkingu. Sięgnął do klamki, ale Srećko pokręcił głową. Minął kwadrans, nim znów odpalił silnik.

– Jedziemy do pułkownika – oświadczył i znowu zamilkł. Na Szybenickim moście spojrzął w kierunku Zatonu. Widok zapierał dech w piersiach, ale on przypomniał sobie z przyjemnością nadbrzeżne skałki zaraz za zakrętem, gdzie Ewa bezwstydnie się przed nim masturbowała, a później ustami doprowadziła go do wytrysku. Przestrzegał ją wówczas, że ktoś może ich

obserwować, od drogi dzieliło ich nie więcej niż trzydzieści metrów, ale zdawała się tym jeszcze bardziej podniecona.

Po dwudziestu nieznośnie ciągnących się minutach samochód skręcił w lewo, a potem zaparkował przed dużą, pomalowaną na biało willą w Srimie.

– To dom pułkownika. Pana apartament to ten na dole, z tarasem. Proszę się przebrać i pójść na plażę. Pułkownik pana znajdzie.

Mimo że było już po siedemnastej, upał nie zelżał, a cykady śpiewały tak głośno, że Rafał prawie nie słyszał własnych myśli. Rzucił plecak na łóżko i włączył klimatyzację.

Plaża była kamienista. Gdy dotarł wreszcie do morza, z zazdrością myślał o bałtyckim piasku. Za to temperatura wody była bardzo przyjemna. Przepłynął kilkaset metrów i szybko wrócił na plażę, a właściwie na okalający ją betonowy murek, gdzie wcześniej zostawił ręcznik.

– Dobrze pan pływa. – Pułkownik Andrzej Zakrzewski podszedł do niego od tyłu. Miał na sobie spłowiałe od słońca szorty i spraną koszulkę. Przywitali się mocnym uściskiem dłoni, a później usiedli na tarasie niewielkiego baru. Zamówili piwo i po kieliszku rakii.

– Mają dobrą rakiję, naprawdę bardzo dobrą – zapewnił pułkownik.

Rafał zauważył, że jego gospodarz czuje się tu jak u siebie.

– To wszystko, mam na myśli dom, to z emerytury byłego funkcjonariusza wywiadu? – zapytał zaczepnie i zaraz pomyślał, że zachowuje się nieelegancko i głupio. W końcu to on miał interes do byłego funkcjonariusza peerelowskiego wywiadu.

– Po pierwsze przepraszam, że mój kolega tak pana woził, ale musiałem być pewny, że nie jest pan śledzony. A wracając do pańskiego pytania. Mam jeszcze jacht, cumuje w marinie w sąsiedniej miejscowości. Ale nie, nie z emerytury. I nie z pieniędzy, które zarobiłem podczas służby. Wie pan, na początku lat dziewięćdziesiątych był taki jeden minister z takiej jednej partii, która lubiła się nazywać prawicową i całą swoją tożsamość budowała na walce z postkomuną. A walczyła z nią tak zapamiętałe, że otoczyła się wianuszkami byłych już funkcjonariuszy MSW, aby dowiedzieć się, na kogo przy Rakowieckiej są kwity. Przy czym partia ta najbardziej chciała, aby były na Wałęsę. Oj, jak bardzo chciała! Była gotowa za to dobrze zapłacić, oczywiście państwowymi pieniędzmi, bo wtedy jeszcze swoich nie mieli...

– Teraz już mają, ale zwyczaj płacenia państwowymi im pozostał.

– Racja. Więc ten ich minister wprowadził koncesję na handel paliwami. Taki jeden biznesmen z Białegostoku, znaleźliśmy się oczywiście z Rakowieckiej, wciągnął mnie do spółki. Minister dał nam koncesję, a my jemu papiery, zresztą kompletnie bezwartościowe. Wtedy się dorobiłem. I dzięki koledze z wywiadu dawnej Jugosławii, którego kiedyś wyciągnąłem z grubych kłopotów, kupiłem sobie ten skrawek luksusu – stwierdził, wznosząc kieliszek.

Wypili. Rakija rzeczywiście była dobra, choć jak na gust Rafała zbyt mocna. Popili piwem z wysokich szklanek.

– Co pana sprowadza? Tylko proszę mówić cicho, tu jest dużo Polaków. – Zakrzewski przysunął się bliżej stolika.

Zrelacjonował mu ostatnie wydarzenia, kładąc szczególny nacisk na opowieść Pawła Zdanowskiego o Edmundzie Terleckim, jego ojcu. Pułkownik słuchał, wpatrując się w morze.

– Był w tym? Czy mój ojciec, Edmund Terlecki, brał udział w tych wszystkich rzeczach? Muszę to wiedzieć. – Ton głosu Rafała był niemal błagalny.

– Planowałem, że wieczorem pójdziemy do takiej małej knajpki. Zjemy rybę, napijemy się dobrego wina i porozmawiamy, ale później. Muszę gdzieś pojechać, to nie zajmie dużo czasu. Coś panu przywiozę, coś, co wiele wyjaśni. Niech pan jeszcze trochę popływa i napije się kawy. Dużo kawy, będzie pan tego potrzebował. – Pułkownik uregulował rachunek i zniknął.



Wrócił po półtorej godziny, gdy Terlecki siedział już na tarasie, pijąc schłodzone białe wino, które znalazł w lodówce. Była tam jeszcze butelka whisky i rakii, ale uznał, że wino wystarczy.

– To miejscowy sikacz. Proszę wybaczyć, nie miałem czasu zrobić zakupów. Na stole zostawiłem panu teczkę, dość opasłą. Proszę nie pytać, skąd ją mam, bo nie wiem. Być może zawieruszyła mi się, gdy odchodziłem z Rakowieckiej. Zainteresuje pana, proszę ją uważnie przeczytać. To kopia oczywiście. I proszę zostawić to wino, do tej lektury whisky będzie odpowiedniejsza. – Wstał i ruszył do wyjścia. – Będę u siebie na górze, ale Srećko będzie czuwał. Do zobaczenia.

„Operacja Wezery” – przeczytał tytuł, ale nie wywołało to w nim żadnych skojarzeń. Niecierpliwie przerzucał kartki, skanując wzrokiem tekst i szukając nazwiska Terlecki. W końcu znalazł.

Miał przed oczami charakterystyki czterech mężczyzn, w tym ojca.

„Lat 39, pochodzenie robotnicze, absolwent Studium Nauczycielskiego w Sulechowie. Członek PZPR od 1951 roku, zaangażowany w budowę socjalizmu, wykonał rzeźbę radzieckiego żołnierza na cmentarzu Żołnierzy Radzieckich w Wolsztynie. Pracował w szkole podstawowej w Rakoniewicach i Wolsztynie, od 1965 roku zatrudniony w domu kultury w Wolsztynie. Żonaty, dwoje dzieci”.

Rafałowi nie spodobała się ta charakterystyka, ojciec przekonywał go, że od pięćdziesiątego szóstego roku dystansował się od socjalistycznej rzeczywistości, ale widocznie robił to na tyle dyskretnie, że wolsztyńscy esbecy tego nie dostrzegali.

Zmełł w ustach przekleństwo i znowu zaczął przerzucać kartki. Zatrzymał się na meldunku sporządzonym w listopadzie siedemdziesiątego pierwszego roku przez Zdzisława Skibniewskiego.

„Wiązałem z Edmundem Terleckim duże nadzieje, ale nie ufam mu. Jego polityczne poglądy są niebezpieczne. Z naszych rozmów wynika, że jest pilnym słuchaczem zachodnich rozgłośni, zwłaszcza Wolnej Europy. Stoi na pozycjach antyradzieckich. W ostatnich miesiącach ciągle mówi o zabitych stoczniovcach i ofiarach radzieckiej interwencji w Czechosłowacji, nie przyjmuje argumentów, że wszystko to było robotą zachodniemieckich odwetowców i Amerykanów. Krytykuje towarzysza Gierka. Jestem co do niego bardzo rozczarowany. Liczyłem, że jego inteligencja będzie nam pomocna, ale jest inaczej. Poza tym dużo pije, a wtedy nie potrafi utrzymać języka za zębami”.

Rafał odetchnął z ulgą. Nalał sobie dużą porcję whisky, najpierw wypełniając szklanę kostkami lodu, i wyszedł na taras. Wokół, jeśli nie liczyć cykad, panowała absolutna cisza. Nic dziwnego, sezon w Chorwacji dopiero się zaczynał, większość wakacyjnych apartamentów była jeszcze pusta.

Jednak ojciec nie kłamał, pomyślał z ulgą i wypił duży łyk alkoholu. Kostki lodu zagrzechotały. Lubił ten dźwięk, więc uniósł szklanę i przez jej pryzmat spojrzął na zawieszony na rozgwieżdżonym niebie księżyc.

Euforyczny nastrój szybko minął. Przypomniał sobie rozmowę z Pawłem Zdanowskim. Zaczął gorączkowo przerzucać strony z teczki wręczonej mu przez Zakrzewskiego i w końcu znalazł kolejny meldunek Skibniewskiego. Wynikało z niego, że jego ojciec nie brał jednak udziału w porwaniu Doroty Kwiatkowskiej, a co bardzo prawdopodobne – z treści dokumentu nie wynikało to jednoznacznie – nic o tym nie wiedział.

„Wydaje się, że Edmund Terlecki zmienił front. Obecnie działania naszej socjalistycznej ojczyzny i osobiście towarzysza Edwarda Gierka przypadły mu do gustu. Już nie wraca do sprawy Grudnia ani do Czechosłowacji, często chwali nową socjalistyczną rzeczywistość. Mimo to uważam Terleckiego za element niepewny. Dlatego nie informuję go o naszych działaniach. Obecnie jego rola sprowadza się tylko do malowania obrazów, które dobrze sprzedają się na Zachodzie, zwłaszcza w Niemczech. Ma on też dużo znajomości wśród wolsztyńskiej inteligencji, co może się okazać przydatne” – przeczytał w meldunku z marca siedemdziesiątego szóstego roku. Już miał wznowić dalsze poszukiwanie nazwiska ojca – i swojego, i swojego, pomyślał – gdy zwrócił uwagę na odręczną notatkę zapisaną na marginesie dokumentu. Pismo było słabo czytelne, więc pochylił się nad lampą.

„Terlecki jest elementem politycznie niepewnym, a operacyjnie nieprzydatnym. Zerwać z nim wszelkie kontakty, trzymać od działań S. daleko. Proponuję powołać na trzymiesięczne szkolenie wojskowe, potem wysłać za granicę”. I podpis sekretarza KC PZPR.

Miał przed sobą dowód, pierwszy namacalny dowód, że sprawą porywania i wywozu kobiet interesowały się najwyższe czynniki partyjne. Do tej pory Rafał wierzył, że cała działalność Skibniewskiego była samowolą, może wspieraną przez kogoś z Rakowieckiej, kto postanowił dorobić do pensji. Teraz uzyskał dowód, że Skibniewski działał na polecenie władz.

Pamiętał, że w siedemdziesiątym szóstym ojciec rzeczywiście zniknął. Wysłali go do Węgorzewa, gdzie biegał po poligonie z karabinem. Miał wrócić w czerwcu, jeszcze przed wakacjami, ale po wydarzeniach w Radomiu i Ursusie zatrzymali go aż do września. A później oznajmił, że jedzie do Czechosłowacji, zdaje się pod Pragę, gdzie jakieś polskie przedsiębiorstwo rozbudowuje hutę szkła. Miał tam być kaowcem, organizować życie kulturalne robotników, co w praktyce sprowadzało się do wyświetlania im polskich i radzieckich filmów oraz organizowania wycieczek do Pragi. Dobrze im się wtedy powodziło, bo część pensji była wypłacana w dolarach, które

matka później potajemnie sprzedawała. Ojciec spędził na kontrakcie trzy lata, potem miał wyjechać do Iraku, do budującego tam drogi Dromeksu, ale ostatecznie nic z tego nie wyszło. Teraz Rafał zrozumiał, że wyjść nie mogło. MSW chętnie wysłało go do bratniej Czechosłowacji, aby wyrwać z Wolsztyna i odsunąć od Zdzisława Skibniewskiego, ale w żadnym razie nie zamierzało posyłać do kraju, w którym z łatwością mógł nawiązać kontakt z zachodnimi dyplomatami i przekazać choćby szczątkowe informacje o działalności bandziorów z Rakowieckiej.

Skurwysyny, pomyślał, zaparzając sobie kawę. Teraz zamierzał przeczytać całą teczkę, choć widząc jej objętość, stracił nadzieję, że uda mu się to zrobić do rana.

Rozdział 31

WOLSZTYN, POŁOWA WRZEŚNIA 1938

Gdy wślizgnął się do stodoły, wszyscy byli już na miejscu. Spodobało mu się to, nie znosił niepunktualności. Siedzieli na ubiegłorocznych resztkach słomy, wszyscy w białych koszulach, szelki podtrzymywały ich ciemne spodnie, a marynarki powiesili na gwoździu wbitym w wysoki aż po dach drewniany słup. Jak niemal wszystko wokół Wolsztyna, stodoła należała do Michałowskich, których majątek zgromadzony w trzech folwarkach sięgał tysiąca trzystu hektarów, z czego blisko jedną trzecią stanowiły grunty uprawne.

Gdy go zobaczyli, poderwali się na nogi, po czym ucałowali jego rękę. Bogusław podciągnął trochę siana i usadowili się w niewielkim kręgu, aby nie uronić żadnego słowa Franciszka. Ksiądz poczuł smród alkoholu i już chciał ich zganić, ale jednak zmilczał. Bogusław wyczuł jego irytację.

– My wódki od Żyda nie kupujem, sami pędzim. Z pyrów. Zapewniam księdza. Dziś wypilim ledwie kwaterkę – zarzekał się, a w jego głosie brzmiała duma.

– Wódka to wódka – odpowiedział Franciszek stanowczo, ale zaraz przeszedł do ważniejszych tematów. – Prezydent Mościcki, ten bawidamek i popychadło piłsudczyków, rozwiązał parlament i ogłosił nowe wybory. Do Sejmu mają być szóstego listopada, a do Senatu trzynastego. Został miesiąc z niewielkim okładem. To ostatni dzwonek, aby pokonać sanację, pogrzebać ją, inaczej rozkradną Polskę i wydadzą ją na żer naszym wrogom. Voluntatem Dei musi się w te wybory zaangażować. – W rozmowach z chłopami lubił używać łaciny. Wiedział, że w ten sposób podbuduje swój autorytet i ich dumę z przynależności do Dzieła Bożego. – Macie głosować na Stronnictwo Narodowe, wy i wasze rodziny. Ale wcześniej będziecie agitować, wszyscy, na rzecz endeckich kandydatów, jedynych, którzy mogą uratować Polskę. Wszyscy się do nich zgłosicie, oni powiedzą, co macie robić. Wszyscy! Rozumiecie mnie?

Franciszek wstał i zaczął się nerwowo przechadzać. Udział w wyborach nie był najważniejszym punktem ich dzisiejszego spotkania, zrodził się nagle, gdy pięć dni temu usłyszał w radiu, a później przeczytał w gazetach informację o przedterminowym rozwiązaniu parlamentu przez Mościckiego. Natychmiast zdecydował się czynnie zaangażować w kampanię wyborczą, choć wiedział, że czas jest niesprzyjający.

W związku z rosnącym zagrożeniem ze strony Niemiec sanacja dęła w patriotyczne trąby jak nigdy dotąd i wielu ludzi dawało się na to nabrać. Nawet w Wielkopolsce, tej ostoji endecji, ludzie zaczęli się garnąć pod sztandary władzy. Co gorsza, po rozwiązaniu w październiku tysięcy dziewięćset trzydziestego piątego Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, pilsudczycy wreszcie się skrzyknęli i kilka miesięcy temu udało im się powołać w Wolsztynie oddział Obozu Zjednoczenia Narodowego. Jego aktywność była na razie znikoma, ale Franciszek obawiał się, że wybory do parlamentu ożywią działalność znienawidzonego przez niego środowiska politycznego. Tymczasem, jak przeczytał w jednej z warszawskich gazet, przywódca endecji Roman Dmowski był trawiony poważną chorobą. Miał już zresztą siedemdziesiąt cztery lata, a jego następcy – Franciszek przyznawał to z niechęcią – nie budzili już w społeczeństwie takiego zaufania. W nim samym zresztą też nie.

W wolsztyńskim Stronnictwie Narodowym, nad czym ubolewał szczególnie mocno, również nie działo się najlepiej. Śmierć dotychczasowego lidera, Ludwika Wróbla, a później wyjazd jego syna do Poznania, osłabiły całe środowisko narodowe. Tym mocniej, że zaprzestano też wydawania „Orędownika na powiat wolsztyński”, co Franciszek uważał za największy błąd. Kto będzie teraz mobilizował Polaków do walki z Żydami, kto odżydzi miasto? – zamartwiał się wieczorami, siedząc w swoim pokoju i czytając „Zadrugę” lub „Wszechpolaka”. Z rozrzewnieniem wspominał kampanię – sam był zresztą mocno w nią zaangażowany – Stronnictwa Narodowego i „Orędownika” sprzed kilku lat, gdy specjalne patrole blokowały w Wolsztynie żydowskie składy, a kupujących w nich Polaków fotografowano. Akcja okazała się nad wyraz skuteczna i niektórzy z żydowskich kupców, w tym jeden z najbogatszych, Jeszyje Działoszyński, zmuszeni byli opuścić miasto. Działoszyński przeniósł się do Łodzi, a „Orędownik” pożegnał go słowami, które Franciszek sam podyktował redaktorowi naczelnemu podczas niedzielnego obiadu u kupca bławatnego Tomasza Lewandowskiego.

„W ciągu kilkunastoletniego pobytu w naszym mieście dorobił się żydek majątku, dzięki poparciu Polaków”.

Franciszek był z tego zdania bardzo dumny.

– Mamy też inne zadanie, nie mniej ważne, a raczej nawet ważniejsze, bo nałożył je na nas sam Ojciec Święty – starał się mówić dobitnie, choć czuł, że głos mu drży. – Musimy ukarać hrabinę Antoninę Michałowską. Czas nagli.

Gdy wypowiadał te słowa, wpatrywał się w nikły płomień świecy, którą zapobiegliwie przyniósł Świdzki. Stała między nimi, wprost na klepisku, i oświetlała ich tak, że na ścianach majaczyły ponure cienie uczestników sprzysiężenia. Franciszkowi wydały się podobne diabłom, więc oderwał od nich wzrok i spojrzał na Bogusława. Wiedział, że musi go przekonać, bo wtedy pozostali za nim podążą.

– Za co? Za co mamy ją ukarać? To dobra pani, wszyscy tak mówią – powiedział drżącym głosem Bogusław. – Przecie w osiemnastym roku pałac wspierał powstańców. Dali im konie, żywność, marki na zakup karabinów. To za co?

Stefan i Józef milczeli. Niewiele wiedzieli o Powstaniu Wielkopolskim, mało ich ono obchodziło. Franciszek wielokroć już przekazywał im tę wiedzę, próbował wzbudzić zainteresowanie powstańczym zrywem, dowodził, że to z niego wzięła się ich organizacja, ale wszystkie jego próby spełzyły na niczym.

Położył rękę na ramieniu Bogusława i mocno ścisnął, a później spojrzał mu w oczy.

– Nakazał nam to Ojciec Święty! Zamierzasz, Bogusławie, kwestionować polecenia głowy Kościoła katolickiego?

Zobaczył w oczach swojego rozmówcy strach i powoli się rozluźnił. To zawsze działało. Przed laty powiedział Bogusławowi, że wszystko, co czynią, czynią na polecenie Rzymu. Musiałem wtedy zostać natchniony przez Ducha Świętego, pomyślał Franciszek.

– Boże uchroni! Ale tym razem musi być wiadomo za co. A ona dobra, dba o ludzi. Szanują ją. Szanujemy – poprawił się.

– Może też się łajdaczy, jak tamta poprzednia. – Stefan uśmiechnął się lubieżnie.

Franciszek zerwał się na równe nogi. Musiał się opanować, musiał wziąć się w garść i spokojnie wytłumaczyć im motywy, które nim – papieżem, zreflektował się w myślach – kierują. Żałował, że tego nie przewidział, ale czy

mógł się spodziewać buntu? I to ze strony Bogusława, dla którego przez te wszystkie lata tak wiele uczynił? Owszem, przewidywał, że on może się wahać, ale żeby się sprzeciwił? Znowu spojrzał na Świderskiego i teraz jego twarz jak przed laty wydała mu się straszną, pokierszowaną gębą.

Bezdenną czeluścią, przypomniał sobie swoje pierwsze wrażenie.

– W osiemnastym roku ona była dzieckiem, w pałacu rządziła hrabina Irena Mycielska. Czyż nie pamiętasz? To była wielka patriotka, szczerze oddana sprawie narodowej. A Michałowska wspomaga Żydów. I to nie tylko tych tutejszych. Papież napisał mi, że śle im pieniądze, że nie tak dawno oddała Żydom w Paryżu pierścionek z wielkim brylantem, który należał jeszcze do świętej pamięci hrabiny Mycielskiej. Nie dość na tym! Planuje sprowadzić tutaj Żydów z Niemiec, po to właśnie jeździ do Berlina, musieliście słyszeć, że jeździ. I to często. Chce im oddać waszą ziemię, bo Żydzi źle się teraz pod Hitlerem mają i chcą z Niemiec uciekać. Taka ona jest, ta wasza dobra hrabina.

Franciszek opadł na siano wyczerpany.

– Wszyscy oni tacy sami – mruknął pod nosem Bogusław i wyciągnął machorkę.

– A łajdaczy się? – Stefan uważnie spojrzał na księdza.

Nie pozostało mu nic innego, jak potwierdzić. Uznał, że dla tych parobków to ważne, i ucieszył się, że jeśli nawet nie potrafił wpoić im miłości do ojczyzny, to przynajmniej rozbudził w nich wstręt do rozwiązłych kobiet.

Zadowolony, że udało mu się uśmierzyć bunt, zaczął przedstawiać swój plan.



Pięć tygodni później Bogusław niespodziewanie zjawił się w kościele i podszedł do konfesjonału, w którym Franciszek słuchał spowiedzi. W rękach miętosił starą, mocno już sfatygowaną czapkę, a potem klęknął i się przeżegnał.

– Nie da się, za żadne skarby się nie da. Hrabina opuszcza pałac tylko w ciągu dnia, nigdy po zapadnięciu zmroku, a i tak nigdy sama. Ani razu przez cały ten czas, ani razu. Do miasta jeździ powozem ze stangretem albo automobilem z mężem. – Świderski dyszał ciężko. Śmierdziało od niego potem i zepsutym piwem, był zdenerwowany.

Jego wywód był bardzo szczegółowy i przez to długi, aż pozostali wierni czekający na spowiedź zaczęli się niecierpliwić. Ich pokasywania i głośne westchnienia odbijały się od kolumn i sklepienia barokowej fary.

– Ale jest sposób, aby zadośćuczynić poleceniu papieża. Hrabina ma siostrę, zwa ją Marychna, jest trochę dziwna... – Teraz głos Bogusława brzmiał już spokojniej. – Ona jest jakaś inna, ale też przecie hrabina.

Franciszek słyszał o młodszej siostrze hrabiny Antoniny, wielokrotnie opowiadały o niej zakonnice z sierocińca, które ją podejrzewały nawet o ciągłe podkradanie wody święconej z kaplicy. Miała tą wodą skrapiać dąb przy cyplu, bo wierzyła, że odgania w ten sposób złe duchy z pogańskiego uroczyska. Pogańskiego! Było to przecie miejsce, które on uświęcił, składając grzesznice Bogu Najwyższemu. No, ale o tym nikt nie wiedział. Siostry powiedziały mu, że jest nienormalna, co miało się brać z jakichś błędów popełnionych podczas porodu, który ledwo przeżyła.

– Wystarczy. Przeżegnaj się teraz – rzekł do Bogusława.

– To nie będzie trudne. Ta pani często wymyka się z domu wczesnym rankiem albo późnym wieczorem i spaceruje po parku albo samotnie pływa łodzią po jeziorze, czasem zapędza się nawet na wyspę. Można by ją...

– Przeżegnaj się, mówię, i idź. Za dwa dni spotkamy się po zmroku na Kaffenbergu. Bądź sam, wszystko omówimy – odpowiedział stanowczo i zaczął czynić znak krzyża.



Franciszek nie był zadowolony, był nawet głęboko rozczarowany. Poprzednio zawsze czuł się spełniony, kilka dni po ukrzyżowaniu obraz grzesznicy, której ciało pozbawione uszu i języka, z pustymi oczodołami wisiało na drzewie, zniknął spod jego powiek, teraz minął już tydzień, a Marychna cały czas była obecna w jego snach, czasem pojawiała się nawet, gdy stał przy ołtarzu, odprawiając mszę. Tyle że najczęściej miała twarz hrabiny Michałowskiej, jej czerwone usta i pełne piersi.

Jeszcze zanim dotarli na miejsce, podszedł do niego Stefan i powiedział, że oni też chcą się z hrabiną zabawić. Zrazu Franciszek nie zrozumiał, co ten ma na myśli, ale Stefan wytłumaczył to w prosty, wulgarny sposób. W tonie jego głosu i hardym spojrzeniu nie było nawet krzty pokory i prośby. Tylko żądanie. Franciszek wiedział, że powinien się sprzeciwić, ale przypomniała

mu się spowiedź mieszczki, która właśnie pod dębem, pod tym dębem, zabawiła się z dwoma żydowskimi chłopakami, i poczuł falę podniecenia. Skinął przyzwalająco.

– Bogusław też? – zapytał tylko, ale Stefan pokręcił głową.

Kobieta odzyskała przytomność już pod drzewem, gdy zdarli z niej ubranie. Wtedy Franciszek doznał pierwszego rozczarowania. Jej piersi były małe, ledwie widoczne w poświacie księżyca. Teraz, gdy leżała przed nim obnażona, bardziej przypominała chłopca niż dojrzałą kobietę. Patrzyła na niego dużymi, szeroko otwartymi oczami, w których nie dostrzegając strachu, co było dla niego kolejnym rozczarowaniem. Jakby nie rozumiała, w jakiej znalazła się sytuacji. A potem, gdy zsunął spodnie i wyciągnął swój członek, zaczęła się śmiać. Poczuł się zlekceważony, a przez to upokorzony.

Józef zatkał jej usta, ale jemu zdawało się, że ten śmiech nadal niesie się wśród drzew, po niedalekiej tafli jeziora i biegnie aż hen, do miasta, a przez jezioro do Chorzemina. Chciał wbić nóż w jej serce, ale nie trafił, ostrze ześlizgnęło się po żebrach, spróbował jeszcze raz, ale też bez skutku. A ona wciąż się śmiała! Przestała dopiero, gdy Stefan poderżnął jej gardło, ale uczynił to tak gwałtownie i z taką siłą, że gdy później podnieśli martwe już ciało, aby przywiązać je do dębu, głowa ledwo trzymała się korpusu. Gdy Stefan przystąpił do odcinania uszu, wycinania języka i wbijania oczu, Józef musiał mocno tę głowę przytrzymać. Franciszkowi zdawało się, że jego zakrzywione, sękaty kciuki niemal przebijają siniejącą skórę.

Gdy odmawiał modlitwę, tym razem czynił to szybko, bez odpowiedniego zaangażowania, usłyszał szept Stefana: „Nie poszło, jak powinno” i to jeszcze zwiększyło jego poczucie upokorzenia. Potem z trudem przedarł się na parafię, bo ludzie Michałowskich wszędzie już szukali Marychny. Nie był zresztą pewien, czy nie został dostrzeżony, gdy mijał bramę fary, bo dwóch ludzi maszerowało środkiem ulicy Kościelnej, bacznie się rozglądając. Miał tylko nadzieję, że uznali go za jednego z klientów któregoś z czterech wyszynków w bezpośrednim sąsiedztwie kościoła. Liczył, że zobaczyli w nim jakiegoś pijanego mieszczanina, który po wypiciu zbyt dużej ilości wódki i podszcypywaniu obcych kobiet, zawstydzony przemyka się pod żoniną kołdrę.

Gdy dotarł do swojego pokoju, bezwolnie zaległ na łóżku, przeklinając, że uległ Bogusławowi.

Choćbym rok miał czekać, to dokonam Dzieła i hrabina zostanie ukarana, przyrzekł sobie stanowczo. A potem podniósł krucyfiks, powtórzył swoje przyrzeczenie i złożył pocałunek na figurce Jezusa.

Rozdział 32

SRIMA (CHORWACJA), LIPIEC 2018

Obudziło go głośne, zdecydowane pukanie do drzwi balkonowych. Usiadł na łóżku, nie bardzo wiedząc, co się dzieje – położył się spać zaledwie trzy godziny wcześniej – ale gdy dostrzegł pułkownika, natychmiast uświadomił sobie, gdzie jest.

– Zjedzmy śniadanie w barze na plaży. Poczekam tam na pana. Porozmawiamy, ale papiery proszę zostawić w domu. Mam nadzieję, że nie ma pan smartfona?

Pułkownik Andrzej Zakrzewski był ubrany w czarne, sięgające połowy uda spodenki kąpielowe i designerski T-shirt.

– Nie, zgodnie z poleceniem zostawiłem telefon w wynajętym samochodzie. Zaraz się ogarnę i przyjdę. Błagam, niech mi pan zamówi najmocniejszą kawę, jaką mają – odpowiedział i wstał z łóżka.

W pokoju było zimno, wczoraj, aby odgonić sen, nastawił klimatyzację na dziewiętnaście stopni. Teraz wyłączył urządzenie i poszedł pod prysznic. Woda była letnia, zmył z siebie nocny pot i resztki snu. Ubrał się, porwał z nocnego stolika notatnik oraz długopis, zamknął drzwi na klucz i poszedł w kierunku plaży.

Zakrzewski siedział przy tym samym stoliku, przy którym rozmawiali wczoraj. Gdy zajął miejsce, kelnerka przyniosła czarną parzoną kawę, dwa małe zmrożone kieliszki i dwie szklanki wody.

– Śliwowica. Dobrze panu robi.

– Na czczo?!

– Tak najlepiej smakuje. Przeczytał pan, jak sędzę. A wnioskując po pańskich zaczerwienionych oczach, przeczytał pan całość – stwierdził i wzniosł kieliszek.

Terlecki wlał alkohol w gardło. Rzeczywiście dobrze smakował. Popił wodą i zapalił papierosa. Przytaknął.

– Wróciłem panu wiarę w ojca? – zapytał Zakrzewski.

Rafał znowu przytaknął, mieszając kawę. Okazała się lekko słodka, a mimo to wyjątkowo mu smakowała. Wyciągnął notes i spojrzał pytająco na pułkownika. Ten kiwnął głową przyzwalająco.

– Jeśli to wszystko prawda, a nie mam powodów, aby temu nie wierzyć, to znaczy, że mój ojciec nic o porwaniach kobiet nie wiedział. Tak wynika z dokumentów. Zastanawia mnie jednak jego naiwność. Jak mógł nie rozumieć, co się wokół niego dzieje? Tak kompletnie nic nie rozumieć? – zastanawiał się głośno Rafał.

Przesunął krzesło, aby móc patrzeć na plażę i morze, skąd dochodziły coraz głośniejsze okrzyki taplających się w wodzie dzieci. Miał wrażenie, że od wczoraj turystów przybyło. Blade ciała wielu z nich wskazywały, że ma rację.

– Ale co niby pański ojciec miał rozumieć? Dlaczego miał łączyć informacje o zaginionych kobietach akurat ze Zdzisławem Skibniewskim i Marianem Zdanowskim? Trzymali języki za zębami, to było w ich interesie. A że mieli pieniądze? Cóż, Skibniewski wrócił z Zachodu, wtedy wszystkim Polakom wydawało się, że kilka lat spędzonych we Francji czy w Wielkiej Brytanii czynią z człowieka milionera. Zresztą wtedy rzeczywiście czyniły. Potem na dodatek otworzył firmę budowlaną i realizował wiele intratnych zleceń władz. A nagle wzbogacenie się Zdanowskiego? Po to właśnie dali mu ten kontrakt na oficerki i po to się nim wszędzie chwalił.

Zakrzewski też patrzył na morze, sącząc powoli kawę. Zjedli tosty, a później pułkownik zaordynował po jeszcze jednym kieliszku śliwownicy.

– Mam jeszcze kilka pytań. Pewne rzeczy nadal są dla mnie niezrozumiałe. Właściwie dlaczego Skibniewski pojawił się w Wolsztynie? Mógł wybrać dziesiątki innych miejscowości, a jednak trafił tam. Daleko od Warszawy. Dlaczego? Powiedział mi, że zakochał się w wolsztyniance.

– Akurat to, wyjątkowo, jest prawdą. Romantyczna historia. Dość nieprawdopodobna, ale prawdziwa. – Zakrzewski uśmiechnął się filuternie i zaczął opowiadać.

Po kolejnym skoku na sklep jubilerski pod Salzburgiem austriacka policja trafiła na ich ślad. Nie było to trudne, jeden z członków bandy, Węgier, którego Skibniewski tydzień wcześniej zwerbował w knajpie przy porcie w Rotterdamie, po prostu zgubił podczas ucieczki prawo jazdy. Gdy policja była już naprawdę blisko, Skibniewski uruchomił plan awaryjny i został

ewakuowany do Polski. Wywiad zadziałał błyskawicznie i bezbłędnie, bali się, że jeśli Skibniewski trafi do aresztu, to zacznie sypać. Problem polegał na tym, że łup z kilku ostatnich kradzieży pozostał w Austrii. Był dobrze ukryty. Rzecz jasna, mogli go zabrać nasi chłopcy, robili już takie rzeczy. Ale Skibniewski, nauczony przez Janosza, miał do swoich mocodawców z Rakowieckiej ograniczone zaufanie. Warszawa zresztą odwzajemniała to uczucie. Po ewakuacji umieszczono go w Rzepinie, w jakimś ośrodku szkoleniowym Wojsk Ochrony Pogranicza. Początkowo miał zakaz opuszczania tego miejsca, ale później reżim trochę zelżał. Przyjechała do niego delegacja z Warszawy, chcieli go namówić, aby zdradził adres schowka – powiedział pułkownik i chwycił kieliszek, ale tylko obracał go w dłoni.

– Uległ?

– Nie. Wiedział, że nie ma żadnej karty przetargowej, i obawiał się najgorszego. Wydarzenia go zaskoczyły, bo planował, że jeszcze kilka lat pozostanie na Zachodzie. Oczywiście, miał już wtedy znaczny majątek, ale zdeponowany we Włoszech. Wynajął kilka skrytek w Monte dei Paschi di Siena, najstarszym włoskim banku. Notabene jest dzisiaj na skraju upadłości, ale wówczas cieszył się dobrą opinią. Tam Skibniewski od dłuższego czasu odkładał połowę z każdego skoku. To była kasa, która mu się należała na podstawie umowy z Rakowiecką.

– Więc musiał jeszcze raz, przynajmniej jeszcze raz, wyjechać na Zachód.

– Rafał również chwycił kieliszek śliwowicy.

– Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, podejrzewał, że część jego bandy jest już w rękach policji, a jego portret wisi w każdym komisariacie. Ale musiał zaryzykować. Przedstawił swój plan. Delegacja z MSW pojechała do Warszawy na konsultacje, wrócili po trzech dniach. Rakowiecka, z oporami, ale wyraziła zgodę. Mówiło się, że żona towarzysza Szydłaka wymarzyła sobie złotą kolię wysadzaną brylantami, a ta spoczywała w kryjówce Skibniewskiego.

Pułkownik opróżnił kieliszek, więc Rafał poszedł za jego przykładem.

– Potrzebowali kilku tygodni na przygotowanie operacji. Skibniewski się niecierpliwił, izolacja mu nie służyła, więc wieczorami wrywał się na spacer. Podczas jednego z nich wstąpił na piwo do jakiejś knajpy. Zamówił kufelek, a potem dosiadł się do stolika, przy którym w kolejarskich mundurach siedziało dwóch mężczyzn i atrakcyjna blondynka. Tak atrakcyjna, że nawet kolejarski mundur nie potrafił stłumić jej urody.

Lidia Lange była konduktorką. Akurat zastępowała chorą koleżankę na trasie Warszawa – Berlin. Miała niezłą praktykę, bo już od jakiegoś czasu obsługiwała dalekobieżne trasy głównie do Warszawy, Szczecina i Przemysła. Mieszkała wówczas na stacji w Poznaniu, ale pochodziła z Wolsztyna.

– Przypadek?

– Absolutny. Pobrali się pół roku później, gdy Skibniewski już na stałe wrócił do Polski. Zamieszkali w Wolsztynie, w niewielkim domku wybudowanym kiedyś dla szefów pobliskiego browaru. Nic ekskluzywnego, ale wystarczająco przyjemnie, z dużym ogrodem, blisko centrum miasta. Warszawie to pasowało, wydawało im się, że ich niewygodny i wówczas już niechciany współpracownik zakopie się w małej mieścinie i będą go mogli wymazać z radarów, co najwyżej sprawując nad nim dyskretną opiekę. Lidia później przez jakiś czas pracowała jeszcze na kolei, ale w końcu mąż wymógł na niej, aby to rzuciła. Potem była tylko atrakcyjną panią domu. I chyba o niczym nie wiedziała. Wróć za dwadzieścia minut, proszę zamówić, co tam panu w duszy gra, panie redaktorze – stwierdził i szybkim krokiem ruszył w kierunku morza. Po drodze zdjął koszulkę i wskoczył do wody.

Gdy wrócił, Terlecki pił kolejną kawę. Zamówili jeszcze po jednej, ale Zakrzewski stracił ochotę do dalszej rozmowy. Knajpa tymczasem zaroiła się od turystów, było wśród nich – jak to w sezonie wakacyjnym w Chorwacji – wielu Polaków.

– Wybierzemy się łodzią w morze. Proszę trochę popływać, woda jest dzisiaj bardzo przyjemna. To pana ożywi. Za pół godziny Srećko zawiezie nas do Vodice. To po sąsiedzku. Wynająłem łódź motorową, ochłodzimy się, będziemy mogli swobodnie porozmawiać. Zapłacę i wróć za trzydzieści minut. – Terlecki obserwował, jak Zakrzewski podszedł do młodego, dobrze zbudowanego mężczyzny siedzącego tuż przy wejściu. Wymienili uścisk dłoni, a później chwilę rozmawiali. Zakrzewski nawet nie spojrzał na Terleckiego.



Dokładnie po dwudziestu siedmiu minutach czarny SUV prowadzony przez Srećka zaparkował przy plaży. Rafał wsunął się na tylne siedzenie, auto zawróciło i po przejechaniu trzystu metrów skręciło w lewo. Dotarcie do dużej, pełnej jachtów i łodzi mariny zajęło im niewiele ponad dziesięć minut. Ich motorówka była już przygotowana, Chorwat stanął za kołem sterowym

i sprawnie wyprowadził łódź w morze. Zawyły silniki i dziób uniósł się ponad linię wody.

Dziennikarz siedział w wygodnym fotelu obok Zakrzewskiego, który z wprawą odkorkowywał butelkę białego zmrożonego wina.

– Nie za wiele w tym wszystkim ostentacji?

– Dużo. Pewnie za dużo, pewnie dużo za dużo. Ale po latach służby, wyrzeczów, strachu, a w końcu kopie w dupę, którym poczęstowali mnie najpierw moi zwierzchnicy, a później nowi panowie, postanowiłem trochę użyć życia. – Zakrzewski nalał wino do dwóch kieliszków i wzniósł toast. – Za życie na koszt naszych spadkobierców.

Wygodnie rozsiadł się na skórzanej kanapie, wyprostował nogi i powoli raczył się winem. Ryk silnika był ogłuszający, po chwili jednak Srećko zmniejszył obroty. Płynęli teraz wolniej, ale mogli swobodnie rozmawiać.

– Z teczki wynika, że uprowadzili i wywieźli na Zachód czterdzieści osiem kobiet. Jak to się stało, że nikt tego nie zauważył?

To było pierwsze pytanie, które nasunęło się Rafałowi po nocnej lekturze teczki zatytułowanej „Operacja Wezery”.

– W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim zaczęli porwać młode, bardzo młode kobiety daleko od Wolsztyna. Z okolic Szczecina, Trójmiasta, Augustowa, Lublina i z Podlasia. Nigdy z dużych miast, zawsze z miasteczek i ze wsi. W latach siedemdziesiątych zgłaszano w Polsce kilka tysięcy zaginięć rocznie, więc dało się to utopić w statystyce. Nie było centralnego rejestru, w każdym razie nie takiego, jak dzisiaj, poszczególne komendy powiatowe MO działały właściwie na własną rękę. Nawet telefony wiejskie funkcjonowały. – Pułkownik oderwał wreszcie wzrok od mijanej właśnie wyspy i spojrzał na swojego gościa. – Płyniemy na wyspę Kaprije, do Marka. Jego ojciec, też zresztą Marko, był podczas wojny żołnierzem oddziału Tity. Nigdy z tej znajomości nie skorzystał. Żył na tej wyspie biednie, zajmował się hodowlą kóz i owiec, łowił ryby, potem stworzył knajpę. Dla miejscowych, bo turyści rzadko tu wówczas zaglądali. Zmarł trzy lata temu. Szkoda, uraczyłby nas wieloma opowieściami o Wielkim Josipie i wszystkie byłyby albo zabawne, albo mrozące krew w żyłach. Wbrew obowiązującej nie tylko w Polsce legendzie Tito był bezwzględny skurwielem. Młody Marko nie ma już tego daru opowiadania, ale ryby przygotowuje wybornie.

Zakrzewski dolał wina do kieliszków i wrócił do głównego tematu rozmowy, tłumacząc, że już na początku epoki Gierka ofiary Skibniewskiego były typowane przez MSW. Wybierano młode dziewczyny, które nie były zbyt towarzyskie i miały niewielu znajomych. Coraz młodsze i młodsze, w pewnym momencie właściwie dzieci. Czasem miejscowym milicjantom podsuwano trop, wskazujący, że uciekły na Śląsk, do tej „polskiej Katangi”, gdzie życie wydawało się lepsze i bogatsze. Czasem, najczęściej w wypadku dziewczyn mieszkających na Wybrzeżu, że uciekły na Zachód z jakimś marynarzem. Później rodzina dostawała list z Paryża lub Rzymu, w którym dziewczyna pisała, że dobrze jej się wiedzie, że nie muszą się martwić. W kopercie rodzina znajdowała kilka dolarów na osuszenie łez, więc przestawali szukać i nękać dzielnych milicjantów. Wielu było nawet dumnych, że ich córki tak dobrze sobie w życiu poradziły. Te listy rzecz jasna były sprokurowane przez wywiad.

– Dlaczego właściwie dali tę robotę Skibniewskiemu? Tak do końca nie był on przecież ich człowiekiem. Sam pan mówił, że mu nie wierzyli. – Terlecki sięgnął po kawałek arbuza ułożonego na głębokiej tacy.

– Wczesną wiosną sześćdziesiątego dziewiątego roku Skibniewski wrócił do Austrii, a potem pojechał do Sieny w towarzystwie trojga agentów polskiego wywiadu. Albo byli nieporadni, albo on był tak sprytny, dość, że zniknął na kilka godzin. Zniknął, ale wrócił. Zabrali wszystkie fanty i pojechali do polskiej ambasady w Rzymie, skąd precjoza przetransportowali do Warszawy w kilku skrzyniach, którym nadano status poczty dyplomatycznej. Skibniewski zaokrętował się później na polski statek i przez Hiszpanię oraz Hamburg wrócił do Polski.

– To nie tłumaczy, dlaczego dali tę robotę właśnie jemu.

Terlecki patrzył na byłego oficera wywiadu, mrużąc oczy. Żałował, że nie wziął ze sobą okularów przeciwsłonecznych, ale wszystko odbywało się w takim pośpiechu, że po prostu wyleciało mu to z głowy.

– Okazało się, że w Sienie Skibniewski uciekł pilnującym go agentom nie po to, aby jak przypuszczano, ukryć gdzieś część swojego skarbu, ale aby odwiedzić kancelarię prawną mieszczącą się przy via delle Cerchia. Małą, ale godną zaufania. Sporządził tam wówczas wielostronicowy dokument, w którym bardzo dokładnie opisał swoje przestępcze czyny, ale więcej miejsca poświęcił relacjom z polskim wywiadem. Było tam wszystko: daty i miejsca spotkań, sposób werbunku, opis szkolenia, nawet rysopisy agentów. Bomba

z opóźnionym zapłonem. Ustalili, że raz do roku będzie się kontaktował z kancelarią telefonicznie i za pomocą ustalonego szyfru przekazywał dokładne instrukcje dotyczące tej epistoły. Gdyby się nie odezwał albo gdyby adwokat wyczuł, że coś jest nie tak, list miał trafić do amerykańskiej ambasady w Wiedniu. Był adresowany do rezydenta CIA – mówił Zakrzewski.

– Polisa na życie – zauważył Rafał.

Zakrzewski pokiwał głową.

– Skibniewski zostawił oryginał listu prawnikowi, a poświadczony pieczęciami odpis wziął ze sobą. Przy pierwszym spotkaniu wręczył grubą kopertę mającej go pilnować agentce z poleceniem przekazania do rąk własnych szefa wywiadu.

– Chwycił ich za jaja – powiedział Rafał nie bez cienia podziwu.

– I mocno ścisnął – dodał pułkownik. – Porywanie młodych kobiet i przemykanie ich do burdeli na Zachodzie było autorskim pomysłem Skibniewskiego. Wywiad to docenił i się pod to podczepił. Dla pieniędzy.

Rafał przypomniał sobie, że kiedyś już o tym czytał. Mechanizm powstał jeszcze w latach sześćdziesiątych, podejrzewano, że pomysł zrodził się w głowie Franciszka Szlachcica, wówczas wiceministra spraw wewnętrznych, „moczarowca”, ale zaprzyjaźnionego również z Edwardem Gierkiem. W grudniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku Szlachcic mocno przyczynił się do obalenia Władysława Gomułki. Walczył o życie, bo „Wiesław” chciał go wysłać „w ambasadory” do Ułan Bator. Gdy Gierek doszedł do władzy, Szlachcic awansował, mówiono na niego nawet „drugi pierwszy sekretarz”. I to on zreformował polski wywiad. Stworzył specjalny ośrodek szkoleniowy w Starych Kiejkutach na Mazurach, cały system wyławiania i szkolenia uzdolnionej młodzieży, podsypał pieniędzy. Terlecki pamiętał, że szkołę w Kiejkutach skończył między innymi Gromosław Czempiński, który wstawił się akcją wywiezienia z Iraku agentów amerykańskich, i Marian Zacharski. To ten, który zdobył dokumentację konstrukcji radarów montowanych do najnowocześniejszych amerykańskich myśliwców, bombowców B-1 i B-2, rakiet Patriot i Hawk.

– Pan też skończył Stare Kiejkuty? – Gdy Rafał zadawał to pytanie, ich łódź dobijała właśnie do mocno już sfatygowanego pomostu.

Srećko zgrabnie zacumował, a oni ruszyli w górę stromymi drewnianymi schodami. Po trzystu metrach dotarli na miejsce. Zakrzewski wylewnie przywitał się z brzuchatym mężczyzną w bandanie związanej na czubku głowy. Był ubrany w podartą koszulę i szerokie, kończące się za kolanami obwisłe spodnie.

– To Marko. Najlepszy rybak wśród kucharzy i najlepszy kucharz wśród rybaków. Co tam dzisiaj masz świeżego? – zapytał go, przyjaźnie poklepując po plecach.

Wyglądali obaj dość komicznie, bo pułkownik był znacznie niższy od gospodarza, a jego niedbały na pozór strój był staranną stylizacją.

– Na razie jeszcze nic. Poza spokojem i naszym winem. Rozgośćcie się, Mila poda wam przekąski i wino...

– A ty wyczarujesz nam rybę. Nie spieszy nam się, mamy sporo do omówienia. Ale mój gość, znany dziennikarz, chciałby zjeść coś naprawdę wyjątkowego. Więc postaraj się, Marko.

Usiedli na drewnianym tarasie z dala od innych pustych o tej porze stolików. Mila, żona Marka, podała im zmrożone wino i jeszcze nim pułkownik zdołał napełnić kieliszki, Rafał zauważył ich gospodarza wiosłującego wzdłuż brzegów zatoki.

– Marko ma wyłącznie świeży towar. – Pułkownik roześmiał się, widząc zaskoczoną minę Terleckiego.

Upił niewielki łyk i z aprobatą pokiwał głową. Po chwili Mila postawiła na stole półmisek z kawałkami wędzonej ryby, paskami smażonej jagnięciny, oliwkami, pomidorami i serem.

– Towar tylko tutejszy, nie z Pagu. Jest lepszy. Niestety, mniej znany. A szkoda, może wreszcie byśmy się dorobili. I może wtedy Marko w końcu naprawiłby ten rozpadający się pomost, bo za chwilę się zawali – powiedziała tonem właściwym wszystkim narzekającym kobietom pod każdą szerokością geograficzną.

– Właśnie dlatego wolę, gdy obsługuje mnie Marko. Jest pełen życia, podobnie jak jego ojciec. Nigdy się nie skarży.

Tym razem Rafałowi udało się uprzedzić pułkownika, pierwszy chwycił butelkę i nalał. Wzniesli kieliszki.

– Chorwacja jest niedoceniana. Te widoki warte są milion dolarów. To przez kuchnię. Ludzie myślą, że ten kraj to tylko pieczone odojaki i ćevapčići.

Wrócili do rozmowy. Zakrzewski opowiadał, że choć mniej więcej w połowie lat siedemdziesiątych mieli już do dyspozycji dość okazały fundusz operacyjny, to jednak nie tak duży, aby sprostać stawianym im wymaganiom.

– Nacisk położono na ekonomię. Chodziło o zdobywanie nowych technologii. Dla nas i dla Sowietów.

– Nie lubi ich pan.

– Nie.

– Wtedy też czy dopiero teraz? – Terlecki nie potrafił się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

– Nie uwierzy pan, ale nigdy ich nie lubiłem. Mój ojciec był oficerem Armii Krajowej, dziadek walczył w Powstaniu Wielkopolskim, a w tysiąc dziewięćset dwudziestym był pod Radzyminem. Z powstania wyszedł bez szwanku, pod Radzyminem stracił nogę. Nie byłem zresztą jedyny. Ojciec Zacharskiego walczył w Szarych Szeregach.

– Więc jak pan...

– Jak trafiłem w szeregi komunistycznego wywiadu? Wy tego nie rozumiecie i nigdy już nie zrozumiecie. Zbyt jednostronnie postrzegacie świat. Wtedy była jedna Polska, choć ja akurat nie sądziłem, aby była najlepsza. Zresztą nie tylko ja. Ale zostawmy to, to temat na inną rozmowę. Widzi pan, panie redaktorze, Marko już wraca. – Pułkownik wskazał zatokę. Marko rzeczywiście wiosłował w kierunku drewnianego pomostu, przy którym na lekkich falach kołysała się ich wielka motorówka. – I czuję, że ma coś smakowitego. Pan w to nie uwierzy, ale to prawda. W latach sześćdziesiątych wysyłaliśmy jako agentów synów i córki rodzin komunistycznych, często synów działaczy partyjnych. Wielu z nich kiepsko mówiło w obcych językach, a i z polskim mieli niemałe trudności. Ale przynajmniej dawali iluzję lojalności. Szlachcic, jak by skurwiela nie oceniać, to zmienił. Postawił na ludzi dobrze wykształconych, absolwentów SGPiS-u, akademii ekonomicznych, inżynierów po politechnikach.

– A pan?

– Skończyłem lingwistykę na Uniwersytecie Warszawskim.

Zamilkli. Terlecki patrzył, jak Marko niezgrabnie gramoli się ze swojej łodzi, a potem z trudem pnie się po stromej ścieżce, wymachując niewielką zieloną siatką z kilkoma rybami.

– Dorady. Uwielbiam dorady. I chyba tuńczyk, nieduży, ale tuńczyk. Szykuje się uczta.

Zakrzewski sięgnął po pustą już w połowie butelkę wina. Krople wody coraz szybciej po niej spływały, nadal było nieziemsko gorąco, ale wino wciąż było przyjemnie chłodne. W nozdrza Rafała wdarł się zapach smażonego na oliwie czosnku, pomidorów i cebuli.

Zakrzewski spoglądał na zatokę. Terlecki miał wrażenie, że fale nieco się wzmogły, co jako szczura lądowego trochę go niepokoiło, ale nie chciał przerywać. Nim Marko podał wreszcie swoje danie, pułkownik opowiedział mu o swojej nienawiści do osób, które traktowały wywiad jak maszynkę do zbijania kasy.

– W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku mój poprzednik we Francji dostarczył do Warszawy meldunek, że tej licencji Berlieta, wie pan, to była wtedy głośna sprawa, nie należy kupować, że szkoda pieniędzy. To nie był autobus na polskie drogi. Francuzi sami się dziwili, że tak naciskamy na zamknięcie tej transakcji, bo Berliet nie spełniał naszych norm. Nawalił zresztą już podczas pokazu i towarzysze, w tym sam pierwszy sekretarz, musieli przez kilkaset metrów nieść swój majestat na własnych nogach. Ale Gierek się uparł, że musi coś podczas tej wizyty załatwić. No to załatwił.

Pułkownik dopił i natychmiast sięgnął po butelkę. Była już pusta, ale nim zdołał wyartykułować swoje potrzeby, w drzwiach pojawiła się Mila.

– Ryby będą za kilka minut. A wino jest już – oznajmiła. Jej długa, dawno już domagająca się prania ciemna spódnica powiewała na wietrze.

– W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym ostrzegłem Warszawę, że podczas wizyty Jaruzelskiego w Paryżu Francuzi będą chcieli upokorzyć pierwszego sekretarza. Wiedziałam, że to będzie katastrofa. I była. – Zakrzewski wznosił kieliszek.

Marko wkroczył na taras z dwoma talerzami pełnymi ryb. Wydobywający się z nich zapach spowodował, że Rafała aż skręciło z głodu. Chwycił widelec, jeszcze nim Marko postawił talerze na stole. Pułkownik mruczał ukontentowany i sięgnął po chleb.

– Wy tam w Warszawie możecie mieć pięćdziesiąt osiem rybnych restauracji, ale żadna z nich nigdy nie dorówna uczcie przygotowanej przez Marka. Żadna! – oznajmił, wbijając widelec w czerwone mięso tuńczyka.

Rafał też rozkoszował się daniem, maczając chleb w oliwie, ale pilno mu było do dalszych opowieści o Skibniewskim.

– W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym role się chyba odwróciły?

– Z naciskiem na chyba. Skibniewski miał talent do biznesu, nawet jeśli brać pod uwagę, że działał pod kołderką wywiadu. Cztery lata wcześniej Jaruzelski pozbył się Milewskiego, ale o tym już mówiliśmy. Na kilka miesięcy przycichli, potem znowu wrócili. Ale przestali porywać kobiety. Był już Gorbaczow, wiały inne wiatry, więc kazano im zmienić branżę.



Gdy dopłynęli do mariny, w Vodicach było już ciemno. Srećko zgrabnie zacumował i wyskoczyli na betonowy most, a potem wsiedli do rozgrzanego słońcem samochodu i ruszyli do domu.

– Czy Skibniewski może mieć coś wspólnego z morderstwami kobiet w Wolsztynie? To jakby rytualne mordy, które ciągną się od przedwojnia – dopytywał się Rafał. Spojrzał na Zakrzewskiego nieco już zamglonym wzrokiem.

– Przecież wtedy go tam nie było. No i urodził się w roku czterdziestym czwartym.

– W siedemdziesiątym ósmym roku był – przypomniał Terlecki i streścił mu historię morderstw pod parkowym dębem, w którym Marcin Rożek wyrzeźbił wizerunki Meduzy, jednej z trzech Gorgon, oraz Fauna, staroitalskiego boga płodności. Pułkownik sceptycznie pokiwał głową.

– On nie jest rzeźnikiem, to człowiek skoncentrowany na pieniądzach. Po co by mu to było? Zwłaszcza to ostatnie morderstwo w dwa tysiące szesnastym roku? Ono mogło tylko zwrócić uwagę na Wolsztyn, a to nie było i nie jest mu potrzebne. Ale o jednym musi pan pamiętać. Skibniewski nie był wyszkolonym agentem wywiadu. Był zbirzem, którego wywiad zatrudnił. To różnica.

Rozdział 33

WOLSZTYN, POCZĄTEK PAŹDZIERNIKA 1938

Gdyby nie książki, kartonowa walizka byłaby właściwie pusta. Franciszek włożył do niej jeszcze dwie zmiany mocno już sfatygowanej bielizny, rzemień i niemal nowy wełniany sweter podarowany mu zeszłej zimy przez siostry od Wincentego à Paulo. Stary sweter, który dostał zaraz po przyjeździe do Wolsztyna, miał na sobie, bo choć dni nadal były nadspodziewanie ciepłe, to wieczorem temperatura spadała poniżej dziesięciu stopni. Na wierzchu starannie ułożył Biblię, brewiarz, książkę księdza Wojciecha Dębołęckiego *Wywód jedynowłasnego państwa świata*, którą niedawno udało mu się zdobyć w jednym z poznańskich antykwariatów, oraz krucyfiks. Namacał ręką spoczywający w kieszeni sutanny różaniec, rozejrzał się niezdecydowanie po pokoju i już chciał zamknąć walizkę, gdy przypomniał sobie o nożu schowanym pod siennikiem łóżka. Klęknął i ostrożnie macając dłonią, znalazł podarowany mu przed wielu laty przez Bogusława przedmiot. Nadal znajdowały się na nim ślady krwi rozpustnej Heleny, która dokonała swojego nikczemnego żywota pięć lat temu. To tym nożem po raz pierwszy własnoręcznie ukarał grzesznicę. Już dawno postanowił, że to właśnie ten nóż wbije w serce hrabiny Michałowskiej.

Uniósł się z kolan akurat w momencie, gdy do pokoju wszedł proboszcz.

– Niech się ksiądz pospieszy. Oto listy, ale proszę już iść.

Podszedł do Franciszka, niezręcznie chwycił go w ramiona, a potem skreślił mu na czole znak krzyża. Szybko się odwrócił i ruszył do wyjścia.

– Czy ksiądz proboszcz pozwoli mi jeszcze na modlitwę w kościele? Chciałbym się pożegnać ze świątynią, w której spędziłem dwadzieścia sześć lat.

Proboszcz nawet się nie odwrócił, stał w drzwiach z jedną ręką opartą o framugę. Jego siwe włosy bieleły w lekkiej poświacie wydobywającej się z półprzymkniętych drzwi kuchni.

– Nie, księżę Franciszku, niech ksiądz już jedzie. Na pożegnanie będzie jeszcze czas – odpowiedział łagodnym tonem i ruszył do kuchni, starannie zamykając za sobą drzwi.

Franciszek w lichym płaszczu i z walizką w ręku, szedł ciemną o tej porze ulicą w kierunku Lipowej, gdzie miał na niego czekać Bogusław. Teraz bardziej niż kiedykolwiek żałował, że przed laty budynek parafii został przeniesiony do centrum miasta. Choć ulica była pusta, to obawiał się, że nie uda mu się niezauważenie dotrzeć do furmanki. Gdy wreszcie dostrzegł Bogusława, był spocony i zziębnięty.

Jeszcze rano nic nie zapowiadało nieszczęścia. Gdy jednak wrócił z sierocińca, ciesząc się na obiad, ksiądz proboszcz był mocno zdenerwowany. Wtargnął do jego pokoju jak oszalały i nieznośnym sprzeciwem głosem oznajmił zaskoczonemu wikaremu, że musi natychmiast wyjechać. Gdy wreszcie nieco się uspokoił, powiedział, że godzinę wcześniej parafię odwiedził komendant policji, który poinformował księdza Wacława Łuczaka, że Franciszek był widziany na skraju parku w noc morderstwa Marychny. Wczoraj wieczorem wiadomość o tym dotarła do hrabiego Michałowskiego, a ten wczesnym rankiem zjawił się na posterunku z żądaniem natychmiastowego aresztowania Franciszka.

– Komendant, z którym jak ksiądz zapewne wie, od lat żyjemy w przyjaźni, oświadczył, że na razie nie ma jednoznacznych dowodów winy księdza. Jednakże poszlaki są poważne, a zeznania aż dwóch świadków jednoznaczne. Komendant nie chce robić kłopotów, ma wiele szacunku do Kościoła, ale znajduje się pod wielką presją hrabiego. – Proboszcz unikał jego wzroku, wodząc oczami po gołych ścianach pokoju.

Franciszek stał w swojej sfatygowanej sutannie, z rękoma opuszczonymi wzdłuż ciała. Kiedyś, na początku, wyobrażał sobie ten moment, liczył się z aresztowaniem, był gotów stawić temu czoła w imię Boga, Kościoła i ojczyzny. Nocami marzył nawet o głośnym, odbywającym się w Poznaniu procesie, w którym będzie mógł przedstawić nabitej ludźmi sądowej sali swoje racje. Wierzył, że przekona słuchaczy, zostanie uniewinniony, a później jego *Voluntatem Dei* stanie się Nowym Jeruzalem. Teraz czuł się zaskoczony. Przez wiele lat wszystko szło bardzo dobrze, policja nie znajdowała żadnych śladów. Franciszek wiedział, że Bóg nad nim czuwa, co tylko mobilizowało go do kontynuowania krucjaty.

– Nie pytam, czy ksiądz to zrobił, wypowiada się ksiądz w Poznaniu. Ale nie chcę żadnego skandalu, nie chcę, aby księdza aresztowano, aby pisała o tym prasa. Jeszcze dzisiaj pojedzie ksiądz do Rakoniewic, tam ksiądz przenocuje, a następnego dnia uda się pociągiem do Poznania. Dam księdzu listy. O reszcie zdecyduje kuria.

Franciszek chciał coś powiedzieć, ale ksiądz Łuczak przerwał mu, a później posłał jednego z ministrantów do Tłok z nakazem, aby Bogusław zjawił się swoją furmanką o dwudziestą za budynkiem szkoły powszechnej.

Franciszek wdrapał się na wóz i zagrzebał w sianie. Nie tyle dla ochrony przed zimnem, co chcąc się ukryć przed wścibskim wzrokiem parafian. Mimo późnej pory kilku z nich stało jeszcze przed domami, kurząc tytoń. Gdy mijali sierociniec, ksiądz ostrożnie wysunął głowę i spojrzał na budynek, w którym w ostatnich latach spędził wiele pracowitych dni.

Gdy minęli pałac, Bogusław przerwał milczenie, a ksiądz wygramolił się z siana i usiadł obok niego. Aż do Rostarzewa nie było żadnych domostw, nie musiał się obawiać spotkania z ludźmi.

– Wezwano mnie do Rzymu, Bogusławie. Jadę do Ojca Świętego – oznajmił, pokaszując od papierosowego dymu.

– Nie boi się ksiądz?

Bał się, bardzo się bał. Miał wrażenie, że jego żołądek ściska wielkie imadło. Nie Piusa XI jednak się bał, nie policji nawet, ale nieznanego, w którego kierunku został właśnie pchnięty. Wierzył, że najświętszy Kościół jak zawsze go ochroni, zapewni spokój i możliwość dalszej działalności, ale bał się nieznanego. Wolsztyn był jego domem od dwudziestu sześciu lat i choć uważał, że jest to miasto grzeszne, zbrukane przez Żydów i Niemców, to jednak było to jego miejsce. Jedyne, jakie miał.

A teraz przyszło mi z tego domu uciekać, nie doczekawszy oczyszczenia go z brudu i plugastwa, pomyślał, oglądając się za siebie, ale nie dostrzegł już żadnych świateł. Wokół panowała ciemność.

Jechali w milczeniu. Gdy minęli Rostarzewo, Bogusław wyciągnął z siana już niemal do połowy opróżnioną butelkę.

– Zimno – wyjaśnił i wyciągnął korek. Już chciał wlać sobie alkohol do ust, gdy Franciszek nagle chwycił go za rękę.

– Moja, nie od Żyda – wyjaśnił Bogusław.

– To dobrze, to dobrze. Dajcie dzisiaj i mnie. Czuję się niezdrów – wyjaśnił Franciszek.

Nim przytknął butelkę do ust, starannie wytarł jej szyjkę dłonią. Myśl, że ma przytknąć do ust miejsce, które Bogusław dotykał swoimi rozczapierzonymi wargami, napawała go wstrętem. Zrobił to więc szybko, gwałtownie przechylając butelkę, przez co część alkoholu wleciała mu do nosa. Chwilę trwało, nim opanował kaszel, a później pociągnął drugi łyk.

– Chyba jednak trochę się ksiądz Ojca Świętego boi – z uśmiechem stwierdził Bogusław, wyciągając rękę z papierosem, ale kapłan odmówił.

– Wrócę, Bogusławie, za sześć, może siedem niedziel. Niech wszystko będzie ukryte, z niczym się nie wychylajcie, nikomu nic nie mówcie. Wrócę, a wtedy... – Nie dokończył, bo kaszel znowu powrócił. – Papież da mi nową siłę. Wszystkim nam da. Na razie nic nie róbcie, nic. Żydów tylko pilnujcie, pilnujcie!

– Niewielu ich już w Wolsztynie zostało. Mówią, że ledwo siedmiu – powiedział Bogusław, zaciągając się papierosem.

– Wrócą, Bogusławie, oni wrócą. Już hrabina Michałowska i jej mąż się o to starają, już wszystko przygotowują. Wrócą! Ale będziemy gotowi. I ukarzymy Michałowską za jej nieczne czyny, ukarzymy.

Znowu jechali w milczeniu. Franciszek wrócił myślami do połowy września. Ciało Marychny – myślał o nim ze wstrętem – znaleziono rankiem następnego dnia, a później miasto zaroilo się od policjantów. Park i ulice pełne były mundurowych i Franciszek naprawdę się wówczas wystraszył. Dowiedział się, że ciało zawieziono do Poznania, w Wolsztynie mówiono, że zbadali je najlepsi tamtejsi lekarze, bardzo starannym oględzinom poddano również całe „pogańskie uroczysko”, policja odwiedziła wiele okolicznych wiosek, gdzie funkcjonariusze zarekwirowali dziesiątki sierpów.

– Mówi się, że dziewczynie niemal odcięto głowę i że prawdopodobnie użyto do tego sierpa. Podobno policja potrafi po śladach znaleźć ten, którym to zrobiono – poinformował go aptekarz Alojzy Lewandowski, którego spotkał przy kaplicy.

Franciszek nie bardzo w to wierzył, ale gdy następnego dnia spotkał Bogusława, nakazał mu, aby jeszcze tego samego dnia odwiedził Stefana i wraz z nim utopił jego sierp w jeziorze.

Pogrzeb odbył się kilka dni po znalezieniu zwłok, a dwa dni wcześniej dowiedzieli się, że weźmie w nim udział sam August kardynał Hlond, prymas Polski, metropolita gnieźnieński i poznański. Franciszek podtrzymywał go, gdy ten ze srebrnego talerza rzucał ziemię na trumnę, która dopiero co spoczęła w głębokim dole, ale prymas nawet na niego nie spojrział.

Franciszek znalazł się wówczas blisko hrabiny Michałowskiej. Dzieliło go od niej może pięć metrów, ale nawet z tej odległości czuł jej rozpacz. Stała ubrana w czarny płaszcz, w czarnym toczku nasuniętym na głowę, a jej twarz skrywała czarna woalka. Hrabia Stefan Michałowski podtrzymywał ją niezgrabnie i Franciszek pomyślał wówczas, że jest dla niej za słabym mężczyzną, że to w niej jest siła i upór. Trochę się wówczas tego uporu przestraszył.

Na odbywające się w pałacu pogrzebiny nie został zaproszony, ale przyjął to z ulgą, choć żał mu było, że nie mógł posłuchać kardynała Hlonda. Jego wygłoszona nad grobem Marychny mowa zdała mu się piękna i wzruszająca, ale ciekaw był jego poglądów politycznych. Nosił w sercu odczytany dwa lata temu we wszystkich kościołach w Polsce specjalny list prymasa, w którym ten wprawdzie wzywał do traktowania Żydów jak bliskich i sąsiadów, ale jednocześnie uznawał ich za propagatorów ruchu bolszewickiego, pornografii, dopuszczania się oszustw, lichwy oraz handlu żywym towarem. Stwierdzenie prymasa Hlonda, że Żydzi są „awangardą bezbożnictwa, ruchu bolszewickiego i akcji wywrotowej”, zapisał sobie w dzienniku, a podczas kazań i lekcji religii wielokrotnie przytaczał słowa głowy polskiego Kościoła katolickiego, że młodzież polska powinna trzymać się z dala od antychrześcijańskiej kultury żydowskiej.

To mój sojusznik. Zrozumiem mnie, a ja zrozumieję jego. Moje Dzieło przypadnie mu do gustu, pomyślał teraz i poczuł, że ciężar spadł mu z serca. Szybko jednak uświadomił sobie, że na Ostrowie Tumskim może stanąć przed obliczem biskupa Walentego Dymka. Uczestniczył w rozmowie z nim ledwie cztery miesiące wcześniej podczas jego wizyty w Wolsztynie i poglądy prepozyta nie przypadły mu do gustu.

Wytoczyli się z lasu i Franciszek pomyślał, że chętnie jeszcze raz zajrzyłby do Bogusławowej butelki. Ten jakby wyczuł jego myśli, bo sięgnął po flaszkę i podał mu ją bez słowa. Kwadrans później zatrzymali się pod skromnym budynkiem parafii księdza Jerzego.

– O jedno was, Bogusławie, proszę. Was oraz Stefana i Józefa. Żądam właściwie: miejcie baczenie na Żydów. Oni wyjeżdżają, ale wrócą. Wielką ławą wrócą, a wtedy będą was chcieli przegnać z waszej ziemi. Przekazujcie tę prawdę innym, ale czyńcie to dyskretnie. Wrócę uposażony przez Ojca Świętego, a wówczas zaczniemy robić porządek w Wolsztynie i całej Wielkopolsce, a później, kto wie, może jeszcze dalej.

Chciał uścisnąć Bogusława, ale nagle się zachwiał i gdyby nie pomocna dłoń sługi, upadłby na rozmiękłą po niedawnych deszczach ziemię.

– Nienawykły ksiądz do alkoholu. Niech ksiądz szybko z tego Rzymu wraca – powiedział Świdorski i ucałował wyciągniętą dłoń.

Rozdział 34

BORUJA, LIPIEC 2018

Gdy samolot wreszcie wylądował, była 22.30 i Rafał Terlecki po raz nie wiadomo który sięgnął po swój smartfon, aby po chwili odrzucić pokusę. Przy pożegnaniu pułkownik Andrzej Zakrzewski nalegał, aby włączył telefon dopiero po wyjeździe z Poznania, a swoją prośbę powtórzył jeszcze w Turanju, gdy Rafał opuszczał parking pensjonatu U Nives.

– Proszę zachowywać się racjonalnie i ostrożnie. Po co mają pana namierzyć, wiedzieć, gdzie pan był? Wiem, że chciałby się pan już zalogować, rozumiem to, ale zapewniam, że nic ważnego się nie stało. Gdyby było inaczej, Wiesław natychmiast dałby mi znać – powiedział, ściskając mu dłoń.
– Jeszcze tylko kilka godzin. Więc bardzo proszę, to kwestia pańskiego i mojego bezpieczeństwa.

Dziennikarz uważał tę ostrożność za przesadną, ale uznał, że pułkownik tak bardzo mu pomógł, tak mocno zaangażował się w jego śledztwo, że jest mu to winien. Choćby za to, może przede wszystkim za to, że uwolnił jego ojca od podejrzeń. Po raz kolejny położył dłoń na skórzanej torbie, w której spoczywała kopia akt „Operacji Wezery”.

Gdy stewardesa otworzyła wreszcie drzwi samolotu, przepchnął się w ich kierunku, wzbudzając głośno wyrażane niezadowolenie kilku pasażerów. Zdawał sobie sprawę, że zachowuje się niekulturalnie, ale jego cierpliwość była na wyczerpaniu. Chciał jak najszybciej wsiąść do samochodu i ruszyć do Borui.

Kiedy szedł na parking, przypomniał sobie – dopiero teraz! – że zaraz po wylądowaniu w Zadarze odrzucił połączenie od Anastazji i jego niepokój jeszcze wzrósł. Po raz kolejny zerknął na telefon.

Gdy tylko minął zjazd na autostradę, wreszcie włączył smartfon. Po chwili załało go kilkadziesiąt kliknięć nadchodzących powiadomień, więc w Komornikach zjechał na parking przy zamkniętym o tej porze Lidlu. Drżącą ręką chwycił telefon i zaczął czytać. Już chciał zadzwonić do córki, gdy zdał

sobie sprawę, że zbliża się północ. Zapalił papierosa, trzeciego po wylądowaniu, i teraz już spokojniej zaczął przeglądać wiadomości na WhatsAppie. Większość stanowiły memy wyśmiewające szefa rządu i jego idiotyczne wypowiedzi, ale tym razem nawet się nie uśmiechnął. Wiadomości od córki było kilka, ale nie dostrzegł w nich nic niepokojącego. Odetchnął z ulgą. Obszedł samochód, dopalając papierosa, a potem ruszył w kierunku Borui. Gdy wreszcie minął Stęszew – przez kilka kilometrów musiał wlec się za kawalkadą ponadwymiarowych ciężarówek transportujących elementy do budowy wież wiatrowych – zaczął planować dalsze posunięcia.



Rano przeczytał kilkanaście ostatnich informacji oraz tekstów publicystycznych opublikowanych na najważniejszych portalach internetowych i odpowiedział na kilka najważniejszych maili. Zajęło mu to ponad godzinę, a później zadzwonił do redakcji. Przez dwa kwadransy rozmawiał ze swoim szefem, a następnie zjadł lekkie śniadanie. Chciał zadzwonić do Anastazji, ale o tej porze była zapewne nieosiągalna, więc wybrał numer Ewy. Rozmowa nie była miła, matka jego córki miała dość mieszkania w podwarszawskim lesie i codziennego dojeżdżania do banku w centrum miasta. Skończył rozmowę w chwili, gdy do furtki zbliżał się Borsuk.

– Wszystko dobrze?

– Tak, nic się tutaj nie działo, nikt się do ciebie nie włamał. Wyjazd był owocny? – Borsuk rozsiadł się w fotelu, cały czas spoglądając w kierunku drogi i jeziora.

– Bardziej, niż się spodziewałem. Jadę do Wolsztyna, mam kilka spotkań, wrócę po południu. Mogę dać ci teczkę? Jest bardzo ważna, ważniejsza niż wszystko, co ci wcześniej zostawiłem. Pilnuj jej. Później zrobię skan – powiedział i wręczył Borsukowi torbę z materiałami od pułkownika Zakrzewskiego.

Czterdzieści minut później udało mu się znaleźć wolne miejsce parkingowe przy Roberta Kocha w Wolsztynie. Przed wojną ulica nosiła nazwę Biała Góra, a w sierpniu trzydziestego dziewiątego, osiem miesięcy po śmierci Romana Dmowskiego, ochrzczono ją imieniem przywódcy endecji. Ta nazwa obowiązywała oczywiście tylko do wybuchu wojny, zaledwie dwa tygodnie. Zbyt krótko, aby ktoś mógł to zapamiętać.

Niestety, proboszcz znowu był nieobecny, odwiedzał właśnie chorych w szpitalu, ale tym razem gospodyni przyjęła go życzliwiej.

– Z tego, co wiem, to świętej pamięci ksiądz Franciszek jeszcze przed wojną wyjechał na kilka miesięcy, podobno do jakiegoś klasztoru, chyba we Lwowie, ale pewna nie jestem. Tak mówiono. Może ksiądz proboszcz będzie wiedział? A później, zaraz we wrześniu trzydziestego dziewiątego, wywieźli go do obozu koncentracyjnego. Niemcy znaczy się. Tam biedaczysko zginął.

Kobieta wytarła ręce w fartuch i sięgnęła po wypełnione wodą plastikowe wiadro. Rafał był szybszy.

– Awaria wody. Znowu coś naprawiają – wyjaśniła i wprowadziła go do dużej, skromnie urządzonej kuchni.

– Proboszcz powinien kupić pani zmywarę.

– Co mi po zmywarce, jak nie ma wody? To zresztą zbytek. Kiedyś ludzie nie mieli zmywarek i żyli – fuknęła, a Rafał zdał sobie sprawę, że jego próba zdobycia sympatii gospodyni odniosła odwrotny skutek. Odebrała jego słowa jako krytykę proboszcza.

Mimo to zaparzyła mu kubek herbaty i po długich namowach pozwoliła zejść do piwnicy. Terlecki jeszcze raz przejrzał karton po księdzu Franciszku, ale nie znalazł niczego ciekawego. W kuchni resztką herbaty próbował zlikwidować piwniczny kurz w gardle. Nagle poczuł wibrujący w kieszeni telefon.

– Koło mleczarni przy stacji benzynowej jest knajpa. Jeśli dobrze pamiętam, a wiesz, że nigdy się nie mylę, otwierają o dwunastej. Przynajmniej przez godzinę powinna być pusta, później schodzą się tam na obiad emerycy z osiedla. Pasuje?

Bartek powiedział to tak cicho, że wchodząca do kuchni z kolejnym wiadrem wody gospodyni niemal zagłuszyła jego słowa. Okazało się, że ksiądz proboszcz ma właśnie jakiegoś gościa, ale zgodził się przyjąć Rafała o piętnastej.

– Po obiedzie lubi sobie uciąć drzemkę. – Kobieta uśmiechnęła się porozumiewawczo, gdy Rafał wziął wiadro z jej ręki i umieścił na stojącym w rogu taborecie.

Pasowało mu to, spotkanie z Bartkiem było teraz pilniejsze, a chciał jeszcze podjechać pod liceum, gdzie w kamienicy urządzonej w dawnym

budynku internatu mieszkał nauczyciel historii, którego poznał na szkolnym zjeździe.

Usiedli z dala od niewielkiego baru, narażając się na gniew otyłej kelnerki.

– Cały lokal pusty, a panowie siadacie na drugim końcu sali – ofuknęła ich bez cienia uśmiechu.

Przyjęli połajankę z pokorą, ale pozostali na swoich miejscach. Gdy odeszła, zaczęli się śmiać.

– Pamiętasz to, pamiętasz? Od naszej ostatniej imprezy w Kaukaskiej minęło ze czterdzieści lat...

– Pewnie trzydzieści sześć – poprawił go Rafał.

– A kelnerka zachowuje się, jakby ją wczoraj odmrozili. Poczułem się jak źrebaczek. Dam jej za to napiwek. – Bartek Nowicki śmiał się serdecznie. –

A pamiętasz tę wycieczkę do Krakowa w osiemdziesiątym pierwszym? Zachowaliśmy się jak debile, zamiast zwiedzać Wawel, a nigdy wcześniej tam nie byłem...

– Ja też nie. Chyba po raz pierwszy zobaczyłem go pod koniec lat osiemdziesiątych – przyznał Rafał.

– Tymczasem jeden dzień spędziliśmy na meczu Wisły z Górnikiem Zabrze, a drugi w knajpie na Starym Rynku.

– Żłopiać żywca... Ale Sukiennice zobaczyliśmy. Choć jakby lekko zamglone.

Przez kilka minut, jak przy każdym spotkaniu, wspominali dawne czasy, ale w końcu przeszli do rzeczy. Rafał streścił Bartkowi zawartość teczek „Operacja Wezery”. Przyjaciel słuchał go uważnie, co chwila z niedowierzaniem kiwając głową.

– Jesteś pewien, że te czeczki są prawdziwe? – zapytał na koniec.

Terlecki przeczytał wiele esbeckich dokumentów, więc bez wahania potwierdził. I powiedział, że teraz skupi się na przeszukiwaniu akt zgromadzonych w Krajowym Rejestrze Sądowym i dostępnych w innych źródłach.

– Muszę odtworzyć dalsze losy Skibniewskiego. Potwierdzić twoje informacje z lat osiemdziesiątych, ale przede wszystkim dowiedzieć się, jak budował swoje imperium już w wolnej Polsce, jakie miał powiązania z esbecją. Wydaje mi się, że mam go na widelcu.

– Jak to udowodnisz, to prezes wszystkich prezesów cię ozłoci, to przecież kwintesencja jego naczelnej tezy o „układzie”. Ale uważaj, Skibniewski to niebezpieczny człowiek. I ma wiele do stracenia. Dobrze ukryłeś córkę? – Nowicki nagle spoważniał.

Rafał przytaknął, a później zaczął opowiadać o pamiętniku Franciszka znalezionym w parafialnej piwnicy. Gdy skończył, przyjaciel zapytał go, czy dostrzega jakiś związek między Voluntatem Dei i Skibniewskim, ale Rafał bezradnie rozłożył ręce.

– Pułkownik twierdzi, że z oczywistych względów taki związek jest niemożliwy. Wydaje mi się, że ma rację. Ale nie podoba mi się to morderstwo sprzed dwóch lat, jest tam wiele elementów podobnych do poprzednich zbrodni. Czytałem akta. Wydaje mi się, że policja chciała szybko zamknąć śledztwo, że nie interesowali się niczym poza człowiekiem, którego aresztowali, nie chcieli poszukać głębiej, znaleźć inspiratora.

– No, za ten wątek, za uderzenie w Kościół, to prezes wszystkich prezesów raczej cię posadzi, niż ozłoci. Nie znam tej sprawy, ale z tego, co pamiętam, chłopak został skazany na dwadzieścia pięć lat, więc jego wina nie budziła żadnych wątpliwości. – Bartek zapłacił rachunek. Tak jak obiecał, zostawił kelnerce kilkadziesiąt złotych napiwku, ale nadal była obrażona i ponura.

– Chyba dopiero wczoraj została odmrożona. Umknęło jej trzydzieści lat wolnego rynku – stwierdził Rafał.

Jeszcze przez chwilę rozmawiali przy swoich samochodach. Bartek obiecał, że znajdzie kogoś, kto wie coś więcej o morderstwie dziewczyny na działkach. Przyrzekł, że odezwie się najdalej w ciągu dwóch dni. Nim zatrzasnął drzwi swojej toyoty, kazał mu się upewnić, czy Anastazja rzeczywiście jest dobrze chroniona.

– Pamiętaj o tym. Nie lekceważ tego człowieka – powiedział poważnym tonem.



Terlecki trochę się już niecierpliwił. Minęła czternasta, do spotkania z proboszczem została mu niespełna godzina, a nauczyciel bez końca rozwodził się na temat swojego niedawnego pobytu na Sycylii. W tej chwili Etna i Palermo zupełnie nie interesowały Rafała.

– Panie profesorze, może mi pan coś opowiedzieć o Grzegorzu Trąbskim, tym mordercy z działek? Pan zapewne zna historię „pogańskiego uroczyska”, miejsca w dawnym parku Michałowskich, gdzie... – W końcu zdecydował się przerwać tyradę nauczyciela.

Zwrot „panie profesorze” trochę go śmieszył, Dawid Lewandowski miał tylko tytuł magistra, ale Rafał wiedział, że nauczyciele szkół średnich są na tym punkcie przeczuleni. Nie tak dawno, opowiadając jakąś szkolną historię, bardzo dobitnie przypomniła mu o tym córka.

– Mycielskich. Pałacu Mycielskich. My tu wolimy podkreślać, że to był majątek Mycielskich. Mycielscy byli znaczniejsi, ich majątki rozciągały się po całej Wielkopolsce, a przede wszystkim po Małopolsce i Galicji, byli spokrewnieni i skoligaceni z Radziwiłłami, Wiśniowieckimi, Potockimi, Tarnowskimi, Szembekami. No i dzisiaj ich nazwisko nadal brzmi dostojnie, za to Michałowskich dość pospolicie. – Nauczyciel spojrzął zza grubych szkieł swoich okularów. Rafał pomyślał, że do pełni obrazu szacownego przedwojennego profesora szkoły średniej brakuje mu tylko bonżurki.

– Niech będzie, Mycielskich, to w tej chwili bez znaczenia – odpowiedział niecierpliwie.

– Nie docenia pan dumy mieszkańców małych miast z ich lokalnej ojczyzny, lokalnej historii. No, ale wy tam w tej Warszawie... Wracając do meritum. Widzi pan, panie Rafale, staram się tego tematu unikać. Mam lekkie wyrzuty sumienia...

Dziennikarz spojrzął na niego zdziwiony i wyraz jego twarzy nie umknął uwadze historyka.

– A tak. Bo jeśli jak pan twierdzi, są jakieś powiązania między tym morderstwem a wcześniejszymi, to niewykluczone, że to właśnie ja naprowadziłem Trąbskiego na ten ślad. Niewykluczone – oświadczył, wstając od stołu. Podeszedł do drzwi i sprawdził, czy są zamknięte. – Czasem, widzi pan, wiedza wywołuje niepożądane skutki. Prawdę mówiąc, nie tak znowu rzadko. Belferskie ryzyko. Mam niestety nieodparte wrażenie, że tak właśnie było w tym przypadku. Opowiem panu o tym.

Gospodarz podeszedł do kredensu, nalał sobie duży kieliszek wódki, natychmiast go opróżnił i nalał kolejny. Ten na szczęście postawił na stole. Rafał pomyślał, że w taki upał wódka w kredensie musi być bardzo ciepła.

– Proszę wybaczyć, że będę chodził. Wieloletnie przyzwyczajenia ze szkoły. Po latach człowiek dostrzega, że stał się ich niewolnikiem – oświadczył z przepraszającym uśmiechem.

Kilka lat temu, gdzieś pod koniec lat dziewięćdziesiątych, Dawid Lewandowski założył w liceum kółko historyczne. Piał się wówczas po szczeblach stopni zawodowych, chciał zostać nauczycielem mianowanym, więc zrobił to, co zasugerowała mu dyrektorka.

– Ale z czasem mnie to wciągnęło, żona mówiła, że nawet pochłonęło. No fakt, poświęcałem temu sporo czasu. Wie pan, nie ma znowu aż tak wielu młodych ludzi, których interesuje historia, dla nich teraz ważniejsza jest informatyka. A do kółka zapisało się wielu pasjonatów, więc...

– Grzegorz Trąbski też był pasjonatem historii?

Lewandowski zatrzymał się i spojrzał w okno. Zastanawiał się, jakby nigdy wcześniej tego tematu nie analizował, a potem nagle się odwrócił i kontynuował marsz po pokoju.

– Nie, chyba nie tak do końca. Zresztą przystąpił do kółka dopiero na początku drugiej klasy, może nawet w drugim półroczu. A gdy dyskutowaliśmy na temat Cezara, Karola Wielkiego, Bonapartego lub wojen siedemnastowiecznej Polski, nie sprawiał wrażenia szczególnie zainteresowanego. Ale już postacią Heinrich Himmlera, tak. Wie pan, kim był Himmler? – zapytał, ale natychmiast przepraszająco kiwnął dłonią. – No tak, oczywiście, pan wie, przepraszam.

Nieco skonfundowany znów sięgnął po kieliszek. Jeszcze raz spojrzał na Rafała, a gdy ten uniósł filiżankę z herbatą, wytrenowanym ruchem wlał wódkę do gardła. Okazało się, że postać Himmlera zainteresowała Trąbskiego, a później poświęcił wiele czasu procesowi Adolfa Eichmanna w Jerozolimie, przeczytał nawet jego wspomnienia drukowane w sześćdziesiątym pierwszym roku w „Polityce”.

– To swoją drogą dziwna historia. Jak polski tygodnik, wtedy jeszcze niewielki i niewiele znaczący zdobył pamiętniki Eichmanna, a nie udało się to „Spiegłowi” ani „Le Monde”? Do redakcji przyniósł je Daniel Passent, to wiadomo, ale jak je zdobył? – zastanawiał się przez chwilę, a później wrócił do swojej opowieści.

W dwa tysiące piętnastym roku Dawid Lewandowski postanowił cały semestr spotkań kółka historycznego poświęcić morderstwom popełnionym

przez stulecia w Wolsztynie. Chciał w ten sposób skierować uwagę uczniów na historię ich miasta, którą do tej pory omijali z daleka. Niektóre zajęcia były otwarte dla innych uczniów, zorganizowali nawet dwie debaty w szkolnej auli. Śladów szukali w starych czasopiśmie, książkach, we wspomnieniach mieszkańców, nawet w archiwach.

– Pionierska praca, świetny pomysł – powiedział Rafał z uznaniem, sprawiając profesorowi wielką satysfakcję.

Temat był trudny, pochłaniał dużo czasu, więc zaplanowane do końca semestru zajęcia rozciągnęły się niemal na cały rok szkolny.

– Temat brzmiał „Krwawa historia Wolsztyna”. Czego tam nie było! Nawet ja czułem się zaskoczony. Było o mordach we wczesnym średniowieczu, publicznych egzekucjach kobiet oskarżanych o czary, zbrodniach z miłości, sąsiedzkich porachunkach, w których ginęły całe rodziny, o morderstwach w afekcie, oczywiście o „rzeźniku” z Mariankowa i nawet o słynnym pod koniec lat siedemdziesiątych Józefie Plucie, którego moi uczniowie trochę dla Wolsztyna zawłaszczyli, choć ten podobno gdzieś tu w naszych okolicach krążył.

Gospodarz w zamyśleniu zapatrzył się w okno. Rafał wyobrażał sobie, że również podczas lekcji robi długie przerwy w swoich wykładach, czym musi irytować uczniów. Przypomniał sobie *Szatana z siódmej klasy*, choć oczywiście Lewandowski był młodszy od profesora Gąsowskiego.

– Zespół Trąbskiego natrafił na zbrodnie w parku, czy jak pan to nazywa, na „pogańskim uroczysku”. Nie pamiętam teraz, skąd się o tych morderstwach dowiedzieli, ale mówili o trzech przedwojennych oraz tych późniejszych, dokonanych w latach czterdziestych, pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. – Lewandowski znowu się ożywił.

Wiszący na ścianie stary zegar z kukułką zasygnalizował godzinę czternastą trzydzieści. Rafał wiedział już, że spóźni się na spotkanie z proboszczem, ale zlekceważył to. Ten ślad był naprawdę gorący. Co istotne, policyjne akta o nim nie wspominały. Wydało mu się to dziwaczne i kompletnie niezrozumiałe.

– Pierwsze zrelacjonowali pobieżnie, bo niewiele znaleźli informacji. Ale już kolejne, to z roku trzydziestego ósmego, przeanalizowali dokładnie. Trąbski bardzo starannie, powiedziałbym, że z aptekarską dokładnością, odegrał scenę podcinania gardła hrabinie. Tak dokładnie, że aż byłem zmuszony ten spektakl przerwać. Demonstrował to na swojej młodszej

koleżance, na scenie w auli zrobili nawet specjalną scenografię odtwarzającą „pogańskie uroczysko”, z wielkim zdjęciem dębu, takim naprawdę wielkim. – Profesor wziął kieliszek i podszedł do barku. Nim go napełnił jeszcze raz, odwrócił się do Rafała. – Jeśli chce pan zapytać, czy to była ta dziewczyna, której później w rzeczywistości poderżnął gardło, to nie. Nie ona. Tamta nie była uczennicą naszego liceum.

Rafał zapytał, czy profesor był w tej sprawie przesłuchiwany. Okazało się, że kilka dni po morderstwie w liceum zjawiał się młody policjant, chwilę rozmawiali, a potem nigdy już nie był wzywany ani przez policję, ani przez prokuraturę.

– Bałem się, że będę musiał zeznawać w sądzie, a trzeba panu wiedzieć, że nigdy nie miałem z sądem do czynienia. Koleżanki i koledzy wróżyli zainteresowanie kuratorium oświaty, ale nic takiego się nie stało. Na szczęście, bo ja przecież nie chciałem niczego złego, chciałem tylko rozwijać wśród swoich uczniów historyczną pasję – powiedział, po czym po raz kolejny napełnił swój kieliszek.

Rafał nie chciał już dłużej w tym uczestniczyć, więc zaczął się żegnać, tłumacząc, że zaraz ma kolejne spotkanie. W drzwiach nagle się odwrócił.

– Pan go znał, profesorze. Czy on rzeczywiście był do tego zdolny? Nie pytam, czy był zdolny do morderstwa. Pytam, czy był zdolny tak się zainspirować morderstwem sprzed osiemdziesięciu lat, że aż je później powtórzył?

Dawid Lewandowski bezradnie rozłożył ręce. Nie znał odpowiedzi.

Rozdział 35

WOLSZTYN, KONIEC CZERWCA 1939

Gdy pociąg rusza ze stacji w Grodzisku Wielkopolskim, Franciszek staje się niecierpliwy. Próbuje modlić się, czytając brewiarz, ale w końcu go odkłada, wychodzi na korytarz i otwiera okno. Chce poczuć zapach dojrzewającego zboża, ale wszystko spowija odór pary z parowozu. Ciągące się po horyzont żółknące łąny przywołują za to wspomnienia z dzieciństwa. Jeszcze raz wciąga powietrze, ale ma tylko niejasne wrażenie, że zapach jest inny niż ten z okolic Lwowa.

Spędził tam niemal osiem miesięcy i choć jest wdzięczny za to doświadczenie, to z radością wraca do Wolsztyna. Z radością zaprawioną niepokojem, choć jego zwierzchnicy zapewnili go, że nic mu nie grozi. Śledztwo w sprawie morderstwa Marychny Michałowskiej utknęło w martwym punkcie, komendant wolsztyńskiej policji został zaproszony na kolację na poznańskim Ostrowie Tumskim i po powrocie oświadczył podwładnym, że w dniu morderstwa wikary miejscowej parafii był w kurii, na co komendant ma niezbite dowody. Franciszek jest za to władzom kościelnym wdzięczny. List, który dwa tygodnie temu otrzymał od księdza Wacława Łuczaka, był bardzo optymistyczny, później przyszło jeszcze pismo z poznańskiej kurii formalnie nakazujące mu powrót do parafii Wniebowstąpienia Pańskiego w Wolsztynie.

Gdy pociąg zatrzymuje się w Rakoniewicach, Franciszek przypomina sobie proboszcza tutejszej parafii, księdza Jerzego Wachowicza. To u niego spędził pierwszą noc swojej tułaczki. Zastał go wówczas jeszcze nieśpiącego, czytającego jakąś książkę i chętnego do kontynuowania ich dawnej dyskusji. Długo w noc spierali się, gdzie leży większe zagrożenie dla umiłowanej ojczyzny. On wskazywał na Żydów, rakoniewicki proboszcz mówił o bolszewikach. Chętnie opowiedziałby mu teraz o swoich ostatnich doświadczeniach. We Lwowie nasłuchiwał się budzących grozę opowieści o bolszewikach i bezceństwach, których dopuścili się na Ukrainie, ale sporo miejsca poświęciłby też Żydom, którzy stanowili ich przedmurze, niszczyli

chrześcijaństwo, polską kulturę i tradycję. Lwów, w którym ludność żydowska stanowiła jedną czwartą mieszkańców, wydał mu się miastem nieomal będącym pod syjonistyczną okupacją.

Ksiądz prymas miał rację, w pełni miał rację, myśli, gdy pociąg rusza, wypuszczając z lokomotywy tumany najpierw czarnego dymu, a później białej pary.

Gdy dojeżdżają do Tłok, Franciszek zastanawia się, czy nie wysiąść na tej stacji i nie spotkać się z Bogusławem. Musi pilnie się z nim zobaczyć, obudzić go do działania, na nowo zmobilizować. Plan porwania, a później ukarania hrabiny Antoniny Michałowskiej ma już gotowy i jest przekonany, że tym razem na pewno się uda. Potrzebuje jeszcze trochę czasu, ale wszystkie założenia są gotowe. Teraz, gdy jak sądzi Bogusław, właśnie wróciłem z Rzymu, prosto od Jego Świątobliwości, nie będzie się przeciwstawiał. Nie odważy się, myśli.

W walizce ma listy adresowane do Bogusława, Stefana i Józefa, wszystkie podpisane przez Piusa XII, nowego, wybranego na początku marca, papieża.



Spotkają się dwa tygodnie później, na Kaffenbergu, ale nie na plaży, bo obawiają się, że w letni czas nawet późnym wieczorem mogą być tam letnicy wyjątkowo tłumnie w tym roku odwiedzający Wolsztyn. Wybrali niewielką polanę w sosnowym lesie, zaraz za cmentarzem ewangelickim. Opowiada im o Rzymie, o swoich wielokrotnych spotkaniach najpierw ze starym papieżem, a później z jego następcą na Piotrowym tronie.

– Dlatego zabawiłem w Rzymie tak długo. Pius Jedenasty życzył sobie, abym był przy nim w chorobie. Siedziałem więc przy łożu śmierci, obserwowałem konklawe, a później po wielokroć spotykałem się z Piusem Dwunastym. Mówiłem mu o was. Chcę wam teraz przekazać jego błogosławieństwo.

Franciszek wstaje z powalonego przez burzę drzewa, a oni klękają. *In nomine patris et filii et spiritus sancti. Amen* – recytuje, kreśląc nad ich pokornie pochylonymi głowami znak krzyża. Czuje, że to podniosła chwila.

Później opowiadają o wydarzeniach ostatnich miesięcy. Większość informacji zupełnie go nie interesuje, ale udaje, że słucha uważnie. W końcu,

gdy uznaje, że jego rozmówcy są już na to gotowi, pyta o hrabinę Antoninę Michałowską.

Po wyjeździe z Wolsztyna rozmyślał o niej bardzo intensywnie, przez wiele nocy objawiała mu się w snach. Przed oczami przewijały mu się jej czerwone usta, piękny biust, który tak go zafascynował, gdy spacerowała wśród chłopów zgromadzonych na dożynkach. Rozmyślał o długich, wypielęgnowanych palcach trzymających kieliszek w salonie wolsztyńskiego pałacu, ciemnych, krótko ostrzyżonych włosach i zawadiackiej grzywce wymykającej się spod toczka, gdy spotkali się w parkowej alei. I nogach w opiętych, jasnych bryczesach, gdy impertynencko siedząc na koniu, przedstawiała mu swojego mieszkającego na co dzień w Posadowie brata.

Chcę ją posiąść na oczach Bogusława, zniewolić pod dębem, a później ukarać, myślał, wijąc się na łóżku w lwowskiej parafii, na przemian dotykając swojego członka i noża, którym ugodził rozpustną Helenę.

Bogusław patrzy na niego i Franciszkowi zdaje się, że jego wzrok jest przepełniony strachem.

– Niewiele wiemy. Hrabina prawie się nie pokazuje. Po tamtym gdzieś podobno wyjechała, mówiono, że za granicę, ale niedawno wróciła. Ludzie z pałacu mówią, że cały czas jest pogrążona w smutku, cały czas rozpacza po stracie siostry.

– Ale jest już w Wolsztynie?

– Jest. Czasem jeździ konno po parku, czasem, choć rzadko, wyprawia się naokoło jeziora. Często widuje się ją w kaplicy, jak siedzi samotnie w pierwszej ławce zatopiona w modlitwie. Do pałacu zjechała też jakaś starsza matrona, która podobno opiekuje się hrabiną, bo hrabia został zmobilizowany, nieczęsto bywa teraz w Wolsztynie. – Bogusław powoli cedzi słowa. Nie patrzy na Franciszka, grzebiąc patykiem w leśnej ściółce.

Franciszek aż podskakuje. Informacja, że Stefan Michałowski trafił do wojska, to niezwykła okoliczność, więc w myślach dziękuje Bogu za opiekę i stworzenie jedynej w swoim rodzaju okazji. Oto zniknęła ostatnia przeszkoda, której jeszcze się obawiał. Wypytuje o służbę wojskową Michałowskiego, ale ani Bogusław, ani Stefan i Józef niczego więcej nie wiedzą.

– Czy Jego Świątobliwość nowy papież nadal nastaje... – Bronisław nie kończy pytania.

– Tak. Nasza praca ma być kontynuowana, musi zostać zintensyfikowana. Dostałem bardzo wyraźne rozkazy i one was też obowiązują. Wiedźcie jednak, że nie jesteśmy sami. Papież powołał swoją podziemną armię w całej Polsce. W odpowiednim czasie ta armia powstanie, oczyści naszą ojczyznę z Żydów, zła i zepsucia, a później poniesie sztandar odrodzenia po całej Europie. Ale zacznie się tutaj, u nas, w Wolsztynie. Na razie mam dla was zaświadczenia o tym listy od Piusa Dwunastego. Dostaniecie je teraz, ale pamiętajcie, aby nikomu ich nie pokazywać. Na razie nie, przyjdzie na to odpowiedni czas, a wówczas doświadczycie wielkich zaszczytów. Teraz ukryjcie je starannie.

Franciszek sięga do torby. Listy, napisane po łacinie, są kopią dawnych papieskich epistoł, które Franciszek przepisał z jakiejś książki o dziejach Watykanu. Wie, że nawet gdyby trafiły w niepowołane ręce, nie mogłyby stanowić żadnego dowodu. Za to dla tych trzech – nieumiejących czytać nawet po polsku i oczywiście nieznających łaciny – parobków są przepustką do lepszego świata. A jemu zapewniają ich całkowite posłuszeństwo.

Na razie jednak musi w swoich pomocnikach umocnić wiarę w to przedsięwzięcie. Przygotował się na to. Ma ze sobą *Wywód jedynowłasnego państwa świata*, reprint wydanej po raz pierwszy w tysiąc sześćset trzydziestym trzecim roku książki księdza Wojciecha Dębołęckiego.

– „Pewna rzecz jest, że biały orzeł niedługo znowu przez wszystkie światy skrzydła swe rozciągnie, gdy któryśkolwiek król polski albo akwitański Turki podbiwszy tron albo majestat świata z Polski do Syrii przeniesie i tamże go na górze Libańskiej, gdzie się był począł i stąd go tu do nas Polach, przodek nasz przyniósł, postanowi” – przeczytał głośno.

Niewiele z tego rozumieją, więc tłumaczy im słowa franciszkanina i pokazuje ryciny. Wie, że wywrą na nich wrażenie. Na wszystkich wywierają.



Plan jest prosty. Patriotyczne wzmożenie – wiosną ze wszystkich dzienników krzyczały ostrzeżenia o zbliżającej się napaści Niemiec na Polskę – spowodowało, że jeszcze we Lwowie Franciszek wymyślił zorganizowanie specjalnej mszy za ojczyznę. Odbywały się one w całym kraju, a on zaprojektował przeprowadzenie takiej w wolsztyńskiej kaplicy przylegającej do zakładu prowadzonego przez siostry zakonne, z udziałem wszystkich ich pacjentów. Kaplica jest oddalona od pałacu zaledwie o kilkaset metrów i Franciszek ma pewność, że siostrze przełożonej uda się namówić hrabinę

Tosię, jak o niej mówi, do udziału w tym patriotycznym przedsięwzięciu. Aby jeszcze bardziej ją do tego przekonać, planuje, że mszę odprawi ojciec Jacek Łakomy, przeor klasztoru Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej z leżącej niedaleko Wolsztyna Obry. Michałowscy są z nim zaprzyjaźnieni i darzą go wielką estymą, więc jest pewny, że hrabina nie odmówi udziału. A jeśli, jak się teraz okazało, Stanisława Michałowskiego nie ma w Wolsztynie, to realizacja planu będzie łatwiejsza, niż zakładał.



Minęło sporo czasu, nim Franciszkowi udało się wreszcie namówić siostrę Teodorę na zorganizowanie mszy za ojczyznę. Jej datę uzależniono jednak od odpowiedzi ojca Jacka Łakomego, więc na początku sierpnia wikary udał się do Obry. Niestety, okazało się, że przeor oblatów jest rozchwytywanym kaznodzieją, więc znalezienie wolnego dnia w jego terminarzu było trudniejsze, niż się spodziewał. Ostatecznie ustalono, że przeor obrzańskich oblatów przyjedzie do Wolsztyna dopiero za trzy tygodnie, dwudziestego trzeciego sierpnia. Msza została ustalona na godzinę osiemnastą, noc przeor miał spędzić w wolsztyńskim domu parafialnym, a wczesnym rankiem pociągiem udać się do Poznania w jakichś sprawach administracyjnych swojego zakonu. Franciszkowi nie pozostało nic innego jak poświęcić się nauczaniu dzieci z prowadzonej przez siostry szkoły paru patriotycznych pieśni, które miały być zwieńczeniem uroczystości.

Kilka dni później siostra Teodora przekazała Franciszkowi, że hrabina Antonina Michałowska zgodziła się uczestniczyć we mszy za ojczyznę w wolsztyńskiej kaplicy pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny.

– Dla hrabiny Toni to właściwie ostatni możliwy termin. Obawia się wybuchu wojny, a bliskość granicy z Niemcami skłania ją do wyjazdu w głąb kraju. Najprawdopodobniej udadzą się do Malinia koło Mielca, do majątku Ireny Mycielskiej, siostry hrabiny. Tam planują przeczekać wojnę – powiedziała siostra Teodora, gdy ksiądz skończył długą modlitwę przy jednej z umierających kobiet.

Poświęcał jej ostatnio dużo czasu, była żoną Konstantego Pałkowskiego, z którym od dawna żył w przyjaźni. Jeszcze nie tak dawno podawała na ich niedzielne obiady znakomitą kaczkę z pyzami, dziś leżała całkowicie bezwolna, zżerana przez raka.

Franciszek słyszał o planowanym wyjeździe Michałowskich, całe miasto o tym mówiło. Wojenna gorączka narastała z każdym dniem, rodziny wielu najbogatszych kupców już opuściły miasto lub miały to zrobić lada dzień. Uwolnieni od żon i dzieci mężczyźni spędzali w knajpach długie wieczory, pijąc i rozprawiając o możliwej wojnie. Dla wielu, zwłaszcza starszych, mających za sobą udział w wojnie światowej i dobrze zorientowanych w sytuacji za oddaloną zaledwie o piętnaście kilometrów granicą, oznaczało to prawdziwą katastrofę. Zdawali sobie sprawę, że dorobek ostatnich dwudziestu lat obróci się w perzynę, więc spieniężali wszystko, co się dało, i wymieniali polską walutę na złoto, a resztę przepijali. Młodszy, w miarę wlewanych w gardło kieliszków, wznosili buńczuczne okrzyki i rzucali groźby pod adresem zarówno Hitlera, jak i miejscowych Niemców, już teraz dzieląc między siebie ich majątki.

– Koniec z nimi, koniec! Czas oczyścić naszą ziemię z Niemców. Niech wracają do siebie! – krzyczał jakiś pulchny młodzieniec w zsuniętym na tył głowy i odsłaniającym łysą czaszkę kaszkiecie.

– Niech idą precz! Won z Polski! Marszałek Rydz-Śmigły pogna ich pod sam Berlin, a my z nim. My z nim! „My, Pierwsza Brygada, strzelecka gromada, na stos rzuciliśmy, nasz życia los, na stos, na stos” – zaintonował kolejny i pieśń poniosła się po restauracyjnych salach Grand Hotel Cafe, zakłócając spokój letnikom, licznie zgromadzonym w pokojach hotelowych. Podobnie buńczuczne nastroje panowały również w innych wolsztyńskich lokalach, gdzie w niemal każdy sierpniowy wieczór rozbrzmiewały okrzyki na cześć Wodza Naczelnego, prezydenta Ignacego Mościckiego i ministra Józefa Becka. Dominujące dotąd w Wolsztynie endeckie poglądy gdzieś wyparowały, wszyscy garnęli się pod narodowe sztandary, przestali odróżniać endeków od piłsudczyków, a nawet od socjalistów z PPS. Ludzie występujący na co dzień w mundurach nagle stali się bohaterami i herosami.

W pałacu nie podzielano tego optymizmu. Już na początku sierpnia hrabina Michałowska podjęła decyzję o wyjeździe, ale wciąż odwlekała ten moment. Jedną z przyczyn byli wczasowicze, którzy w tym roku zajęli wszystkie przeznaczone dla nich pokoje na parterze pałacu. Dodatkowo hrabina trafiła na niespodziewany sprzeciw starosty Kaczorowskiego, który zapewniał ją, że żadnej wojny nie będzie, i prosił, aby nigdzie nie wyjeżdżała, bo to tylko wzmoże panikę wśród mieszkańców. Wieczorami Antonina, siedząc w wyściełanym zielonym suknie fotelu, patrzyła na zawieszoną na ścianie mapę i z każdym dniem utwierdzała się w przekonaniu, że powinna wyjechać.

Jej ponury nastrój zniknął jednak rano, gdy do pałacu przywożono poznańskie gazety, a z publikowanych tam artykułów wynikało, że Polska jest gotowa na wojnę, gotowa przyjąć pierwsze niemieckie uderzenie, a później wspólnie z sojusznikami z Francji i Wielkiej Brytanii zamknąć niemiecką armię w żelaznym uścisku.

W połowie sierpnia napięcie w kraju było już tak duże, że ostatni letnicy zdecydowali się wyjechać przed końcem turnusu, a następnego dnia Antonina Michałowska odebrała telefon od Izabelli Tarnowskiej, kuzynki z Warszawy, pracującej w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

– Zaklinam cię, Toni, wyjedź. Wojna jest zdecydowana – oznajmiła.

To przeważało szalę. Rano w pałacu zaczęło się wielkie pakowanie, a już następnego dnia Michałowska nadała na pociąg do Mielca trzy pierwsze skrzynie z najcenniejszymi obrazami, w tym ze szkicem Rembrandta i płótnami Bacciarellego. Tego samego dnia wkroczyła do budynku poczty przy ulicy 5 Stycznia, aby podyktować telegram do swojej mieszkającej w Krakowie teściowej, która zgodnie z wcześniejszą umową miała pilnie przyjechać do Wolsztyna i objąć pieczę nad pałacem.

W następnych dniach z pałacu nadano jeszcze kilka kolejnych skrzyń i wyjazd Michałowskich stał się przesądzony, a interweniujący po raz kolejny starosta Kaczorowski uzyskał tylko tyle, że hrabina Michałowska zgodziła się opóźnić wyjazd o kolejne kilka dni oraz wyruszyć nie z wolsztyńskiej stacji, ale z małej stacyjki w pobliskich Tłokach. Stanowczo zastrzegła jednak, że na pewno wyjedzie przed pierwszym wrześniem.

Franciszek wiedział, że wyjazd hrabiny Michałowskiej jest nieunikniony i wieczorami żarliwie modlił się o odsunięcie tego terminu na dwudziesty czwarty sierpnia, rozmyślał też nad wcześniejszym porwaniem Michałowskiej. Niestety, wydawało się to niemożliwe. Podczas odprawiania wieczornej mszy świętej w poniedziałek dwudziestego pierwszego sierpnia głośno modlił się, aby najznamienitsi mieszkańcy Wolsztyna nie opuszczali swojego miasta.

Niewiele więcej mógł zrobić. Zastanawiał się nad złożeniem wizyty w pałacu, wszak kiedyś hrabina serdecznie go do siebie zapraszała, ale zaraz po powrocie proboszcz zabronił mu jakichkolwiek kontaktów z Michałowskimi.

– Oni nadal są w rozpaczce po śmierci Marychny, zwłaszcza hrabina. I zdaje się, że nadal księdza obwiniają. W każdym razie policyjne zapewnienia

niezupełnie księdza w ich oczach oczyściły. Mam nawet wrażenie, że po śmierci siostry hrabina trochę odsunęła się od Kościoła. Mówiono mi, że w ostatnim czasie widuje się ją w tym miejscu, w którym znaleziono Marychnę. Niektórzy twierdzą, że godzinami wpatruje się w drzewo, a są i tacy, którzy zaklinają się, że widzieli ją modlącą się do Meduzy i Fauna. Interweniowałem u niej w tej sprawie, prosiłem i tłumaczyłem, ale choć zaprzecza modlitwom do pogańskich bożków, to z wizyt pod dębem zrezygnować nie zamierza. – Proboszcz Łuczak z rezygnacją kiwał głową. – Dzisiaj o tym morderstwie nikt już w mieście nie mówi, ale wydaje mi się, że gdy wojenna zawierucha opadnie, będzie ksiądz musiał zmienić parafię.

– To niesprawiedliwe! – niemal krzyknął Franciszek.

Proboszcz pokiwał głową i bezradnie rozłożył ręce. Gdy nalał sobie kieliszek nalewki i usiadł w swoim ulubionym fotelu, powiedział jednak, że rozmawiał już w kurii o jego dalszych losach.

– Gdy tylko zwolni się miejsce, dostanie ksiądz probostwo. Żal mi będzie księdza wypuszczać, dobrze mi się z nim pracuje, ale od dawna ksiądz na to zasługuje – oznajmił z chytrym uśmiechem, biorąc mały łyk wiśniówki.



Franciszek spał zaledwie kilka godzin. Wieczorem długo krążył po pokoju i parę razy schodził do kuchni, aby napić się wody. Ale choć starał się pomijać skrzypiące stopnie schodów – przez lata poznał wszystkie tajemnice tego budynku – to widocznie nie bardzo mu to wychodziło, bo przechodząc obok pokoju proboszcza, usłyszał jego głośne, zniecierpliwione pochrząkiwanie. Położył się wówczas do łóżka i zmusił do snu.

Obudził się zaraz po czwartej, wyczuwając, że dzień będzie gorący. Ptaki już rozpoczęły swój świergot. Jeszcze przez niemal godzinę leżał w łóżku, rozmyślając nad swoim planem. Teraz, o świcie, widział wszystkie jego niedoskonałości. Uświadomił sobie, że hrabina może zaprosić do udziału w mszy kogoś z domowników, choćby ową opiekującą się nią obecnie matronę, teściową, która podobno właśnie zjechała do Wolsztyna, albo nową francuską guwernantkę niedawno ściągniętą tu z Paryża. Ich obecność zniweczyłaby cały plan. Oczywiście, trzech silnych parobków z łatwością poradziłoby sobie z każdą z tych kobiet, ale nie był pewien, czy Bogusław zdecyduje się na atak, jeśli hrabina nie będzie sama.

– A co jeśli Michałowska zaprosi na mszę wszystkie trzy kobiety? To możliwe, a nawet prawdopodobne. A wtedy wszystko przepadnie, zastanawiał się głośno.

Czuł pot oblepiający mu ciało i nie wiedział, czy to efekt emocji, czy ciepłego powietrza napływającego zza otwartego na oścież okna.

Gdy z ulicy zaczęły dochodzić pierwsze odgłosy budzącego się miasta – mimo strachu przed wybuchem wojny większość mieszkańców starała się żyć normalnie, przestrzegając swoich codziennych rytuałów – wstał z łóżka i poddał się porannym ablucjom. Kilka minut po piątej poszedł do kościoła, aby wyjednać u Boga powodzenie dla dzisiejszej misji. Modlił się do czasu, aż w świątyni pojawili się wierni gotowi na pierwszą tego dnia mszę.

Wczesnym popołudniem Franciszek pomaszerował do zakładu opiekuńczego, ale zamiast jak zawsze wstąpić najpierw do kaplicy, poszedł w kierunku pałacu. Między drzewami dostrzegł, że okna kuchni są szeroko otwarte, a dobiegający go hałas stanowił dowód, że wbrew obawom życie w pałacu biegnie z dawną ustalonym torem.

Nie wyjechała! Wszystko się uda, pomyślał i szybko zawrócił w kierunku kaplicy. Po drodze przyjrzał się platanom, sosnom i gęstym krzewom rosnącym po obu stronach wąskiej drogi. Po raz kolejny uznał, że idąc do kaplicy, hrabina nie dostrzeże ukrytych tu jego trzech pomocników.

Żona Pałkowskiego dobiegała swoich dni, od wczoraj jej stan zdrowia wyraźnie się pogorszył, więc Franciszek udzielił jej ostatniego namaszczenia. Później odwiedził wszystkie pozostałe sale chorych, a o szesnastej odbył z dziećmi ostatnią próbę śpiewu. Podczas wszystkich tych czynności nie potrafił się jednak skoncentrować, był rozkojarzony, jego myśli krążyły wokół hrabiny. Po raz nie wiadomo już który dziękował Bogu, że ona nadal jest w Wolsztynie.

Bóg mnie wspiera, moje działania są mu miłe, myślał i to go uspokajało. Teraz zyskał pewność, że wszystko się uda.

Bogusław ze swoimi współpracownikami miał uprowadzić zmierzającą do kaplicy hrabinę, odurzyć ją eterem – z jego działaniem Franciszek zapoznał się podczas pobytu we Lwowie – a później przetransportować na „pogańskie uroczysko”. Ksiądz zakładał, że idąc ostrożnie między chaszczami oddzielającymi pałac od miejskich zabudowań, znajdą się tam kilkanaście minut po osiemnastej. Będzie jeszcze jasno, ale to cieszące się ponurą sławą miejsce nie było odwiedzane o zmierzchu. Zwłaszcza po śmierci Marychny.

I wtedy, w cieniu dębów, Dzieło się dokona. Franciszek wykona wolę Boga, zemści się na hrabinie, a za jej pośrednictwem na wszystkich kobietach za ich rozwiązłość, nieposłuszeństwo wobec mężów i wobec Stwórcy. To kobiety – co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości – były bramą, przez którą do boskiego porządku wciskali się i Żydzi, i Niemcy, i bolszewicy tak dobrze teraz dzięki pobytowi we Lwowie rozeznani.

Deus lo volt! – zakrzyknął w duszy Franciszek i znowu poczuł nabrzmiewającą mu w spodniach męskość. Wsunął rękę pod sutannę, aby po raz kolejny upewnić się, że nóż, prezent od Bogusława, jest na swoim miejscu.

Przed siedemnastą, gnany niecierpliwością, udał się do kaplicy. Choć wszystko było już przygotowane, to jeszcze raz sprawdził kielich i patenę, klucz do tabernakulum, mszał oraz ewangeliarz, zlustrował zakrystię i poprawił przygotowany dla proboszcza ornat. Gdy ojciec Jacek Łakomy w towarzystwie proboszcza Łuczaka, wreszcie zjawił się w świątyni, on wymknął się na zewnątrz.

Do mszy pozostawało dziesięć minut, kościół był już niemal pełen, ale Antoniny Michałowskiej nadal w nim nie było. Jej miejsce w pierwszej ławce było puste. Gorączkowo rozmyślał, czy Bogusław, Stefan i Józef nadal czają się przy drodze, czy może przedzierają się już z omdlałą hrabiną na uroczysko. Gdy o tym pomyślał, jego ciało gwałtownie zadrżało. Spojrzał w stronę pałacu, ale niczego nie dostrzegł. Ruszył w kierunku miasta, aby ulicą Poznańską dotrzeć do rynku, minąć go, a później ścieżką prowadzącą nad samym jeziorem przedostać się pod dąb.

Był podniecony. Czuł suchość w gardle, pot spływający po karku i czole, drżenie rąk. Msza miała potrwać nieco ponad godzinę, a kolejną godziną miała zająć wizyta proboszcza i przeora oblatów w zakładzie opiekuńczym. Obaj w towarzystwie siostry Teodory mieli odwiedzić tych pacjentów, którym stan zdrowia nie pozwalał uczestniczyć we mszy. Długo namawiał do tego księdza Łuczaka, ale ten nie chciał się zgodzić. Uległ dopiero, gdy Franciszka wsparły siostry zakonne.

Wikary minął wolsztyńską synagogę, jak zawsze nie patrząc w jej kierunku, a później przeszedł wzdłuż ratusza. Niektóre okna okazałego budynku były otwarte, co oznaczało, że część miejskich urzędników nadal jest w pracy.

Pewnie przygotowują urząd do ewakuacji, pomyślał i zaczął się zastanawiać, czy w warunkach gorączki wywołanej zbliżającą się wojną

śmierć hrabiny wywrze odpowiednie wrażenie na mieszkańcach Wolsztyna. Ale teraz nic już nie mógł zrobić. Przyrzekł Bogu śmierć Michałowskiej i nie było takiej siły, która mogłaby go powstrzymać przed dotrzymaniem obietnicy.



Dociera na miejsce po kwadransie. Nikogo jeszcze nie ma, więc wchodzi między drzewa, gdy przypomina sobie niedawną rozmowę z księdzem Łuczakiem. Podchodzi do dębu, przy którym dokonywali Dzieła, patrzy na dwie wyrzeźbione twarze spoglądające na niego z wysoka. Jego wzrok przyciąga Meduza, której głowa wydaje się potężna, a oczy hipnotyzujące. Znowu czuje przeszywający go dreszcz i czym prędzej czyni znak krzyża, a potem, wystraszony, rozgląda się wokół. Przebłyскуюjąca między drzewami tafla jeziora wydaje mu się wyjątkowo nieprzyjazna.

Krzyża. Potrzeba tu krzyża, myśli, gdy zdaje mu się, że słyszy jakiś hałas. Czym prędzej chowa się w zaroślach. Ma nadzieję, że to niosący bezwolne ciało hrabiny Michałowskiej Bogusław, Stefan oraz Józef, więc od razu czuje podniecenie. Wyobraża sobie, jak uśpiona eterem Antonina leży na ziemi, jak zdziera z niej suknię, ugniata duże piersi i całuje czerwone usta...

Kręci mu się w głowie.

Po chwili wraca do rzeczywistości. Stoi oparty o pień drzewa, a wokół panuje cisza. Z trudem uspokaja oddech. Dotyka policzkiem drzewa i jego myśli płyną do wydarzeń z zimy trzydziestego trzeciego roku, gdy pod tym właśnie dębem, leżąc na ciele dogorywającej Heleny, doznał największej ekstazy w swoim życiu. A potem przypomina mu się spowiedź kobiety z początków jego bytności w Wolsztynie. „Czułam taką rozkosz, ona mnie całkowicie pochłonęła, nie umiałam się opanować, wyzwolić z tego. Oni zrobili ze mną wszystko... Jeden mnie ujeżdżał, a drugi się onanizował, na zmianę. I ja na to patrzyłam, to mnie jeszcze bardziej podniecało, bo nigdy wcześniej nie widziałam, jak mężczyzna sam się zaspokaja”.

Wraca do rzeczywistości w momencie, gdy trzech parobków niemal podchodzi do dębu. Są sami, bez Antoniny. Chwilę jeszcze tkwi w swojej kryjówce, ale gdy upewnia się, że nikt ich nie śledzi, wybiega do nich wściekły. Czuje, że z kącika ust sączy mu się ślina, która w ich oczach musi wyglądać jak piana. Prawą dłoń mocno zaciska na rękojeści noża, już gotowego do użycia. Nim zdoła wykrzyknąć pytanie, odzywa się Bogusław.

– Nie przyszła. Hrabina nie przyszła. Czekalim jeszcze długo po rozpoczęciu mszy, choć wiadomo, że hrabina się nie spóźnia. Mimo to czekalim – oznajmia bez cienia skruchy. Franciszkowi wydaje się, że słyszy w tych słowach skrywaną ulgę.

– To prawda. Nie przyszła – potwierdza Stefan, a Józef przytakuje machnięciem głową. Ci dwaj wydają się zawiedzeni.

– Po drodze tutaj spotkalim starego Ludwika, co to służy w pałacu. Powiedział, że państwo wyjechali do Poznania. Pociągiem, tym o piętnastej. Tyle, że z Tłoków. Ludwik ich tam bryczką odwiózł.

Przez chwilę Franciszek wierzy jeszcze, że może Antonina wyjechała tylko na chwilę, że wróci jutro lub pojutrze, ale w końcu dociera do niego brutalna prawda. Rzuca nóż na ziemię, a jego ramiona drżą spazmatycznie. Bezradnie rozkłada ręce, a później schyla się, porywa wbity w ziemię nóż i podbiega do dębu. Raz za razem wbija ostrze w drzewo, a potem, opadłszy z sił, zsuwa się na ziemię. Chce krzyknąć z wściekłości, ale z jego gardła wydobywa się tylko skowyt.

Patrzy w niebo z wyrzutem.

Rozdział 36

BORUJA, DRUGA POŁOWA LIPCA 2018

Wieczór był chłodny, a niebo zasnuwane chmurami, więc Terlecki wciągnął na siebie czarną bluzę z białym napisem „Wolne media”. Usiadł na tarasie z notesem i dużym kubkiem kawy oraz twardym postanowieniem skupienia się na morderstwie z dwa tysiące szesnastego roku. Chciał zapisać wszystko, co wiedział o Trąbskim, nie udało mu się jednak wypełnić notatkami nawet jednej strony. Sięgnął po kolejnego papierosa, ale ani nikotyna, ani kofeina nie poprawiły mu koncentracji, więc poszedł do kuchni i nalał sobie porcję bourbona. Już miał wracać na taras, ale jednak chwycił butelkę, dolał sobie whisky aż po rant i jeszcze przy lodówce wypił spory łyk.

Co go do tego pchnęło? – zastanawiał się intensywnie, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Kopia policyjnej teczki, którą dał mu Paweł Zdanowski, została u Borsuka, ale wydawało mu się, że pamięta wszystko wystarczająco dobrze. Morderstwo przypominało te z lat trzydziestych, ale różniło je miejsce zbrodni i modus operandi. Ksiądz zabijał „czysto”, wbijając nóż w serce, tymczasem Jolanta Guzikiewicz zginęła od kilkunastu uderzeń dużym kamieniem w głowę. Kamień leżał na półce nad starą leżanką, jego właściciele zachowali go jako pamiątkę wydobytą z ziemi w czasie robienia fundamentów pod budowę altany. Duża, być może nawet zasadnicza różnica. Tym bardziej zaskakująca, że morderca musiał mieć przy sobie nóż, skoro później – Terlecki chciał wierzyć, że zrobił to później – pozbawił ofiarę uszu, języka i oczu.

Rafał zastanawiał się nad tymi oczami, które przecież są umocowane na jakichś mięśniach, więc ich wycięcie musi być trudne.

Chwycił za telefon i zadzwonił do znajomej okulistki.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Jemy kolację. O co chodzi?

Postanowił się rozłączyć. Choć bardzo zależało mu na opinii lekarki, nie chciał rozmawiać o pozbawianiu człowieka oczu podczas posiłku, który

lekarka celebrowała zapewne w rodzinnym gronie.

– Mów!

– Czy wycięcie człowiekowi oka jest trudne?

– Nie dla mnie. – Doktor Marciniak udzieliła tej odpowiedzi z tak absolutnym spokojem, że Rafał natychmiast znowu sięgnął po swoją szklankę.

– W tym tygodniu zrobiłam to dwa razy. A co?

Rafał wyraźnie słyszał, że na czas rozmowy nie przerwała konsumpcji.

A więc pozbawienie człowieka oczu nie jest trudne. Okulistka rozwiązała jego wątpliwości.

– Jak znam życie, w internecie znajdziesz jakiś instruktażowy filmik, a najpewniej kilka. Ale gdybyś jednak musiał się pozbyć tych swoich ślicznych modrakowych ślipków, to zadzwoń. Zrobię to bardziej fachowo – poinformowała go, nadal coś jedząc.

Rafał podziękował za konsultacje i rozłączył się.

Nagle wykiełkowała mu w głowie pewna myśl. Zaczął gorączkowo kartkować diariusz księdza Franciszka. W końcu znalazł notatkę z sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku.

„Próbowałem wbić nóż w jej serce, aby przerwać ten straszny śmiech wydobywający się z jej gardła. Był okrutny i dziki, jakby zwierzęcy. Z powodu zdenerwowania, które całkowicie mną zawładnęło, nie trafiłem. Uspokoila się dopiero, gdy Stefan swoim sierpem poderznął jej gardło, a nas zalała jej tryskająca wszędzie krew. Stefan zrobił to z tak ogromną siłą, że gdy później podnieśliśmy jej martwe już ciało, aby przywiązać je do drzewa, głowa ledwo trzymała się korpusu”.

Być może w tym rzecz. Może Trąbskiemu też sprawy wymknęły się spod kontroli. Dziewczyna zaczęła krzyczeć, wpadł w panikę i zamiast sięgnąć po nóż, zabił ją leżącym na półce kamieniem, pomyślał, znowu sięgając po szklankę.

Rafał wyzbył się ostatnich wątpliwości. Trąbski, zabijając Jolantę Guzikiewicz, odtworzył morderstwo Marychny Michałowskiej z września trzydziestego ósmego roku, choć nie wszystko poszło po jego myśl. Nietrudno było wyjaśnić także zmianę miejsca zbrodni – w latach trzydziestych park był zamkniętą przestrzenią należącą do Michałowskich, więc groźba trafienia tam na postronnego świadka była znikoma. Teraz przez park miejski przewijało się dużo ludzi, Terlecki spotykał tam biegaczy, rowerzystów i przede wszystkim

spacerowiczów. Napisy wyryte na pobliskim pomoście widokowym świadczyły, że „pogańskie uroczysko” było chętnie odwiedzane przez młodzież, która spędzała tam wagary i doznawała pierwszych seksualnych uniesień.

Usiadł wygodniej i znowu sięgnął po szklanę. Patrzył na jezioro, w którym odbijała się jasna poświata księżyca. Gdy zapalał kolejnego papierosa, przypomniał sobie ostatnią rozmowę z pułkownikiem Zakrzewskim. Dojeżdżali do Turanja, do pensjonatu U Nives. Rafał opowiedział mu o morderstwie sprzed dwóch lat, zastanawiając się, czy ma jakiś związek ze Zdzisławem Skibniewskim. Pułkownik był sceptyczny, ale radził mu poszukać w przeszłości. „Przeszłość daje wiele odpowiedzi. Więcej, niż większość ludzi mogłaby oczekiwać” – usłyszał wówczas i aż się uśmiechnął na myśl, że na emeryturze agent peerelowskiego wywiadu zmienił się w filozofa.

Teraz okazywało się, że Andrzej Zakrzewski miał rację.



Dopijał bourbona, gdy usłyszał parkujący blisko furtki samochód. Silnik zgasł, potem dobiegło go odgłos cichego trzaśnięcia drzwiami. Wyteżył słuch, ale panowała cisza. W napięciu wpatrywał się w ciemność, a przez głowę przebiegła mu myśl, że siedząc w świetle tarasowej lampy, stanowił idealny cel. Zastanawiał się, czy Borsuk jest gdzieś w pobliżu. Sięgnął po smartfon, gdy dobiegł go głos Zdanowskiego.

– To ja, Paweł. Jesteś sam? Mogę wejść?

Odetchnął z ulgą, dopiero teraz zdał sobie sprawę, że przez kilkanaście sekund w napięciu wstrzymywał oddech. Wstał z fotela i podszedł do furtki. Zdanowski był ubrany w strój maskujący, w ręce trzymał foliową siatkę.

– Wracam z ryb i postanowiłem wpaść. Mam dla ciebie kilka ładnych płoci. Trochę się skradałem, ale pomyślałem, że znowu możesz mieć jakąś panienkę i tym razem nie chciałem przeszkadzać.

– Usiądź. Napijesz się?

Zdanowski kiwnął głową przyzwalająco, więc przyniósł szklanę wypełnioną lodem i niewielką ilością alkoholu.

– Widzę, że mimo wielu lat spędzonych w Warszawie zachowujesz poznańską szczodrobliwość. – Paweł podniósł szklanę do ust. – Śpię dzisiaj

w Borui, mam domek niedaleko tej dzikiej plaży. Ale nie martw się, w samochodzie czeka butelka. Jak śledztwo?

– Przyspieszyło. Jestem pewien, że w dwa tysiące szesnastym roku Trąbski odtworzył rytualne mordy księdza Franciszka, a konkretnie zabójstwo Marychny, młodszej siostry hrabiny Antoniny Michałowskiej. Pytanie, czy zrobił to z własnej woli, czy pchnął go do tego Skibniewski.

Zdanowski usiadł na leżaku, szybkim ruchem wlał w gardło pozostałą część whisky i spojrzał na Rafała. Gdy ten zaczął się podnosić, Zdanowski zatrzymał go ruchem ręki.

– Poczekaj. Czy to znaczy, że się nie wycofujesz? Mimo że twój ojciec...

– Nie. Nie będę mówił o szczegółach, ale ustaliłem ponad wszelką wątpliwość, że stary miał niewiele wspólnego z tymi łajdactwami, których dopuścił się Skibniewski. Po prostu był przez niego wykorzystywany. – Rafał wstał i ruszył do kuchni.

– Skibniewski i mój ojciec...

– Skibniewski i twój ojciec. Jego rola była w całym tym procederze znacząca. Brał udział w bardzo wielu porwaniach kobiet, właściwie należałoby powiedzieć, że to on kierował tą częścią operacji. – Rafał wrócił do stolika i sięgnął po papierosy, ale Zdanowski poprosił go, aby najpierw przyniósł butelkę.

– Wiem, przyznał mi się do tego przed śmiercią. Może miał wyrzuty sumienia? Może chociaż tyle.

Terlecki wrócił z butelką i kostkami lodu. Zdanowski zapalił papierosa.

– Mówiłeś coś o zawale – stwierdził, rozlewając alkohol.

– To teraz nieważne. Ile mam czasu?

– Ile masz czasu? – Rafał nie zrozumiał, o co może chodzić Zdanowskiemu.

– Do emisji reportażu. Pytam, bo potem rozpęta się piekło. Zapewne nie zdołam już sprzedać firmy, ale chciałbym jakoś zabezpieczyć swoich ludzi. Wiele im zawdzięczam. Gdy ojciec przepisał mi fabrykę, nic nie wiedziałem o produkcji mebli, o biznesie też. Skończyłem rolnictwo, a jedyne, co wtedy wiedziałem o meblach, to to, że aby kupić meblościankę i tapczan, muszę odstać swoje w kolejce przed meblowym lub dać komuś w łapę. Odstałem, nie lubiłem dawać łapówek. Do dzisiaj nie lubię.

– Jesteś idealistą.

– Może. Muszę zabezpieczyć ludzi, którzy mi wtedy pomogli. Wszystko im zawdzięczam, a obawiam się, że gdy sprawa wyjdzie na jaw, firma zostanie mi odebrana, może ją znacjonalizują. Jakkolwiek by na to patrzeć, ma przestępcze korzenie. Na jej czele postawią jakiegoś partyjnego funkcjonariusza i za rok nic z niej nie zostanie. – Zdanowski zdusił papierosa w popielniczce i sięgnął po szklanę.

Terlecki spojrział na niego z zainteresowaniem. Nie pomyślał o tym, nie wiedział nawet, czy to możliwe.

– A ty? Przecież nie miałeś z tym nic wspólnego, byłeś dzieckiem.

Zdanowski w milczeniu popijał whisky małymi łykami. Najwyraźniej krążył myślami gdzieś daleko, więc Terlecki zamilkł. Patrzył na jezioro, zastanawiając się nad konsekwencjami materiału, nad którym pracował. Za pięć dni – tak ustalili ze swoim szefem – do Wolsztyna miał przyjechać operator. Czekali ich wiele dni bardzo intensywnej pracy. W Warszawie wstępnie zaplanowali, że reportaż ma być gotowy do emisji trzydziestego pierwszego sierpnia.

– Wyjedziemy do Toskanii. Dwa lata temu kupiłem tam dom i trochę ziemi, między Florencją a Sieną. Dobre miejsce na emeryturę. Poradzę sobie, ale chciałbym pomóc moim ludziom. Dlaczego sądzisz, że Skibniewski jest zamieszany w to ostatnie morderstwo?

Terlecki nie odpowiedział. Nie dlatego, że nie chciał wtajemniczać dawnego licealnego kolegi w swoje śledztwo, nie dlatego nawet, że nie był pewien, czy w pełni mu ufa. Po prostu nie znał odpowiedzi na to pytanie. Nie miał na razie żadnych dowodów, tylko poszlaki i domysły. Czuł jednak, że Skibniewski maczał palce w tej sprawie.

– Gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, dałeś mi kopię teczek śledztwa w sprawie morderstwa na działkach, a później opowiedziałeś mi o Skibniewskim. Więc ty odpowiedz mi na to pytanie.

Zdanowski ostrożnie mieszał alkohol, a później, nie pytając o zgodę, sięgnął po leżące przed Rafałem papierosy. Zapalił i wydmuchał dym w stronę jeziora.

– Jolanta Guzikiewicz była kiedyś moją sąsiadką. Przed laty, zaraz po studiach i ślubie, wynajmowałem mieszkanie w bloku na Garbarskiej, nie chcieliśmy mieszkać ze starymi. To oczywiście była wtedy mała dziewczynka,

prawdę mówiąc, zupełnie jej nie pamiętam. Ale pamiętam jej rodziców. To byli porządni, mili ludzie. – Paweł dolał sobie kolejną porcję whisky.

Mieszkali na jednym piętrze, często się spotykali, zaczęli ze sobą rozmawiać, później czasem do siebie zaglądali. Ojciec Jolanty, Mieczysław, pracował w firmie transportowej Skibniewskiego. Był ochroniarzem, portierem, zajmował się drobnymi naprawami. Człowiek od wszystkiego, złota rączka.

Kiedyś zauważył dziwną prawidłowość – co jakiś czas wysyłano do Hiszpanii ciężarówkę, która przywoziła transport ceramicznych doniczek. Zawsze były rozładowywane w magazynie, a po kilku dniach na powrót ładowane i wysyłane do Hiszpanii.

– To się zaczęło w połowie lat dziewięćdziesiątych, ale trwało długo, może trwa do dzisiaj. Moim zdaniem Skibniewski w ten sposób przemycał narkotyki. Gdy Trąbski był już w liceum, zaczął bywać w firmie, a kiedyś Guzikiewicz spotkał go w posiadłości Skibniewskiego nad jeziorem. Przypuszczam, że Skibniewski wciągnął go do ich sieci dystrybucji w Wolsztynie. W każdym razie w mieście mówiło się, że handlował narkotykami. – Zdanowski opróżnił swoją szklankę i zdecydowanym ruchem postawił ją na stole. – A ten wciągnął Jolę do tego biznesu. Guzikiewicz przyszedł do mnie już po skazaniu Trąbskiego i tak mi to przedstawił. Wcześniej powiedział to policji, ale ta zupełnie się tym nie zainteresowała.



Skończyli pić kilka minut przed czwartą. Zdanowski z trudem wsiadł do SUV-a, dość sprawnie zawrócił na wąskiej drodze i powoli pojechał w stronę swojego wynajętego domku. Terlecki, który w ostatniej fazie trochę się oszczędzał, nalał sobie jeszcze małą porcję alkoholu i stanął na drewnianym pomoście, wpatrując się, jak słońce powoli wyłania się zza koron drzew. Zastanawiał się, czy Zdanowski ma rację i co handel narkotykami może mieć wspólnego z morderstwem wzorowanym na zbrodniczych czynach księdza Franciszka.

Franciszek zginął w Mauthausen-Gusen. Inaczej: „zginął męczeńską śmiercią katolickiego księdza w obozie koncentracyjnym”. Czy to nie unieważnia wszystkiego, nawet tamtych zabójstw? – zastanawiał się, a potem, w jakimś porywie bezsilnej złości cisnął nieopróżnioną jeszcze szklankę do jeziora.

Rozdział 37

WOLSZTYN, DRUGA POŁOWA LIPCA 2018

Budowa nowego dworca kolejowego trwała w najlepsze. Rafał Terlecki pamiętał, że w starym budynku był bar, którego rozmiary z powodzeniem pozwoliłyby na rozegranie finału ligi amerykańskiego futbolu, za to jadłospis ograniczał się do sałatki jarzynowej, bigosu i ciepłego piwa. Wspomnienie piwa spowodowało, że ślina napłynęła mu do ust. Nadal, mimo że po wstaniu z łóżka spędził w jeziorze niemal godzinę, czuł skutki wypitej w nocy whisky. Ważniejsze były jednak nowe informacje, choć cały czas zastanawiał się, dlaczego Paweł od razu nie powiedział mu, że Skibniewski zajmuje się przemytem narkotyków.

Powoli minął budynek dworca, a później skręcił lekko w prawo i wzdłuż torów pojechał w kierunku parowozowni, obok której stał budynek nastawni. Dochodziła dziewiętnasta, co oznaczało, że kończy się zmiana i Patryk Sosnowski za chwilę wyjdzie z pracy. Miał nadzieję, że uda mu się skłonić go do rozmowy.

Skierował go do niego profesor Dawid Lewandowski. Twierdził, że w szkole Sosnowski przyjaźnił się z Grzegorzem Trąbskim.

– Właściwie „przyjaźń” jest złym słowem. Trąbski go po prostu wykorzystywał, traktował jak swojego giermka. Patryk był dobrym uczniem, podobno często pisał za Grzegorza zadania domowe, na sprawdzianach podrzucał mu ściągę, odbębniał za niego wolontariat. Wie pan, taki klasyczny układ. Trąbski miał pieniądze, ubierał się w markowe ciuchy, jeździł rowerem za kilkanaście tysięcy złotych, później przyjeżdżał do szkoły włoskim skuterem, a w końcu alfą romeo. Patrykowi, który pochodzi z niezamożnej rodziny, to niestety imponowało. Dał się otumanić, nie on jeden zresztą, Trąbski był bardzo zręcznym manipulatorem. To morderstwo strasznie Patrykiem wstrząsnęło. Załamał się, miał depresję. W rezultacie nie poszedł na studia i zatrudnił się na kolei.

Rafał zaparkował samochód za stacją kontroli pojazdów i podszedł do parowozowni. Była to największa turystyczna atrakcja Wolsztyna. Wzdłuż torów stało kilka starych parowozów – jacyś zagraniczni turyści namiętnie fotografowali się na ich tle – ale dla miłośników kolei nie mniejszą atrakcją była wielka i z rzadka już uruchamiana obrotnica. Zapalił papierosa i przypatrywał się turystom. Wyglądali na zachwyconych i przejętych. Pomyślał, że powinni przyjechać na majowy długi weekend, na Dni Wolsztyna, gdy miasto opanowywali wielbiciel koleji z całego świata, a pokaz starych parowozów gromadził przy torach prawdziwe tłumy.

Wrócił myślami do wczorajszej rozmowy ze Zdanowskim. Po raz kolejny zastanawiał się, dlaczego Paweł ujawnił mu aferę ze Skibniewskim, choć wiedział, że może zostać trafiony rykoszetem. Nie znajdował odpowiedzi. Zapalając papierosa, z zazdrością pomyślał o domu Zdanowskiego w Toskanii. Sam też chętnie osiadłby w jakimś małym włoskim miasteczku, spędzał poranki w miejscowej knajpcie, rozprawiając o piłce nożnej, kolarstwie, turystach i rosnących z każdym rokiem cenach espresso. Może nawet zająłby się produkcją wina.

Wreszcie dostrzegł wychodzącego zza budynku młodego mężczyznę. Był ubrany w dżinsy i bluzę z napisem „New York City”. Wyrzucił niedopalonego papierosa i przeciął mu drogę.

– Pan Patryk Sosnowski? Jestem dziennikarzem, chciałbym z panem porozmawiać.

Ciemne włosy Sosnowskiego były lekko przetłuszczzone, a na jego twarzy mimo młodego wieku malowało się zmęczenie. Zatrzymał się gwałtownie i patrzył na niego wystraszony.

– O czym?

– O Grzegorz Trąbskim.

Sosnowski skulił ramiona. Terlecki czuł, że chciałby odmówić, ale nie miał żadnego doświadczenia w kontaktach z dziennikarzami i nie wiedział, czy może go zignorować. Nagle spojrzał na niego z ożywieniem.

– Pan jest z telewizji, teraz poznaję. To prawda, że pochodzi pan z Wolsztyna?

Terlecki potwierdził i poczuł, że niechęć chłopaka zaczyna topnieć. Znana z telewizji twarz często pomagała. Poczęstował kolejarza papierosem i powoli

ruszyli w kierunku dworca. Sosnowski szedł ze spuszczoną głową wpatrzony w bruk. Nie odpowiadał na żadne pytania.

To tyle w sprawie znanej gęby, pomyślał Rafał z goryczą.

Powoli dochodzili do dworca. Terlecki chwycił chłopaka za ramię, zmuszając, by się zatrzymał. Łagodnym tonem poprosił, aby Sosnowski po prostu opowiedział mu o swoim dawnym koledze.

– Nie wystąpię w telewizji, nie ma mowy. Pan stąd wyjedzie, ja zostanę. Chcę sobie poukładać życie i chcę, żeby o mnie zapomnieli.

W głosie kolejarza słychać było determinację. Stali naprzeciwko Rossmanna.

– Kto ma o panu zapomnieć? Przecież Trąbski dostał dwadzieścia pięć lat.

Zatrzymał się przed nimi czarny, mocno już sfatygowany volkswagen golf, z którego wydobywała się głośna, dudniąca muzyka. Wyskoczyła z niego ubrana w dżinsy i białą bluzę niewysoka blondynka. W uszach miała kilka kolczyków, dwa kolejne zdobiły jej nos, a spod bluzy wypełzał tatuaż. Gdy spojrzała na Terleckiego, jej oczy nagle się powiększyły.

– O kurde, gość z telewizji. Co pan chce od mojego Patryka? – Nim Rafał zdążył odpowiedzieć, dziewczyna teatralnym gestem klepnęła się w czoło. – Jasne, przecież nie zaprasza go pan do udziału w „Mam talent”. Na pewno chce pan gadać o Trąbskim! Powiedziałeś mu coś? – zwróciła się do swojego chłopaka.

Ten uparcie milczał, więc dziennikarz odpowiedział za niego i zrezygnowany odwrócił się i ruszył w stronę zaparkowanego za stacją obsługi samochodu.

– Powiedz mu! Naprawdę wszystko mu powiedz. To jedyny sposób. – Dziewczyna szarpała bluzę Patryka i potrząsała nim z całą siłą, na jaką było ją stać. A potem zwróciła się do Rafała: – On powie. A jak nie powie, to ja powiem. Wszystko! Skurwysyny złamały mu życie – oświadczyła zdecydowanie i spojrzała wyzywająco na Sosnowskiego. – Ale nie tutaj i nie dzisiaj. Jutro. Zadzwonimy do pana i umówimy się gdzieś poza Wolsztynem. Nie chcę, żeby ktoś widział, że Patryk z panem rozmawia.

Terlecki podał jej swoją wizytówkę i patrzył, jak wsiadają do samochodu i odjeżdżają w kierunku miasta, przecinając świeżo wymalowaną na jezdni podwójną ciągłą.

Wrócił do samochodu, miał jeszcze sporo do zrobienia, pojutrze musiał wysłać do redakcji scenariusz programu, a jak na razie miał w głowie mętlik. Po drodze wstąpił na stację BP i kupił kilka piw. Miał ochotę otworzyć jedno zaraz po wyjechaniu z Karpicka, ale z przyzwyczajenia schował papierową siatkę do bagażnika. Zastanawiał się, czy Sosnowski rzeczywiście zadzwoni. Chłopak był naprawdę wystraszony. Rozumiał ten strach. Przez lata Skibniewski wyrobił sobie opinię niezniszczalnego, powiązanego z każdą władzą, zawsze chronionego przed sprawiedliwością. Podczas ich pierwszej rozmowy Bartek Nowicki powiedział mu, że w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku wielu liczyło, że odsunięcie komunistów od władzy oznacza też kres Skibniewskiego. Kilku radnych wybranych w pierwszych wolnych i demokratycznych wyborach samorządowych zasadziło się na niego, bo dom, który postawił po drugiej stronie jeziora, w bezpośrednim sąsiedztwie brzegu, został wybudowany niezgodnie z prawem, ale szybko umilkli. Bartek twierdził, że część została przekupiona, a tych mniej skorych do kompromisu Skibniewski zastraszył.

Dojeżdżając do Błońska, zwolnił do czterdziestu kilometrów. Wiedział, że przy skręceniu na Komorówko często stoją policjanci z radarem. Mimo to funkcjonariuszka drogówki wyskoczyła na drogę i zdecydowanym ruchem nakazała mu zjechać na pobocze. Zatrzymał się przy radiowozie.

– Aspirant Anna Michalska, Komenda Powiatowa Policji w Wolsztynie. Proszę o dokumenty. – Głos drobnej szatynki brzmiał bardzo stanowczo. Wzięła prawo jazdy oraz dowód rejestracyjny i wróciła do radiowozu, a do Terleckiego podszedł postawny policjant dużo starszy od pani aspirant. Biała czapka skrywała łysą czaszkę. Kazał Terleckiemu otworzyć bagażnik, sprawdził, czy ma kamizelkę odblaskową i gaśnicę, a później spisał stan licznika. Dziennikarz w duchu błogosławił swoje lenistwo, bo gdyby zatrzymał się po drodze i wziął piwo z bagażnika, miałby teraz duże kłopoty.

– Widzę, panie Rafale, że piwko się wiezie. Będzie grill? Ale nie ma kiełbaski. Co pan właściwie tutaj robi?

Terlecki spojrzał na niego zaskoczony. Drogą przemknął motocyklista, Rafał oszacował, że jechał z prędkością nie mniejszą niż osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, ale policjant nawet nie spojrzał w jego kierunku.

– Jadę.

– Jest pan z Warszawy.

– Czyżby Wielkopolska wprowadziła dla mieszkańców stolicy zakaz poruszania się po swoim obszarze? – Terlecki czuł narastającą irytację.

Policjant nie odpowiedział i przesunął się na tył samochodu. Spojrzał na napisaną „solidarycą” naklejkę na tylnej szybie „Wolne media”.

– Po co ta demonstracja? Właściwie mógłbym zatrzymać panu dowód rejestracyjny, bo te naklejki ograniczają panu widoczność. To może być niebezpieczne, ale tym razem przymknę oko. Może pan jechać. – Ruszył w kierunku radiowozu, a policjantka podeszła i oddała mu dokumenty. Rafał miał wrażenie, że dyskretnym ruchem głowy wskazała tył jego bmw.

Gdy odjeżdżał, zauważył w lusterku wytaczającego się z bocznej drogi czarnego SUV-a. Potężne auto zatrzymało się przy radiowozie, ale nie widział, czy kierowca rozmawia z policjantami, widok zasłonił mu budynek dawnej szkoły. Zobaczył tylko, że wbrew obawom SUV – Terlecki był pewien, że to dodge escalade – nie pojechał za nim, tylko skręcił w kierunku Wolsztyna.

Coś mu się jednak w tej kontroli nie podobało. Wybrał numer Borsuka i zrelacjonował mu ostatnie wydarzenia. Komandos kazał mu się zatrzymać na leśnym parkingu przed Kuźnicą Zbąską, odejść kilka metrów od samochodu i poczekać na jego przyjazd. Spotkali się piętnaście minut później. Borsuk z latarką w dłoni obejrzał bagażnik, a później zewnętrzny błotnik.

– Zainstalowali nadajnik, chcą wiedzieć, gdzie jesteś. Zrób zdjęcie, może się przydać do reportażu.

Gdy Rafał klęknął za swoim samochodem, jego telefon zadzwonił. Numer nic mu nie mówił. Już chciał zignorować połączenie, ale ostatecznie odebrał.

– To ja, Julita, dziewczyna Patryka Sosnowskiego. Możemy się jutro spotkać w Mochach. Jest tam taka nowa restauracja, nazywa się Stara Mleczarnia. O jedenastej – usłyszał.

Chciał zapytać, czy dziewczyna przyjedzie z Sosnowskim, ale połączenie zostało zerwane.

Rozdział 38

WOLSZTYN, DRUGA POŁOWA LIPCA 2018

O tej porze Stara Mleczarnia była jeszcze pusta, a stojąca za barem kelnerka wydała się Rafałowi Terleckiemu mało przytomna. Spojrzała na gościa nieobecny wzrokiem i bez słowa podała mu kartę, ale zamówił tylko czarną kawę.

Wybrał stolik ustawiony daleko od wejścia, przy oknie, z którego widział parking. Salę ozdabiały duże czarno-białe fotografie zaświadczone, że kiedyś rzeczywiście mieściła się tu mleczarnia. Oglądał je z zainteresowaniem, śledzony znudzonym wzrokiem kelnerki.

Od wyznaczonej godziny spotkania minął już kwadrans, ale Rafał pocieszał się, że młode pokolenie nie przywiązuje specjalnej wagi do punktualności. Jego córka była tego najlepszym przykładem. Manipulując smartfonem, jeszcze raz upewnił się, że nie dostał żadnej wiadomości.

Już chciał zamówić drugą kawę, gdy usłyszał wysoki dźwięk silnika motocykla. Enduro, motocykl do jazdy terenowej, wjechał na parking. Terlecki patrzył na niego z zainteresowaniem, sam rozmyślał o kupnie takiego pojazdu, bo warszawskie korki coraz bardziej dawały mu się we znaki. Ubrany w biało-czerwoną skórzaną kurtkę, białe spodnie i czarne wysokie buty kierowca podjechał do jego bmw, wsadził kartkę za wycieraczkę i z rykiem silnika pomknął drogą w kierunku Wolsztyna.

Terlecki zerwał się z krzesła, chwycił notatnik i ruszył do drzwi.

– Rachunek, nie zapłacił pan za kawę! – usłyszał zdenerwowany głos nagle ożywionej kelnerki, więc wrócił i położył na ladzie dwudziestozłotowy banknot. Wybiegł z restauracji, ale nim dotarł do schodów, uświadomił sobie, że i tak nie dogoni motocyklisty. „Czekamy na pana na stacji kolejowej w Tłokach o siedemnastej. Tylko niech pan będzie sam” – odczytał nieco koślawe dziewczęce pismo.

To się młodzi naczytali kryminałów, pomyślał i wsiadł do samochodu. Przez chwilę zastanawiał się, czy motocyklistą był Patryk, czy też może

skorzystał z pomocy któregoś z kolegów, ale był przekonany, że sam pomysł zmiany miejsca spotkania wyszedł od Julity.

Stacja w Tłokach mieściła się w charakterystycznym dla dawnego zaboru pruskiego budynku z czerwonej cegły, położonym w pewnym oddaleniu od wsi. Teraz odgrywał on rolę domu mieszkalnego, a w jego sąsiedztwie stały niewielkie, rozpadające się domy i tylko świeżo wybudowany peron wskazywał, że zatrzymują się tu pociągi. Padał lekki deszcz.

Dziesięć minut po siedemnastej przy prowadzącej do stacji ulicy – Terlecki był pewien, że kamienie, którymi była wybrukowana, pamiętają jeszcze księdza Franciszka i wiozącego go wozem Bogusława – zatrzymał się czarny volkswagen golf. Nawet z tej odległości słyszał dudniącą muzykę, więc otworzył drzwi, ale kierowca mrugnął światłami i ruszył drogą prowadzącą do lasu. Minął przejazd kolejowy i zaparkował na poboczu leśnej drogi. Gdy do nich dojechał, Julita i Patryk przesiedli się do jego samochodu.

Patryk był ubrany w tę samą bluzę co wczoraj, ale tym razem naciągnął na głowę kaptur, a Julita miała na sobie džinsy i czarną bluzę z niebieskim logo NASA. Jej przedstawiający jaszczurkę tatuaż na szyi był dziś niemal niewidoczny.

– Przepraszamy za to zamieszanie. Chcieliśmy być pewni, że jest pan sam. Patryk wszystko powie, ale proszę niczego nie nagrywać. Nie ma pan chyba tutaj żadnej kamery? – Dziewczyna uważnie rozejrzała się po wnętrzu samochodu, szczególnie dużo uwagi poświęcając wewnętrznemu lusterku.

– Nie, to nie jest lustro weneckie. Nikt tam po drugiej stronie nie siedzi. – Terlecki pozwolił sobie na odrobinę sarkazmu.

– Ale z pana mądrała. Niech nas pan nie traktuje jak prowincjonalnych ćwoków. Coś mi się wydaje, że z Patrykiem w zawodach na znajomość nowoczesnych technologii poległby pan z kretesem. – Julita spojrzała na niego bez cienia uśmiechu.

To prawda, nie miał szans wygrać mistrzostw świata w informatyce. Cały czas wierzył, że później zdoła namówić Patryka do rozmowy przed kamerą, może ze zmienionym elektronicznie głosem i w maskującym kapturze.

– Przepraszam, to było głupie. Niech mi pan opowie o Trąbskim.

– Co mam panu opowiedzieć?

– Wszystko. Od razu się zaprzyjaźniliście, jeszcze w pierwszej klasie?

– Nie od razu. Chyba po pierwszym półroczu. Tak, to było jakoś tak zimą. Spodobała mu się dziewczyna z trzeciej klasy, taka wysoka blondynka, nie pamiętam już, jak się nazywała, na imię miała chyba Kasia. Trochę ją znałem, więc poprosił, żebym ich umówił. Sam nie miał śmiałości, wtedy jeszcze nie. Jakiś czas się spotykali, ale krótko... – Patryk mówił przez kilka minut i z jego opowieści wyłaniał się obraz zgrabnego manipulatora, który z równym powodzeniem owijał sobie wokół palca tak rówieśników, jak i nauczycieli.

– Mogę zapalić?

Terlecki przyzwalająco kiwnął głową. Nie lubił, gdy ktoś palił w jego samochodzie, choć sam robił to bardzo często.

– Grzegorz miał wszystko. Po pierwsze miał pieniądze, bo jego starzy byli lekarzami i zarabiali ich całe wagony. Po drugie był inteligentny, to naprawdę był, właściwie jest, człowiek niezwykle bystry. Już tylko to wystarczało, aby mieć na zawołanie tabuny dziewczyn. A do tego wszystkiego był jeszcze przystojny. – Patryk spojrzał na siedzącą z tyłu Julitę, szukając potwierdzenia swoich słów. Przytaknęła.

Terlecki przypomniał sobie przypadkowe spotkanie z jednym z nauczycieli Trąbskiego podczas pierwszych dni swojego pobytu w Wolsztynie. „Chłopak miał wszystko. Nie miał tylko rodziców” – usłyszał wówczas.

– Jak trafił do Zdzisława Skibniewskiego?

Sosnowski ostatni raz zaciągnął się papierosem i wyrzucił niedopałek przez okno.

– Któregoś dnia jechał tym swoim rowerem za dziesięć tysięcy wokół jeziora. Wtedy był na etapie „będę najlepszym sportowcem na świecie”. Dużo jeździł na rowerze, biegał, chodził na siłkę do Fala Parku, grał w squasha. Przy posiadłości Skibniewskiego wjechał na jakiś wystający korzeń, przewrócił się i mocno potłukł. Twierdził, że uderzył głową w drzewo i stracił przytomność. Dzisiaj myślę, że przesadzał, ale może... W każdym razie nie mógł już wsiąść na rower, więc zadzwonił do furtki. Skibniewski się nim zaopiekował, dezynfekował rany, założył opatrunek, zresztą podobno bardzo fachowo, i zadzwonił po pogotowie. Do kogo innego pewnie by nie przyjechali, ale do Skibniewskiego pędzili na sygnale. – Patryk sięgnął po kolejnego papierosa. – Jak wyzdrowiał, poszedł mu podziękować, zresztą na żądanie rodziców.

Spędzili wówczas ze sobą niemal dwie godziny. Skibniewski pokazał mu kolekcję szabel, opowiadał o swoich biznesach, pozwolił przejechać się świeżo odrestaurowanym porsche 911 z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku, wypytywał o szkołę i zainteresowania Trąbskiego. Grzegorz wyszedł od niego zachwycony. Przez kilka tygodni nie gadał o niczym innym, tylko o Skibniewskim. Zdzisiek to, Zdzisiek tamto... Autentycznie się nim zauroczył. Dwa razy w tygodniu grali w tenisa, wspólnie pojechali na narty do Krynicy.

Patryk otworzył drzwi i zaproponował, aby się przeszli. Deszcz nadal siąpił, ale chłopak był zbyt nakręcony, aby siedzieć w zamkniętej przestrzeni.

– Duszę się – powiedział.

Weszli do lasu. Sosnowski pograżył się we własnych myślach i Terlecki wystraszył się, że dobry nastrój do rozmowy minął, magiczna chwila prysnęła i jego informator znowu zamknie się w sobie. Spojrzał na Julitę, ale ta uspokajająco pokiwała głową.

– Skibniewski stał się całym jego światem. Oddalił się od nas, po lekcjach wskakiwał na swoją vespę i pędził do pałacu, jak nazywał posiadłość Skibniewskiego.

Znowu zapadła cisza. Po chwili Sosnowski przyznał, że Zdzisław Skibniewski rzeczywiście potrafił zauroczyć, że on sam również temu uległ.

– Też u niego bywałeś?

– Tak, często. Wprowadził mnie tam Grzegorz. Mnie i kilku innych chłopaków. Skibniewski poświęcał nam wiele uwagi. Często z nami dyskutował, zabierał na wycieczki, dużo o sobie opowiadał – przyznał niechętnie.

– Kiedy pojawiły się narkotyki?

Kolejarz spojrzał na niego zdziwiony, chyba nie przypuszczał, że dziennikarz wie coś na ten temat.

– Były od początku. To nie Skibniewski wciągnął go w narkotyki, Grzegorz brał już wcześniej. Gdzieś tak jesienią, pewnie po miesiącu od rozpoczęcia liceum, zrobił u siebie na chacie imprezę. Było pewnie pół klasy i kilka osób z równoległych klas. Jego starzy gdzieś wyjechali, alkohol lał się strumieniami. Nie uczestniczyłem w tym, ale wiem, że kilku chłopakom pokazał plik opieczętowanych recept. Wystarczyło wypisać nazwisko i nazwę leku, a później pójść do apteki.

– Dilował?

– Nie, rozdawał te recepty. Chciał zaskarbić sobie sympatię ludzi. I to mu się udało. Wie pan, takie wieści szybko się rozchodzą. Nagle stał się w liceum kimś ważnym, o jego względy zabiegali nawet uczniowie starszych klas.

Patryk wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i chciał poczęstować Terleckiego, ale ten odmówił. Nie znosił mentolowych.

– To kiedy zaczął dilować dla Skibniewskiego?

Zatrzymali się na skraju lasu. Przed nimi rozpościerało się sporych rozmiarów świeżo zaorane pole. Od czasu do czasu dobiegał ich szum samochodów jadących w kierunku Poznania lub Zielonej Góry. Julita, którą dotąd trzymała Patryka za rękę, przytuliła się do niego i Terlecki pomyślał, że wyglądają, jakby szykowali się do skoku z wysokiego klifu. Nagle chłopak odwrócił głowę i spojrzał na Terleckiego.

– Pan myśli, że najgorsze były narkotyki. Wszyscy tak myślą. A to nieprawda. Były gorsze rzeczy.



Opowieść Patryka Sosnowskiego brzmiała absolutnie niewiarygodnie. Terlecki zaczął podejrzewać, że ta para próbuje go w coś wkręcić, nie rozumiał tylko, jaki mają w tym cel.

– Patryk, on nam nie wierzy. Nikt w to nie wierzy. Jest taki sam, jak wszyscy inni. – Julita patrzyła na Rafała z mieszaniną nienawiści i pogardy. – Przestań, po prostu przestań.

– Nie, tym razem będzie inaczej. Musi być.

Najwyraźniej w chłopaku pękła jakaś tama, jakby wspomnienia sprzed kilku lat uwolniły skrywaną od dawna determinację.

Terlecki wyciągnął z kieszeni paczkę marlboro. Chciał poczęstować Patryka, ale okazało się, że tkwi w niej tylko jeden papieros.

– Ktoś może to potwierdzić?

Zastanawiał się, czy wydawca zgodzi się puścić reportaż nawet, jeśli Patryk wystąpi przed kamerą z kimś jeszcze.

Zapadła cisza. Stali na skraju lasu, tylko Julita klęczała na mchu, machinalnie łamiąc niewielkie gałęzie leżące w zasięgu jej rąk. Terlecki zauważył, że zgromadziła przed sobą spory kopczyk.

– Jeszcze jedna osoba musi to potwierdzić – powiedział Terlecki podniesionym głosem i dopiero po chwili zreflektował się, że ktoś może ich usłyszeć.

Sosnowski spojrział na Julitę. Wokół niej nie było już żadnych gałęzi, więc dziewczyna łamała teraz na mniejsze kawałki te zgromadzone wcześniej. Wydawała się całkowicie pochłonięta tą czynnością.

– Oni się boją Skibniewskiego. Wyjechali stąd, studiują, prawie do Wolsztyna nie przyjeżdżają. Gonzo wyniósł się do Irlandii – powiedziała cicho. – Może zapomnieli albo raczej wyparli to z pamięci. Wątpię, żeby chcieli do tego wracać.

– Juraś powie. On jeden powinien powiedzieć. – Wahanie w głosie Patryka było wyraźne.

Ruszyli w kierunku samochodów. Patryk wydawał się kompletnie wyzuty z sił, ta rozmowa musiała go wiele kosztować. Szedł, opierając się o Julitę, i Terlecki pomyślał, że ta dziewczyna być może ratuje go przed pogrążeniem się w jakiejś otchłani. Poczł do niej wiele sympatii i przypomniał sobie, że Ewa też kiedyś wyciągnęła go z takiej sytuacji. Ich związek nie przetrwał, ale za tamtą pomoc cały czas był jej wdzięczny.

Gdy doszli do samochodu Terleckiego, Patryk podyktował mu numer do Jurasia.

– Muszę to przemyśleć. Na razie nic nie rób. Zadzwoń jutro lub pojutrze. Jeszcze jedno. Czy waszym zdaniem Trąbski będzie chciał ze mną rozmawiać?

Chłopak pokręcił głową. Uważał, że jego dawny licealny kolega jest emocjonalnie zbyt mocno związany ze Skibniewskim, aby opowiedzieć o nim dziennikarzowi. Julita była innego zdania.

– On jest w sobie tak zakochany, że gotów oddać życie za występ w telewizji. Podobno więzienie zmienia człowieka, ale nic nie jest w stanie stłamsić jego miłości własnej. Powie wszystko. – Julita wydawała się całkowicie pewna swoich słów.

– A ta polana? Gdzie ona jest? Na drzewach muszą być ślady krwi. – Rafał nie był pewien, czy tak na pewno jest, ale miał nadzieję, że wilgoć nie zmywa krwi tak szybko.

Młodzi spojrzeli na siebie, jakby dotychczas nie brali tego pod uwagę.

– W Borui. To droga na Nowy Tomyśl, w Kuźnicy Zbąskiej musi pan skręcić w pierwszą polną drogę i minąć plażę. Jakies trzysta metrów dalej jest skręt w prawo, polana jest po lewej stronie, głęboko w lesie, na bagnach. – Patryk nagle się ożywił. Chyba uświadomił sobie, że znalazł wreszcie jakieś materialne potwierdzenie swoich słów. – Jedźmy tam, pokażę panu.

Terlecki pomyślał, że być może rozwiązanie zagadki cały czas było tuż pod jego nosem. Znał to miejsce z dzieciństwa, a w ostatnich tygodniach przejeżdżał obok niego dziesiątki razy.

– Dzisiaj jest już za późno, zaraz zacznie się ściemniać. Zadzwoń do ciebie jutro – zapewnił i wszedł do samochodu.



Pamiętał to miejsce. Trafili tam przypadkiem, musiało to być gdzieś w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych. Z młodszym bratem i kuzynką wybrali się wówczas z Tiną, rudym cocker-spanielem, na spacer wokół jeziora. I właśnie Tina, którą wbrew zakazowi rodziców spuścili ze smyczy, doprowadziła ich w to miejsce. Aby złapać psa, przedzierali się przez gęste chaszczce, aż wreszcie niespodziewanie zaczęli brodzić w bagnie. Kasia zapadła się w błoto aż po kolana i z trudem ją wówczas wyciągnęli. Nigdy nie przyznali się rodzicom do tej przygody. Trafili w to samo miejsce ze cztery lata później. Na nocnym polowaniu ojciec kuzynek oprawił zastrzeloną sarnę i zgubił wtedy ślubną obrączkę. Zbudził ich wówczas o świcie, podjechali na miejsce upchnięci w jego zielonym maluchu, ale mimo długich poszukiwań obrączka się nie znalazła.

Zatrzymał się na niewielkim leśnym parkingu i spojrzął w lusterko, zastanawiając się, czy to dobry pomysł. Dochodziła dwudziesta pierwsza, szacował, że za kilka minut zacznie zapadać zmrok, ale nie potrafił pohamować ciekawości.

W lesie było ciemniej, niż się spodziewał, i natychmiast pożałował, że nie ma ze sobą mocnej latarki. Zastanawiał się, czy po ponad czterdziestu latach ten teren nadal może być bagnisty, ale szczerze w to wątpił. Zdziwił się, gdy po trzystu metrach dostrzegł po lewej stronie kępę olch, bo z jego doświadczenia wynikało, że te drzewa rosną na podmokłym terenie.

Skręcił w tamtym kierunku. Nie pamiętał, aby była tu jakaś polana, ale przecież wówczas uciekali stąd w popłochu, a dziecięca wyobraźnia

podpowiadała im obrazy wyłaniających się z bagien potworów, leśnych strzyg i wiedźm na miotłach.

Terlecki odpędził wspomnienia i zaczął się rozglądać. Dostrzegł prześwit w koronach drzew i ruszył w tym kierunku, ale po kilkuset metrach zrozumiał, że zmylił drogę. Zawrócił, znowu zobaczył wyłaniający się sponad koron drzew prześwit nieba i skierował się w tamtą stronę. Poczuł, że bnie w wilgotnej mazi. Zatrzymał się wystraszony. Grunt pod jego nogami coraz bardziej się zapadał. Przeklął twierdzenia o ocieplaniu się klimatu i stepowieniu Wielkopolski. Ostrożnie zaczął się wycofywać. Po kilku krokach wydało mu się, że dno robi się nieco stabilniejsze.

Zmierzch zapadał coraz szybciej i Terlecki pomyślał, że powinien już skończyć ten wstępny rekonesans, gdy dostrzegł jaśniejszą poświatę, od której dzieliło go nie więcej niż trzydzieści metrów. Miał wrażenie, że znów się zapada, więc ze zdwojoną energią ruszył ku polanie. Woda sięgała mu kolan. Zwolnił. Szedł teraz ostrożnie, próbując stopami wyszukać twardsze kawałki gruntu, i chwycił się wiotkich gałęzi krzaków. Zdawał sobie sprawę, że jeśli bagno zacznie go wciągać, te gałęzie niewiele pomogą, ale na razie dawały mu poczucie bezpieczeństwa.

Wreszcie bagnisty teren się skończył, a od polany dzieliło go nie więcej niż dwadzieścia metrów. Doświadczenie nakazywało stawianie ostrożnych kroków, ale niesiony narastającą paniką zignorował to i szybko ruszył do przodu, ale potknął się o jakiś korzeń. Upadł, na szczęście wylądował na pokrytym trawą wysokim brzegu, więc szybko się podciągnął. Wstał. Dyszał ciężko, opierając się o gruby pień brzozy, i z żalem patrzył na swoje skórzane włoskie buty, które kupił w Mediolanie i które teraz do niczego się nie będą nadawały.

Było już naprawdę ciemno. Nie wiedział, gdzie dokładnie się znajduje i w którą stronę powinien pójść, aby wrócić do samochodu, omijając bagno. Gdy uspokoił oddech, zaczął się przyglądać pobliskim drzewom. Z kieszeni kurtki wyciągnął smartfon i włączył latarkę, ale na drzewach nie było żadnych śladów. Dopiero teraz zaczął się zastanawiać, jak długo krew może zostawić ślady w takim miejscu, narażona na działanie wilgoci. Przypomniał sobie Michała Kierskiego, naukowca, prezesa spółki biotechnologicznej, którego poznał, robiąc jakiś reportaż, ale telefon nie miał zasięgu, więc odłożył pytanie na później.

Już miał zamiar ruszyć w drogę powrotną, gdy omiół światłem polanę i na jej drugim końcu zobaczył zbity z desek solidny stół. Zdziwiony podszedł bliżej. Był to starannie wykonany z pomalowanych na czarno desek raczej postument niż stół. Stała na nim duża kamienna misa. Widywał takie w Hiszpanii i we Włoszech.

Ołtarz. Patryk nie kłamał, pomyślał.

Przeszedł go dreszcz. Nie był pewien, czy wywołał go powiew zimnego powietrza, czy groza tego miejsca. Ale był przekonany, że znalazł potwierdzenie opowieści Patryka Sosnowskiego, którą aż do tej pory uważał za niewiarygodną.



Dotarcie do samochodu zajęło mu ponad czterdzieści minut. Nie miał ochoty na ponowną kąpiel w bagnie, więc poświęcił sporo czasu na odszukanie leśnej drogi. Wiedział, że gdzieś tu jest, bo przed laty biegał tędy, skracając sobie drogę z Wolsztyna nad jezioro.

Wziął szybki prysznic, a później zasiadł na tarasie ze szklanką whisky – tym razem miał poczucie, że w pełni sobie na nią zasłużył. Zadzwoił do Michała Kierskiego, który mimo późnej pory odebrał. Z jego słów wynikało, że po dwóch latach nie znajdzie już na pniach drzew śladów krwi widocznych gołym okiem. Jeśli jednak posłuży się specjalną lampą, to powinien trafić na jej pozostałości.

– Natomiast na zidentyfikowanie DNA szansa będzie minimalna – zastrzegł.

Rafał odpalił komputer i korzystając z anonimowej skrzynki, wysłał maila do swojego wydawcy. Opisał mu dzisiejsze ustalenia i poprosił, aby do Wolsztyna wraz z operatorem wysłał jeszcze jednego dziennikarza. „Najlepiej Czarka. Jeśli nie jest na urlopie, niech rzuci wszystko i przyjeżdża. A jeśli wypoczywa na tych swoich Mazurach, to powiedz mu, że tu też będzie miał okazję pomoczyć kije” – dopisał. Pomyślał, że Czarek mógłby przyjechać z żoną, którą Terlecki uważał za świetną psycholożkę, a ktoś taki bardzo by im się teraz przydał.

Zbliżała się północ, ale mimo to zadzwonił do Pawła Zdanowskiego. Odebrał po piątym dzwonku. Z głosu wywnioskował, że już spał, więc na wszelki wypadek dwukrotnie poprosił go o kontakt do policjanta z Komendy

Powiatowej w Wolsztynie, który podobno gotów był coś opowiedzieć o kulisach śledztwa w sprawie śmierci Jolanty Guzikiewicz.

Już chciał wyłączyć komputer, gdy zobaczył, że dostał nową wiadomość. „Czarek jest na urlopie. Zadzwoń do niego, bo jak ja każę mu przerwać urlop, to mi później powie, że go mobbuje. Lampę do badania śladów krwi przywiozą. Uważaj na siebie” – przeczytał.

Miał ochotę na jeszcze jedną whisky, ale postanowił, że tym razem się powstrzyma. Rano chciał jeszcze raz pójść na polanę i dokładnie ją obejrzeć. Zamiast pić alkohol, zadzwonił do Anastazji. Córka lubiła przesiadywać w nocy i Rafał zdziwiłby się, gdyby o tej porze już spała. Przegadali ponad kwadrans.

Obudził go deszcz. Było kilka minut po szóstej, więc przewrócił się na drugi bok, ale nie potrafił już zasnąć. Wbił się w sportowe ciuchy i pobiegł w kierunku polany. Na jeziorze dostrzegł dwie łodzie, mimo siąpiącego deszczu wędkarze z determinacją uprawiali swoje hobby. Pomachał do kobiety z sąsiedniego domku, która siedziała na tarasie, pijąc poranną kawę ubrana w czerwony, niewiele zasłaniający pupę szlafroczek. Była apetyczną trzydziestoletnią szatynką i przez pierwszych kilkadziesiąt metrów biegu Terlecki zastanawiał się, czy pod szlafrokiem ma bieliznę.

W świetle dnia z łatwością odnalazł drogę i po dwudziestu minutach wbiegł na polanę. Przez chwilę łapał oddech – whisky i papierosy nie najlepiej korelowały z wysiłkiem fizycznym – a później zaczął dokładnie oglądać wyrosłe na brzegu polany brzozy. Michał Kierski miał rację, nie dostrzegł żadnych śladów krwi. Mimo to miał wrażenie, że nie tak dawno musiała tu być spora grupa ludzi.

To tylko wyobrażenia, zganił się w myślach, a mimo to był przekonany, że czuje w powietrzu przemoc i śmierć. Nie lubił tego, przed nikim się z tym nie zdradzał, ale z doświadczenia wiedział, że intuicja często udziela mu dobrych podpowiedzi. Choć kiedyś przeczytał, że to nie intuicja, tylko instynkt samozachowawczy, coś, co pozwoliło rodzajowi ludzkiemu przetrwać.

Podszedł do ołtarza i uważnie przyjrzał się stojącej na nim kamiennej misie. Było w niej sporo wody, ale na dnie dostrzegł rdzawy nalot i pomyślał, że może to być krew.

Zaczął obchodzić ołtarz, nagle dostrzegł niewielką, bielejącą w trawie czaszkę, a zaraz obok drugą, jak mu się wydawało, nieco mniejszą. Podszedł bliżej. Wokół wały się ptasie pióra, patyki i szare, sądząc z ich opływowego

kształtu wyciągnięte z jakiejś rzeki, kamienie oraz czerwony sznurek. Przyjrzał się czaszkom i pomyślał, że jedna należała do stosunkowo dużego ptaka, a druga do zająca lub królika.

– Co to ma być? – powiedział głośno. Pochylił się nad leżącym może metr od ołtarza znaleziskiem, a później cofnął się kilka kroków. Dopiero z tej perspektywy dostrzegł, że czaszki, pióra i kamienie są umocowane na długiej ponad dwa metry i starannie oczyszczonej z kory gałęzi. Czerwony sznurek przytrzymywał pęk cienkich patyków przywiązanych mniej więcej na wysokości metra.

– Co to ma być? – powtórzył i zrobił kilka zdjęć smartfonem. Znalezisko wyglądało jak indiański totem z amerykańskich westernów.

Wracając, biegł po ścieżce tuż przy jeziorze i szybko zdał sobie sprawę, że to był zły pomysł. Wystające zewsząd korzenie powodowały, że musiał skoncentrować się na obserwacji podłoża, na szczęście mimo coraz bardziej intensywnego deszczu udało mu się uniknąć kontuzji.

Parząc kawę, pożałował, że zrobił tak mało zdjęć. Chwytał smartfon i wysłał wszystkie swojemu wydawcy, a później także na swoją skrzynkę mailową. Potem zadzwonił do Patryka.

– Byłem na tej polanie. Mamy dowód. Dziękuję ci, Patryk, zrobiłeś dużą rzecz. Naprawdę wielką. Spróbuję namówić na rozmowę Jurasia, a przede wszystkim Gonza, no a później Trąbskiego – powiedział i usłyszał, że chłopak odetchnął z ulgą.

Rozdział 39

WOLSZTYN, OSTATNI TYDZIEŃ LIPCA 2018

Zdanowski umówił ich za kościołem Wniebowstąpienia, w miejscu, gdzie Dojca wypływa z Jeziora Wolsztyńskiego.

– Byłem naczelnikiem Wydziału Kryminalnego. Znam tę sprawę od podszewki. I tak, wiem, że początek śledztwa został spieprzony, ale ja dołączyłem później. No i w końcu Trąbskiego złapaliśmy. Mimo wszystko.

Zenon Olszański wyglądał jak archetyp amerykańskiego policjanta: wysoki, smukły i łysy, w białej lnianej koszuli wydał się Terleckiemu połączeniem Kojaka z Chandlerowskim Philipem Marlowe'em. Tym klasycznym Marlowe'em, z *Wielkiego snu*, gdy w rolę detektywa wcielił się Humphrey Bogart. To wrażenie pogłębiło się jeszcze, gdy doszli do Lokomotywni i Olszański zamówił podwójną whisky bez lodu.

Usiedli w ogródku z widokiem na jezioro. Policjant, od kilku tygodni cieszący się rolą emeryta, zapalił papierosa i przez chwilę delektował się smakiem alkoholu. Przyznał, że sprawa Jolanty Guzikiewicz była jego najważniejszym śledztwem w życiu.

– Rok wyjęty z życiorysu. Całkiem dosłownie wyjęty. Nie potrafiłem w tym czasie skoncentrować się na niczym innym, przy łóżku miałem notes, w którym zapisywałem przychodzące mi przed snem myśli. A po przebudzeniu zapisywałem sny, bo wtedy o niczym innym nie śniłem.

Rafał milczał. Pozwolił policjantowi mówić, a gdy ten skończył swoją whisky, zamówił drugą kolejkę. W końcu zapytał, czy były naciski z góry, aby mordercy jednak nie odnaleziono. Olszański zamyślił się, patrząc na jezioro.

– Tak bym tego nie nazwał. Ale miałem wrażenie, mam je do dzisiaj, że ktoś starał się, aby to śledztwo zakończyło się na Trąbskim. Aby nie poszło dalej – stwierdził z namysłem.

– Kto?

Olszański nie odpowiedział i Rafał Terlecki zastanawiał się, czy nie wie, czy nie chce powiedzieć. Zadał ważniejsze pytanie. Na tej odpowiedzi najbardziej mu zależało.

– A co było dalej? Co było za Trąbskim?

Zenon Olszański zapalił kolejnego papierosa i wypił kolejny łyk whisky, a potem pochylił się w kierunku dziennikarza.

– Wydaje mi się, że ktoś zaplanował na ten dzień masowe zabójstwa. Może jest w tym słowie pewna przesada, ale biorąc pod uwagę lokalną miarę, nie tak znowu wielka. Tego dnia miało dojść w Wolsztynie do trzech morderstw. Na szczęście udało się tylko jedno.

Terlecki poczuł mrowienie w rękach. Opowieść Patryka i Julity zyskała kolejne potwierdzenie. Kilka dni temu, na leśnej polanie między Tłokami a Nowymi Tłokami, w to nie uwierzył, teraz jego wątpliwości się rozwiały.

– W noc morderstwa, gdy jeszcze nie odnaleziono ciała, w komendzie zjawił się chłopaczek, na oko licealista. Powiedział dyżurnemu, że miał zabić dziewczynę, ale nie potrafił tego zrobić, wycofał się, zrezygnował, przeraził się. Zwał, jak zwał. Niestety, chłopaki to zignorowały. Nawet ich rozumiem, gówniarz był pijany, bełkotał, mówił, że tego dnia w Wolsztynie zginą trzy dziewczyny... Brzmiało to nieprawdopodobnie i młody policjant zlekceważył jego słowa.

– Gonzo, nazywali go Gonzo. Dlaczego to zlekceważono?

– To jest Wolsztyn, spokojne miasteczko, a nie jakiś Sandomierz ojca Mateusza albo Chicago lat trzydziestych. Zaplanowana seria morderstw? Tutaj? Pan by uwierzył?

Terlecki pokiwał głową. Alejką nad jeziorem spacerowali emeryci i matki z dziećmi, przy brzegu kołysały się łodzie wędkarzy, w oddali widać było małą żaglówkę. Jakaś starsza kobieta z wnukiem dokarmała kaczkę.

– Nawet go nie spisali. Pogonili z komendy, nie chcieli się babrać w papierkowej robocie. Wie pan, ile czasu zajmuje policjantom papierkowa robota? – Olszański wyraźnie nie oczekiwał odpowiedzi.

Kiedy w domku na działkach odkryto zwłoki Jolanty Guzikiewicz, sprawa tej wizyty wypłynęła. Trwało kilka dni, nim wreszcie udało się zidentyfikować chłopaka, który zjawił się wówczas w komendzie. Tyle że zniknął.

– Wyjechał do Irlandii. Do dzisiaj tam siedzi. Nie szukaliście go?

– Zajmowała się tym Komenda Wojewódzka. Nie znaleźli go. Nie wiedziałem, że jest w Irlandii.

Dziennikarz pochylił się nad stolikiem i spojrzał prosto w oczy byłego już naczelnika Wydziału Kryminalnego Komendy Powiatowej Policji w Wolsztynie.

– Kto to zaplanował, panie naczelniku? Kto spowodował, że trzech młodych, normalnych chłopaków jednego dnia miało zabić trzy nastolatki? Byli o krok. Właśnie dlatego, że nie jest to Chicago lat trzydziestych ani Sandomierz ojca Mateusza, nie mógł to być przypadek.

Olszański znowu spojrzał na jezioro. Długo milczał i Terlecki uznał, że policjant już nic więcej nie powie. Mężczyzna zabrał ze stolika swoją paczkę papierosów i schował ją do kieszeni, ale nagle zmienił zdanie.

– Zamówmy jeszcze jedną kolejkę – bardziej polecił, niż poprosił.

Terlecki skinął na kelnerkę i pokazał na szklanki. Jeszcze nim alkohol pojawił się na stole, Olszański zapalił papierosa i spojrzał na dziennikarza.

– Mam swoje podejrzenia. To jest wiedza operacyjna, nie udało mi się tego dowieść. Ale wiele wskazuje na to, że to prawda. Jak mówię, to tylko wiedza operacyjna i to później zniknęło z akt. Jest w Wolsztynie taki człowiek, pewnie pan o nim słyszał, Skibniewski, Zdzisław Skibniewski...

Rafał Terlecki zdał sobie sprawę, że właściwie przestał oddychać. Kelnerka akurat podeszła do stolika z dwiema szklankami whisky i dziennikarz przeklął, że zrobiła to w tym momencie. Wystraszył się, że jej obecność może spłoszyć rozmówcę, ale Olszański chyba nawet jej nie zauważył. Sięgnął po szklankę.

– Ten Skibniewski, dziwna postać, staruszek już, choć bardzo żwawy, stworzył „szkołę janczarów”, tak to nazywali...

– „Sierociniec janczarów”, nazywali to „sierociniec janczarów”.

– Więc już pan wie. Tak, sierociniec. Dziwna nazwa.

Olszański opowiedział historię śledztwa. Początkowo nie przynosiło żadnych efektów, zataczało coraz szersze kręgi, ale policjanci byli bezradni. Brano pod uwagę, że Jolanta Guzikiewicz została zamordowana przez jakiegoś włóczęgę, który trafił na nią przypadkowo, badano trop wędrownego wielokrotnego mordercy, bo kilka tygodni wcześniej natrafiono na zbezczeszczone zwłoki kobiety w okolicach Poznania. Starannie przyglądano

się również miejscowemu środowisku przestępczemu, baczniejszą uwagę zwrócono na młodzież, pod lupę wzięto kolegów i znajomych ofiary.

– Przesłuchiwaliliśmy tych ludzi wiele razy. W końcu jeden z uczniów zeznał, że słyszał różne plotki o Skibniewskim. Na przykład taką, że często zapraszał do siebie uczniów liceum, wyłącznie chłopaków, częstował ich alkoholem, zabierał na jakieś wycieczki. Nie było w tym żadnych konkretów, takie gadanie. Później jeszcze jakaś dziewczyna wspomniała o Skibniewskim i to ona użyła określenia „sierociniec janczarów”.

Wyglądało na to, że to Rafał wie na ten temat więcej. O „sierocińcu” opowiedział mu Patryk, według którego kilka miesięcy przed morderstwem na działkach Zdzisław Skibniewski rozpoczął Wielką Grę. Do udziału w niej namówił pięciu chłopaków, uczniów wolsztyńskiego liceum. Nagrodą miało być audi i stypendium na studia za granicą, a po ich zakończeniu ważne stanowisko w gospodarczym imperium Skibniewskiego. Padła nawet sugestia, że być może właśnie na zwycięzcę Wielkiej Gry biznesmen przepisze swój majątek, bo nie ma własnych dzieci. Skibniewski zaproponował udział w tej grze Sosnowskiemu, Trąbskiemu, Gonzowi i jeszcze dwóm chłopakom. Początkowo traktowali to jako zabawę, zresztą po cichu ze sobą współpracowali, wspólnie, za plecami Skibniewskiego, planowali swoje działania. Z czasem sytuacja się zmieniła. Po trzech miesiącach biznesmen ogłosił koniec pierwszego etapu, a za jego zwycięzcę uznał Trąbskiego, któremu w nagrodę dał włoski skuter. Po dwóch kolejnych miesiącach zaprosił ich do swojej posiadłości i w obecności pani notariusz spisali umowę – audi, stypendium na zagraniczne studia, stanowisko dyrektora generalnego holdingu. Minął miesiąc, a umowa – znowu w obecności pani notariusz – została rozszerzona o przepisanie po śmierci Skibniewskiego całego jego majątku na zwycięzcę Wielkiej Gry.

Szło o wielkie pieniądze, więc sytuacja zrobiła się poważna. Zaczęli naprawdę ze sobą konkurować, przestali ze sobą współpracować, stali się dla siebie już nie przeciwnikami, ale wrogami. I grali coraz ostrzej. Zauważyli, że Skibniewski, który ustanowił się jedynym jurorem w tej grze, premiuje przede wszystkim bezwzględność. Dwóch chłopaków odpadło, na placu boju zostało trzech: Gonzo, Grzegorz Trąbski i Patryk Sosnowski. W końcu Skibniewski wyznaczył im ostatnie, finałowe zadanie – każdy miał zabić jedną dziewczynę.

Terlecki spojrzął na Olszańskiego i zapytał, czy w sprawie śmierci Jolanty Guzikiewicz przesłuchano Skibniewskiego. Policjant potwierdził.

– Był wtedy w Sopocie, na turnieju brydżowym. Widziało go ze sto osób, a dodatkowo jego alibi potwierdzili pracownicy hotelu. Dobrze go zapamiętali, bo zasnął podczas kolacji i trzeba było wzywać pogotowie.

– Sprytne.

– Sprytne, jeśli rzeczywiście Skibniewski brał w tym udział. I nie do podważenia. Dla pewności ściągnęliśmy dokumentację medyczną. Nie było żadnych wątpliwości.

Terlecki zapytał, czy policja wiedziała, kim był trzeci z chłopaków, który miał tego dnia dokonać morderstwa, ale Olszański zaprzeczył.

– Nie szukaliśmy go, bo i po co? Skupiliśmy się na Trąbskim. Ściągnęliśmy nawet do Wolsztyna profiler, jedyne polskiego profiler, który miał za sobą szkolenie w Akademii FBI w Quantico. Wszystkie wymienione przez niego cechy jednoznacznie wskazywały na Trąbskiego, ale trzeba było znaleźć dowody. Założyliśmy mu podsłuch w komórce, później również w domu, w końcu policyjni spece włamali się do jego komputera. Dowiedzieliśmy się, że coraz więcej czasu poświęca na lekturę książek i artykułów na temat wielokrotnych zabójców. – Olszański dopił whisky.

– Ale to nie był jeszcze dowód.

– Nie, nie był. W końcu i dowody udało się znaleźć, choć i one okazały się niejednoznaczne. Dlatego proces był poszlakowy. Dostał dwadzieścia pięć lat. Może pan mieć do mnie pretensję, że nie złapaliśmy inspiratora tej zbrodni. Jeśli, zastrzegam, on rzeczywiście istniał. I pewnie będzie pan miał rację. Ale złapaliśmy człowieka, który chciał więcej i więcej. Któremu wciąż było mało. Jestem pewien, że posadziłem człowieka, który, gdyby teraz nam się wymknął, w przyszłości zostałby wielokrotnym mordercą. Niezwykle sprytnym, zdyscyplinowanym, bezwzględny. Więc mam poczucie, że ileś ludzkich istnień udało mi się uratować.

Dziennikarz chciał go zapytać, czy podobnej kary nie powinien ponieść ten, który skierował Grzegorza Trąbskiego na tę ścieżkę, ale nie wystarczyło mu odwagi.

Rozdział 40

PALERMO (SYCYLIA) I CASTELLAMMARE DEL GOLFO,
10 WRZEŚNIA 2018

Samolot wylądował przed dziewiętnastą, ale gdy Rafał Terlecki wyszedł na płytę lotniska, i tak uderzył go podmuch gorącego powietrza. Zdjął ciemnoniebieską bluzę i zawiązał ją wokół pasa. Ponieważ miał tylko podręczny bagaż – tydzień na Sycylii nie wymagał zbyt wielu ubrań – szybko wy dostał się z lotniska i skierował na przystanek autobusowy. Droga na via Domenico Costantino w centrum Palermo zajęła mu niespełna godzinę.

Ewa Drągowska siedziała w ogródku restauracji, popijając białe wino. Przystanął po drugiej stronie ulicy i przez chwilę jej się przyglądał. Ostatni raz widzieli się kilka miesięcy temu i zauważył, że od tego czasu zmieniła fryzurę. Blond włosy miała teraz nieco krótsze, a czerwone oprawki okularów nadawały jej twarzy odrobinę drapieżności. Miała na sobie granatową wydekoltowaną suknię, która wydała się Rafałowi nieco zbyt elegancka na wakacyjną kolację z byłym partnerem.

Podszedł do stolika. Uśmiechnęła się, a później namiętnie pocałowała go w usta. Poczł smak alkoholu.

– Wreszcie jesteś. Wypiłam już połowę wina i wierz mi, mam ochotę na więcej. Mam nadzieję, że jesteś głodny, bo ich pizza jest oszałamiająca. Jedzmy, chrzanić moją dietę. Co ci zamówić? – Jej usta na brzegu kieliszka odcisnęły wyraźny ślad szminki.

– Ktoś musi prowadzić – zauważył przytomnie, choć naprawdę miał ochotę na wino.

– Panie Zdrowy Rozsądku, otóż nie, dzisiaj nie. W każdym razie nikt z nas – odpowiedziała, patrząc mu w oczy. Wyciągnęła butelkę ze srebrnego kubekka z lodem i naląła wina do stojącego przed nim kieliszka. – Cieszę się, że cię widzę.

Stuknęli się kieliszkami, a potem zamówili duży talerz przystawek – sery, kawałki ryb, oliwki i paprykę – oraz pizzę z owocami morza i kolejną butelkę

białego wina. Zapytał o Anastazję, ale Ewa zbyła go uśmiechem.

– Rafał, powinieneś teraz spojrzeć pod stół, bo coś mi się wydaje, że niczego nie zauważyłeś. A powinieneś – opierała się łokciami o stolik, trzymając kieliszek w obu dłoniach. Jej oczy błyszczały.

Pochylił się i odsunął biały obrus, a potem spojrzał jej w oczy.

– Tak jak obiecałam. Nowiusieńkie czerwone szpilki, francuskie pończoszki z paseczkiem oraz stringi skrywające nadal zgrabny tyłek. Przy czym uwierz mi, że słowo „skrywające” jest w tym wypadku bardzo niewłaściwym określeniem – zaśmiała się chrapliwie. – A teraz najlepsze...

– Może być jeszcze coś lepszego? – powiedział zdziwiony i zabrzmiało to bardzo szczerze.

– Dobra odpowiedź. Bardzo dobra. Ale tak: wynajęłam nam pokój w hotelu na godziny! Wyobrażasz to sobie? Za chwilę zmienisz się w faceta, który wynajął sobie dziwkę. Ale najpierw zjedz, musisz nabrać sił. Wymizerniałeś na tej prowincji. À propos. Czy prowincjonalne dziewczyny dobrze się rzną? – Na twarzy Ewy pojawiły się rumieńce.

Wiedział, że to oznaka podniecenia. Znowu chciał zapytać o Anastazję, ale zdał sobie sprawę, że zburzyłyby nastrój, rozładował erotyczne napięcie, które między nimi zapanowało. A naprawdę miał na Ewę niepohamowaną ochotę.

Rozmawiali, jedli i pili wino już ponad godzinę, gdy vibracje jego telefonu zaczęły sygnalizować przychodzące wiadomości. Było ich tak wiele, że Drągowska w końcu wskazała wzrokiem leżący na blacie stołu smartfon.

– Coś się dzieje?

– Kończy się emisja pierwszej części mojego reportażu. Tego z Wolsztyna. Myślę, że to w tej sprawie.

– Reportaż z jakiegoś prowincjonalnego miasteczka zyskał taki rozgłos? Cóż tam wykreślił, mój rycerzu? – zapytała. Zauważył, że jej szminka nieco przybladła.

– Musisz poprawić usta. Wydaje mi się, że dziwka powinna mieć naprawdę mocno czerwone usta. – Spojrzał na nią z udawaną surowością. – Chyba jesteś ubrana zbyt elegancko. No chyba że jesteś luksusową dziwką...

– Jezu, robię się mokra. Chodźmy już! – powiedziała, kiwając na kelnera. – Rachunek biorę na siebie. Ty musisz zapłacić za hotel i nie myśl, że opędzisz

się kartą. W takich miejscach przyjmują tylko gotówkę. No i ja też będę cię kosztowała ze dwieście euro. Gotówką!

– Będziesz musiała solidnie na to zapracować.

– Zamierzam dać z siebie wszystko. Będziesz tak zadowolony, że dasz mi premię...



Składające się z dwóch słodkich croissantów i kawy śniadanie zjedli w barze przy via della Liberta, a później wsiedli do samochodu – Ewa wynajęła białego fiata 500 – i ruszyli do Castellammare del Golfo.

Poinformowała go, że jeszcze wczoraj wysłała Anastazji wiadomość. Ryanair odwołał wieczorny lot, ojciec przyleci porannym, a ona postanowiła poczekać na niego w Palermo.

– Na pewno uwierzyła. Na sto procent – prychnął, zerkając na Ewę z boku. Miała na sobie granatowe szorty, białą koszulkę z ośmioma gwiazdkami i tenisówki. Gdy opuszczali apartament – nie miał nic wspólnego z hotelem na godziny i mieścił się w solidnej, mieszczańskiej kamienicy – próbował ją namówić, aby włożyła czerwone szpilki, ale odmówiła.

– Po drodze zatrzymamy się gdzieś na kawę. Muszę odpowiedzieć na esemesy.

– Daj telefon, przeczytam, co tam dostałeś, a ty podyktujesz mi odpowiedzi.

Odblokował smartfon, ale zastrzegł, że i tak będą musieli zatrzymać się na kawę.

– To była długa noc – uśmiechnął się. – Powtórzymy to?

– No coś ty! Powtórzymy to wiele razy. A teraz słuchaj – odpowiedziała i zaczęła czytać wiadomości.

Pierwsza była od Julity, dziewczyny Patryka Sosnowskiego. „Zaorał go pan. Dziękuję. Patryk nigdy nie był tak szczęśliwy”.

Zatrzymali się w Trappeto i znaleźli miejsce w niewielkiej kawiarni przy głównej ulicy miasteczka. Zamówili po espresso i po dużej kawie, a później Rafał kupił jeszcze dla córki trzy croissanty z kremem pistacjowym.

– Będzie spała, gdy przyjedziemy. Zrobię jej śniadanie.

– Strasznie ją rozpieszczasz. – Ewa zapaliła papierosa. – To o czym właściwie jest „Sierociniec janczarów”? Dlaczego ten Patryk jest taki szczęśliwy?

Terlecki wypił espresso, łyknął trochę wody i rozsiadł się w fotelu. Patrzył na starego Włocha otwierającego uliczny stragan z rybami. Postanowił, że kupi krewetki i zrobi na kolację swoje firmowe danie. Ewa i Anastazja za nim przepadały.

– Głównym bohaterem jest Zdzisław Skibniewski. Mocno już starszy pan z bardzo interesującą przeszłością. Był marynarzem, pod koniec sześćdziesiątego drugiego roku zszedł na ląd w Hamburgu i został na Zachodzie. Wiodło mu się nijako do czasu, gdy poznał braci Janoszków. Wiesz, kto to był?

– Jezu, skąd mam wiedzieć, kim są czy tam kim byli bracia Janoszowie. W Wolsztynie byłam raz, poznałam Bartka, twoje dwie kuzynki i ich mężów. Nikogo więcej z Wolsztyna nie znam. – Ewa dmuchnęła mu dymem w twarz. Nie znosił tego, a ona świetnie o tym wiedziała. Lubiała się z nim drażnić.

Terlecki zaczął jej opowiadać o aferze „Żelazo”, o grupie gangsterów działających na Zachodzie, kradzieżach, napadach na banki i przerzucaniu precjozów do Polski.

– Janoszowie zwerbowali Skibniewskiego, a później kazali mu stworzyć drugą podobną grupę, która miała działać w Austrii, Szwajcarii i północnych Włoszech. Skibniewski został przeszkolony przez polski wywiad i przeskoczył swoich protektorów. Zarówno jeśli chodzi o wartość zrabowanych przedmiotów, jak i brutalność. Z akt wynika, że jego banda jest winna śmierci przynajmniej sześciu osób, w tym młodego małżeństwa z Ramsau am Dachstein niedaleko Innsbrucka. Kobieta była w ciąży. Morderstwo było drastyczne, mężczyźnie ucięto głowę. W sześćdziesiątym dziewiątym roku Skibniewski niemal wpadł, ale w ostatniej chwili udało mu się wymknąć. Wrócił do Polski. Wylądował w Wolsztynie z grubą, naprawdę grubą forszą. Mógłby z tej forsy żyć jak sułtan, ale wciąż było mu mało. W latach siedemdziesiątych otworzył firmę budowlaną, spiknął się z miejscowymi towarzyszami i zaczął realizować duże inwestycje, na przykład rozbudowę szpitala, budowę nowych dróg. – Terlecki wypił trochę wody. –

Zwąchał się też z miejscowym szewcem, zresztą ojcem mojego licealnego kolegi. W siedemdziesiątym pierwszym zaczęli porywać kobiety i wysyłać je do domów publicznych na Zachodzie.

– Co za kraj! Szewc kidnapierem. Niebysza! – Ewa się roześmiała.

– Nie taki zwykły szewc, cholewkarz. – Rafał też się uśmiechnął, ale Ewa nie zrozumiała dowcipu. – Wywiad, który oczywiście cały czas dyskretnie pilnował Skibniewskiego, dowiedział się o porwaniu kobiety. I od tej pory działali we współpracy z Rakowiecką, czy raczej byli wykonawcami jej poleceń. Pod koniec lat osiemdziesiątych handlowali dolarami, sprowadzali kradzione w Niemczech samochody. Skibniewski naprawdę ma talent do interesów.

Ewa zamówiła małą butelkę prosecco i kilka kostek lodu. Opowieść Rafała wyraźnie ją zainteresowała.

– Co ma z tym wspólnego ten Patryk? – zapytała, patrząc jak Terlecki nalewa jej wina do kieliszka.

– W łóżku masz więcej cierpliwości, co zresztą ci się chwali. W osiemdziesiątym dziewiątym wydawało się, że Skibniewski utonie wraz z komunistami. Ale nie, utrzymał się na powierzchni. Wsparł finansowo Stanisława Tymieńskiego, wiesz, tego wariata z Kanady, ale później skupił się na biznesie.

Redakcja bardzo dokładnie prześledziła biznesy Zdzisława Skibniewskiego. Z pewnością nie udało im się dotrzeć do wszystkich, ale już to, co odkryli, robiło piorunujące wrażenie. Dawny marynarz i kelner kontrolował kilka działających w zachodniej Polsce firm budowlanych świadczących usługi dla największych deweloperów, rządził wieloma bankami spółdzielczymi w Wielkopolsce i na Pomorzu, miał pakiety akcji spółek ubezpieczeniowych, kilkadziesiąt kantorów i lombardów w największych miastach, dwie duże spółki IT, w tym jedną notowaną na giełdzie, która szczytowała się współpracą z Microsoftem, sieć stacji benzynowych, kilka firm logistycznych, spółki biotechnologiczne, a od paru lat dużo inwestował w prywatne przychodnie i turystykę.

– Jak to możliwe, że kontrolował spółki giełdowe i udawało mu się pozostawać w cieniu?

– Nigdy nie przekraczał w akcjonariacie pięciu procent, więc w raportach go nie wykazywano. Tyle tylko, że podobne pakiety miało kilka powiązanych z nim firm, funduszy bądź ludzi. To wystarczyło – stwierdził Rafał. – Bardzo ostrożnie wyceniamy go na miliard trzysta tysięcy złotych.

– Powinien figurować w „Forbesie” na liście najbogatszych Polaków.

– Jest gdzieś około dwudziestego piątego miejsca. Ale tak naprawdę pewnie pod koniec drugiej dziesiątki albo wyżej.

Ewa dopiła wino i podeszli do straganu z rybami. Rafał kupił kilogram dużych krewetek. Chciał wziąć jeszcze trzy dorady na następny dzień, ale Ewa się sprzeciwiła, mówiąc, że w Castellammare del Golfo jest dobrze zaopatrzone sklepy rybne.

– Z tego, co mówisz, jego interesy są w pełni legalne. Źródło kapitału nie, ale interesy są legalne.

– To już pewnie oceni prokuratura. Rano Generalna wydała komunikat, że wszczęła śledztwo w sprawie Skibniewskiego.

– Toś się towarzyszom z PiS przysłużył.

Terlecki wzruszył ramionami. Powoli zbliżali się do Castellammare del Golfo. Spojrzał na zegarek. Chciał zdążyć, nim Anastazja wstanie z łóżka, więc mocniej nacisnął pedał gazu, ale fiat miał słaby silnik. Zateśknął za swoim bmw.

Terlecki opowiedział Ewie o polanie w lesie, a później o wizycie w więzieniu i rozmowie z Grzegorzem Trąbskim.

Wraz z operatorem przyjechali do Rawicza godzinę przed wyznaczonym terminem, więc spędzili ten czas na stacji benzynowej, popijając kawę i nie bardzo nawet ze sobą rozmawiając. Później wrócili do więzienia, gdzie zaprowadzono ich do niewielkiej sali z usytuowanym wysoko zakratowanym oknem. Rozstawili światła i kamerę i jeszcze pół godziny czekali na Trąbskiego.

Grzegorz nie robił wrażenia mordercy. Szczupły, wręcz chudy, dość nikczemnego wzrostu, z krótko obciętymi jasnymi włosami oraz przyszczatą twarzą wyglądał jak tysiące nastolatków, których Terlecki codziennie mijał na warszawskich ulicach. Dziennikarz pomyślał o „banalności zła” Hannah Arendt. Patrząc na niego, po raz kolejny zastanawiał się nad motywami, które pchnęły tego młodzieńca z bogatego domu do popełnienia tak strasznej zbrodni. Trąbski był ich wizytą wyraźnie podekscytowany i Terlecki pomyślał, że Julita miała rację.

Operator zaczął poprawiać światło, a później nieco przestawił kamerę. Panowała niezręczna cisza i Rafał szukał w głowie tematu, który mógłby poruszyć, żeby choć trochę rozluźnić atmosferę, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

– Jest pan okropnie spięty, panie redaktorze. Pewnie niezbyt często rozmawia pan z mordercami. – Trąbski wygodnie rozsiadł się na krześle. – Nie powinniście nałożyć mi makijażu? W amerykańskich filmach zawsze nakładają. Zależy mi, aby dobrze wyglądać.

– Nie, nie robimy makijażu.

– Proszę się nie bać, nie jestem Hannibalem Lecterem, nie odgryzę panu twarzy. – Więzień zaśmiał się wesoło. Operator dał znać, że jest gotowy.

– Kiedy poznał pan Skibniewskiego?

Trąbski przechylił się do przodu i oparł łokcie o kolana, więc operator musiał trochę cofnąć statyw z kamerą, aby zachować odpowiednią perspektywę.

Przez kilka minut Rafał zadawał dość obojętne pytania, aby sprawdzić wiarygodność odpowiedzi Trąbskiego. Wiedział, że ta część rozmowy nie znajdzie się w reportażu.

– Opowie mi pan o leśnej polanie w Kuźnicy Zbąskiej? Odnalazłem ją. Ten drewniany stół pełnił funkcję ołtarza. A kamienna misa?

Trąbski spojrzał na niego i mocniej przechylił się do przodu. Jego uśmiech wydał mu się demoniczny.

– Spuszczaliśmy do niej krew ofiar – odpowiedział, patrząc mu prosto w oczy. Terlecki czuł, że jego wzrok świdruje mu mózg.

– Jakich ofiar? – pytanie zostało zadane nienaturalnym głosem, więc Rafał odchrząknął i powtórzył. Podczas montażu jego piskliwy głos zostanie usunięty.

– Och, różnych. – Trąbski roześmiał się głośno. – Najpierw to była kura, później kaczka czy gęś, nie znam się na tym. Raz był prosiak, którego Zdzisław kupił od gospodarza w Chorzeminie. Taki mały, strasznie kwiczał, gdy Gonzo podrzynał mu gardło. A później złapałem łabędzia. Ale dość miałem ptactwa, więc kiedyś mieliśmy psa, labradora mojej sąsiadki. To naprawdę była jazda! Pies długo walczył, podrapał Patryka. Strasznie mnie to kręciło.

Wjechali do Castellammare del Golfo i Ewa kazała mu zatrzymać samochód. Wyszli i zapalili papierosa. Po prawej stronie mieli plac ze straganami, w których sprzedawano drewniane pamiątki, torebki i sakwojaze ze skóry oraz miejscowe wiktuały, a dalej rozciągało się morze.

– Ależ ty masz pojebaną robotę – powiedziała Ewa i kazała mu wykupić parking, a później przyjść do oddalonej o niespełna dwieście metrów kawiarni mieszczącej się w dawnym warsztacie szkutniczym.

– Idę się napić.

Gdy podszedł do stolika, paliła papierosa, popijając whisky. Na niego też czekała szklanka.

– Mów dalej – rozkazała.

Nagranie w więzieniu trwało ponad godzinę i właściwie wyjaśniało cały mechanizm wydarzeń. Nie odpowiadało tylko na podstawowe pytanie – w którym momencie Zdzisław Skibniewski z bandziora, współpracownika peerelowskiego wywiadu, później biznesmena przeobraził się w owładniętego szaleństwem starucha, który założył sektę i wymyślił grę mającą skłonić trzech nastolatków do dokonania trzech morderstw.

– Trąbski nie był jedyny? – Ewa zadała to pytanie i opróżniła znaczną część szklanki.

– Trąbski jedyny zabił człowieka. Ale takich, którzy zarzynali gęsi, łabędzie, kozy i psy, było więcej. Wiemy o pięciu. Nie ujawniliśmy ich, wydaje się, że wyzwolili się z tego, choć być może są naznaczeni jakimś piętnem. Ale moją rolą nie jest eliminowanie ich z życia. Nie chcę być sędzią. Choć moim zdaniem wszystkich ich Skibniewski przygotowywał do popełnienia morderstw.

– Po co?

– Nie wiem. Może na starość zgłupiał, a może od zawsze morderstwa go pociągały? W sumie niewiele wiemy o tym, co się wydarzyło pod koniec lat sześćdziesiątych w Austrii, Szwajcarii i północnych Włoszech. Wiemy, że jego banda zamordowała sześć osób, w tym kobietę w ciąży, jej mężowi odcięto głowę, ale dokładnych informacji o tych morderstwach nie mamy. Na razie, bo pójdziemy tym tropem, Cezary właśnie przekopuje się przez archiwa austriackiej policji.

Ewa zapytała, dlaczego spośród wszystkich osób, które przewinęły się przez sektę, zabił akurat Trąbski, ale Rafał nie znał odpowiedzi. Nie sądził, aby przekonującej odpowiedzi potrafiło udzielić konsylium najlepszych psychiatrów. Ale wydawało mu się – opierał ten osąd na rozmowach z kolegami Grzegorza Trąbskiego – że on miał w sobie więcej szaleństwa,

jakiejś nieokiełznanej siły, której nikt nie potrafił skierować w innym kierunku.

– Patryka i Gonza motywowała chęć zdobycia pieniędzy. Trąbskiego kręciło coś innego. Nie wiem, może rywalizacja, pragnienie zwycięstwa, pokonania konkurentów? Policjant twierdzi jednak, że Skibniewski obudził drzemiącego w nim psychopatę. Myślisz, że każdy ma w sobie psychopatę, tylko nie u każdego on się ujawnia?

– Słuchaj no, mój rycerzu. Czy mówiąc to, myślisz o sobie, o mnie czy o Anastazji?

Terlecki spojrzał na nią i dopił swoją whisky.

– Nie wydaje mi się, abyśmy byli przykładnymi rodzicami. Mieliśmy być wieczorem, a jesteśmy następnego dnia, na dodatek nie nazbyt trzeźwi. Chodź, zrobimy naszej księżniczce królewskie śniadanie.

W drodze do apartamentu jeszcze raz wrócił do wywiadu z Grzegorzem Trąbskim.

– Gdy kamera była już wyłączona i zbieraliśmy się do wyjścia, Trąbski pochylił się w moim kierunku. Instynktownie zrobiłem to samo. I wtedy usłyszałem słowa, które mną wstrząsnęły. Powiedział, właściwie wyszeptał, że gdy na tej leśnej polanie między Kuźnicą Zbąską a Borują zabijali labradora, to krew prysnęła mu w twarz, a kilka kropel wpadło w usta. Poczul jej smak. „Czuł pan kiedyś smak krwi w ustach, panie redaktorze? TEJ krwi? To niezrównane uczucie. W książkach piszą, że krew ma metaliczny posmak, ale to nieprawda. Jest inna. Boska. Słodka. Wonna. Nieśmiertelna. Właśnie dlatego zabiłem Jolę kamieniem. Chciałem, aby jej krew mnie opryskała, chciałem się w niej zanurzyć, chciałem, aby mnie wypełniła. Chciałem poczuć jej smak całym sobą. Smak krwi w tej specyficznej chwili, w której z ofiary uchodzi życie. Warto było”.



W kuchni pracowali z nadzwyczajną zgodnością, choć Rafał nie potrafił się powstrzymać przed klepaniem Ewy po pośladkach – właśnie włożyła dość skąpe bikini – i ocieraniem się o jej pięknie wyglądający biust. Nie protestowała i gdyby nie śpiąca w pokoju obok Anastazja, znowu wylądowaliby w łóżku.

– Taaa, widzę, że macie mnie za durną. Naprawdę sądzicie, że nie potrafię sprawdzić, czy Ryanair odwołał lot? Otóż informuję was, boomerzy, że to dziecinnie proste. Dziecinnie. – Anastazja wyłoniła się z sypialni i patrzyła na nich drwiąco.

Spojrzelili na siebie skonfundowani.

– Mówiłem. Ale twojej matce wydaje się, że jest sprytniejsza od Sprytnego Gonzalesa.

– Tato, Gonzales był szybki, nie sprytny. Speedy Gonzales, pamiętasz?

– Dobrze, już dobrze. Zjedz, idziemy na plażę. Ponieważ trochę już dzisiaj wypiliśmy, to pójdziemy na tutejszą, płątną. Sektor bankowy stawia!

– Słuszną linię ma nasza władza – powiedziała Anastazja, porywając talerz ze śniadaniem.

Zniknęła w swoim pokoju. Znali ją na tyle dobrze, że wiedzieli – mają dla siebie jeszcze przynajmniej trzy kwadransy.

– Tylko się pośpiesz! – krzyknęła za nią Ewa, zdając sobie sprawę, że i tak nie odniesie to żadnego skutku.

Usiedli na tarasie z kieliszkami schłodzonego białego wina. Na dole mieli wąską uliczkę, a w oddali granatowe morze. Oboje lubili takie klimaty, woleli spędzać wakacje w mieście niż wynajmować apartament wśród winnic.

Rafał umoczył usta w winie, a później zaczął opowiadać.

– Całą drogę z Rawicza wydzwaniałem do Skibniewskiego, zresztą z różnych numerów. Nie odbierał. Wysłałem mu kilka esemesów z prośbą o spotkanie, ale nie odpowiedział. Rano pojechaliśmy do jego willi. Nie zostaliśmy wpuszczeni, więc zasadziliśmy się w pobliżu, ale się nie pojawił. Zniknął. Podobno wyjechał z kraju.

– Ma taką kupę forsy, że pewnie teraz sący szampana gdzieś w Marbelli albo na Lazurowym Wybrzeżu.

– Może, ale od końca lat sześćdziesiątych nie wyjeżdżał na Zachód. Bał się, że nadal mogą go ścigać. Więc pewnie raczej Turcja, Zanzibar, Bali albo Ameryka Południowa. Szukamy go. Pewnie teraz będzie go szukała także policja, ale nie jestem pewien, czy jakoś specjalnie się do tego przyłożą.

– Dlaczego? Dla władz to znakomity kąsek. Potwierdzi istnienie „układu”, to coś, o czym gadają od lat.

– Są podejrzenia, że ostatnio handlował również bronią, odnowił swoje kontakty z MSW i MON-em. Jego człowiek, ten, który na początku próbował mnie zastraszyć, na zlecenie wojska organizował jakieś szkolenia dla nauczycieli klas mundurowych, ale też dla służb specjalnych. Sporo mu płacili. Okazało się, że jest właścicielem strzelnicy w Wolsztynie.

Ewa machnęła ręką. Bardziej interesowała ją sekta Skibniewskiego niż on sam.

– Z moich doświadczeń, a przecież pracuję w banku od wielu lat, wynika, że ludzie biznesu są racjonalni. A ten założył sektę – powiedziała, poprawiając górę bikini.

– Popatrz na swojego byłego szefa, obecnie premiera. Naprawdę nazwałabyś go racjonalnym?

Pokazała mu język i nic nie odpowiedziała. A Rafał przypomniał jej dawnego potentata branży naftowej, który w swojej posiadłości w Puszczy Kampinoskiej wybudował pięćdziesięcotonową kamienną piramidę wzorowaną na piramidzie Cheopsa i publicznie opowiadał, że kładzie się w niej na kamiennej półce, aby czerpać energię z kosmosu. A później kazał jej poczytać więcej o takich ikonach współczesnego biznesu jak Steve Jobs czy Elon Musk.

– Jeff Bezos, twórca Amazona, rozwiódł się z żoną, aby związać się ze starszą od niej kobietą. I ty to nazywasz racjonalnością. – Roześmiał się.

– Dobra, Panie Wielki Rozumie, opowiedz o tej sekcie. O co w niej chodziło? – Ewa wyciągnęła nogi i oparła stopy o balustradę tarasu. Zapatrzył się w jej stopy.

Dziennikarzom udało się zrekonstruować działalność sekty tylko częściowo. Początkowo byli przekonani, że to rodzaj przykrywki, instrumentu, przy pomocy którego Zdzisław Skibniewski zamierzał związać ze sobą Grzegorza Trąbskiego, ale później dowiedzieli się, że sekta działała od dawna, prawdopodobnie od początku lat dziewięćdziesiątych, a może jeszcze wcześniej. Nazwali się „Kościołem lasu” i czcili Leszego, ducha i obrońcę lasu. Znaną przez Terleckiego polanę nazywali „Sanktuarium Leszego”, spotykali się tam kilka razy do roku, zabijali jakieś zwierzę, a później smarowali się jego krwią i zostawiali na brzożach odciski umazanych nią dłoni. Wierzyli, że brzoza jest symbolem życia, odrodzenia, siły, uosobieniem Boga na ziemi.

– Przecież to bzdury. Jak ktoś mógł się na to nabrać?

– Masz rację, ale czy Kościół Zjednoczenia Moona to nie bzdury? A Szczep Dawidowy Koresha, Niebo Kacmajora lub Świątynia Ludu Jima Jonesa? Wszystko to bzdury. Ale wszystkie te sekty zostały założone przez charyzmatycznych przywódców. Skibniewski jest charyzmatyczny i on przynajmniej, w przeciwieństwie do Jima Jonesa, nie doprowadził wyznawców swojego „kościola” do zbiorowego samobójstwa. – Rafał postawił opróżniony już kieliszek i zapalił papierosa, a później sięgnął po smartfon.

– Posłuchaj. To fragment rozmowy z Trąbskim: „Jak zabiłem tego labradora, to poczułem, że chcę więcej, że muszę posunąć się o krok dalej, że zwierzęta już mi nie wystarczają. Próbowałem to w sobie stłamsić, ale nie mogłem. Powiedziałem o tym Zdzisławowi. Nie powstrzymał mnie, nakazał tylko, abym był ostrożny, żebym go o wszystkim informował, zapewniał, że mi pomoże. Rozumie pan? To przez niego to zrobiłem, to on mnie do tego pchnął”.

W smartfonie zaległa cisza, ale Rafał wciąż trzymał telefon przy jej uchu. Po chwili Ewa znowu usłyszała głos Grzegorza Trąbskiego: „Dopiero w więzieniu zrozumiałem, że od dawna mnie do tego popychał. Chciałem mu zaimponować, więc zainscenizowałem wszystko tak, aby wyglądało jak morderstwa dokonane przez księdza Franciszka. Wiedziałem, że mu się to spodoba, to on opowiadał nam o księdzu i jego stowarzyszeniu”.

– Później zorganizował im Wielką Grę, sekta była do niej wstępem, jakimś etapem wtajemniczenia i weryfikacji. Wyznaczał im coraz bardziej pokręcone zadania, ale też wielką nagrodę, która urządziłaby ich na całe życie. Wystarczyłoby, aby zabili. I jeden zabił. Wydaje mi się, że robił to, bo lubił manipulować ludźmi. To chyba było jego największą namiętnością.

Usłyszeli hałas dobiegający z kuchni, więc Ewa wypila resztki wina i wstała.

– O co chodzi z tym księdzem? Nie rozumiem.

– Wytlumaczę ci później. Chodźmy wreszcie na tę plażę.



Przeszli przez plac, zaglądając do kilku kramików, a później kamiennymi schodami zeszli nad morze. Gdy Ewa zajęła się poszukiwaniem wolnych

leżaków, oni natychmiast pobiegli do wody. Była boska! Wysoka skała po prawej stronie hamowała fale, więc morze w tym miejscu przypominało lustro. Mniej więcej trzysta metrów od plaży cumował duży luksusowy jacht i umówili się z Anastazją, że jeśli jutro nadal będzie tam kotwiczył, to do niego popłyną, aby podpatrzeć, jak żyją bogacze.

Upał sięgał trzydziestu stopni, więc po półgodzinie Ewa i Rafał poszli do baru, a Anastazja wybrała się na spacer wzdłuż brzegu. Zamówili dwie butelki piwa Moretti.

– O co chodzi z tym księdzem?

Rafał opowiedział jej o Franciszku, jego *Voluntatem Dei* i pamiętniku, który znalazł w piwnicy wolsztyńskiej parafii.

– Wiem, że zabił przynajmniej trzy kobiety, dość dokładnie opisał te morderstwa. Były niezwykle brutalne, wydłubywał swoim ofiarom oczy, obcinał im uszy i języki. Naznaczał, aby Bóg mógł te kobiety rozpoznać na Sądzie Ostatecznym. To miała być kara za rozwiązłość. Wymyślił sobie, że w ten sposób oczyszcza społeczeństwo z grzechu. Zadziwiający, zapewne chory człowiek. Z jego pamiętnika wynika, że za głównego wroga Polaków uważał Żydów. Ale zabijał kobiety, które w jego mniemaniu były zepsute i siały zgorzenie. Zginął w obozie koncentracyjnym w Mauthausen-Gusen koło Linzu.

– Przynajmniej poniósł jakąś karę.

Terlecki chwycił butelkę piwa i zaczął się zastanawiać nad tymi słowami. Nie był pewien, czy można to tak nazwać, ale zachował to dla siebie. Był ciekaw, choć zapewne nigdy już nie pozna odpowiedzi na to pytanie, czy ksiądz w ostatnich chwilach życia, umierając wśród Żydów, zmienił do nich stosunek.

– Skibniewski musiał się jakoś dowiedzieć o Franciszku, to jednoznacznie wynika ze słów Trąbskiego. Ale nie wiem, w jaki sposób – oświadczył. – Może kiedyś jeszcze z nim porozmawiam i wtedy odkryje karty. A Trąbski, chcąc wygrać Wielką Grę, zaplanował morderstwo Jolanty Guzikiewicz na wzór księdza Franciszka. Był pewien, że właśnie to się Skibniewskiemu spodoba i jeśli nawet jego rywale też zabiją, to on zostanie uznany za zwycięzcę.

Anastazja wracała ze spaceru, brodząc w wodzie. Oboje ją obserwowali, ale żadne z nich się nie odezwało.

– Więc trochę tajemnic jeszcze w Wolsztynie zostało. – Ewa spojrzała na niego przez przeciwsłoneczne okulary Dolce & Gabbana.

– Dużo. Dręczy mnie pytanie, kto pomógł Grzegorzowi Trąbskiemu w morderstwie. Jestem pewien, że nie był wówczas sam, ale na ten temat nie chciał rozmawiać. Albo boi się Skibniewskiego, co uważam za najbardziej prawdopodobne, albo chce pozostać wobec niego lojalny. A może liczy, że gangster dotrzyma słowa, w końcu to on wygrał Wielką Grę. No i cały czas Skibniewski pozostaje na wolności.

Podziękowania

Największe podziękowania kieruję do Błażeja Nadobnika. Zaprzyjaźniłem się z nim przed czterdziestu pięciu laty i cały czas tej przyjaźni mi nie dość. Także przy tej książce Błażej służył mi wsparciem, radą, rozległą wiedzą historyczną i konceptem. Był najpierwszym recenzentem *Sierocińca janczarów* i najpierwszym poganiaczem. Świat posuwa się do przodu dzięki mądrym poganiaczom.

Dużo ciepłych słów winienem Beacie i Mariuszowi Urbankom. Wszystkie Wasze uwagi wzięłem sobie głęboko do serca, choć dwóch nie uwzględniłem. Wyrzuty sumienia będą mi towarzyszyły już zawsze.

Mam wrażenie, że na właściwe tory wprowadził mnie Dariusz Wilczak, wydawca jednej z moich wcześniejszych książek.

Dziękuję mieszkańcom Wolsztyna, których zanudzałem pytaniami: Stefanii Żok, Beacie Brachmańskiej, Bogdanowi Żokowi, Małgorzacie i Krzysztofowi Bocerom.

Specjalne podziękowania dla Stanisława Żoka, który pewnego letniego przedpołudnia przy kawie pitej w ogrodzie bardzo plastycznie odmalował mi atmosferę Wolsztyna przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, ze szczególnym uwzględnieniem legendarnej Wielkopolanki.

Zbigniew Olszak uświadomił mi, że nie wszyscy polscy policjanci ganiają wokół placu Piłsudskiego i po Żoliborzu, niektórzy nadal łapią bandytów.

Familia Bugajów opowiedziała mi historię, która zainspirowała mnie do umieszczenia akcji książki w Wolsztynie. Zawsze już będę wdzięczny.

Pracę bardzo ułatwiły mi książki o historii Wolsztyna pióra Marcina Adamczaka, dyrektora wolsztyńskiego Muzeum Roberta Kocho.

Bardzo dziękuję pani Małgorzacie Czarzasty, szefowej wydawnictwa Muza, za życzliwość, a redaktor Małgorzacie Burakiewicz za tytaniczną pracę. Bez pani Małgorzaty *Sierociniec janczarów* nie wyglądałoby tak dobrze. Pozostaję dłużnikiem.

Żonie i córce oraz synowi i synowej dziękuję za wyrozumiałość. Chętnie obiecałbym poprawę, z entuzjazmem przyrzekł, że od teraz poświęcę Wam więcej czasu, ale przecież i bez tego radzicie sobie świetnie.

No i wydawca goni...

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF sp.j.](#), Bydgoszcz